

Alberto Moravia

OBOJĘTNI

Przełożyła: Zofia Ernstowa



I

Weszła Carla; była ubrana w sukienkę z welenki tak krótką, że wystarczył ten jeden ruch przy zamykaniu drzwi, a spódniczka uniosła się przeszło o dłoń nad lekko fałdującymi się na nogach pończochami; lecz ona nie zauważyła tego i szła spoglądając tajemniczo przed siebie, niepewna i ospała; paliła się tylko jedna lampa i oświetlała kolana siedzącego na kanapie Lea; resztę salonu spowijał siny mrok.

- Mama się przebiera - powiedziała podchodząc bliżej - będzie tu za chwilę.

- Poczekamy na nią razem - rzekł Leo pochylając się do przodu - chodź no tu, usiądź koło mnie.

Carla jednak nie skorzystała z propozycji; zatrzymała się przy stoliku, gdzie stała lampa, zwracając oczy na ów padający spod abażuru krąg światła, w którym wszystkie bibeloty - w przeciwieństwie do przedmiotów pograżonych w cieniu, jak gdyby płynnych i martwych - ukazywały w pełni swój kolor i kształty. Dotknęła palcem figurki z chińskiej porcelany: osiołka z ruchomą głową, objuczonego dwoma kozami, między którymi siedział tłusty wieśniak przypominający Budę, ubrany w kwieciste kimono; osiołek kiwał głową i Carla, ze spuszczonej oczyma, z zaróżowionymi policzkami, z zaciśniętymi wargami, zdawała się pochłonięta bez reszty wprawianiem go w ruch.

- Zostaniesz u nas na kolacji? - zapytała wreszcie nie podnosząc głowy.

- Oczywiście - odrzekł Leo zapalając papierosa - a może nie chcesz, żebym został? - Siedział pochylony na kanapie, obserwując dziewczynę uważnie i zachłannie; nogi o wrzecionowatych łydkach, płaski brzuch, mała cienista szczelina między bujnymi piersiami, wąskie ramiona, szczupłe ręce i ta okrągła głowa, tak ciężka na smukłej szyi.

„Jaka to piękna dziewczyna” - powtarzał w duchu. Stłumiona tego popołudnia lubieżność budziła się na nowo, krew uderzała mu do głowy, miał ochotę krzyknąć z pożądania.

Carla ponownie potrąciła palcem głowę osiołka.

- Czy zauważyłeś, jaka mama była dziś zdenerwowana, kiedy wstąpiliśmy na herbatę? Wszyscy na nas patrzyli.

- To już jej sprawa - rzekł Leo; wyciągnął rękę i z pozorną obojętnością uniósł rąbek krótkiej spódniczki. - Czy wiesz, że masz śliczne nogi? - powiedział zwracając ku niej ogłupiałą i podnieconą twarz, której nie udało mu się okraszyć pseudojowialnym uśmiechem; Carla nie zarumieniła się, nie odpowiedziała mu ani słowem, tylko niecierpliwym ruchem obciągnęła spódnice.

- Mama jest o ciebie zazdrosna - rzekła patrząc na niego - dlatego zatruwa życie nam wszystkim. - Leo zachnął się, jak gdyby chciał powiedzieć: „A co ja mogę na to poradzić?”, po czym znów rozsiadł się na kanapie i założył nogę na nogę.

- Rób tak jak ja - oświadczył zimno. - Kiedy widzę, że zbiera się na burzę, nie puszczam pary z ust... Potem wszystko mija, i koniec.

- Koniec dla ciebie - odpowiedziała cicho i takim tonem, jak gdyby jego słowa rozbudziły w niej zadawnioną i ślepią złość - dla ciebie... ale nie dla nas... nie dla mnie... - Wargi jej drżały, oczy rozszerzały się gniewnie; wskazując palcem na siebie zawołała gwałtownie: - Dla mnie nie ma końca, bo wciąż jestem z nią! - Umilkła na chwilę. - Ach, gdybyś ty wiedział - ciągnęła dalej ściszym głosem, w którym buntownicze słowa brzmiały jak gdyby z cudzoziemska - gdybyś wiedział, jakie to wszystko jest przytłaczające, nędzne i marne... i takiego to życia muszę być świadkiem co dzień, co dzień, co dzień! Z mroku wypełniającego resztę salonu ruszyła martwa fala umarłej urazy, musnęła pierś Carli i znikła czarna, bez piany; dziewczyna jak gdyby zastygła z szeroko otwartymi oczyma, oniemiała w tym przyływie nienawiści.

Popatrzyli na siebie: „Do diabła - myślał Leo zaskoczony tą gwałtownością - to poważna sprawa.” Pochylił się i podał jej papierośnicę.

- Może papierosa? - zapytał serdecznie; Carla sięgnęła po papierosa, zapaliła go i w kłębach dymu zbliżyła się o krok do Lea.

- A więc to tak? - zapytał mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. - Jesteś u kresu wytrzymałości? - Kiwnęła głową; zauważył, że jest nieco zakłopotana poufałym tonem, jaki zaczynała przybierać rozmowa.

- Powiem ci wobec tego - dorzucił - co się robi, kiedy sytuacja staje się nie do wytrzymania. Zmienia się życie.

- Skończy się na tym, że to zrobię! - powiedziała z nie pozbawionym teatralności zdecydowaniem, lecz wydało się jej, że gra fałszywą i śmieszoną rolę; a więc to był ten mężczyzna, ku któremu pchała ją nieuchronna rozpacz? Popatrzyła na niego: ani lepszy, ani gorszy od innych, a nawet lepszy bez wątpienia; lecz był w tym jakiś

fatalizm, że on czekał dziesięć lat, aż ona rozwinie się i dojrzeje, by zastawić na nią sidła teraz, tego wieczora, w tym ciemnym salonie.

- Zmień swoje życie - powtórzył - zamieszkaj ze mną.

Potrząsnęła głową:

- Oszalałeś chyba...

- Zrób to! - Leo pochylił się i chwycił ją za spódniczkę. - Wymówimy służbę twojej matce, wyślemy ją do wszystkich diabłów, a ty będziesz miała wszystko, czego dusza zapagnie... - Ciągnął rąbek spódnicy, wodził podnieconym wzrokiem to po jej twarzy wylęknionej i niepewnej, to po widniejącym nad pończochą nagim udzie. „Zabrać ją do siebie - myślał - osiąść ją...” Brakowało mu tchu. - Wszystko czego tylko zapagniesz, suknie, stopy sukien, podróże... Będziemy razem podróżowali... To naprawdę grzech, żeby taka dziewczyna jak ty tak się marnowała... zabiorę cię do siebie, Carlo...

- Przecież to niemożliwe - odrzekła, daremnie próbując wyrwać rąbek spódnicy z jego rąk - niemożliwe ze względu na mamę.

- Wymówimy jej służbę - powtórzył Leo obejmując ją w pół - wyślemy ją, gdzie pieprz rośnie, raz muszę z tym skończyć. A ty będziesz ze mną, prawda? Ze mną, bo ja jestem twoim jedynym prawdziwym przyjacielem, ja jeden cię rozumiem i wiem, czego ci potrzeba. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie, pomimo że wywijiała mu się, wystraszona. „Ach, żebym był z nią teraz u mnie w domu - przemknęła mu myśl jak błyskawica w burzy pożądliwości - pokazałbym jej, czego jej trzeba.” Podniósł oczy na przerażoną twarz dziewczyny i zapagnął powiedzieć jej coś tkliwego na uspokojenie: - Carlo, kochanie ty moje...

Ona znów próbowała go odepchnąć, ale już słabiej, bo ogarnęło ją coś w rodzaju rezygnacji; dlaczego właściwie nie miałyby mu się oddać? Cnota rzuci ją ponownie na pastwę nudy i nieznośnej małostkowej codzienności; i wydawało się jej, że przez złowróżbny kaprys symetrii moralnej owa niemal rodzinna przygoda jest jedynie epilogiem jej marnego życia; potem wszystko stanie się nowe: i życie, i ona sama; patrzyła na twarz pochylającego się ku niej mężczyzny. „Skończyć z tym wreszcie - myślała - zburzyć wszystko...” - i pokręciła głową jak straceniec, który chce się rzucić w przepaść. A jednak zawołała błagalnie: - Puść mnie! - i znów próbowała uwolnić się z jego objęć; majaczyła jej myśl, aby najpierw odepchnąć Lea, a potem mu ulec, sama nie wiedziała dlaczego, może dlatego, by uświadomić sobie w pełni niebez-

pieczeństwo, na jakie się naraża, a może po prostu skłaniała ją ku temu kokieteria; prosiła daremnie potulnym, trwożnym i zniechęconym głosem:

- Zostańmy przyjaciółmi, Leo, chcesz? Dobrymi przyjaciółmi, jak do tej pory - ale zadarta spódniczka odsłaniała jej nogi i w całej postawie, w ruchach, którymi próbowała osłonić się i obronić, w głosie i słowach stanowiących reakcję na pożądliwy uścisk mężczyzny był jakiś bezwstyd, jakiś nieład, których nic już nie mogło wymazać.

- Najlepszymi przyjaciółmi - powtarzał Leo prawie z radością, mnąc w dłoni wełnianą spódniczkę - najlepszymi przyjaciółmi, Carlo...

Zaciskał zęby, wszystkie jego zmysły upajały się bliskością tego upragnionego ciała: „Mam cię wreszcie” - myślał; i już przesuwał się na kanapie, by zrobić miejsce dla Carli, już miał przyciągnąć do siebie tę głowę tam, nad lampą, gdy skrzypnięcie oszklonych drzwi w głębi ciemnego salonu ostrzegło go, że ktoś idzie.

Była to matka; z jej wejściem zachowanie Lea zaskakująco się zmieniło: natychmiast wsparł się na poduszkach kanapy, założył nogę na nogę i obrzucił dziewczynę obojętnym wzrokiem; w swojej obłudzie posunął się nawet tak daleko, że powiedział energicznym tonem, jak gdyby na zakończenie jakiejś rozmowy:

- Wierzaj mi, Carlo, że nie pozostaje nic innego.

Matka zbliżała się do nich; nie zmieniła sukni, ale starannie ułożyła włosy, umalowała się i upudrowała; szła od drzwi właściwym sobie chwiejnym krokiem; i w półcieniu jej nieruchoma twarz o niezdecydowanych rysach i żywych kolorach wyglądała jak głupia i patetyczna maska.

- Długo czekaliście na mnie? - zapytała. - O czym rozmawialiście?

Leo szerokim ruchem ręki wskazał Carlę stojącą pośrodku salonu:

- Mówiłem właśnie córce pani, że nie pozostaje nic innego, jak spędzić dzisiejszy wieczór w domu.

- Tak, nic innego! - przytaknęła matka wyniośle i z naciskiem, po czym usiadła w fotelu naprzeciwko kochanka. - Byliśmy już dziś w kinie, w teatrze nie ma nic nowego... chętnie poszłabym na *Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora* Pirandella, ale dziś jest ulgowe przedstawienie, to nie dla mnie.

- A poza tym nic pani nie traci, zapewniam panią.

- Co to, to nie... - sprzeciwiła się miękko matka. - Sztuki Pirandella są dobre... Jak się nazywa ta jego komedia, którą widziałyśmy niedawno?... Bardzo to mi się podobało.

- Rzecz gustu - odrzekł Leo rozpierając się na kanapie - ja wynudziłem się śmiertelnie.

Wsunął kciuki w kieszonki kamizelki i popatrzył najpierw na matkę, potem na Carlę.

Carlę, stojącą za fotelem matki, przywróciło do rzeczywistości owo spojrzenie ciężkie i bez wyrazu; i wówczas po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak odrażająca i z dawien dawna znana była ta scena, którą miała przed oczami: matka i kochanek siedzący naprzeciw siebie i prowadzący zdawkową rozmowę; ten półmrok, ta lampa, te twarze nieruchome i głupie, i ona sama uprzejmie pochylająca się nad oparciem fotela, by słuchać ich i rozmawiać z nimi. „Życie się nie zmienia - pomyślała - nie chce się zmienić”. Miała ochotę krzyknąć; opuściła ręce i zaczęła je wykręcać tak silnie, że rozboleły ją nadgarstki.

- Możemy zostać w domu - ciągnęła dalej matka - tym bardziej, że wszystkie pozostałe dni tygodnia mamy zajęte: jutro jest ta herbatka z tańcami na cel dobroczynny, na opuszczone dzieci; pojutrze bal maskowy w Grand Hotelu; na koniec tygodnia mamy różne zaproszenia... Wiesz, Carlo, widziałam się dziś z panią Ricci... Jak ona się postarzała! Dobrze się jej przyjrzałam: ma dwie głębokie bruzdy od oczu aż do ust... a te jej włosy: już w ogóle nie wiadomo, jakiego są koloru... coś potwornego! - Wykrzywiła wargi i rozłożyła ręce.

- Nie to jest najpotworniejsze - rzekła Carla podchodząc do kanapy i siadając obok Lea; ogarnęło ją bolesne zniecierpliwienie; przewidywała, że matka, jak zazwyczaj zmierzając okrężną i krętą drogą, zrobi znowu scenę zazdrości kochankowi; nie wiedziała, kiedy i w jaki sposób to wybuchnie, lecz pewna była, że nastąpi, tak jak dzień następuje po nocy; świadomość tego napędliała ją lękiem; czuła swoją bezradność: wszystko było nieuchronne, narzucone z góry złym wyrokiem losu.

- Usta się jej nie zamykały - mówiła dalej matka - powiedziała mi, że sprzedali stary samochód i kupili nowy, Fiata... „Wie pani - oświadczyła mi - że mój mąż jest teraz prawą ręką Paglioniego w Banku Narodowym... Paglioni nie może się obejść bez niego, mówi o nim jako o przyszłym swoim wspólniku”. Paglioni tu, Paglioni tam... ohyda!

- Dlaczego ohyda? - wtrącił Leo obserwując ją spod wpróprzymkniętych powiek. - Co pani widzi w tym ohydneho?

- Czy pan wie - zapytała matka wpatrując się w niego przenikliwie, jak gdyby chciała go zmusić, żeby uważał na każde jej słowo - że Paglioni jest przyjacielem tej Ricci?

- Wszyscy o tym wiedzą - odrzekł Leo i jego leniwe oczy spoczęły na Carli, zamyślanej i zrezygnowanej.

- A czy wie pan i to - powiedziała z naciskiem Maria Gracja skandując sylaby - że państwo Ricci, zanim poznali Paglioniego, nie mieli grosza przy duszy, a teraz kupują samochody?

Leo odwrócił głowę.

- A więc o to chodzi? - zawołał. - A co w tym złego? Radzą sobie, biedacy, jak mogą.

Tymi słowami dolał oliwy do ognia.

- Więc to tak? - wycodziła matka, ironicznie patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma. - Usprawiedliwia pan tę bezwstydną kobietę, i w dodatku tak brzydką, skóra i kości, która bez skrupułów wyzyskuje kochanka, każe mu płacić rachunki za stroje i samochody, a nawet potrafi łokciami torować drogę swojemu mężowi, który jest nie tyle szczywany, co głupi. I pan pochwała takie postępowanie? No to doskonale, doskonale, nie mam wobec tego nic więcej do powiedzenia... wszystko jest jasne... panu podobają się najwidoczniej tego rodzaju kobiety.

„Już się zaczyna” - pomyślała Carla; wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia, przymknęła oczy i odchyliła głowę, by znaleźć się poza kręgiem światła i tej rozmowy, w cieniu.

Leo roześmiał się:

- Jeżeli mam być szczery, to nie podobają mi się tego rodzaju kobiety. - Rzucił ukradkowe, pożądliwe spojrzenie na siedzącą u jego boku dziewczynę... Wysokie, jędrne piersi, kwitnące policzki; młode ciało... „Podobają mi się takie kobiety!” - miał ochotę krzyknąć w twarz kochance.

- Teraz pan tak mówi - nie ustępowała matka - teraz pan tak mówi, ale w oczy, jak na przykład wczoraj u Sidolich, nie przestaje pan jej prawić komplementów, opowiadać różnych głupstw! Niech pan się nie wypiera, wiem, co o panu myśleć... Jest pan kłamcą!

„Tak, już się zaczęło” - powtórzyła w myśli Carla. Ta rozmowa mogła się ciągnąć bardzo długo, ale ona już wiedziała, że pospolite, nieznośne życie nie zmieniało się; wstała.

- Idę włożyć sweter i wracam. - Wyszła nie oglądając się za siebie, ale czując, że oczy Lea przyssały się do jej pleców jak dwie pijawki.

W korytarzu spotkała Michela.

- Czy jest tam Leo? - zapytał. Carla spojrzała na brata.

- Jest.

- Właśnie wracam od jego administratora - ciągnął spokojnie chłopak. - Dowiedziałem się ładnych rzeczy... a przede wszystkim tego, że jesteśmy zrujnowani.

- Co to znaczy? - zapytała zdumiona Carla.

- To znaczy - wyjaśnił Michele - że musimy oddać Leowi willę jako zwrot pożyczki na hipotekę i wynieść się gdzie indziej... wynieść się bez grosza przy duszy.

Popatrzyli na siebie; po twarzy chłopca przebiegł wymuszony, przykry uśmiech.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała. - Czyżbyś uważał, że to zabawne?

- Dlaczego się uśmiecham? - powtórzył. - Dlatego, że to wszystko jest mi obojętne... a nawet sprawia mi pewną przyjemność.

- To nieprawda!

- A właśnie że prawda - odparł i, nie dodając ani słowa, wszedł do salonu, pozostawiając ją zdumioną i trochę wystraszoną.

Matka i Leo sprzecali się jeszcze: Michele zdążył usłyszeć „ty”, które się zmieniło na „pan” z chwilą, gdy pojawił się w salonie, co wywołało na jego ustach gorzki uśmiech politowania.

- Czas już chyba na kolację - powiedział do matki nie witając się z gościem i nawet nie patrząc na niego. Leo nie przejął się wcale jego oziębłością:

- O, kogo widzimy! - zawołał jowialnie. - Nasz Michele... chodź tu, Michele... nie widzieliśmy się od tak dawna.

- Zaledwie od dwóch dni - rzekł chłopak patrząc na niego przenikliwie; chciał być chłodny i napastliwy, chociaż wszystko mu było w tej chwili obojętne; miał ochotę dodać: „Im rzadziej się widzujemy, tym lepiej” lub coś innego w tym rodzaju, ale zabrakło mu odwagi.

- I uważasz, że dwa dni to nic? - zawołał Leo. - Ile rzeczy można zrobić w dwa dni! - Pochylił głowę i jego duża, triumfująca twarz znalazła się w kręgu światła lampy. - Ho, ho, jaki masz elegancki garnitur... kto ci go szył?

Było to ubranie z szafirowego materiału, dobrze skrojone, ale już stare; Leo musiał go w nim widzieć co najmniej sto razy; lecz wrażliwy na punkcie swojej powierzchowności Michele podjął od razu piłkę rzuconą przez Lea, zapominając na chwilę, że przyrzekł sobie zachowywać się lodowato.

- Podoba ci się? - zapytał nie ukrywając uśmiechu zadowolenia.

- To stare ubranie, noszę je już od dawna, szył mi je Nino, wiesz?

- Instynktownie wykonał pół obrotu, by pokazać się Leowi z tyłu, i obiema rękami obciągnął marynarkę; zobaczył swoje odbicie w wiszącym na przeciwległej ścianie weneckim lustrze; krój był bez zarzutu, to nie ulegało wątpliwości, lecz jego poza wydała mu się głupia i śmieszna; przypominał stojące na wystawach manekiny w eleganckich garniturach z ceną na piersi; lekki niepokój wkradł się w jego myśli.

- Ładne, bardzo ładne! - Leo przechyliwszy się wziął w palce materiał; potem wstał: - Świetny chłopak, ten nasz Michele - powiedział - zawsze bez zarzutu, zawsze się bawi i nie ma żadnych zmartwień.

Po tonie, jakim wypowiedziane były te słowa, i po uśmiešku, jaki im towarzyszył, Michele zrozumiał poniewczasie, że Leo pochlebiał mu, żeby sobie z niego zadrwić; gdzie się podziały pogarda i odraza, które powinien odczuwać w obliczu wroga? Pozostały w sferze jego pragnień. Zmieszany i rozdrażniony, że nie umie zachować się po męsku, popatrzył na matkę.

- Szkoda, żeś nie poszedł z nami do kina - powiedziała - widzieliśmy wspaniały film.

- Ach tak... - odrzekł chłopak, po czym zwracając się do Lea i starając się przybrać jak najbardziej suchy i napastliwy ton, powiedział:

- Byłem dziś u twego administratora, Leo...

Tamten przerwał mu niecierpliwym gestem dłoni:

- Nie teraz... rozumiem... pomówimy o tym później, po kolacji... wszystko we właściwym czasie.

- Jak sobie życzysz - odrzekł chłopiec z właściwą mu uległością i od razu uświadomił sobie, że Leo po raz drugi jest górą. „Powinienem był powiedzieć: natychmiast - pomyślał - każdy by tak postąpił; omówić wszystko natychmiast, a

nawet naubliżyć mu"; miał ochotę krzyknąć ze złości. Leo umiał uderzać w jego słabe strony, próżność i obojętność, będące przekleństwem jego życia. Tamci dwoje, matka i jej kochanek, szli już ku drzwiom.

- Mam apetyt - mówił Leo zapinając marynarkę - wilczy apetyt. - Matka śmiała się; Michele machinalnie poszedł za nimi. „Ale po kolacji - myślał z pewnym roztargnieniem, lecz siląc się na stanowczość - po kolacji nie ujdzie ci to na sucho”.

W progu zatrzymał się.

- Proszę! - Leo przepuścił matkę. Stali teraz obaj naprzeciw siebie, twarzą w twarz. - Proszę, proszę - nalegał Leo ceremonialnie, kładąc dłoń na ramieniu chłopca - ustąpmy pierwszeństwa panu domu. - I ojcowskim gestem, z uśmiechem aż tak przyjaznym, że wyglądał na kpinę, pchnął lekko chłopca. Ten pomyślał: „Pan domu, a to dobre, ty jesteś panem domu”, ale nie czuł gniewu i bez słowa wyszedł na korytarz za matką.

II

Pod trzyramienną lampą blat stołu, z połyskującymi w odbłasku delikatnego światła talerzami, karafkami i szklankami, iskrzył się jak blok świeżo wykutego marmuru; widniały na nim i barwne plamy: wino było czerwone, chleb brązowy, zielona zupa dymiła w głębokich talerzach; biel jednak unicestwiała je i lśniła niepokalana w czterech ścianach tego pokoju, w którym przez kontrast wszystko, meble i obrazy, zlewało się w gęsty szary półmrok. Carla siedziała już przy stole i czekała spokojnie z nieruchomymi oczyma, wbitymi w dymiący talerz.

Pierwsza weszła matka, z głową zwróconą do idącego tuż za nią Lea; mówiła ironicznie i z egzaltacją:

- Nie po to się żyje, żeby jeść, ale je się, żeby żyć... a pan robi akurat na odwrót... Szczęśliwy z pana człowiek...

- Nic podobnego... nic podobnego... - odrzekł Leo wchodząc i dotykając przez czystą ciekawość zaledwie letniego kaloryfera - nie zrozumiała mnie pani: powiedziałem, że kiedy się coś robi, nie trzeba myśleć o niczym innym; na przykład, kiedy pracuję, myślę tylko o pracy, kiedy jem, myślę tylko o jedzeniu... i tak dalej... i wtedy wszystko idzie jak po maśle.

„A kiedy kradniesz?” - miał ochotę zapytać go Michele, który szedł za nim: nie potrafił jednak nienawidzić człowieka, któremu mimo woli zazdrościł. „W gruncie rzeczy on ma rację - pomyślał idąc na swoje miejsce - ja za dużo myślę”.

- Szczęściarz z pana - powtórzyła matka sarkastycznie - mnie natomiast wszystko idzie jak z kamienia. - Usiadła, przybrała wyraz melancholijnej godności i ze spuszczonej oczyma mieszała łyżką zupę, żeby ostygła.

- Dlaczego wszystko idzie jak z kamienia? - zapytał Leo zasiadając przy stole. - Ja na pani miejscu byłbym szczęśliwy: czarująca córka, inteligentny, rokujący najlepsze nadzieje na przyszłość syn, piękny dom... czego można jeszcze pragnąć?

- Sam pan wie najlepiej - odrzekła z lekkim westchnieniem.

- Może wydam się pani gruboskórny, ale odważę się powiedzieć, że nic nie wiem, nic nie rozumiem. - Zupa była zjedzona, Leo odłożył łyżkę. - Wszyscy zresztą jesteście niezadowoleni, pani nie stanowi wyjątku... Chce się pani przekonać? No, Carlo, powiedz prawdę, jesteś zadowolona?

Dziewczyna podniosła oczy: ten jowialny i fałszywie dobroduszny ton potęgował jeszcze jej niecierpliwość: siedzi przy rodzinnym stole jak każdego wieczora; te same rozmowy, te same przedmioty, silniejsze od czasu; a przede wszystkim to samo światło, bez złudzeń i bez nadziei, wciąż to samo, zużyte jak znoszone ubranie i tak nieodłączne od ich twarzy, że zapalając czasem lampę w pustej jadalni odnosiła wrażenie, że widzi je wszystkie cztery nad stołem: twarz matki i brata, i Lea, i swoją własną w tej żalostnej aureoli; całe to otoczenie uosabiało jej nudę, a mimo to Leo zadrasnął ją boleśnie w najczulsze miejsce; ale opanowała się:

- Rzeczywiście, mogłoby być lepiej - przyznała i znów pochyliła głowę.

- O, proszę! - triumfalnie zawołał Leo. - A nie mówiłem pani? Ale to jeszcze nie wszystko... na pewno i Michele... Prawda, Michele, że tobie też wszystko idzie na opak?

Chłopiec także spojrział na niego, nim odpowiedział. „O, teraz - myślał - należałoby mu wygarnąć wszystko, wywołać awanturę i zerwać z nim wreszcie" - ale nie potrafił się na to zdobyć; o władnął nim śmiertelny spokój, ironiczna obojętność.

- Może byś już z tym skończył? - powiedział flegmatycznie. - Wiesz lepiej ode mnie, jaka jest sytuacja.

- A to spryciarz - zawołał Leo - a to mi spryciarz z tego Michela! Unika odpowiedzi, chce się wykręcić sianem... ale rzuca się w oczy, że ty też jesteś niezadowolony, w przeciwnym razie nie miałbyś takiej grobowej miny. - Nałożył sobie z półmiska, który podała mu pokojówka.

- A ja, moi państwo, oświadczam wszem i wobec, że wszystko idzie mi dobrze, a nawet doskonale, że jestem bardzo, ale to bardzo zadowolony i że gdybym miał narodzić się na nowo, chciałbym się narodzić jako Leo Merumeci.

- Szczęśliwy człowiek! - wykrzyknął ironicznie Michele. - Powiedz nam przynajmniej, jak ty to robisz.

- Jak to robię? - powtórzył tamten z pełnymi ustami. - Ot tak,.. ale powiem wam raczej - dodał nalewając sobie wina do kieliszka - dlaczego wy wszyscy troje nie jesteście tacy jak ja.

- No dlaczego?

- Dlatego - powiedział - że przejmujecie się i denerwujecie byle czym... - Umilkł i łyknął wina; nastąpiła chwila ciszy; wszyscy troje, matka, Michele i Carla, czuli się urażeni; chłopak widział całą swoją nicość, obojętność, indolencję i mówił sobie:

„Ach, chciałbym cię widzieć na moim miejscu”; Carla myślała o swoim życiu, które się nie zmieniało, o tym mężczyźnie, który zastawiał na nią sidła, i chciała krzyknąć: „Ja mam powody”; ale matka, gadatliwa i impulsywna, przemówiła za wszystkich.

Miała wielkie wyobrażenie o sobie i krytyka Lea, stawiająca ją na równi z jej dziećmi, zabolą ją jak zdrada; kochanek nie tylko ją zaniedbywał, ale natrząsał się z niej.

- Być może - przerwała milczenie nieżyczliwym i sarkastycznym tonem, który nie wróżył nic dobrego - lecz ja, drogi panie, mam aż za wiele powodów do niezadowolenia.

- Nie wątpię - rzekł spokojnie Leo.

- Nie wątpimy - powtórzył Michele.

- Nie jestem już dzieckiem, jak Carla - ciągnęła matka z przejęciem i wzruszeniem - jestem kobietą, która wiele przeżyła i którą doświadczyło życie, tak, ciężko doświadczyło - powtórzyła podniecając się własnymi słowami - która borykała się z trudnościami, a mimo to potrafiła zawsze zachować godność osobistą i być wyższą ponad wszystko i wszystkich, drogi panie! - Po czym dodała ironicznie i gorzko: - Ponad wszystkich łącznie z panem.

- Nigdy nie przyszło mi na myśl, że... - zaczął Leo; teraz wszyscy już wiedzieli, że zazdrość matki znalazła ujście i że nie zbroczy ona prędko z obranej drogi; wszyscy przewidywali ze znudzeniem i niesmakiem, że w spokojnej atmosferze jadalni wybuchnie burza.

- A pan, drogi panie Merumeci - ciągnęła dalej Maria Gracja wpijając w kochankę opętane zazdrością oczy - mówił przed chwilą bez zastanowienia... Nie jestem jedną z tych pańskich eleganckich przyjaciółek bez skrupułów, które myślą jedynie o zabawie i żyją z dnia na dzień... nie, myli się pan, czuję się inna, ale to zupełnie inna od tych pań...

- Nie to miałem na myśli...

- Jestem kobietą - mówiła dalej matka z narastającą egzaltacją - która mogłaby uczyć sztuki życia pana i wielu panu podobnych, ale która jest na tyle delikatna, a może głupia, że nie wysuwa się na pierwsze miejsce, że mało mówi o sobie, i dlatego jest zawsze niedoceniona i niezrozumiana... Ale to - dodała podnosząc głos - że jestem zbyt dobra, zbyt dyskretna, zbyt szlachetna, to, powtarzam, jeszcze nie znaczy, że mam mniejsze prawo od innych kobiet żądać, aby mnie nie obrażano na każdym

kroku... - Rzuciła ostatnie piorunujące spojrzenie na kochanka, po czym opuściła oczy i machinalnie zaczęła przestawiać leżące przed nią przedmioty.

Ogromna konsternacja odmalowała się na wszystkich twarzach.

- Nie miałem najmniejszego zamiaru pani obrazić - odrzekł spokojnie Leo - powiedziałem tylko, że z nas czworga tylko ja jeden nie jestem malkontentem.

- No, oczywiście - powiedziała matka znaczącym tonem - rozumie się samo przez się, że nie jest pan malkontentem.

- Daj spokój, mamó - wtrąciła Carla - Leo nie powiedział nic obraźliwego. - Po tej ostatniej scenie ogarnęła ją głucha rozpacz. „Ach, skończyć z tym - myślała patrząc na podstarzałą i infantylną matkę, która ze zwieszoną głową zdawała się przeżuwać swoją zazdrość - skończyć z tym, za wszelką cenę zacząć inne życie." Niedorzeczne myśli przebiegały jej przez głowę: odejść, zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu. Przypomniała sobie dziwne słowa Lea: „Potrzebny ci jest taki mężczyzna, jak ja." To był kres: „On albo inny" - pomyślała; była u granic wytrzymałości; jej udręczone oczy przesunęły się z twarzy matki na twarz Lea: oto twarze jej życia, zacięte, ostre, niewyrozumiałe; spuściła wzrok na talerz, na którym sos zastygał warstewką tłuszczu.

- Ty - rozkazała matka - nie zabieraj głosu: nie możesz tego zrozumieć.

- Droga pani - wtrącił kochanek - ja również nic nie rozumiałem.

- Pan - odrzekła matka z naciskiem - zrozumiał mnie aż za dobrze.

- Być może... - zaczął Leo wzruszając ramionami.

- Dosyć - przerwała mu matka - lepiej, żeby pan nic nie mówił... Na pańskim miejscu starałabym się usunąć, starałabym się, aby o mnie zapomniano. - Zaległo milczenie, weszła pokojówka i zebrała talerze. „No tak - pomyślał Michele widząc, że gniewny wyraz znika z twarzy matki - burza minęła i wraca pogoda." Podniósł głowę i zapytał bez cienia wesołości:

- No co, czy można uważać ten incydent za skończony?

- Oczywiście - odrzekł stanowczo Leo - twoja matka i ja jesteśmy już w najlepszej zgodzie. - Zwrócił się do Marii Gracji: - Prawda, proszę pani, że pogodziliśmy się? - Patetyczny uśmiech błąkał się po uszmińkowanej twarzy kobiety; znała ten głos i ten przymilny ton z lepszych czasów, kiedy była młoda i kochanek był jej jeszcze wierny.

- Myśli pan - powiedziała przyglądając się z upodobaniem swoim dłoniom - że to tak łatwo przebaczyć?

Scena zaczynała stawać się sentymentalna; Carla wzdrygnęła się i spuściła oczy, Michele uśmiechnął się pogardliwie. „Dajcie sobie buzi - pomyślał - nie mówmy o tym więcej.”

- Przebaczać - odrzekł Leo błazeńsko namaszczonym tonem - jest obowiązkiem każdego dobrego chrześcijanina - („Żeby ją diabli wzięli - myślał - na szczęście córka wynagrodzi mi braki matki”). Niepostrzeżenie, nie odwracając głowy obserwował dziewczynę; zmysłowa; bardziej od matki; usta czerwone, świeże; na pewno gotowa mu ulec; po kolacji należy spróbować, kuć żelazo póki gorące; nie czekać do jutra.

- Wobec tego - powiedziała matka, już całkiem uspokojona - postąpmy po chrześcijańsku i przebaczymy. - Porzuciła surowy ton i rozchyliła usta w egzaltowanym uśmiechu, odsłaniając nie najbielsze zęby; jej obwisły biust falował. - *Á propos* - dodała w nagłym przyplwywie miłości macierzyńskiej - nie zapominajmy, że jutro są urodziny naszej drogiej Carli.

- Teraz nie obchodzi się już urodzin, mamusiu - powiedziała Carla podnosząc głowę.

- A właśnie, że będziemy je obchodzić - odpowiedziała uroczyście matka - i pan, panie Merumeci, może się już uważać za zaproszonego na jutrzejszy obiad.

Leo wykonał coś w rodzaju ukłonu ponad stołem: - Jestem niezmiernie zaszczycony - po czym zwracając się do Carli zapytał: - Ile lat?

Popatrzyły na siebie; matka, która siedziała naprzeciw córki, ułożyła wargi w taki sposób, jak gdyby chciała powiedzieć „dwadzieścia”; Carla zobaczyła to, zrozumiała i zawahała się; potem obudził się w niej bunt: „Chce - pomyślała - bym ujęła sobie lat ze względu na nią”, i nie usłuchała matki. - Dwadzieścia cztery - odpowiedziała hardo.

Wyraz rozczarowania przemknął po twarzy matki.

- Taka stara? - zawołał Leo z żartobliwym zdziwieniem; Carla skinęła głową. - Taka stara! - powtórzył.

- Ale nie powinnaś była tego mówić! - powiedziała z wyrzutem matka; kwaśna pomarańcza, którą jadła przydawała cierpkości jej minie: - Ma się zawsze tyle lat, na ile się wygląda... a ty nie wyglądasz na więcej niż dziewiętnaście. - Przelknęła ostatnią cząsteczkę pomarańczy. Leo wyjął papierośnicę i poczęstował wszystkich; smugi niebieskiego dymu unosiły się nad stołem; siedzieli przez chwilę nieruchomo, patrząc sobie w oczy, jakby zadziwieni; potem matka wstała.

- Idziemy do salonu - powiedziała; i kolejno wszyscy czworo wyszli z jadalni.

III

Krótką, ale raczej niemiłą przeprawa przez korytarz; Carla patrzyła w ziemię, myśląc o tym, że ta codzienna wędrówka wytarła deseń starego dywanu leżącego na posadzce; także owalne, wiszące na ścianach lustra musiały zachować ślady ich twarzy i ich postaci, które od wielu lat odbijały się w nich kilka razy dziennie, zresztą tylko na krótką chwilę, wystarczającą, aby ona i matka skontrolowały makijaż, a Michele - węzeł krawata; w tym korytarzu czaiły się przyzwyczajenie i nuda, i przenikały na wskroś każdego, kto tędy przechodził, jak gdyby te ściany ziały trucizną; wszystko tu było niezmiennie, dywan, światło, lustra, oszklone drzwi do przedpokoju po lewej stronie, ciemny westybul przy schodach - po prawej; wszystko się powtarzało: Michele zatrzymał się na chwilę, by zapalić papierosa, i dmuchał na zapałkę, matka zalotnie pytała kochankę: „Prawda, że mam dziś zmęczoną twarz?"; Leo obojętnie, nie wyjmując z ust papierosa, odpowiadał: „Nic podobnego, wprost przeciwnie, nigdy nie widziałem pani tak kwitnącej"; a wreszcie ona, która nad tym cierpiała; życie nie zmieniał się. Weszli do chłodnego, mrocznawego, kwadratowego salonu, który był przedzielony łukiem na dwie nierówne części, i usiedli w rogu naprzeciw drzwi; stopy z ciemnego aksamitu przesłaniały szczelnie zamknięte okna, pośrodku nie było żyrandola, tylko kinkiety umieszczone na ścianach w równych odstępach; trzy z nich, zapalone w mniejszej części salonu, rzucały nikłe światło; drugą połowę, za łukiem, zalegał czarny mrok, w którym majaczyły połyskujące lustra i podłużny kształt fortepianu.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie; Leo zamyślony palił cygaro, matka z melancholijną dystynkją wpatrywała się w swoje polakierowane paznokcie, Carla, niemal na czworakach, próbowała zapalić lampę w kącie, Michele spoglądał na Lea; potem lampa zapaliła się, Carla usiadła, a Michele zaczął mówić:

- Byłem u administratora Lea, który naopowiadał mi moc rzeczy... Sedno sprawy leży w tym, że za tydzień upływa termin płatności pożyczki zaciągniętej na hipotekę, a co za tym idzie, trzeba się będzie wyprowadzić i sprzedać willę, żeby zapłacić panu Merumeci...

Matka wytrzeszczyła oczy.

- Ten człowiek sam nie wie, co mówi... Chce wszystko robić po swojemu...
Zawsze mówiłam, że on jest do nas uprzedzony...

Milczenie.

- Ten człowiek powiedział prawdę - oświadczył w końcu Leo nie podnosząc
oczu.

Wszyscy popatrzyli na niego.

- Ależ, panie Merumeci! - zawołała błagalnie matka składając ręce. - Nie chce
pan chyba, żebyśmy nagle znaleźli się na bruku? Niech pan odroczy nam termin...

- Dwukrotnie już odraczałem - odrzekł Leo - to dosyć... tym bardziej że i tak nie
da się już uniknąć sprzedaży willi...

- Jak to nie da się uniknąć? - zapytała matka.

Leo podniósł wreszcie oczy i spojrzał na nią.

- To bardzo proste: ponieważ nie macie ośmiuset tysięcy lirów, nie możecie mi
spłacić długu bez sprzedaży willi.

Matka zrozumiała, ogarnął ją paniczny lęk, jak gdyby nagle otworzyła się przed
nią przepaść; ale Leo zatopiony w kontemplacji swojego cygara, nie uspokajał jej.

- To znaczy - powiedziała Carla - że będziemy musieli się stąd wyprowadzić i
zamieszkać w małym, kilkupokojowym mieszkaniu?

- No tak - powiedział Michele - tak...

Milczenie; lęk matki potęgował się; nigdy nie chciała słyszeć o biedzie i
biedakach, nigdy nie chciała dopuścić do swojej świadomości, że istnieją ludzie ciężko
pracujący i borykający się z życiem. „Żyją lepiej od nas - mawiała zawsze - my
jesteśmy bardziej wrażliwi, inteligentniejsi i cierpimy więcej niż oni.” I oto teraz,
nagle zmuszona była zmieszać się z tłumem tych nędzarzy, powiększyć ich liczbę;
kiedyś przejeżdżała samochodem przez brudny i groźny tłum strajkujących i teraz
doznawała takiego samego uczucia odrazy, upokorzenia i strachu; nie bała się
czekających ją niewygód i wyrzeczeń, lecz paliła ją myśl, co o niej powiedzą i jak ją
potraktują jej znajomi, ludzie z bogatych i szanowanych sfer; widziała siebie samotną,
zubożałą, z dwojgiem dzieci, bez przyjaciół, bo wszyscy ją opuszczą; skończą się
rozrywki, przyjęcia, bale, rozmowy towarzyskie; ciemność, całkowita, naga ciemność.

Stawała się coraz bledsza. „Muszę z nim porozmawiać sam na sam - myślała
uchwyciwszy się tej myśli jak zbawienia - bez Michela i Carli... wtedy mnie
zrozumie...”

Popatrzyła na kochanka.

- Pan odroczy nam ten termin - powiedziała niepewnie - a my zdobędziemy w jakiś sposób pieniądze.

- W jaki sposób? - zapytał z ironicznym półuśmieszkiem.

- No w banku... - zaryzykowała matka.

Leo wybuchnął śmiechem:

- Ach, w banku! - Pochylił się i przenikliwie spojrział w twarz kochanki. - Banki - wycedził - dają pożyczki jedynie w wypadku, kiedy mają pewną gwarancję, a teraz, przy ogólnym braku pieniędzy, w ogóle ich nie dają; no, ale założmy, że daliby: jaką może im pani dać gwarancję?

- Logiczne rozumowanie! - wtrącił Michele; chciał się przejąć tą ich życiową sprawą, protestować: „Chodzi tu o naszą egzystencję - myślał - przecież z dnia na dzień może się okazać, że nie mamy z czego żyć”, ale pomimo wszelkich wysiłków ta ruina była mu obojętna; wyglądało to mniej więcej tak, jak gdyby widział tonącego i przyglądał mu się, nawet nie kiwnąwszy palcem.

Matka natomiast przyjęła to zupełnie inaczej:

- Pan nam odroczy ten termin - powiedziała dumnie, prostując się i skandując sylaby - i może pan być pewien, że otrzyma te pieniądze na czas, do ostatniego grosza.

Leo zaśmiał się łagodnie, pochylając głowę:

- Jestem pewien... ale po co w takim razie ta zwłoka... Te same środki, których się chce pani chwycić za rok, można zastosować teraz i zwrócić mi pieniądze natychmiast.

Ta nachylona twarz była tak spokojna i przebiegła, że matka przestraszyła się; przeniosła spłoszony wzrok na Michela, potem na Carlę: jej bezbronne dzieci zaznają niedostatku, nędzy; ogarnął ją egzaltowany przyływ miłości macierzyńskiej.

- Proszę posłuchać, panie Merumeci - zaczęła przekonywającym tonem - jest pan przyjacielem rodziny, panu mogę wszystko powiedzieć... Nie chodzi o mnie, nie dla siebie proszę o to odroczenie, ja byłabym gotowa zamieszkać nawet na poddaszu...

- Tu wzniosła oczy do nieba. - Bóg mi świadkiem, że nie myślę o sobie... ale mam Carlę, którą chcę wydać za mąż... zna pan świat... Tego samego dnia, kiedy wyprawdę się z willi i wezmę małe mieszkanie, wszyscy odwrócą się od nas... ludzie już są tacy... Czy chce pan, żebym się pożegnała z myślą o małżeństwie córki?

- Córkę pani - odrzekł Leo ze sztuczną powagą - los obdarzył taką urodą, że zawsze znajdzie konkurentów. - Spojrzał na Carlę i mrugnął do niej porozumiewawczo; lecz Carlę porwała złość: „Za kogo mogłabym wyjść za mąż - miała ochotę krzyknąć matce - z tobą i tym twoim kochankiem w domu, w tych warunkach!?” Obrażała ją, upokarzała swoboda, z jaką matka, która nigdy nie troszczyła się o nią, posługiwała się jej osobą jako argumentem dla swoich celów; trzeba z tym skończyć; odda się Leowi i wtedy nikt już jej nie zechce na żonę; spojrzała matce w oczy:

- Nie myśl o mnie, mamusiu - powiedziała stanowczo - to mnie nie dotyczy i ja nie chcę mieć nic wspólnego z tym wszystkim.

W tej samej chwili dał się słyszeć z kąta, w którym siedział Michele, śmiech tak cierpki i tak fałszywy, że zazgrzytał wszystkim w uszach; matka obejrzała się.

- Czy wiesz - zwrócił się do niej Michele usiłując nadać swojemu obojętnemu głosowi sarkastyczny ton - kto pierwszy zerwie z nami stosunki, kiedy wyprowadzimy się z willi? Zgadnij.

- Nie wiem.

- Leo - oznajmił wskazując na niego palcem - nasz Leo.

Leo niecierpliwie machnął ręką na znak sprzeciwu.

- Ach, on? - powtórzyła matka niepewna i przejęta, patrząc na kochanka, jak gdyby chciała wyczytać z jego twarzy, czy byłby zdolny do takiej zdrady; po czym nagle ze sztucznym uśmiechem i połyskującymi szyderczo oczyma powiedziała: - No oczywiście, naturalnie... a ja głupia nie pomyślałam o tym... oczywiście! Carlo - dodała zwracając się do córki - Michele ma rację, pierwszym, który zaprze się znajomości z nami, ma się rozumieć po zainkasowaniu pieniędzy, będzie pan Merumeci... Może się pan nie wypierać - ciągnęła dalej z obraźliwym uśmieszkiem - to nie pańska wina, tacy są wszyscy mężczyźni... Mogłabym przysiąc, że gdy spotka mnie pan na ulicy, z jedną ze swoich przyjaciółek, tak miłych i tak eleganckich, odwróci się pan w inną stronę... Oczywiście... dałabym za to głowę. - Umilkła na chwilę. - No tak - oświadczyła na zakończenie - no tak... nawet Chrystus został zdradzony przez swoich najlepszych przyjaciół.

Zasypany gradem oskarżeń, Leo odłożył cygaro.

- Ty - zwrócił się do Michela - jesteś jeszcze dzieckiem i dlatego twoich słów w ogóle nie biorę pod uwagę, ale że pani - tu pochylił się w stronę matki - może przypuszczać, iż ja z powodu jakiejś tam sprzedaży opuszczę moich najlepszych

przyjaciół, tego się nie spodziewałem... Nie, tego się nie spodziewałem. - Potrząsnął głową i wziął z popielniczki cygaro.

„Jaki on obłudny - pomyślał Michele ubawiony; potem nagle przypomniał sobie, że okradziono go, wyszydzono, odarto z majątku, z godności własnej, obrażono i bezpośrednio, i w osobie matki. - Znieważyc go - pomyślał - wywołać burdę." Uświadomił sobie, że stracił tego wieczora sporo wyjątkowych okazji do kłótni, na przykład wtedy, gdy Leo odmówił odroczenia terminu; teraz jednak było już za późno. - Nie spodziewałeś się tego - powiedział wyciągając się w fotelu i zakładając nogę na nogę - ty łajdaku!

Wszyscy się obejrzeni, matka ze zdziwieniem, Leo bardzo powoli, wyjmując z ust cygaro:

- Coś ty powiedział?

- Chciałem powiedzieć - wyjaśnił Michele chwytając się rękami poręczy fotela i nie znajdując w swojej obojętności przyczyn, które go pchnęły do rzucenia Leowi w twarz tej obelgi - że Leo... zrujnował nas... i teraz udaje, że jest naszym przyjacielem... ale nim nie jest.

Milczenie; dezaprobata.

- Słuchaj, Michele - rzekł Leo wbijając w chłopca pozbawione wyrazu oczy - już od dobrych kilku minut widzę, żeś postanowił sobie wywołać dziś wieczorem kłótnię... licha wie dlaczego. Ale uprzedzam cię, że ci się to nie uda. Gdybyś był mężczyzną, wiedziałbym, jak ci odpowiedzieć... ale jesteś nieodpowiedzialnym smarkaczem... Radzę ci więc pójść do łóżka i przespać tę sprawę.

Milczenie.

- Pan Merumeci ma rację - z kolei odezwała się matka - on naprawdę nas nie zrujnował, Michele, i zawsze był naszym przyjacielem... Nie godzi się obrażać go w ten sposób.

„Aha, teraz go bronisz" - pomyślał chłopiec; porwała go złość na innych i siebie samego: najchętniej zawołałby: „Ach, gdybyście wiedzieli, jakie to wszystko mi jest obojętne!" Matka niezrównoważona i interesowna, Leo obłudny, nawet Carla, która spoglądała na niego ze zdumieniem... wszyscy troje wydawali mu się w tej chwili śmieszni, a jednak zazdrościł im, bo potrafili się dostosować do rzeczywistości i naprawdę uważali słowo „łajdak" za obelgę, podczas gdy dla niego wszystko, i gesty, i słowa, i uczucia były tylko udawaniem.

Postanowił jednak brnąć dalej:

- To, co powiedziałem, jest najprawdziwszą prawdą! - oświadczył bez przekonania.

Leo z niechęcią i odrazą wzruszył ramionami:

- Dajże mi spokój - wykrzyknął, gwałtownie strzepując popiół z cygara - daj mi święty spokój... - i już matka chciała przyjść kochankowi w sukurs swoim „absolutnie nie masz racji, Michele”, gdy nagle w słabym świetle padającym z kąta uchyliły się drzwi i ukazała się w nich jasnowłosa głowa kobiety.

- Można? - zapytała głowa; wszyscy się obejrzeni. - Och, Liza! - zawołała matka. - Wejdz, wejdz, proszę! Drzwi otworzyły się na oścież i weszła Liza; niebieski płaszcz sięgający po mikroskopijne stopy spowijał całą jej korpulentną postać; głowa w niebiesko-srebrnym kapelusiku wydawała się jeszcze mniejsza nad pulchnymi ramionami wyokrąglonymi przez gruby zimowy materiał; płaszcz był luźny, a jednak biust i obfite biodra rysowały się pod nim wyraźnie falistymi liniami; natomiast kończyny tego ciała zadziwiała swoją kruchością i pod szerokim kloszem płaszcza dostrzegało się ze zdumieniem szczupłuteńkie w kostkach nogi.

- Nie przeszkadzam? - zapytała Liza. - Jest już późno... wiem... ale byłam w pobliżu na kolacji i przechodząc waszą ulicą nie mogłam się oprzeć pokusie, żeby wam złożyć wizytę... no i przyszłam.

- To miło z twojej strony - powiedziała matka; wstała i podeszła do przyjaciółki: - Nie zdejmiesz płaszcza? - spytała.

- Nie - odrzekła tamta - wpadłam tylko na chwilę... Zaraz muszę uciekać... Rozepnę się trochę, żeby mi nie było za ciepło.

Odpięła pasek ukazując strojną i błyszczącą suknię z czarnego jedwabiu przybraną niebieskimi kwiatami; przywitała się z Carlą:

- Dobry wieczór, Carlo... o, jest i pan Merumeci.., Byłby doprawdy cud, gdyby go tu nie było... Michele, co słyhać, Michele? - i usiadła na kanapie obok matki.

- Jaką masz ładną suknię - powiedziała Maria Gracja odchylając płaszcz Lizy. - Co tam nowego?

- Nic - odrzekła Liza rozglądając się dokoła - ale - dodała - jakie macie dziwne miny... Mam wrażenie, że doszło tu do jakiegoś spięcia i że moje wejście przerwało waszą sprzeczkę.

- Nic podobnego - oświadczył Leo wpijając poprzez kłęby dymu cygara swój obłudny wzrok w Lizę. - Panowała tu atmosfera niczym nie zmaćonej pogody...

- Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym... - powiedziała matka; wzięła pudełko i podała je przyjaciółce: - Zapalisz?

Tu, jak zawsze nie w porę, wyrwał się Michele:

- A właśnie, że to prawda - oznajmił pochylając się i uważnie obserwując Lizę - skakaliśmy sobie do oczu i ty przerwałaś naszą kłótnię.

- Och - zawołała Liza nie wstając, z uśmiechem wymuszonym i złośliwym - wobec tego wychodzę!... Nie chciałabym za nic w świecie przeszkadzać w naradzie rodzinnej...

- Ani nam to było w głowie... - zaprotestowała matka i skarciwszy wzrokiem Michela dodała: - Głupiec!

- Głupiec? - powtórzył Michele. „Dobrze mi tak - pomyślał - bo naprawdę trzeba być głupcem, żeby się mieszać do tych twoich spraw.” Ogarnęło go nieznośne uczucie nicości i nudy; błdził wzrokiem po nieprzyjaznym mroku salonu, potem po twarzach; Leo patrzył na niego ironicznie, jak mu się zdawało, ledwie dostrzegalny uśmieszek widniał na jego grubych wargach; ten uśmiech był obraźliwy; silny męczyzna, normalny męczyzna poczułby się znieważony i nie puściłby tego płazem; natomiast on z drażniącym uczuciem wyższości i litościwej pogardy pozostawał obojętny... I po raz drugi zapragnął postąpić wbrew własnej woli: „Postawić na swoim - pomyślał - znowu go znieważyc.”

Spojrzał na Lea:

- Powiem - rzekł bezbarwnym głosem - że śmiech jest tu całkiem nie na miejscu.

- Ja... słowo honoru... - zaczął Leo udając zdziwionego.

- Powiem... - przerwał mu Michele, z bolesnym wysiłkiem podnosząc głos; tak oto należało się kłócić; przypomniał sobie kłótnię w autobusie między dwoma równie grubymi i czcigodnymi panami; obaj wzięli obecnych na świadków, zniecierpliwionym głosem wyliczyli swoje zasługi, swoje sukcesy w pracy, odniesione na wojnie rany i te wszystkie okoliczności, które wzruszyć mogły audytorium, po czym zaczęli przekrzykiwać się wzajemnie, a wreszcie wpadli w niekłamana złość. Musiał postąpić tak samo. - Nie myśl, że przy Lizie nie potrafię powtórzyć tego, co powiedziałem przedtem... i powtarzam, że jesteś łajdak!

Wszyscy popatrzyli na niego.

- Tego już za wiele! - wybuchła matka.

Liza z zaciekawieniem obserwowała Michela.

- Dlaczego... co się stało? - pytała. Tymczasem Leo siedział bez ruchu i nie okazywał bynajmniej, że czuje się obrażony, tylko roześmiał się obłudnie, głośno i pogardliwie.

- Ach, to kapitalne, kapitalne – powtórzył - nie można się nawet uśmiechnąć...
- i dodał gwałtownie, unosząc się w fotelu i uderzając pięścią w stół: - Ale koniec z żartami, dosyć... I albo Michele mnie przeprosi, albo wyjdę natychmiast!

Wszyscy zrozumieli, że to nie przelewki i że ten śmiech był siną błyskawicą, która poprzedza uderzenie pioruna.

- Pan Merumeci ma rację - powiedziała matka z kamienną twarzą, władczym tonem; była wściekła na syna: bała się, że kochanek wykorzysta tę okazję, by z nią zerwać. - Twoje zachowanie jest ohydne i rozkazuję ci go przeprosić...

- Ale ja nie rozumiem... dlaczego pan Merumeci miałby być łajdakiem? - pytała Liza z wyraźną intencją dolania oliwy do ognia; tylko Carla siedziała nieporuszona, w milczeniu: odczuwała straszliwy niesmak, miała wrażenie, że dręczący przypływ drobnych wydarzeń tego dnia spiętrza się, przerasta jej wytrzymałość; przymykała oczy i spod rzęs śledziła głupie i złe twarze tych czworga.

- Ho, ho... - rzekł ironicznie Michele nie ruszając się z miejsca - rozkazujesz mi?... A gdybym nie usłuchał?

- Gdybyś nie usłuchał - powiedziała Maria Gracja nie bez patetycznej i teatralnej godności - zrobiłbyś przykrość matce.

„Proszę - pomyślał z niesmakiem - idzie o Lea... jej kochanka, a ona bez wahania występuje w roli matki.” Zdanie „zrobiłbyś przykrość matce” było niedwuznaczne i odrażające; odwrócił wzrok od tej sentymentalnej twarzy; wbrew poprzednim postanowieniom odechciało mu się nagle być szczerym i zaczepnym. „Ostatecznie - pomyślał - wszystko jest mi obojętne... Dlaczego właściwie nie miałbym go przeprosić i oszczędzić jej tej przykrości?” Podniósł głowę; ale chciał przynajmniej powiedzieć prawdę, okazać całą swoją obraźliwą obojętność.

- Myślicie - zaczął - że nie zdobędę się na to, żeby przeprosić Lea?... Gdybyście wiedzieli, jakie to wszystko mi jest obojętne...

- No, ładne rzeczy! - przerwała mu matka.

- Jak to wszystko mało mnie obchodzi - ciągnął dalej Michele zapalając się - nawet sobie nie wyobrażacie... A więc nie bój się, mammo... Jeżeli chcesz, to nie tylko przeproszę Lea, ale będę go całował po nogach.

- Nie, nie przepraszaj! - zawołała Liza, która w napięciu śledziła całą tę scenę; wszystkie spojrzenia skupiły się na niej.

- Bardzo ci jestem wdzięczna, Lizo - rzekła matka, obrażona i pompatyczna - że podżegasz przeciwko mnie mojego syna.

- Nie podżegam go - odrzekła spokojnie Liza - tylko wydaje mi się, że nie warto...

Leo spojrział na nią spode łba:

- Nie pozwolę, żeby ten dzieciuch obdarzał mnie tego rodzaju epitetami - powiedział twardym głosem. - Zażądałem, by mnie przeprosił i przeprosi mnie.

- Czy nie byłoby lepiej zapomnieć o wszystkim i pogodzić się? - zaproponowała Carla wysuwając twarz niewinną i zdziwioną.

- Nie - odrzekła matka - pan Merumeci ma słuszość; Michele musi go przeprosić.

Michele wstał.

- Nie myśl, że tego nie zrobię... A więc, Leo - powiedział zwracając się do mężczyzny - przepraszam cię za to, że cię obraziłem... - urwał na chwilę; jak łatwo przeszły mu przez gardło upokarzające słowa! - I przyrzekam ci, że nigdy więcej tego nie zrobię - zakończył ze spokojem i obojętnością sześciolatniego dziecka.

- Dobrze już, dobrze - rzekł Leo nie patrząc na niego. „Bałwanie” - miał ochotę krzyknąć Michele widząc, z jaką pewnością siebie tamten odgrywa swoją rolę; lecz najbardziej ze wszystkich zadowolona była w swojej naiwności matka:

- Michele jest dobrym synem - zawołała patrząc z nagłą tkliwością na chłopca - Michele usłuchał matki.

Michele, który zachował całkowity spokój przepraszając Lea, spłoszył teraz, zawstydzony i upokorzony tym brakiem zrozumienia.

- Zrobiłem to, coście chcieli - krzyknął szorstko - a teraz pozwólcie mi iść spać, bo jestem zmęczony! - Zrobił w tył zwrot sztywno jak marionetka i bez pożegnania wyszedł na korytarz. Lecz gdy przechodził przez westybul, zauważył, że ktoś biegnie za nim; obejrzał się; była to Liza.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć - rzekła zadyszana, lustrując go zaciekawionym i namiętym spojrzeniem - że kiedy tylko zechcesz, mogę cię poznać z tym moim kuzynem... on ci będzie mógł znaleźć posadę... w swoim przedsiębiorstwie albo gdzie indziej.

- Dziękuję ci bardzo - odpowiedział Michele i z kolei zaczął się jej przyglądać.

- Ale musisz przyjść do mnie do domu i tam zorganizujemy to spotkanie...

- Dobrze... - im bardziej zakłopotana stawała się Liza, tym spokojniejszy i uważniejszy był Michele: - Kiedy?

- Jutro - powiedziała Liza. - Jutro rano, przyjdź wcześniej: on będzie u mnie około południa... ale to nic... pogadamy sobie trochę, prawda? - Umilkli oboje patrząc na siebie. - Dlaczego przeprosiłeś Lea? - zapytała nagle obcesowo. - Nie powinienes być tego robić. - Dlaczego? - zapytał Michele i pomyślał: „Ach, o to ci chodziło!”

- Za długo by było tłumaczyć ci teraz, dlaczego... - zawołała Liza, która stała się nagle bardzo tajemnicza - tamci mogliby sobie Bóg wie co pomyśleć... Ale ci powiem jutro Jak przyjdiesz do mnie.

- Dobrze, wobec tego... do jutra - ucisnął jej rękę i wszedł na schody. Liza wróciła do salonu; tamtych troje siedziało w kącie wokół lampy; matka, której krzykliwy makijaż uwydatniał się jaskrawo w pełnym świetle, mówiła o Michelu:

- Trzeba panu wiedzieć - perswadowała kochankowi, który rozparty w fotelu słuchał jej pochmurny i nieprzenikniony - że te przeprosiny wiele go kosztowały... On nie należy do tych, którzy łatwo się uginają... jest dumny - dodała tonem wyzwania - ma duszę dumną i szlachetną jak ja.

- Nie wątpię w to - odrzekł Leo podnosząc powieki i rzucając powłóczyście spojrzenie Carli - ale tym razem dobrze zrobił, że się ugiął. - Umilkli wszyscy troje; ten temat był wyczerpany; Liza podeszła do nich stąpając cicho, z najobojętniejszą w świecie miną.

- Ma pan samochód, panie Merumeci? - zapytała.

Wszyscy się obejrzeli.

- Samochód? - powtórzył Leo. - Tak... mam.

- No to odwiezie mnie pan - rzekła Liza - oczywiście, o ile nie sprawi to panu kłopotu.

- Kłopotu? Cała przyjemność po mojej stronie! - Leo wstał, zapiął marynarkę: - Trzeba już iść - zaczął zzymając się w duchu: nie dość, że nie posunął się ani o krok naprzód z Carlą, musiał teraz odwiedzić do domu Lizę.

Lecz uratowała go głucha zazdrość matki; przed wielu laty Leo i Liza byli w nader zażyłych stosunkach, kochali się, mieli się nawet pobrać, potem zjawiała się ona, już wdowa, i odbiła swojej najlepszej przyjaciółce narzeczonego... Była to stara historia, ale... gdyby nagle tym dwojgu przyszło do głowy zacząć nagle wszystko od początku? Zwróciła się do Lizy:

- Nie, musisz zostać jeszcze chwilę - powiedziała - chcę z tobą porozmawiać.

- Dobrze - Liza popatrzyła na nią z udanym zmieszaniem - ale pan Merumeci już wychodzi i kto mnie potem odwiedzi do domu?

- Och, o to niech się pani nie martwi! - i tym razem cała przyjemność była naprawdę po stronie Lea. - Mogę zaczekać na panią w korytarzu albo tutaj... Panie porozmawiają sobie, a ja zaczekam... Carla - dodał patrząc na dziewczynę - dotrzyma mi towarzystwa.

Carla wstała ospale i skinąwszy głową zbliżyła się. „Tak - myślała - jeżeli teraz z nim zostanę sam na sam, skończy się wszystko...” Leo spoglądał na nią złośliwie, i ten ich spisek, z góry przez niego ukartowany, wydał się jej ohydny; ale na co zdałby się opór? „Skończyć z tym” - powtarzała sobie ogarniając wzrokiem salon, gdzie tyle żarliwych dni obróciło się w popiół, i uroczystą, śmieszoną grupkę, którą tworzyło tych troje wokół lampy: „Skończyć z tym wszystkim”, i czuła się w swojej pełnej wahańia bezwolności jak lecące w dół piórko.

I dlatego nie protestowała, milczała.

- Przecież nie wie pan, jak długo zatrzymam tu Lizę... Niech pan już idzie, sprowadzimy Lizie taksówkę. - Głos napastliwy, głos zazdrości; Leo jednak był grzeczny, ale nieugięty:

- Poczekam... minuta więcej, minuta mniej, to bez znaczenia... chętnie poczekam.

Matka pojęła, że przegrała, że nie zdoła rozłączyć tych dwojga, Lea i Lizy. „To jasne jak słońce - pomyślała - chce na nią czekać... a potem iść do niej.” Ta myśl była dla niej koszmarem; zbladła, jeszcze bardziej i zazdrość otwarcie zaiskrzyła się w jej oczach. - Dobrze... - powiedziała w końcu - niech pan czeka na nią... za chwilę będzie miał pan z powrotem swoją Lizę, proszę się nie obawiać... za króciuteńką chwilę. -

Pogroziła mu ręką, gorzki i złośliwy śmiech drżał na jej uszmkowanych wargach; Leo popatrzył na nią przenikliwie, po czym wzruszył ramionami i bez słowa wyszedł z salonu, a za nim Carla.

W korytarzu bez ceremonii opasał dziewczynę ramieniem; Carla zadrżała, lecz wbrew woli nie odsunęła się od niego: „To koniec - myślała - koniec mojego dawnego życia.” Połyskujące w mroku lustra odbijały ich przytulone postacie.

- Widziałeś - powiedziała głośno Carla - matka jest zazdrosna o Lizę... - Żadnej odpowiedzi, tylko uścisk ramienia tak mocny, że jej biodro przyłgnęło do muskularnego uda mężczyzny; spleceni z sobą weszli do westybulu; wysokie białe ściany, pokój w kształcie sześcianu z posadzką w romby.

- I kto wie - dodała uspokojona własną obłudą - czy nie bez racji. - Tym razem Leo przystanął i, wciąż ją obejmując, zajrzał jej w oczy:

- A tymczasem - rzekł z niezdarnym, głupkowskim i podnieconym uśmiechem - wiesz, o kogo powinna być zazdrosna? O ciebie... właśnie o ciebie.

„Już się zaczyna...” - pomyślała. - O mnie? A dlaczego? - zapytała pogodnym głosem. Popatrzyli na siebie.

- Przyjdiesz do mnie? - zapytał Leo niemal po ojcowsku; zobaczył, że spuściła głowę bez odpowiedzi. „Przyszła odpowiednia chwila” - pomyślał i już brał ją w ramiona, już pochylał się, by ją pocałować, gdy nagle głosy w korytarzu ostrzegły go, że nadchodzi matka; zachłysnął się ze złości; już po raz drugi tego dnia kochanka psuła mu szyki w kulminacyjnym momencie. „A żeby ją wszyscy diabli wzięli” - pomyślał; Maria Gracja prowadziła ożywioną rozmowę z Lizą i chociaż nie weszła jeszcze do westybulu, wystraszona Carla wyrwała się z jego objęć:

- Puść mnie, zaraz przyjdzie mama! - Leo wściekły patrzył na drzwi, rozglądał się dokoła, ale nie przestawał obejmować wąskiej talii dziewczyny; i nagle wzrok jego padł na kotarę, która z prawej strony przesłaniała drzwi; wyciągnął rękę i zgasił światło.

- Chodź - szepnął w ciemności, próbując pociągnąć Carlę do tej kryjówki - chodź tam, splątamy figła twojej matce. - Carla nie zrozumiała, o co mu chodzi, opierała się, jej oczy połyskiwały w mroku - Ale dlaczego, dlaczego... - powtarzała. Wreszcie ustąpiła, weszli za kotarę do wnęki; Leo jeszcze mocniej opasał ją ramieniem.

- Teraz zobaczysz... - wyszeptał; lecz Carla nie widziała; wyprostowana, sztywna, przymykała oczy w tej nocy za fałdzistą i pachnącą kurzem kotarą i nie broniła się, gdy dłoń Lea zaczęła błędzić po jej policzkach i szyi: - Teraz zobaczysz! - szepnęła. Kotara zakołysała się od dołu do góry, Carla poczuła usta mężczyzny na piersiach, potem na szyi, w końcu na wargach; pocałunek był namiętny, lecz krótki. Głosy zbliżały się, Leo wyprostował się znowu. - Idzie - mruknął w ciemności i mocno przygarnął Carlę ramieniem, z pewnością siebie, jakiej brakowało mu przedtem.

Oszklone drzwi otworzyły się, Carla rozchyliła lekko kotarę i popatrzyła: w oświetlonej framudze drzwi postać matki, pełna cieni i wypukłości, wyrażała zdumienie i niedowierzanie.

- Nie ma ich tu - zawołał znajomy głos, a Liza, niewidoczna, zapytała z korytarza:

- Gdzie oni się podzieli?

Pytanie bez odpowiedzi; matka wytknęła głowę, pochyliła się do przodu, wodząc oczyma po westybulu; cień wyostrzał jej rysy i zmieniał tę zwiotczalą twarz w maskę skamieniałą w patetycznym zdumieniu, zmarszczki, usta otwarte i czarne od szminki, wytrzeszczone oczy zdawały się krzyknąć: „Nie ma już Lea... Leo mnie porzucił... Leo odszedł...” Carla patrzyła na nią z ciekawością i zarazem ze współczuciem; wyczuwała lęk kryjący się za tą maską i wydało się jej nagle, iż tę samą maskę zobaczy w przyszłości, kiedy matka dowie się, że kochanek zdradził ją z jej własną córką; trwało to krótką chwilę, po czym głowa cofnęła się.

- To dziwne - dał się słyszeć głos matki - płaszcz Merumeciego jeszcze wisi, a ich nie ma.

- Może są w jadalni? - powiedziała Liza; oddaliły się zdziwione, snując najrozmaitsze przypuszczenia.

- Widziałas? - szepnęła jeszcze Leo; pochylił się znowu i przycisnął do piersi dziewczynę. „To koniec” - pomyślała znowu Carla podając mu usta; zasmakowała w tych ciemnościach, które nie pozwalały jej widzieć Lea i pozostawiały jej wszystkie złudzenia, zasmakowała w tej intrydze. Oderwali się od siebie. - Chodźmy już stąd - szepnęła odsuwając rękami kotarę - chodźmy, Leo, bo mogłyby nas tu przyłapać.

Usłuchał wbrew chęci i jedno po drugim wyszli jak para złodziei ze swojej kryjówki; zapłonęło światło; patrzyli na siebie.

- Czy jestem potargana? - zapytała Carla; on potrząsnął głową na znak, że nie..
- I co teraz powiemy mamie? - dodała.

Czerwoną i podnieconą twarz Lea wykrzywił obleśny uśmiech; klepnął się po udzie i zawołał:

- To było wspaniale... wspaniale... A co im powiemy? Że byliśmy tutaj, oczywiście... że przez cały czas byliśmy tutaj.

- Co ty mówisz, Leo... - rzekła Carla niedowierzająco, składając ręce. - Naprawdę?

- Naprawdę - powtórzył - uwaga, już idzie! Drzwi się otworzyły i stanęła w nich matka.

- Są tu - zawołała zwracając się do Lizy - a my szukałyśmy ich po całym mieszkaniu! Gdzieście byli?

Leo udał wielkie zdziwienie:

- Przez cały czas byliśmy tutaj.

Matka spojrzała na niego jak na kogoś, komu brak piątej klepki.

- Niech pan nie plecie głupstw... Zaglądałam tu przed chwilą: było ciemno i ani żywego ducha!

- Wobec tego - spokojnie odrzekł Leo zdejmując z wieszaka płaszcz - najwidoczniej ma pani halucynacje. Byliśmy tu przez cały czas... Prawda, Carlo? - dorzucił zwracając się do dziewczyny.

- Najprawdziwsza prawda - odrzekła po chwili wahania.

Nastąpiło groźne milczenie; matka czuła, że wszyscy drwią sobie z niej, lecz nie mogła odgadnąć z jakiej przyczyny; podejrzewała coś najgorszego, przewrotnego, niejasnego; niepewna, rozdrażniona, obrzucała badawczymi spojrzeniami Lea, Carlę, Lizę.

- Oszalał pan - powiedziała wreszcie - pięć minut temu nie było tu nikogo... Mam na to świadka, Lizę - dodała wskazując palcem przyjaciółkę.

- Tak, to prawda, nie było nikogo! - potwierdziła spokojnie Liza.

Ponowne milczenie.

- A Carla jest świadkiem, że byliśmy tutaj - rzekł Leo rzucając na dziewczynę porozumiewawcze spojrzenie. - Mówię szczerą prawdę... no, potwierdź, Carlo!

- Tak... - przyznała zmieszana, uderzona teraz dopiero faktem, że kiedy weszła matka, oni rzeczywiście znajdowali się w westybulu.

- No dobrze już, dobrze... - powiedziała z goryczą matka. - Wy macie rację... ja zwariowałam i Liza też. - Przez chwilę milczała.

- To, że Leo pozwala sobie na takie żarty - wybuchnęła wreszcie zwracając się do Carli - to jego sprawa... Ale że ty kpisz sobie ze mnie... powinnaś się wstydić, ładny mi szacunek dla matki!

- Ale to prawda, mamusiu! - zaprotestowała Carla; ten żart bolał ją teraz, kłuł jak cierń w tej niecierpliwości, jaką ją ogarnęła; chciała dodać: „Byliśmy w westybulu, Leo ścisnął mnie za kotarę” - i wyobrażała sobie scenę, jaka nastąpiłaby po tych słowach, ale byłoby to ostatni raz; potem wszystko by się skończyło.

Tymczasem Liza z miną osoby znudzonej powiedziała:

- No co, idziemy?

Leo, gotowy do wyjścia, podawał już rękę matce; i nie odmówił sobie przyjemności, żeby powiedzieć z uśmiechem:

- Niech pani sobie przemyśli tę zagadkę, czasu jest dość, cała noc przed panią. - Na co matka odrzekła wzruszając ramionami:

- Ja w nocy śpię. - Potem uściskała Lizę, szepcząc jej: - Pamiętaj, co ci powiedziałam. - Carla otworzyła drzwi, podmuch zimnego powietrza wpadł do westybulu i tych dwoje znikło.

IV

Matka i córka weszły razem na pierwsze piętro; w korytarzu matka, obrażona żartem, chłodno zapytała Carłę, jakie ma plany na jutro.

- Pójdę na tenis - odrzekła dziewczyna i nie pocałowawszy się na dobranoc rozeszły się każda do swojego pokoju.

U Carli paliła się lampa, zapomniała ją zgasić, i w tej białej jasności wydawało się, że meble i wszystkie inne przedmioty czekają na jej powrót; gdy tylko znalazła się w pokoju, machinalnie podeszła do dużej szafy z lustrem, aby się przejrzeć: nic niezwykłego na jej twarzy, tylko oczy zmęczone, podkrążone, a jednak lśniące tajemniczym blaskiem; okalała je sinoniebieska obwódka, a głębokie wejrzenie, pełne nadziei i złudzeń, nowe i jak gdyby nie jej własne, wprawiało ją w zmieszanie. Stała tak przez chwilę z rękami opartymi na lustrze, po czym cofnęła się i siadła na łóżku; rozejrzała się dokoła: to całe wnętrze wyglądało właściwie na pokój małej dziewczynki; meble były białe, niskie, higieniczne, ściany śnieżnobiałe z niebieską lamówką; lalki, zaniedbane i obdarte, o przekrzywionych głowach i kosych oczach, siedziały rzędem na małej kanapce pod oknem; umeblowanie to pochodziło z jej lat dziecińczych i matka, przy chronicznym braku pieniędzy, nie zdobyła się na to, by je zmienić na inne, odpowiednie dla dorosłej panny; mówiła zresztą, że to zbyt cenny wydatek, bo kiedy córka wyjdzie za mąż, i tak opuści rodzinny dom. Tak więc Carla wyrosła w ciasnych ramach swojego najwcześniejszego dzieciństwa; pokój jednak nie pozostał taki jak wówczas, dziecienny i nagi, każdy rok jej życia pozostawiał swoje ślady, cacka i fatałaszki; był teraz pełny, wygodny i przytulny, lecz przytulnością dwojaką - to kobiecą (na przykład toaletka z wystrzępioną bordiurą, perfumy, pudry, kremy i szminki, i te dwie szerokie czerwone podwiązki zawieszane na owalnym lustrze), to dziecięcą; a miły nieporządek, czysto kobiecy - fatałaszki na krzesłach, otwarte flakony, przewracane pantofelki - jeszcze komplikował owo wrażenie.

Carla popatrzyła na te rzeczy ze spokojnym zdziwieniem: siedziała na łóżku w swoim pokoju, paliło się światło, wszystko leżało na tym samym miejscu, co każdego wieczora... Zaczęła się rozbierać, zdjęła pantofle, sukienkę, pończochy... Wykonując te codzienne czynności zerkała ukradkiem dokoła, wzrok jej padał to na rozczochraną lalkę, to na wieszak z sukienkami, to na toaletkę, to na lampę... i na to światło

specjalne, spokojne, swojskie, które oświetlając wszystkie przedmioty w pokoju wyglądało tak, jak gdyby się z nich dobywało, i które wraz z oknem szczelnie zamkniętym i zasłoniętym krótkimi bielusińkami firankami dawało przyjemne i z lekka trwożne poczucie swojskości... tak, bez wątpienia... była w swoim pokoju, w swoim domu; prawdopodobnie na zewnątrz, za tymi ścianami panowała noc, lecz ona była od niej oddzielona tym światłem, tymi rzeczami w taki sposób, że mogła o niej zapomnieć... i myśleć, że jest sama, tak, zupełnie sama i poza kręgiem świata.

Skończyła się rozbierać i naga, potrząsając dużą kędzierzawą głową, wstała i podeszła do szafy, aby wziąć czystą pidżamę; przeszła tych kilka kroków lekko, na palcach; otworzyła szufladę i pochylając się zauważyła, jak kołyszą się jej wielkie piersi; gdy się wyprostowała, zobaczyła swoje odbicie w lustrze; uderzyła ją niezdarna, a nawet bezwstydną postawą jej nagiego ciała, a także dysproporcja dużej głowy i wątłych ramion; może to z powodu włosów; sięgnęła po leżące na konsolce lusterko i przysunęła je do karku; były za drugie. „Muszę pójść do fryzjera” - pomyślała.

Znowu spojrzała do lustra... No tak... nogi były troszkę krzywe, och, tylko troszkę! od kolan w dół, a piersi za nisko osadzone; uniosła je nieco obiema rękami. „Powinno być tak” - pomyślała; odwróciła głowę i próbowała obejrzeć się z tyłu; i gdy usiłowała ogarnąć wzrokiem w całości to swoje drugie odbicie, uświadomiła sobie nagle cały kontrast pomiędzy swoim płochym zachowaniem a poważnymi wydarzeniami tego dnia; przecież Leo całował ją zaledwie przed kilkoma minutami; odeszła od lustra i wróciła do łóżka.

Usiadła, przez chwilę siedziała bez ruchu, z oczyma utkwionymi w ziemię. „Naprawdę zaczyna się nowe życie” - pomyślała w końcu; podniosła głowę i nagle wydało się jej, że ten spokojny, czysty i bezpieczny pokój, te jej przyzwyczajenia, równie małostkowe, jak głupie, są czymś żywym, są istotą o ściśle określonej osobowości, przeciwko której ona, nie dając nic poznać po sobie, knuje straszliwą zdradę. „Już niedługo... do widzenia na zawsze...” - powiedziała w duchu z radością smętną i nerwową, z łóżka, jak z odpływającego statku, machnęła ręką na pożegnanie otaczającym ją przedmiotom; przemykały jej przez głowę szaleńcze, gigantyczne i smutne wizje, wydawało się jej, że złowróżbne ogniwa powstają pomiędzy owymi wydarzeniami. „Czy to nie dziwne?” - mówiła sobie. - Jutro oddam się Leowi i w ten sposób rozpocznie się nowe życie... właśnie jutro, w dniu moich urodzin”. Przypomniała sobie matkę; „I to z twoim kochankiem - pomyślała - właśnie z twoim kochankiem, mamó”. Także ten haniebny zbieg okoliczności, ta rywalizacja z matką

dogadzała jej. Wszystko winno być sprośne, brudne, niskie, bez miłości czy choćby sympatii, powinno napęniać ponurą świadomością upadku. „Stworzyć sytuację skandaliczną, nie do wytrzymania, naszpikowaną kłótniami i bezwstydną - myślała - znaleźć się na dnie”. Trzymała głowę spuszczoną, a gdy podniosła w pewnej chwili oczy, zobaczyła swoje odbicie w lustrzanych drzwiach szafy i sama nie wiedząc dlaczego, zaczęła drżeć całym ciałem; miała ochotę płakać i modlić się, zdawało się jej, że te smutne myśli już doprowadziły ją do zguby. „Jak się potoczy moje życie? - powtarzała z wbitymi w ziemię oczyma. - Jak się potoczy?”

W końcu te bolesne słowa nie miały już żadnego znaczenia, uświadomiła sobie, że już nie myśli o niczym, że jest naga, że siedzi na krawędzi łóżka; lampa świeciła się, dokoła wszystkie przedmioty leżały na swoich miejscach, tak jak każdego wieczora; z chwilowego wzburzenia pozostała jej tylko gorzka pustka; wydawało się jej, że dotarła z wysiłkiem do samego sedna swojego problemu, po czym w sposób niewytłumaczony straciła go z oczu.

„Co będzie, to będzie” - pomyślała; wzięła pidżamę, leniwie włożyła ją; wsunęła się pod kołdrę, zgasła światło; zamknęła oczy.

V

Liza nie trzymała w domu służby, bo jej to nie odpowiadało: do sprzątanía i do kuchni przychodziła żwawa kobiecina, dozorczyńi domu; miało to oczywiście swoje ujemne strony, ale Liza prowadziła niczym nie skrepowane i nieregularne życie i wolała urządzić się w ten sposób.

Tego ranka późno się obudziła; od pewnego czasu wracała do domu po północy, źle sypiała i wstawała jeszcze bardziej zmęczona i zdenerwowana, niż kiedy kładła się spać; przebudziła się z trudem i nie poruszając się ani nie podnosząc głowy otworzyła oczy: rzadki i pylisty mrok podziurkowany jak sito tysiącem świetlnych nitek wypełniał pokój; w tym cieniu majaczyły, nieme i martwe, stare meble, ciche lustra, porozwieszane części garderoby i gęsta plama drzwi; powietrze było ciężkie od snu i nagromadzonych w sypialni przedmiotów, okno zamknięte. Liza wstała z łóżka i odgarniając włosy opadające jej na spoconą twarz podeszła do okna i otworzyła żaluzję; biała jasność dnia zalała pokój; rozsunała szerzej firanki; szyby były całe uperlone parą, musiało być zimno; poprzez tę rosę prześwitywały barwy nieokreślone, pastelowe i czyste, biel i zieleń jak gdyby rozpuszczone w jeziorze; przetarła dłonią tę płynną zasłonę i zobaczyła od razu czerwony dach tak pozbawiony blasku, obojętny i matowy, że nie musiała patrzeć w górę, aby stwierdzić, że niebo jest szare; odeszła od okna i zrobiła kilka kroków w zatłoczonym pokoju. Wielkie małżeńskie łóże z ciemnego pospolitego orzecha, zawałone pościelą, zajmowało bardzo dużo miejsca i stało tak blisko prostokątnego okna, że czasem, w zimowe noce, otulona ciepłą kołdrą, rozkoszowała się obserwowaniem z odległości metra strug deszczu, którym nocna nawałnica smagała o kwadratowe szyby; prócz łóżka stały w sypialni dwie ogromne szafy z tego samego wulgarnego i wydającego niemiłą woń drzewa; szafy miały duże poźółkłe lustra; pokój był średniej wielkości, lecz przy tych meblach wolnego miejsca pozostawało bardzo niewiele.

Podeszła do wieszaka; miała na sobie tylko przezroczystą koszulkę, która jeszcze uwydatniała wypukłości jej ciała; nogi były całkowicie odsłonięte aż po głęboką fałdę oddzielającą pośladki od białych, nie owłosionych ud, piersi jędrne prawie jak u dwudziestolatki wychylały się niemal do połowy, gładkie, z przeświecającymi żyłami; zobaczyła siebie w lustrze półnagą i mocno pochyloną do

przodu, jak gdyby chciała ukryć pod tą za krótką osłoną ciemną plamę łona, i stwierdziła, że schudła; włożyła szlafrok i przeszła do łazienki.

Łazienka była szara, naga, zimna, miała ciemne lakierowane krany, wannę metalową, emaliowaną, na ścianie wisiało tylko jedno zardzewiałe lustro, w rogach widniały wilgotne zacieki; Liza zapaliła światło; przyszło jej na myśl, że nie myła się porządnie już od trzech dni i że powinna się wykąpać; zawahała się; czy było to naprawdę konieczne? Spojrzała na stopy: paznokcie były białe, wyglądały na czyste; nie, nie potrzeba, tym bardziej, że jeśli przyjdzie jej spędzić noc z Michele, będzie musiała cała się wymyć nazajutrz; podeszła do przytwierdzonej do ściany umywalki i otworzyła krany, czekając, by napełniła się wodą; zdjęła szlafrok, opuściła do pasa koszulę i zaczęła się myć; najpierw twarz, kichając i prychnając, następnie pachy i szyję, z zachowaniem wszelkich ostrożności, by woda nie ściekała jej z ramion i piersi na dolne części ciała, rozgrzane jeszcze nocnym ciepłem; za każdym pochyleniem czuła, że koszula wznosi się jej na plecach, od kafelków posadzki ciągnął kamienny chłód; wreszcie, nie znalazłszy ręcznika, oślepiona, cała mokra i naga, uciekła do sypialni, aby się tam wytrzeć.

Usiadła na krótko przed toaletką; nie używała kremów ani szminek, musiała się tylko upudrować, uperfumować i uczesać; w końcu odwróciła się od lustra i pochyliła, żeby wciągnąć pończochy; zaprzętały ją teraz dwie sprawy: śniadanie i Michele; rano lubiła jeść do kawy różne smakołyki, konfitury, ciasteczka, grzanki z masłem i nie wstawiała od stołu, dopóki nie była syta; obawiała się jednak, że dzisiaj będzie się musiała obejść smakiem. „Michele może przyjść lada chwila i lepiej, żeby mnie nie zastał przy jedzeniu - pomyślała - trudno... powetuję to sobie innym razem.” Wyprostowała się, włożyła różową kombinację, która opinała jej biust jak gorset; na pociechę wyobrażała sobie Michela jako młodzieniaszka zakochanego po uszy, nieśmiałego, niedoświadczonego, któremu odda się drżąca z radości; nareszcie czysta miłość. „Po życiu, jakie prowadziłam - pomyślała z przekonaniem - trochę niewinności dobrze mi zrobi”. Bezsenne noce, nużące uciechy, podniety bez przyjemności, ta brudna mgła zaczynała się rozrzedzać. Michele przyniesie jej słońce, błękitne niebo, szczerłość, entuzjazm, będzie ją czcić jak boginię, będzie opierał głowę na jej kolanach; pragnęła tego ponad wszystko i nie mogła się doczekać, kiedy zacznie pić z tego źródła młodości, kiedy powróci miłość nowa, nieśmiała, wstydliva, o której prawie już zapomniała przez te dwadzieścia lat; Michele to była niewinność: odda się

temu chłopcu bez wyuzdania, prawie beznamiętnie; podejdzie do niego tanecznym krokiem i powie mu: „Weź mnie”; będzie to miłość niezwykła, dziś już nie spotykana.

Skończyła się ubierać; wyszła z sypialni przez ciemny korytarz i znalazła się w jasnym buduarze, który był cały biało-różowy; białe meble i sufit, różowe dywany, obicia i tapczan; trzy duże okna przesłonięte muślinowymi firankami napelniały pokój łagodnym światłem; na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało czysto i niewinnie, widać było całe mnóstwo wdzięcznych drobiazgów, tu koszyczek z zaczętym haftem, tam biblioteczka z różnokolorowymi książkami, kwiaty o smukłych łodygach na lakierowanych konsolkach, akwarele na ścianach, słowem wiele rzeczy, które początkowo nasuwały myśl: „Jaki to jasny i przytulny kącik, musi tu mieszkać jakaś młoda panienka”; ale przy bliższym wejrzeniu stwierdzało się, że buduar nie jest świeższy od reszty mieszkania, że lakier na meblach jest poodpryskiwany i poźółkły, obicia są wyblakłe i gdzieniegdzie przetarte, że na tapczanie w kącie leży dziurawa narzuta i brudne poduszki: jeszcze jedno spojrzenie, i pierzchały wszelkie wątpliwości: firanki były wystrzępione, szkła na akwarelach popękane, na suficie głębokie rysy, nie mówiąc już o tym, że w obecności pani domu te wszystkie skazy po prostu rzucały się w oczy, jak gdyby zdradzał je już sam jej wygląd.

Liza usiadła przed biurkiem i czekała; znowu pomyślała o śniadaniu; miała wielką ochotę coś przekąsić i zastanawiała się, co robić: „Gdybym przynajmniej wiedziała, o której godzinie przyjdzie” - pomyślała, z niechęcią spoglądając na zegarek; po chwili opanowała się, ponownie wyrzekła się śniadania i wróciła do marzeń ekliwych, okrutnych i podniecających. „Posadzę go na tapczanie - pomyślała nagle - i położę się przy nim... Potem sprowokuję go rozmową na jakiś pikantny temat i będę się w niego wpatrywała... Jeżeli nie jest skończonym głupcem, zrozumie”; obserwowała tapczan tak, jak gdyby badała skuteczność i zalety jakiegoś przyrządu; i jeżeli wszystko pójdzie dobrze, każe chłopczkowi czekać, będzie lubować się jego westchnieniami i w końcu, po kilku dniach zaprosi go na kolację i zatrzyma u siebie na całą noc. Co to będzie za kolacja: same specjały i przede wszystkim wino; włoży tę suknię, w której tak jej jest do twarzy, niebieską, i te resztki biżuterii, jakie udało się jej ocalić przed drapiezną zachłannością męża; stół nakryje tu, w buduarze, jadalnia jest mniej przytulna; stół na dwie osoby, zastawiony smakołykami: ryba, pasztet, mięsa, jarzyny, słodczyce; stół mały, bogaty i lśniący, tylko dla dwojga, dla nich dwojga, przy którym dla nikogo więcej nie byłoby miejsca... Z oczyma błyszczącymi radością i tkliwością siądzie naprzeciwko swojego umiłowanego chłopca i jedząc nie

przestanie patrzeć na niego, będzie mu dolewała wina, dużo wina, będzie z nim rozmawiała tonem żartobliwym, zaczepnym, dwuznacznym, to znów macierzyńskim; wypyta o jego miłości, wprawi go w zmieszanie; raz po raz będzie przyjaźnie przymrużała oko, muskała go nogą pod stołem; po kolacji razem sprzątną stół potrącając się i ocierając o siebie z pożądania; potem ona rozbierze się i włoży szlafrok, a Michelowi da jedną z pidżam swojego męża; będzie dla niego w sam raz, obaj są tego samego wzrostu, tylko Michele nieco szczuplejszy; siedząc na tapczanie zaznają gorzkiej i skąpej radości oczekiwania ich pierwszej nocy... i w końcu pójdą razem do sypialni.

Trochę już podniecona owymi marzeniami, siedziała przy biurczku. Głowę miała spuszczoną, od czasu do czasu, jak gdyby dla rozproszenia myśli, odgarniała włosy z czoła albo zamyślona wykrzywiała stopy i przyglądała się swoim bucikom; dźwięk dzwonka przyspieszył bicie jej serca; z uśmiechem przejrzała się w lustrze i wyszła do przedpokoju.

Nim otworzyła drzwi, zapaliła światło; wszedł Michele.

- Może przyszedłem za wcześnie? - powiedział wieszając płaszcz i kapelusz na wieszaku.

- Nic podobnego! - Przeszli do buduaru, usiedli na tapczanie. - Co słyhać? - zapytała Liza; wzięła pudełko papierosów i poczęstowała chłopca; odmówił i siedział zamyślony, z opartymi na kolanach rękami.

- Wszystko dobrze! - odrzekł w końcu; cisza.

- Jeżeli pozwolisz - powiedziała Liza - to położę się na tapczanie... ale ty siedź, siedź, nie wstawaj! - Wyciągnęła nogi i wsparła się na poduszkach; Michele zobaczył jej uda ciężkie i białe, i uśmiechnął się w duchu. „Chce mnie podniecić, to jasne” - pomyślał; lecz Liza nie podobała mu się wcale a wcale, i to wszystko było mu obojętne.

Liza patrzyła na chłopca i zastanawiała się, co by mu powiedzieć; wybiegi na pozór tak proste, które obmyślała przed chwilą dla wytworzenia poufalej atmosfery, wyleciały jej z głowy: była zmieszana, serce biło jej jak młotem, przypomniała sobie nagle nie wiadomo dlaczego wczorajszą awanturę, tę kłótnię między Michele i Leem, która tak ją zainteresowała; zawahała się, czy o tym mówić, lecz dodała jej bodźca myśl, że wyjawiając Michelowi, o ile jeszcze o nim nie wiedział, romans jego matki, będzie też mogła przy okazji zemścić się na swoim dawnym kochanku; a poza

tym poruszając ten temat spodziewała się, że rozmowa przybierze bardziej pikantny obrót.

- Mogę pójść o zakład - powiedziała patrząc na niego - że umierasz z ciekawości, dlaczego prosiłam cię wczoraj, żebyś nie przepraszał Lea.

Obejrzał się. „To ty nie możesz się doczekać, żeby zacząć o tym mówić” - miał ochotę odpowiedzieć; ale powstrzymał się.

- Nie żebym aż umierał... ale powiedz.

- Myślę, że ja mam większe od innych prawo otworzyć ci oczy - zaczęła.

- Nie mam co do tego wątpliwości.

- Człowiek milczy całymi latami, udaje, że nic nie widzi, ale w końcu przebierze się miarka... To, co widziałam wczoraj, wstrząsnęło mną.

- Przepraszam - wtrącił Michele - co takiego tobą wstrząsnęło?

- To przepraszanie Lea - zmierzyła go surowym spojrzeniem - i to, że właśnie twoja matka żądała od ciebie takiego upokorzenia.

- Ach, teraz rozumiem - twarz Michela rozbłysła ironią. „Czyżby chciała oznajmić mi wielką nowinę, że moja matka ma kochankę?” - pomyślał; poczuł odrazę do siebie i do Lizy. - Ale może to nie było upokorzenie? - dorzucił.

- Było to upokorzenie w każdym wypadku... a co dopiero, kiedy wziąć pod uwagę to, co ci powiem... - Popatrzył na nią: „Gdybym cię chwycił za biodra albo uszczypnął w bok - pomyślał - w jednej chwili przestałabyś się sadyzić na powagę i tajemniczość, zaczęłabyś się wiercić, że hej”.

- Uprzedzam cię - rzekł i wydało mu się, że jest naprawdę szczery - że nie zależy mi na tym, aby cokolwiek wiedzieć.

- Doskonale - odrzekła Liza, bynajmniej nie skonsternowana - masz rację... ale czuję, że nie wolno mi milczeć... potem mi jeszcze podziękujesz... A więc trzeba ci wiedzieć, że twoja matka popełniła fałszywy krok...

- Tylko jeden?

Liza miała do wyboru albo się rozgniewać, albo roześmiać, wybrała to drugie.

- Może popełniła ich tysiące - powiedziała uśmiechając się i przysuwając do niego - ale ten jest na pewno największy.

- Chwileczkę - przerwał Michele - nie wiem, co mi chcesz powiedzieć, ale skoro to coś aż tak poważnego, dlaczego mnie wtajemniczysz?

Popatrzyli na siebie.

- Dlaczego? - powtórzyła powoli Liza spuszczać oczy. - Dlatego, że bardzo się tobą interesuję, że bardzo a bardzo cię lubię, a poza tym, jak już wspomniałam, dlatego że wszystko się we mnie burzy na taką niesprawiedliwość.

Wiedział, co łączyło Lizę z Merumecim. „A raczej – pomyślał - wszystko się w tobie burzy dlatego, że ci go zdmuchnięto sprzed nosa” - lecz poważnie pokiwał głową:

- Masz słuszość, nie ma nic gorszego od niesprawiedliwości... No mów, jaki to fałszywy krok?

- A więc... przed dziesięciu laty twoja matka poznała Lea Merumeci...

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć - przerwał Michele z fałszywym zdumieniem - że Leo jest kochankiem mojej matki!

Popatrzyli na siebie.

- Przykro mi - powiedziała Liza z bolesną prostotą - ale tak właśnie jest.

Milczenie; Michele wbił oczy w ziemię i miał ochotę się roześmiać; jego niesmak przeradzał się w gorzkie poczucie śmieszności.

- I teraz chyba rozumiesz - ciągnęła dalej Liza - dlaczego i do jakiego stopnia oburzyło mnie, że twoja matka żądała, abyś się upokorzył przed tym człowiekiem.

On siedział bez ruchu i milczał; widział matkę, Lea i siebie samego w trakcie tych przeprosin, małe i głupie figury zagubione bez nadziei w wielkich obszarach życia... Lecz te obrazy nie raniły go ani nie budziły w nim żadnego uczucia; pragnęłyby być zupełnie inny, oburzony, pełen żalu, pełen nie wygasającej nienawiści; i cierpiał, że jest do tego stopnia obojętny.

Zobaczył, że Liza podnosi się i siada u jego boku.

- No - powiedziała kładąc niezdarną pocieszycielską rękę na jego głowie - no, uszy do góry... Rozumiem, jak ci jest przykro... żyje się w przekonaniu, że ktoś zasługuje na naszą miłość, na nasz szacunek, a potem... w pewnej chwili wszystko się wali wokół nas... ale to nic... posłuży ci to jako doświadczenie życiowe...

Potrząsnął głową zagryzając usta, żeby się nie roześmiać; lecz Liza myślała, że jest zupełnie załamany.

- Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło - powiedziała tonem słodkim i patetycznym, nie przestając gładzić włosów Michela - to nas zbliży... Czy chcesz, żebym stała się dla ciebie tym, czym była przedtem dla ciebie twoja matka?... Powiedz... Chcesz, żebym była twoją przyjaciółką, twoją powiernicą? - Była szczerą,

lecz głos jej brzmiał tak przesadnie słodko i fałszywie, że Michele najchętniej zatkałby jej usta dłonią; siedział jednak bez ruchu, z uparcie zwieszoną głową; widział siebie, ze skruszoną i idiotyczną miną, na krawędzi tapczanu, obok tej kobiety i cała ta scena wydała mu się tak groteskowa, że znalazł tylko jeden sposób, aby nie wybuchnąć śmiechem: nie ruszać się.

Troskliwość Lizy wzrastała.

- Będziesz często do mnie przychodził... na pogawędki... Zrobimy wszystko, by stworzyć... by stworzyć, by zorganizować nowe życie.

Zerkał na nią spod oka, na jej twarz pąsową i podnieconą. „Ach, to tak zaczynasz organizować” - pomyślał; przypomniał sobie tego krewnego Lizy, który miał przyjść rano... Dlaczego nie wziąć poważnie tej całej sprawy i nie wykorzystać jej?... i nie grać dalej komedii?...

Podniósł głowę.

- To był ciężki cios - oświadczył tonem człowieka, który zdołał przezwyciężyć wielkie cierpienie - ale masz słuszość... Muszę sobie stworzyć nowe życie...

- Oczywiście - przytaknęła z zapalem Liza, po czym nastąpiło głębokie milczenie; oboje, ale każde w innym celu, udawali marzycielską i natchnioną zadumę; siedzieli nieruchomo, z oczyma wbitymi w ziemię.

Szelest; ramię Michela osunęło się po plecach kobiety i objęło ją w pasie.

- Nie - powiedziała stanowczym głosem, nie obejrzawszy się i nie poruszywszy, jak gdyby odpowiadała na zadane sobie w duchu pytanie; Michele uśmiechnął się z wysiłkiem, aby ukryć ogarniające go lekkie zmieszanie, i mocniej przyciągnął ją do siebie. - Nie, nie - powtórzyła już słabiej, uległa jednak i oparła głowę o ramię chłopca; wówczas po chwili niby to czułego wahania, wziął ją pod brodę i nie zważając na fałszywy, niemy protest jej oczu, pocałował w usta.

Odsunęli się od siebie.

- Jesteś niegrzeczny - powiedziała Liza z półuśmiechem wdzięczności, patetycznie - niegrzeczny... i zachowujesz się jak tyran. - Michele podniósł oczy i zimno na nią spojrzał, potem uśmiech przemknął po jego szczupłej, poważnej twarzy; wyciągnął rękę i z całej siły uszczypnął Lizę w bok.

- Ojej, ojej - zawołała nagle śmiejąc się z szeroko otwartymi ustami i miotając się jak szalona - ojej! - Machała rękami i fikała nogami, a w końcu spadła z tapczanu i w konwulsyjnych podrygach całego ciała zadarła sobie halkę na brzuchu, ukazując

grube białe uda z napiętymi mięśniami; wtedy Michele rozluźnił uścisk palców. Liza usiadła i obciągnęła spódnicę na kolanach.

- Och, jakiś ty perfidny! - zawołała piskliwie, przyciskając dłoń do falującej piersi. - Och, jaki perfidny! - Michele milczał i obserwował ją z poważną i skupioną ciekawością. - A tymczasem - dodała opierając mu dłonie na ramionach - powinieneś zrobić tak, patrz!... - Przynęła usta złożone w kształt serduszka do warg chłopca, lekko je musnęła i oderwała się od nich z oczyma błyszczącymi zadowoleniem: - Tak powinieneś być zrobić - powtórzyła głupekowato, by ukryć podniecenie.

Michele skrzywił usta, wstał i zaczął spacerować po buduarze, z rękami w kieszeniach, oglądając banalne akwarele na ścianach.

- Podobają ci się? - usłyszał głos Lizy.

Odwrócił się: stała tuż za jego plecami.

- Bohomazy - rzekł.

- A ja zawsze uważałam, że są takie ładne... - odpowiedziała zdruzgotana.

Wrócili na tapczan; chłopcu tętniło w skroniach, policzki mu pały: „Jakie to wszystko nikczemne” - myślał z niesmakiem; lecz gdy tylko usiedli, pchnął Lizę na poduszki, jak gdyby chciał ją pojąć; zobaczył, że przymyka świecące powieki i wpada w ekstazę zarówno odrażającą, jak śmieszłą; wrażenie było tak silne, że pożądanie minęło od razu; chłodno pocałował ją w usta, po czym jęknął, pochylił się i ukrył twarz na jej łonie; ciemność. „Pozostanę tak do końca wizyty – pomyślał - byle nie widzieć jej więcej, nie całować...”

Poczuł na włosach pieścotliwe palce, które go głaskały.

- Co ci jest? - zapytał znajomy fałszywy głos.

- Myślę - odrzekł głębokim głosem, przymykając oczy. „Wystarczyłby minimalny wysiłek, żeby się zdobyć na szczerść, po co więc ta komedia?” Westchnął; wydało mu się, że wreszcie zdefiniował sam siebie. „Co ja tu właściwie robię? - pomyślał. - Dlaczego kłamię, byłoby tak łatwo powiedzieć prawdę i odejść”.

- Tak niestety jest - odpowiedziała Liza nie przestając gładzić go po głowie - tak wygląda prawda... Ale teraz nie powinieneś już myśleć o tym... teraz nikt już nie będzie ci potrzebny... teraz masz mnie; będziemy razem... cały świat przestanie dla nas istnieć! - Wypowiadała te słowa żarliwym głosem, który przeszył Michela dreszczem. - Będziemy żyli z dala od spraw, które cię dręczą, chcesz?... Z dala od tych brudów... Będziesz mi opowiadał o twoim życiu, o twoich zmartwieniach, a ja ci

oddam całą moją miłość, którą zachowałam dla ciebie... Będę ci przyjacielem i towarzyszem, towarzyszem wiernym i pokornym, tak pokornym, że będę cię słuchała w milczeniu i pocieszała pieścizotami... O tak, tak...

Dłoń spoczywająca na głowie chłopca zwarła się; Liza pochylila się i obsypała gradem pocałunków włosy i kark Michela, jej palce wpijały się kurczowo w jego plecy; serce jej drżało: „Nareszcie kocham i jestem kochana - myślała - nareszcie!”

Michele nie poruszał się; nigdy jeszcze nie widział błazeństwa pomieszanego do tego stopnia ze szczerością, prawdy z fałszem; ogarniało go ohydne zakłopotanie. „Gdyby chociaż milczała - myślał - ale nie, musi gadać”. Chwilami odczuwał historyczne pragnienie wygarnięcia całej prawdy, jego prawdy, tej jedynej możliwej prawdy; odszedłby zaraz potem; powstrzymywało go jednak jakieś współczucie; a poza tym czy on sam nie wprowadził Lizy w błąd biorąc ją w ramiona?

- Kochanie... kochanie - powtarzała nad jego głową - nie wyobrażasz sobie nawet, jak mi jesteś drogi! „Nie przesadzajmy” - miał ochotę jej odpowiedzieć, ale oczy wypełniała mu ciemność, wydawało mu się, że nigdy nie oglądał światła; te słowa, te pieścizoty, ten głos robiły na nim wrażenie rozpaczliwej nocy.

Podniósł wreszcie głowę i usiadł wyprostowany, przecierając oczy.

- Czas już na mnie - powiedział - a kiedy przyjdzie ten twój kuzyn?

- Zaraz do niego zatelefonuję - odrzekła Liza, która najwidoczniej nie spodziewała się tego pytania; i wyszła.

Został sam; wstał, podszedł do ściany i popatrzył z roztargnieniem na jedną z akwael; potem jak gdyby zamyślony zbliżył się do drzwi i lekko je uchylił; telefon wisiał na ścianie w głębi ciemnego korytarza, ale nie było tam Lizy; udawała tylko, że idzie dzwonić; ów krewny nie istniał; skłamała, żeby zwabić jego, Michela, do swego domu.

„Udawać - pomyślał zamykając ostrożnie drzwi - trzeba udawać”. Znowu stanął pod ścianą i patrzył na akwaelę przedstawiającą wiejski domek i kopy siana; odczuwał lekki, ale przykry niesmak, coś w rodzaju mdłości poprzedzających wymioty, które usiłuje się powstrzymać; lecz myśl: „w gruncie rzeczy ona jest taka sama jak ja” - skłoniła go do niejakiego współczucia w stosunku do tej niepotrzebnie kłamiącej istoty. „Wszyscy jesteśmy jednacy - pomyślał. - Gdy mamy coś zrobić, spośród tysiąca sposobów instynktownie zawsze wybieramy najgorszy”.

Po chwili drzwi otworzyły się i weszła Liza.

- Niestety - powiedziała - ten mój kuzyn jest zajęty... nie może przyjść... ale mówi, że przyjdzie jutro... gdybyś mógł tu być jutro po południu... Popatrzyli na siebie; niesmak i współczucie Michela wzrastały. „Tego już za wiele - pomyślał - wodzi mnie za nos; a jutro będzie to samo: przyjdź jutro”. Wydawało mu się, że jeśli weźmie jej słowa za dobrą monetę, powstanie między nimi coś w rodzaju łajdackiej spółki, rajfurskich konszachtów, co pozwoli im - w oczekiwaniu na nie istniejącego kuzyna - osiągnąć porozumienie bez większych skrupułów i na każdej płaszczyźnie.

- Nie - odrzekł - jutro nie...

- Ale on przyjdzie - nalegała Liza bezczelnie - a jeżeli ciebie nie będzie...

Michele oparł dłoń na jej ramieniu i popatrzył na nią: - To wszystko jest śmieszne... on nie przyjdzie... Dlaczego nie powiesz mi prawdy? - Zobaczył, że się zmieszała, i co gorzej, aby umknąć jego wzroku, uśmiechnęła się sprośnie, bezwstydnie, jak ktoś, kto nie żałuje, że go przyłapano na gorącym uczynku.

- Jakiej prawdy? - powtórzyła nie patrząc na niego i nie przestając się uśmiechać. - Nie rozumiem cię; o ile nie zajdzie coś nieprzewidzianego, on przyjdzie na pewno.

- Wyjrzałem na korytarz - wyjaśnił spokojnie Michele - nie telefonowałaś i ten kuzyn w ogóle nie istnieje.

Chwila milczenia; po czym Liza obrała najłatwiejszą taktykę; uśmiechnęła się znowu, lekko wzruszyła ramionami:

- Jeżeli wyjrzałeś na korytarz, to po co mi zadajesz tyle pytań?

Michele obserwował ją.

„Czy to możliwe - myślał - że ona nie czuje, o ile lepsza mogłaby być, niż jest?”
Chciał raz jeszcze spróbować.

- Nie - rzekł z naciskiem - nie bierz tego w ten sposób... to bardzo poważna sprawa: dlaczego zamiast grać tę komedię nie powiedziałaś po prostu: „Przyjdź jutro, napijemy się razem herbaty”?

- Powinna być tak powiedzieć, wiem... - nie czuła się upokorzona, mówiła zniecierpliwionym tonem. - A więc tak czy inaczej - przyjdiesz, prawda? A poza tym nic się nie bój, nawet jeżeli nie telefonowałam jeszcze do tego kuzyna, to rozmówię się z nim w najbliższym czasie.

„No proszę - pomyślał chłopiec - ona uważa, że robię jej wymówki, bo się zawiodłem nie zastając tu jej przekłętą kuzyna”. Jego twarz stwardniała.

- Nie, nie przyjdę - powiedział - i nie rozmawiaj z nikim. - Zostawił Lizę i wyszedł na korytarz.

Zapachy kuchenne wypełniały tę ciasną ciemną przestrzeń.

- A więc naprawdę nie przyjdiesz? - zapytała błagalnym i zarazem niedowierzającym tonem, podając mu kapelusz; spojrzał na nią i zawahał się; wszystko więc było daremne; niesmak, litość, żadnej odmiany w tej kobiecie: upierała się przy swoim; świadomość, że jego wysiłki były daremne sprawiała mu udękę, ogarnęła go tak bolesna i rozpaczliwa nuda, że miał ochotę krzyknąć.

- I co by to pomogło, gdybym przyszedł? - zapytał.

- Jak to, co by pomogło?

- Nic by nie pomogło - potrząsnął głową - nic... Ty już jesteś taka... i nic na to nie można poradzić... Wszyscy jesteście tacy...

- Jacy? - spytała go z naciskiem, czerwieniąc się mimo woli. „Małostkowi, nędzni... miłość, żeby iść do łóżka... twój kuzyn absorbujący wszystkie moje myśli” - odrzekłby jak najchętniej; powiedział jednak: - Dobrze, przyjdę. - Nastąpiła chwila milczenia.

- Ale zanim pójdę - dodał - wyjaśnij mi jedną rzecz: skoro teraz masz pewność, że... kocham cię, a co za tym idzie, będę cię odwiedzał, dlaczego dalej kręciłaś z tym twoim kuzynem zamiast powiedzieć mi prawdę?

- Nie chciałam się przyznać - odpowiedziała nie bez wahania - że na początek wymyśliłam tę całą historię, żeby cię tutaj ściągnąć.

- Przecież i na początek było to niepotrzebne! - rzekł Michele uważnie ją obserwując.

- Tak - przyznała pokornie - masz słusność... Ale kto z nas jest bez grzechu? A poza tym ten mój kuzyn istnieje naprawdę, jest bardzo bogaty... tylko że nie widuję go już od dawna...

- Dostyc - rzekł Michele i ujął ją za rękę. - A więc do jutra - zaczął; lecz nagle spostrzegł, że Liza spogląda na niego jakoś dziwnie, trochę nieśmiało i trochę zalotnie; zrozumiał. „A niech tam” - pomyślał; pochylił się, przycisnął ją do piersi i pocałował w usta, po czym wyszedł; obejrzał się jeszcze od progu i wtedy zobaczył, że Liza, niczym zakochana po raz pierwszy pensjonarka, kryje się wstydliwie za wiszącym na wieszaku płaszczem i z mroku przedpokoju przesyła mu dwoma przytkniętymi do ust palcami pożegnalny pocałunek.

„Podła komedia” - pomyślał; i nie oglądając się już za siebie zbiegł ze schodów.

VI

Tego dnia matka dość późno skończyła się ubierać; było już południe, a ona siedziała jeszcze przed toaletką i wykrzywiając twarz przesuwiała z namaszczeniem pędzelek po spuchniętych powiekach; od chwili przebudzenia znowu prześladowała ją zazdrość; potem jednak, przypomniawszy sobie w pewnej chwili, że tego dnia wypadają urodziny Carli, dwudzieste czwarte z kolei, doznała nagłego przypływu miłości macierzyńskiej: „Moja Carlotta, moja biedna Carlottina - pomyślała roztkliwiona niemal do łez - ona jedna na całym świecie naprawdę mnie kocha”. Myśla się i ubierała z myślą o urodzinach Carli; wydawały się jej one faktem smętnym i wzniosłym aż do łez; planowała, jak ucieszyć i czym obdarować córkę. „Ma niewiele sukienek... kupię jej ze cztery, z pięć... Dostanie też futro... marzy o tym już od dawna!” Nawet nie przyszło jej do głowy zastanowić się, skąd weźmie pieniądze na te dary. „I byle znalazła męża - pomyślała jeszcze - potem już nie będę niczego pragnęła”. Na myśl o córce, już dwudziestoczteroletniej, a jeszcze niezamężnej, porwała ją złość na mężczyzn: „Ci wszyscy młodzi to kretyni, chcą tylko się bawić i tracić czas zamiast myśleć o założeniu rodziny”. Ale Carla na pewno wyjdzie za mąż. „Jest ładna - powiedziała sobie wyliczając na palcach zalety córki - a nawet bardzo ładna... i dobra, anielsko dobra... Poza tym jest inteligentna, mądra... otrzymała wspaniale wykształcenie... Czego można chcieć więcej?” Brakowało pieniędzy, tak, pieniędzy; Carla wejdzie do domu męża tak, jak się urodziła, goluteńka, bogata jedynie w swoje cnoty, co do tego nie było wątpliwości; ale ostatecznie czy to takie pewne, że w dzisiejszych czasach wychodzą za mąż tylko bogate panny? Czy nie zdarzało się ostatnio, że dziewczęta bez posagu robiły świetne partie?... Nieco podniesiona na duchu, matka przeszła z sypialni do hallu.

Wspaniały bukiet róż i pudełko leżały na stojącym pośrodku stoliku; w kwiaty wetknięty był bilet wizytowy, matka wzięła go, przedarła kopertę i przeczytała: „Carli, mojej prawie córce, z najczulszymi życzeniami, Leo”. Położyła bilet na różach: „Jaki on subtelny - pomyślała zadowolona - inny na jego miejscu nie wiedziałby, jak się zachowywać w stosunku do dzieci swojej przyjaciółki... On natomiast usuwa wszelkie podejrzenia... jest jak ojciec”. Miała ochotę klaskać z radości; gdyby Leo był obecny,

rzuciłaby mu się na szyję; otworzyła pudełko; była tam haftowana jedwabna torebka z zameczkiem wysadzany turkusami; radość matki doszła do szczytu.

Wzięła pudełko i bukiet i pobiegła do pokoju Carli.

- Najserdeczniejsze życzenia - zawołała - patrz, co dla ciebie przyszło! - Carla siedziała przy stole z książką w ręku; wstała i bez słowa przeczytała bilet; ta bezczelność, to upodobanie, z jakim Leo nazwał ją „prawie córką”, uświadomiły jej - przez kontrast i tak gwałtownie, że zadrżała - niepokojący i niemal kazirodczy posmak tej intrygi; podniosła głowę; oczy matki błyszczały radością, uśmiechała się wzruszona, ze śmiesznym uniesieniem przyciskała do piersi bukiet kwiatów.

- Bardzo miło z jego strony - powiedziała chłodno - a co jest w tym pudełku?

- Torebka - zawołała z entuzjazmem matka - niezwykle elegancka torebka wizytowa, która musiała kosztować co najmniej pięćset lirów... Patrz... - otworzyła pudełko i pokazała prezent córce. - Prawda, jaka śliczna? - dodała.

- Prześliczna - odrzekła Carla; położyła torebkę na stole, popatrzyły na siebie.

- Tak więc - powiedziała nagle matka wzruszonym głosem -moja córka kończy dziś dwadzieścia cztery lata... A wydaje mi się, że jeszcze wczoraj była dzieckiem.

- Mnie się też tak wydaje, mamó - odpowiedziała Carla bez cienia ironii; ale dodałaby chętnie: „Od dziś nie będę już dzieckiem”.

- Bawiłaś się lalkami - ciągnęła dalej matka - kołysałaś je dając mi znaki, żebym nic nie mówiła, bo one śpią. - Urwała w połowie tych patetycznych wspomnień i popatrzyła na Carłę: - Miejmy nadzieję, że przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz niańczyła lalki z krwi i kości.

- Tak, mamó, miejmy nadzieję - odpowiedziała dziewczyna z uczuciem zmieszania i politowania.

- Naprawdę, Carlo - mówiła matka z takim ferworem, jak gdyby chciała ją przekonać o jakiejś wielkiej i głębokiej prawdzie - naprawdę mam tylko jedno pragnienie... żebyś wyszła za mąż... potem będę szczęśliwa...

Carla uśmiechnęła się: „Ty... ale czy ja będę szczęśliwa?” - pomyślała. - No tak - rzekła spuszczać głowę - ale do małżeństwa potrzebne jest dwoje... on i ja.

- On się zjawi - zawołała matka z ufnością - a nawet... słuchaj, wyda ci się to śmieszne, ale mam jak gdyby przecucie, że w tym nowym roku twojego życia wyjdiesz za mąż... a przynajmniej zaręczysz się... Czuję, że tak się stanie... ale sama

nie wiem dlaczego, tych rzeczy nie można wytłumaczyć... I zobaczysz, że to się urzeczywistni.

„Coś innego się urzeczywistni” - miała ochotę odpowiedzieć jej Carla; myślała o tym, że postanowiła oddać się Leowi właśnie dzisiaj; niezrozumienie, jakie wykazywała matka, uświadamiało jej boleśnie zaślepienie i mrok, w jakim błakali się wszyscy czworo bez nadziei wyzwolenia; uśmiechnęła się i powiedziała stanowczo: - Oczywiście, że coś musi się zdarzyć.

- Mam takie przeczucie - powtórzyła z przekonaniem matka.

- A gdzie postawimy te kwiaty?

Włożyły kwiaty do wazonu i przeszły do hallu; oświetlenie było tam skąpe, czerwona firanka przesłaniała wąskie okna na schodach, cień wypełniał białe narożniki; usiadły na kanapie. - Powiedz - zapytała nagle matka - jakie wrażenie zrobiła na tobie Liza?

- Jakie wrażenie? Takie jak zawsze.

- Czyżby? - odrzekła niedowierzająco matka. - A ja uważam, że przytyła... i czy ja wiem... jak gdyby się zestarzała.

- Nie wydaje mi się - powiedziała Carla; zrozumiała, do czego zmierza matka. „O mnie powinnaś być zazdrosna, mamo - pomyślała - a nie o Lizę”.

- A ta suknia? - ciągnęła dalej tamta. - Nigdy nie widziałam czegoś w równie złym guście... a jej się wydawało, że Bóg wie co na siebie włożyła.

- Ja - wtrąciła Carla - nie uważam, żeby to była brzydka suknia.

- Ohydna - oświadczyła matka; milczała przez chwilę z szeroko otwartymi oczyma, jak gdyby widziała przed sobą przyoblekające się w ciało zjawy swojej zazdrości; po czym gwałtownie zwróciła się do córki: - Ale powiedz prawdę: widziałas, jak ona się przyczepiła do Merumeciego?

„Już się zaczyna” - pomyślała Carla i ogarnęła ją taka nuda, że miała ochotę krzyknąć matce: „To nie Liza, to ja... Ściskaliśmy się za kotarą... całowaliśmy się”; odpowiedziała jednak: - Przyczepiła się? Co przez to rozumiesz?

- Przyczepiła się - powtórzyła matka - i jak jej zależało, żeby ją odprowadził do domu!... Wiesz, co ja myślę? - dodała pochylając się: - Że miałyby wielką ochotę odnowić dawny romans... Dlatego rzucała takie powłóczyście spojrzenia... Ale Merumeci ma co innego w głowie jak myśleć o tej biedaczce... A poza tym, gdyby chciał, znalazłby tysiące atrakcyjniejszych od niej kobiet... On, taki wysoki,

postawny... Liza to ucieleśnienie zawiści i obłudy, w oczy mówi białe, a za oczami czarne... Jestem wyrozumiała dla wszystkich, w każdym umiem wyszukać coś dobrego, nie skrzywdziłabym muchy... ale jej nie mogę ścierpieć...

- Przecież jesteś jej przyjaciółką.

- A co mam robić? - powiedziała matka. - Nie można przecież rąbać ludziom prawdy w oczy... formy towarzyskie każą często postępować akurat na odwrót, niżby się chciało... W przeciwnym razie, jak wyglądałoby nasze życie... - Gestykulowała, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Zrozum, jak to wygląda”, podnosiła brwi, wykrzywiała usta; lecz twarz Carli twardniała; usiłowała nie patrzeć na tę matczyną maskę. Kusilo ją, żeby krzyknąć: „Trochę prawdy, to byłoby o całe niebo lepiej”.

- Ale fałsz za fałsz - terkotała dalej matka. - Ta systematyczna obłuda u Lizy jest czymś, czego nie mogę znieść... Wszystko tylko nie to... Na przykład jestem pewna, że wczoraj wieczorem ona wcale nie przyszła ze względu na nas! Musiała się gdzieś dowiedzieć, że Merumeci jest tutaj, i dlatego nagle się zjawiała... Najlepszy dowód, że nie miała nic do powiedzenia, przyszła na krótko i przez cały czas siedziała jak na szpilkach.

Carla obserwowała matkę prawie ze współczuciem; te męczące i żalosne dociekania oparte na fałszywych przesłankach budziły w niej odrażającą litość.

- Naprawdę? - zapytała byle coś powiedzieć.

- To nie ulega wątpliwości - odpowiedziała matka z przekonaniem; zamyśliła się na chwilę, po czym w tym połyskliwym mroku hallu, między tymi aksamitnymi portierami jej uszmkowaną twarz wykrzywił grymas nienawiści: - Widzisz... ta kobieta jest dla mnie odpychająca także fizycznie... Nie wiem sama... robi wrażenie... lepkiej i zarazem gorącej, rozpalonej... jak suka... tak... Patrzy na mężczyzn tymi świecącymi oczyma jak gdyby dla zachęty... jak gdyby chciała im powiedzieć: „Bierzcie mnie”... A tymczasem, gdybym ja była mężczyzną, nie tknęłabym jej nawet palcem... brzydziłabym się...

- Zapewniam cię, mamó - odrzekła Carla - że ja nie odnoszę tego wrażenia.

- Ty nie możesz tego zrozumieć - powiedziała matka - pewne rzeczy uchodzą twojej uwadze, ale ja, która jestem kobietą doświadczoną i umiem żyć, kiedy widzę taki typ jak ona, z tymi oczyma, z tą figurą... od razu trafnie ją oceniłam... Cyk!, jak się robi zdjęcie.

- Być może - przyznała Carla; obie milczały przez chwilę; cisza; spokój; po czym z dołu, z głębi korytarza na parterze rozległ się odgłos zatrzasnkanych drzwi.

- To na pewno Merumeci - rzekła matka - przyjmij go, ja zaraz przyjdę. Serce Carli zaczęło bić szybciej; zeszła ze schodów stopień po stopniu, powoli, jak osoba, która traci siły i boi się, że upadnie. Weszła do salonu, gdzie, jak domyśliła się matka, był już Leo; stał przy oknie.

- O, jesteś - wziął ją za ramię i posadził na kanapie.

- Dziękuję za prezent - powiedziała szybko Carla - ale po co ten bilecik?

- Jaki bilecik?

- „Mojej prawie córce” - powiedziała wpatrując się w niego przenikliwie.

- Ach - zawołał Leo, jak gdyby o tym zapomniał - prawda... tak napisałem... „Mojej prawie córce”... tak.

- A dlaczego tak napisałeś?

Oblesny uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz Lea.

- Przede wszystkim z uwagi na twoją matkę... a poza tym sprawia mi to przyjemność wyobrażać sobie, że jesteś moją córką.

Spoglądała na niego: „Co za bezwstyd - myślała - zupełny bezwstyd”. Pragnienie zagłady było jednak silniejsze od wstępu:

- Że jestem twoją córką?... - rzekła z półuśmiechem. - Nie pomyślałam o tym nigdy... Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wczoraj wieczorem - odpowiedział spokojnie Leo - kiedy staliśmy za zasłoną... Przypomniałem sobie, sam nie wiem dlaczego, że znałem cię jako małą dziewczynkę, z gołymi nóżkami, z warkoczykami, i pomyślałem: „Mógłbym być przecież jej ojcem, a pomimo to...”

- Pomimo to kochamy się, czy tak? - dokończyła Carla zaglądając mu w oczy. - Ale czy nie wydaje ci się, że nie można pogodzić tych dwóch rzeczy?

- Dlaczego nie? - zawołał Leo nie przestając się uśmiechać i przesuwając dłoń po czole. - Może ogólnie rzecz biorąc... ale w poszczególnych wypadkach każdy postępuje zgodnie ze swoimi uczuciami.

- Przecież to jest wbrew naturze!

Leo wybuchnął śmiechem na widok poważnej i zaniepokojonej miny Carli.

- Tak, ale skoro nie jesteś moją córką, to, co sobie pomyślałem, nie ma najmniejszego znaczenia. - Popatrzyli na siebie.

- *A propos* - dodał - żebym nie zapomniał... zaraz po obiedzie wyjdź do ogrodu pod pierwszym lepszym pretekstem... od strony lasu... Ja tam zaraz przyjdę... rozumiesz? - Kiwnęła potakująco głową; Leo, zadowolony, skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na sufit; nie chciał się do niej zbliżyć, wciąż spodziewał się niedyskretnego wtargnięcia matki. „Zamiast podniecać się teraz i usychać z pożądania - myślał - lepiej wszystko przełożyć na później, kiedy będziemy sami - i będę miał na wszystko dość czasu...” Ale gdy patrzył na Carłę, twarz płonęła mu jak latarnia: miał nieprzeparłą ochotę rzucić się na nią, chwycić ją w objęcia, posiąść ją w tej chwili.

Owe apetyty wzmogły w nim jeszcze niechęć do kochanki; przypomniał sobie scenę zazdrości, jaką zrobiła Maria Gracja poprzedniego wieczora, i porwała go bezlitosna wściekłość.

- Twoja matka - powiedział do Carli - to gęś jakich mało.

Carla zwróciła się ku niemu, by mu odpowiedzieć, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszła matka, prawie ciągnąc Michela za rękę.

- Dzień dobry panu - zawołała do kochanka, po czym jednym tchem oświadczyła wskazując na syna: - Michele mówi, że jeśli sprzedamy willę na licytacji, będziemy mogli nie tylko spłacić pana, ale zostanie nam jeszcze ładnych kilkadziesiąt tysięcy lirów... Czy to prawda? - Twarz Lea spochmurniała.

- Głupstwa - powiedział nie ruszając się z miejsca - nikt wam nie da za tę willę tyle, ile ja daję.

- Ty w ostatecznym rozrachunku nic nam nie dajesz - rzekł Michele podchodząc bliżej - każesz nam się wyprowadzić, i kwita.

- Dałem wam już - odpowiedział Leo rozdrażniony i znudzony, spoglądając na okno wypełnione bielą nieba - a zresztą - dorzucił gniewnym głosem - róbcie co chcecie, sprzedajcie willę, podarujcie ją komu się wam tylko podoba... ale uprzedzam was, że nie pomogę wam w niczym... i że tego dnia, kiedy upłynie termin płatności, mam mieć te pieniądze tu, w ręku.

Leo wiedział, na jakie ryzyko się naraża: a jeżeli oni rzeczywiście sprzedadzą willę na licytacji? Ujawni się wtedy rzeczywista jej wartość i cały interes spali na panewce; lecz matka, i która nie miała zielonego pojęcia o licytacjach i sprzedażach,

która uważała interes za synonim oszustwa, a przede wszystkim - bała się utraty kochanka i chciała za wszelką cenę przykuć go do siebie, uspokoiła go.

- Nie - wtrąciła - na licytacji, nie! Ale może pan, panie Merumeci, mógłby dać nam lepsze warunki... mogłoby dojść między nami do kompromisu.

- Do jakiego kompromisu? - zapytał nie patrząc na nią.

- Na przykład - powiedziała z głupia frant matka - pozostawić nam do użytku willę do czasu, gdy Michele zacznie pracować i zarabiać, a Carla wyjdzie za mąż.

Propozycja ta została przyjęta wybuchem głośnego, wymuszonego i pogardliwego śmiechu.

- No to wypadaloby mi długo czekać - powiedział Leo poskromiwszy wybuch fałszywej wesołości - bardzo długo...

Popatrzył na Carlę i wyczytał w tych smutnych i zrezygnowanych oczach: „Kto się potem zechce ożenić ze mną?"; lecz nie wywołało to w nim ani litości, ani smutku, tylko pychę i dumę, że ucieleśnia fatalizm jej życia.

- Jak to? - zapytała matka, obrażona. - Co to ma znaczyć?

- Nie chciałbym być źle zrozumiany - wyjaśnił Leo - nie wątpię, że Carla prędko wyjdzie za mąż, i życzę jej tego z całego serca... Ale co do Michela, nie przypuszczam, żeby zaczął zarabiać przed upływem wielu lat i żeby był na najlepszej drodze ku temu... Co do tego, droga pani, mam poważne wątpliwości.

Michele, siłą wciągnięty przez matkę w tę dyskusję, milczał; lecz teraz, gdy tak obcesowo oskarżono go o próżniactwo i niedołęstwo, zrozumiał, że musi przełamać swoją obojętność i zareagować: „Najwyższy czas wybuchnąć świętym oburzeniem" - pomyślał; zrobił krok naprzód.

- Ja - zawołał uderzając w fałszywy ton - nie jestem taki, za jakiego mnie masz... Dowiodę czynem, że potrafię zarabiać na życie i pracować jak każdy inny... Zobaczysz - dodał podziwiając w duchu twarz matki pełną aprobaty i dumy - że i bez twojej pomocy zdołam utrzymać rodzinę i siebie.

- Dobrze mówi! - zawołała Maria Gracja; dumnie pogładziła głowę syna, który uśmiechnął się z politowaniem. - Michele będzie pracował i zrobi majątek - zawołała z egzaltacją - nie potrzebujemy niczyjej pomocy.

Leo nie był jednak taki głupi; ze złością wzruszył ramionami.

- Bzdury - zawołał - z Michele nigdy nie wiadomo, czy żartuje, czy mówi poważnie... Jesteś pajac... pajac i kwita. - Jego oburzenie nie miało granic; nie mógł ścierpieć żartów w interesach; miał ochotę zostawić ich wszystkich i wyjść.

Michele postąpił jeszcze krok naprzód: „Pajac”? Czy była to ciężka obraza uwłaczająca jego honorowi i opinii, czy nie? Gdyby sądzić po obojętnym spokojowi, z jakim to przyjął - nie, ale gdyby zastanowić się nad znaczeniem tego słowa oraz nad nieprzyjaznym uczuciem, które je podyktowało - na pewno tak. „Trzeba przejść do czynu - pomyślał jak gdyby upojony - na przykład spoliczkować go”. Nie było ani chwili do stracenia, Leo stał o krok od niego, we wnęce okna, na tle aksamitnej portiery; policzek, w który należało wymierzyć, znajdował się w pełnym świetle, duży, krwisty, czerstwy, starannie wygolony... zmieści się na nim cała dłoń, nie było obawy, że mogłaby chybić celu... a więc...

- Ach, jestem pajac - powiedział bezbarwnym głosem podchodząc jeszcze bliżej.

- I nie przyszło ci na myśl, że mógłbym się obrazić?

- Możesz się obrażać - odrzekł Leo z nonszalanckim uśmiechem, ale bacznie go obserwując.

- Wobec tego masz! - Michele podniósł rękę... lecz ten jego ruch z zaskakującą szybkością został powściągnięty; uchwycony za przegub, nie zdążywszy nawet połapać się, co zaszło, Michele znalazł się przygwożdżony pod oknem; Leo trzymał go za rękę; za nim stały wystraszone kobiety.

- Ach tak, chciałeś mnie spoliczkować - powiedział w końcu Leo z flegmatycznym sarkazmem - ale nic z tego... Ten, któremu się to udało, jeszcze się nie urodził. - Mówił spokojnie, ale przez zaciśnięte zęby. Za jego plecami matka wykrzykiwała: „Co się stało? Dlaczego?” Tymczasem Michele, pomimo tej raczej niewygodnej pozycji, był przede wszystkim pod wrażeniem nieskazitelnej męskiej elegancji Lea: dwurzędowa marynarka z brązowego materiału opinała mu tors, koszula była biała i świeża, wykrochmalony kołnierzyk z połyskliwego lnianego płótna znakomicie podtrzymywał wygolony podbródek, tabaczkowy krawat przetykany żółtą nitką z umiarkowanie zaciągniętym węzłem, wsunięty był w wycięcie kamizelki; dokonał tych obserwacji w kilka sekund, po czym podniósł oczy i powiedział tylko:

- Puść mnie.

- O nie, mój drogi - odrzekł tamten - nie, nie puszcę cię, będę z tobą jeszcze rozmawiał co najmniej pół godziny...

Tu wtrąciły się matka i Carla.

- Proszę go puścić! - powiedziała dziewczyna kładąc dłoń na ramieniu brata i patrząc na Lea. - Żeby z nim porozmawiać, nie musi go pan chyba trzymać w ten sposób?

Leo puścił Michela.

- Mam mu do powiedzenia tylko to - rzekł sucho - że czas już byłby z tym skończyć... i pominąwszy fakt, że tego rodzaju zachowanie jest karygodne, nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy sposób dojścia do kompromisu.

- Ma pan po tysiäckroć słuszność - zawołała matka z przymilnym pośpiechem. - Ale niech pan nie myśli, że Michele... On nie wie, co robi...

„A ty wiesz!” - pomyślał chłopak. - Wobec tego czemu mnie w to wciągnęłaś?

- I dlatego - ciągnęła dalej matka nie zwracając uwagi na słowa syna - jeżeli chce pan mówić o interesach, proszę się zwracać do mnie.

- A więc tak? - rzekł Leo spoglądając na otaczające go niepewne twarze. - Raz na zawsze więc podyktuję moje ostateczne warunki: pozostawię wam willę, dopóki nie znajdziecie innego mieszkania... poza tym dołożę wam jeszcze pewną kwotę... powiedzmy: trzydzieści tysięcy lirów.

- Trzydzieści tysięcy? - powtórzyła matka wytrzeszczając oczy. - Jak to?

- Zaraz wyjaśnię - oznajmił Leo. - Pani twierdzi, że wartość willi przewyższa wysokość hipoteki... ja twierdzę, że nie, ale ponieważ jestem prawdziwym pani przyjacielem, dokładam trzydzieści tysięcy lirów jako wyrównanie... no nie wiem... na przykład za roboty wykonane w ostatnich latach... słowem, za ulepszenia wprowadzone już po oszacowaniu hipoteki...

- Ale willa jest więcej warta, panie Merumeci - nalegała matka prawie żałośnie - jest więcej warta...

- Wie pani, co wobec tego powiem? - odparł spokojnie Leo. - Proszę ją sprzedać komu innemu, a zobaczy pani, że nie mówiąc już o trzydziestu tysiącach, nie zdoła pani nawet spłacić mnie... Po pierwsze, przy obecnym kryzysie chwila jest nieodpowiednia, nikt nie kupuje, wszyscy chcą sprzedawać, wystarczy popatrzeć na ogłoszenia w gazecie... Poza tym willa jest położona za miastem, trudno o amatora, który by chciał tu zamieszkać... Ale niech pani robi to, co uważa za stosowne... Za nic w świecie nie chciałbym sobie wyrzucać, że źle pani poradziłem.

- Ja bym przyjęła te warunki, mam - powiedziała Carla. - Wprost nie mogę się doczekać chwili, kiedy się stąd wyprowadzę i zamieszkać gdzie indziej... choćby naga i bosa.

Matka zachnęła się: - Siedź cicho! - Potem nastąpiło pełne konsternacji milczenie; Maria Gracja widziała nędzę, Carla ruiny dawnego życia, Michele nie widział nic i był najbardziej zrozpaczony z nich trojga.

- W każdym razie - dodał Leo - będzie można jeszcze do tego wrócić... Niech pani przyjdzie... niech pani przyjdzie pojutrze do mnie, wtedy obszerniej to omówimy...

Matka przyjęła propozycję z zachłannym i zbolałym entuzjazmem.

- Pojutrze... pojutrze po południu?

- Popołudniu.

Jeszcze przez chwilę panowało milczenie; potem na zaproszenie Marii Gracji przeszli wszyscy czworo z salonu do jadalni.

Stół nakryty był uroczyście i elegancko; srebra i kryształy, najlepsza zastawa rodzinna, lśniły na białym obrusie w białym, dziennym świetle jadalni; matka usiadła na honorowym miejscu i chociaż rozsadziła wszystkich przy stole w takim samym porządku jak wczorajszego wieczora, każdemu wskazała kolejno jego miejsce: - Merumeci tu... Carla tam... a tam Michele... - nie wiadomo, czy dlatego, aby podkreślić wagę tego święta rodzinnego, czy też z przyzwyczajenia, bo zwykła była zapraszać przy takich okazjach większą ilość osób.

- Chciałam - powiedziała biorąc się do jedzenia - przygotować w tym dniu Carli obiad jak się należy, z wszelkimi specjałami, słowem: prawdziwie świąteczny obiad... Ale to nie takie proste. Dziś wszystko jest utrudnione... Mam kucharkę, która nie jest zła, ale nie jest też dobra... Można jej mówić: masz zrobić tak a tak... no cóż, nie ma zamięłowania... a jak nie ma zamięłowania, pasji, zawsze czegoś brak.

- Masz rację - przytaknął jej Michele z ironiczną powagą - właśnie tak... bez pasji nic się nie dokona... ja na przykład, usiłowałem spoliczkować Lea, ale nie udało mi się to... brak pasji...

- Co ma wspólnego jedno z drugim? - przerwała mu matka, czerwona ze złości. - Była mowa o kucharce... ach, Michele, zawsze to samo... nawet w takim dniu, w dniu urodzin twojej siostry, kiedy powinniśmy zapomnieć o wszystkim i radować się szczerze, ty mówisz o waśniach, o kłótniach... jesteś niepoprawny.

- Niech mu pani pozwoli wygadać się, droga pani - powiedział Leo nie podnosząc oczu znad talerza - mnie to nie robi żadnej różnicy... nie słyszę go.

- Będę milczał, mamó, będę milczał - zawołał Michele, który połapał się w porę, że uderzył w fałszywą nutę - możesz być pewna, że będę milczał jak ryba, nie zakłóczę już tej uroczystości...

Ponownie zaległo milczenie; weszła pokojówka i zebrała talerze, po czym matka, która nie przestawała wpatrywać się w kochanka badawczym wzrokiem, zapytała go: - Dobrze się pan bawił wczoraj wieczorem?

Leo rzucił okiem na Carłę, jak gdyby chciał jej szepnąć: „Już się zaczyna”; lecz Carla nie odpowiedziała mu; usłyszała jego pytanie: - Gdzie? Kiedy? - i w tej samej chwili poczuła, że Leo trąca ją nogą pod stołem; zagryzła wargi: ta małostkowa obłuda jak gdyby spychała ją w ciemność; miała ochotę poderwać się z krzesła i głośno wyznać prawdę.

- Gdzie? - powtórzyła tymczasem matka. - Z Lizą... do diaska!

- No... jeżeli pani sądzi, że to takie zabawne odprowadzać kogoś do domu...

- Ja nie - zaprotestowała matka ze złośliwym chichotem - ja w towarzystwie pewnych osób po prostu się nudzę... ale pan... tak, pan szuka tego towarzystwa, najwidoczniej lubi je pan.

Leo chciał jej odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili znowu wyrwał się Michele.

- Ach, mamó - zawołał powtarzając słowa, jakimi matka skarciła go przed chwilą - zawsze to samo... nawet w takim dniu, w dniu urodzin twojej siostry, nie, przepraszam, twojej córki, kiedy powinniśmy zapomnieć o wszystkim i radować się szczerze, ty mówisz o Lizie... o odprowadzaniu do domu! Jesteś niepoprawna.

Carla uśmiechnęła się mimo woli z tej błazenady, Leo roześmiał się serdecznie i zawołał: - Brawo, Michele - lecz matka obraziła się:

- Co ci do tego? - powiedziała zwracając się do syna. - Rozmawiam o swoich sprawach z panem Merumeci, a ty się nie wtrącaj!

- Ale w tak uroczystym dniu?

- Co ma piernik do wiatraka? - Matka, na dobre rozgniewana, wzruszyła ramionami. - Napomknęłam o tym tylko... a zresztą - dodała - mówmy o czym innym... tylko uprzedzam pana, żeby pan wybrał sobie inne miejsce na spotkania ze swoimi kochankami... Mój dom to nie dom schadzek, zrozumiał pan?

Nigdy jeszcze Maria Gracja nie zachowywała się tak obcesowo; potem zaszło coś nieprzewidzianego. Carla, która zawsze milczała podczas tego rodzaju scen, tym razem nie wytrzymała.

- Chciałabym wiedzieć... - zaczęła mówić, a chociaż jej głos był na pozór spokojny, skurecz twarzy, rozplomienione policzki i niezwykle u niej zacięty wyraz oczu wskazywały, iż kipi ze złości - chciałabym wiedzieć, mamó, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz... tylko to jedno chciałabym wiedzieć!

Matka spojrzała na nią jak na jakąś osobliwość: - A... to coś nowego! Teraz nie będzie mi już wolno puścić pary z ust!

- Chciałabym wiedzieć - nie ustępowała Carla, przy czym głos jej stał się donośniejszy i przenikliwszy, drżały jej wargi - czy tak się godzi?... - Pochyliła nieco dużą głowę i zmierzyła matkę dziwnym wzrokiem.

Przez chwilę panowała cisza; tych troje spoglądało na siebie ze zdumieniem, nie rozumiejąc się wzajemnie; może jedynie Leo uświadamiał sobie w pewnym stopniu, co przeżywa w tej chwili Carla, która chcąc lepiej obserwować matkę, usadowiła się bokiem do stołu, trochę skulona na krześle o zbyt wysokim oparciu; jej wątłe ramiona były jakby węższe, głowa większa... Zdawało się, że gotuje się do skoku. „Ta mała furia - pomyślał - rzuci się teraz na Marię Grację i podrapie jej twarz pazurkami”. Lecz te katastrofalne przewidywania nie sprawdziły się; Carla tylko podniosła głowę.

- Chciałabym wiedzieć - powtórzyła - czy to możliwe wegetować tak z dnia na dzień z tą nudą, nigdy nie próbować czegoś zmienić, zawsze dręczyć się nędznymi błahostkami i z lubością przetrwać te wszystkie głupstwa, które nam przychodzą do głowy, spierać się i kłócić zawsze z tych samych powodów i nigdy się nie oderwać od ziemi choćby o tyle - podniosła rękę nad stołem, a jej gniewne oczy wypełniły się łzami. - Teraz - dodała prostując się - chciałabym wiedzieć, czy tak musi być? Ty nie zdajesz sobie z tego sprawy... ale powinnaś zobaczyć się w lustrze, kiedy się zaperzasz, kiedy się kłócisz... Zawstydzilibyś się i zrozumiałabyś, do czego doprowadza nuda, pustka i że można pragnąć nowego życia, zupełnie innego niż to nasze... - umilkła i z wypiekami na twarzy, ze łzami w oczach, automatycznie zaczęła sobie nakładać drugie danie z półmiska, który podała jej służąca.

Matka otrząsnęła się w końcu ze zdumienia:

- No tak, to szczyt wszystkiego! - zawołała. - A więc od tej pory będę musiała zwracać się o pozwolenie do córki, ilekroć zechcę coś powiedzieć... A żaden sprzeciw nic tu nie pomoże, lepiej do tego przywyknąć.

- Nie przesadzajmy - rzekł łagodząco Leo - Carla nie to miała na myśli.

- Akurat - odpowiedziała mu matka - już ja ich znam, i Carłę, i Michela. To egoiści, słyszy pan? Egoiści... tak wygląda prawda... i gdyby tylko mogli, poszliby w świat i zostawili mnie samą.

Jej głos, jej usta drżały: porzucą ją wszyscy, i Leo, i oni, zostanie sama jak palec. Carla popatrzyła na nią, żałowała już teraz tego, co powiedziała; bo i po co, tutaj nic się nie da zrobić, matka pozostanie, jaka jest, apodyktyczna, śmieszna, zagubiona w ciemności, nawet cud nie mógłby jej odmienić; szkoda czasu na sprzeczki, lepiej działać. „Uciec - pomyślała spoglądając na czerwoną i flegmatyczną twarz Lea - dziś jeszcze i nie wrócić więcej”. Tłumiąc niechęć postanowiła przełamać lody:

- Daj spokój, mamó, nie chciałam cię przecież obrazić - powiedziała łagodnie - tylko poprosić cię... jak sama mówiłaś... żeby w dniu moich urodzin zaniechać wszelkich kłótni i... i...

- I radować się szczerze - dokończył z grymasem Michele.

- Właśnie - potwierdziła poważnie Carla - radować się... Ale na widok głupiej, niechętnej i niepewnej twarzy matki miała ochotę zawołać: „Radować się? Z czego? Że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy?” Umilkła na chwilę. - No więc, mamó - dodała - nie czujesz się obrażona, prawda?

- Ja nigdy się nie obrażam - odrzekła z godnością matka - tylko wydawało mi się, że córka szanująca matkę nie powinna mówić w ten sposób.

- Masz po tysiącokroć rację, mamó - mówiła Carla jeszcze łagodniejszym tonem - po tysiącokroć rację... ale teraz należy zapomnieć o wszystkim, przynajmniej na dziś, i myśleć o weselszych rzeczach.

- Sprytna jesteś - odrzekła matka z półuśmiechem - no dobrze, niechaj wszystko pójdzie w zapomnienie, bo dziś są twoje urodziny... W innym wypadku nie uszłoby ci to płazem.

- Doskonale - zawołała Carla najpogodniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć - dziękuję ci, mamó... A teraz wy, Leo i Michele, opowiedzcie nam coś wesołego, z czego można się pośmiać...

- Tak od razu, na łapu capu - rzekł Leo odkładając widelec - nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym opowiedzieć.

- Ja - oświadczył Michele - mam taką jedną, naprawdę zabawną historyjkę... Chcecie ją usłyszeć?

- No mów! - zachęciła go matka.

- No więc... - Michele podniósł głowę i zaczął recytować: - W Wielki Piątek wieczorem kalabryjscy rozbójnicy siedzieli w krąg przy ognisku i jeden z nich powiedział: „Beppe, znasz tyle różnych historyjek, opowiedz nam jedną z nich”. I Beppe, głębokim basem, zaczął: „W Wielki Piątek, wieczorem, kalabryjscy rozbójnicy siedzieli w krąg przy ognisku i jeden z nich powiedział: „Beppe, znasz tyle różnych historyjek, opowiedz nam jedną z nich”. I Beppe, głębokim basem, zaczął: „W Wielki Piątek wieczorem...”

- Dostyc, dostyc - przerwała śmiejąc się matka - zlituj się, przecież nie ma temu końca... Zrozumieliśmy.

- Wąż, który sam gryzie się w ogon - zawyrokował Leo.

Weszła służąca ze wspianiałym tortem, na którym widniał napis:

„Wszystkiego najlepszego”, zrobiony z bitej śmietany; podała tort kolejno matce, Leowi, Carli i na końcu Michelowi. Michele zapytał:

- A więc nie spodobała się wam ta historyjka?

- Wcale a wcale - odpowiedziała matka jedząc z namaszczeniem - to takie głupie...

- Czy tego uczą was na uniwersytecie? - zapytał spokojnie Leo nie podnosząc oczu znad talerza.

Michele zerknął na niego z ukosa, ale nic nie odpowiedział.

- Mam jeszcze jedną historyjkę - rzekł z naciskiem - ale myślę, że i ta nie przypadłaby wam do smaku... O nie najmłodszej już pani, która miała kochanka.

- Przecież nie ma w tym nic zabawnego - pośpiesznie przerwała mu bacznie w niego wpatrzona Carla - chcę usłyszeć coś, z czego można się pośmiać.

- Nie wiadomo - wtrącił Leo - może być zabawna albo nie.

- A poza tym, Michele - rzekła z godnością matka - nie podoba mi się, że tak obcesowo mówisz o tych rzeczach przy Carli.

Te słowa matki prawie rozśmieszyły Lea. „Dobraś sobie - pomyślał ubawiony - Carla więcej wie od ciebie w tej materii”; poszukał pod stołem nogi dziewczyny i

przycisnął jej stopę, jak gdyby zapraszając ją, aby śmiała się wraz z nim; lecz Carla i tym razem nie odpowiedziała; przeszła jej już ochota do śmiechu; patrzyła na matkę, na tę głupią i niepewną maskę zawieszoną w bieli światła jadalni. „Jak najprędzej z tym skończyć - myślała - postąpić tak, żeby jutro nie mogła już tak mówić” I ogarnęło ją takie zniecierpliwienie, że miała ochotę zachnąć się lub wybuchnąć ironicznym śmiechem, aby matka nie żywiła dalszych złudzeń co do jej niewinności.

- Szkoda - mówił tymczasem Michele - to bardzo pouczająca historia... może nie śmieszna... ale pouczająca.

Znowu nastąpiła cisza; służąca zmieniła talerze i przyniosła owoce.

- A więc, Carlo - powiedział Leo obierając starannie jabłko - od dzisiaj ma się dla ciebie zacząć nowe życie, czy tak?

- Miejmy nadzieję - odrzekła Carla z lekkim westchnieniem; zastanawiała się, czy odda się Leowi tego popołudnia, czy dopiero któregoś z najbliższych dni.

- Nowe w jakim sensie? - zapytała matka.

- Pod każdym względem, mamo.

- Nie rozumiem cię, moja droga - odrzekła Maria Gracja - wyjaśnij mi to jakoś.

- Nowe... to znaczy mniej głupie, mniej powierzchowne, mniej niepotrzebne, głębsze... niż dotychczasowe - spojrzała na matkę - nowe w sensie zupełnej odmiany.

- Carla ma rację - potwierdził Leo - od czasu do czasu nie zaszkodzi zmiana.

- Niech się pan nie miesza do tego! - powiedziała matka zaniepokojona. - Nie rozumiem... jak to: zmienić życie? Pewnego pięknego ranka wstajesz i mówisz: „Dziś chcę zmienić życie”? To przecież niemożliwe.

- Można zrobić coś - odrzekła Carla nie podnosząc oczu i zaciskając zęby ze złości - co całkowicie i pod każdym względem odmieni egzystencję.

- Ale, moja droga - odpowiedziała twardo matka - panna z dobrego domu może zmienić życie jedynie przez zamążpójście, nie inaczej... Wtedy rzeczywiście zmienia się życie... trzeba się zająć domem, troszczyć się o męża... potem wychowywać dzieci, jeżeli przyjdą na świat... Całe mnóstwo rzeczy, które radykalnie przekształcają nasze przyzwyczajenia... Życzę ci tego z całego serca, lecz wydaje mi się mało prawdopodobne, żebyś z dnia na dzień mogła wyjść za mąż, i dlatego nie sądzę, żeby twoje życie mogło się zmienić tylko dlatego, że tego chcesz.

- Mamo - zaryzykowała Carla, nerwowo ściskając trzonek noża, który trzymała w ręku - są przecież i inne rzeczy, poza małżeństwem, które mogą wprowadzić zmiany w życiu kobiety.

- Na przykład? - zapytała lodowato Maria Gracja odkrawając kawałek jabłka.

Carla spojrzała na nią prawie z nienawiścią: „Na przykład zostać kochanką Lea” - miała ochotę odpowiedzieć; i wyobrażała sobie z posępną i zachłanną przyjemnością zdumienie, oburzenie i strach, jakie wywołałyby te słowa; zdobyła się jednak na nie pozbawioną rezygnacji ironię:

- Na przykład - rzekła niechętnie - gdybym dziś poznała amerykańskiego producenta filmowego i gdyby ten, olśniony moją urodą, zaproponował mi karierę aktorki... No proszę, moje życie natychmiast by się zmieniło.

Matka wykrzywiła usta:

- Rozumujesz jak dziecko... z tobą nie można rozmawiać.

- Wszystko jest możliwe - powiedział Leo, który chciał pochlebić Carli.

- Co takiego? - zawołała matka. - Moja córka dziś jeszcze miałaby zostać aktorką? Sam pan nie wie, co mówi.

- Żarty żartami - nie ustępowała Carla - ale jeżeli niedługo może wyprowadzimy się stąd i zamieszkamy gdzie indziej... i będziemy się starali żyć oszczędniej... czy wtedy siłą rzeczy nie zmieni się nasze życie?

- Kto powiedział, że się wyprowadzimy? - zawołała Maria Gracja z rozpaczliwym tupetem, zaglądając kochankowi w oczy: - Dopóki nie znajdziesz męża, zostaniemy tutaj.

Leo zmierzył ją wzrokiem, zaczerwienił się ze złości i z trudem pohamował się, by nie wzruszyć gwałtownie ramionami: „Nie ma mowy - miał ochotę krzyknąć - wyniesiecie się stąd, wyniesiecie, i to prędko.”

- Zostaniemy tu - oświadczyła matka z niepewnym uśmiechem - prawda, panie Merumeci, że zostaniemy?

Wszyscy popatrzyli na Lea. „A niech ją wszyscy diabli wezmą” - pomyślał; odpowiedział jednak: - Tak, tak, zostaniecie - pragnąc przede wszystkim nie wywoływać awantur i nie psuć swoich planów związanych z Carłą.

- A widzicie! - zawołała triumfalnie matka. - Mam jego słowo... na razie nic się nie zmieni.

- Nic... przez godzinę! - mruknął Leo, ale tak cicho, że go nikt nie dosłyszał. W tej chwili Carla wybuchnęła niepomaganie po raz drugi; tamtych troje zobaczyło, że czerwieni się po białka oczu i uderza pięścią w stół:

- Ja... ja nie wierzę w to wszystko - krzyknęła tak, że głos jej zabrzmiał piskliwie - ty, mamó, chcesz mnie zdławić... Ja wolę ruinę, tak, rozumiesz? ruinę... niż to wszystko, wolę się stoczyć na dno, mówiłam to wczoraj Leowi, myślę o tym dzień i noc, i także dziś rano, kiedy tylko wstałam i przejrzałam się w lustrze, powiedziałam sobie: „Zaczyna się dla mnie nowy rok, który musi być zupełnie inny od poprzedniego; bo to niemożliwe żyć tak dalej... niemożliwe”. - W jednej chwili twarz jej z czerwonej stała się biała, zwiesiła głowę i rozplakała się; wszyscy popatrzyli po sobie, zmieszani, a matka wstała, bo ten płacz najwidoczniej wydał się jej dość szczery, aby mogła puścić w niepamięć poprzedzające go skargi, i podeszła do córki:

- No i po co tak płakać, bez najmniejszego powodu... no już... dziś jest twoje święto... nie trzeba płakać.

Carla podniosła głowę, wstrząsało nią łkanie; lecz w pieszczotliwie pocieszających słowach matki zadźwięczało tak czyste echo dzieciństwa, z jego małymi smutkami, na które matka zawsze umiała znaleźć radę, że mimo tępego bólu ogarnęło ją wzruszenie; wydało się jej, że widzi siebie taką, jaka była niegdyś, małą dziewczynką; porwał ją nagły żal, że utraciła tę swoją niewinność i niefrasobliwość; osoby i wydarzenia z tamtych lat przesunęły się jej przed oczyma zamglonymi łzami; był to ułamek sekundy; potem usłyszała głos Lea, on też chciał dodać jej otuchy:

- Uszki do góry... rozpogódź się... no... po co płakać? - I podniosła głowę.

- Macie rację - oświadczyła stanowczym głosem, ocierając łzy - przecież dziś są moje urodziny. - Miała ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymała się.

- Co to takiego, do licha - wołał tymczasem Leo - płakać przy stole! - Matka uśmiechała się głupkowato, wszystko to było słodkie i gorzkie zarazem.

Tylko Michele siedział bez ruchu i nie odezwał się ani słowem: „Histeria - pomyślał widząc siostrę zalewającą się łzami - gdyby miała chłopca, który by ją kochał i którego ona by kochała, byłaby spokojna i szczęśliwa”. Nie istniała dla niego żadna różnica między siostrą i tamtymi dwojgiem, wszyscy byli nieznośnie dalecy, fałszywi; popatrzył na nich: „Czy to możliwe - zadawał sobie rozpaczliwe pytanie - że tylko to stanowi mój świat, moją rodzinę?” Im dłużej ich słuchał, tym bardziej wydawali mu się śmieszni i niezrozumiali w swoich egoistycznych wynurzeniach. „Śmiać się -

myślał - powinienem się śmiać"; ale sam nie wiedział, dlaczego ma się śmiać, nie wiedział, czy odczuwa wstręt czy też litość, patrząc po raz nie wiadomo który na matkę, na Carlę, na Lea, siedzących przy stole, zawsze niezmiennych, zawsze odpychających; twarz mu posepniała, oczy przymykały się ze zmęczenia. „To jakaś pomyłka - powtarzał sobie w duchu - to musi być jakaś pomyłka" - i spuszczał głowę, by ukryć napływające łzy.

Nikt tego nie zauważył, nikt się nie domyślił; owoce już były zjedzone, każdy miał przed talerzem kieliszek, i Leo z uwagą odczytywał etykiety na dwóch butelkach wina, które właśnie przyniosła służąca.

- To jest dobre - oznajmił w końcu tonem znawcy - a to wręcz znakomite.

- Wypijemy najpierw jedno, potem drugie - zdecydowała matka - niech je pan odkorkuje.

Leo wziął butelkę i zdjął drut z korka: - Raz, dwa, trzy - policzył teatralnie; na „trzy" korek wystrzelił i Leo szybko, by nie uronić piany, nalał szampana do kieliszków; stanęli wszyscy czworo pod zakurzonym żyrandolem.

- Twoje zdrowie, Carlo - powiedziała matka cicho, jak gdyby szło o jakiś sekret; brzęknęły potrącane kieliszki, nad nie uprzątniętym jeszcze stołem, między czterema pochylonymi głowami skrzyżowały się przyjazne i nieco patetyczne okrzyki: - Mamo... Michele... Carlo... zdrowie pani... panie Merumeci... - Kryształ kieliszków dźwięczał boleśnie przy każdym stuknięciu; potem wszyscy wypili, patrząc na siebie niepewnie sponad szampana.

- Dobre - rzekła w końcu matka - czuje się, że to stare wino.

- Doskonale - zawtórował jej Leo - a teraz - dodał - a teraz wzniosę toasty... toast dla każdego po kolei; przede wszystkim jednak poproszę Michela, żeby nie robił miny skazańca: to nie cykuta, to szampan.

„Racja - pomyślał Michele - trzeba się śmiać" - i zrobił tak głupi grymas, że uświadomiwszy to sobie uśmiechnął się.

- Teraz dobrze - powiedział Leo, bardzo zadowolony z tej swojej aluzji do Sokratesa; podniósł kieliszek: - Za twoje nowe życie, Carlo! - Podszedł z uśmiechem do dziewczyny, by trącić się z nią kieliszkiem. - Wiem doskonale - rzekł z szelmowskim spojrzeniem - jakie są twoje największe pragnienia i o czym myślisz dniami i nocami... Dlatego też sądzę, że trafię w sedno życząc ci małżeństwa szczęśliwego pod każdym względem, to znaczy z człowiekiem bogatym, przystojnym i inteligentnym...

Zgadłem... czy nie? - Matka spoza kieliszka kiwnęła potakująco; natomiast solenizantka milczała i nawet nie obdarzyła go uśmiechem; jego szydercza obłuda dała jej przedsmak zagłady, na jaką dobrowolnie się skazywała; musiała jednak stoczyć się na dno życia; chłodnym wzrokiem wyraziła aprobatę i nie bez przykrości, nie lubiła bowiem francuskiego wina, wychyliła kieliszek do ostatniej kropli.

- Za zdrowie pani domu - ciągnął Leo - a ponieważ, o ile się nie mylę, takie są jej pragnienia, życzymy jej, inaczej niż Carli, żeby nigdy nic się nie zmieniło, żeby wszystko pozostało tak, jak jest, wraz ze starymi przyzwyczajeniami, a także - dorzucił z olśniewającą zręcznością - ze starymi przyjaciółmi. - Zobaczył, że wyszczerzyła zęby w uśmiechu, jak gdyby ktoś połaskotał ją pod pachami.

- Niech żyją starzy przyjaciele! - zawołała radośnie, po czym podeszła do kochanka i, trąciwszy się z nim kieliszkiem, entuzjastycznie spełniła ów toast.

- Za naszą przyjaźń, Michele - Leo wychylił kieliszek jednym haustem i zbliżywszy się do chłopca wyciągnął do niego rękę; Michele spojrzał w górę na Lea, który uśmiechał się dobrodusznie, pewny siebie, spojrzał na tę dłoń podsuniętą mu niemal pod nos: siedział, a Leo stał, widział jego szeroki tors, a powyżej ten głupi, czerwony i ojcowski uśmiech na mięsistej twarzy. „Odmówić podania ręki - pomyślał - odmówić i roześmiać mu się w twarz”. Położył serwetkę na stole, wstał i wtedy zdał sobie sprawę, że nagle umilkł gwar, śmiechy i toasty: nastąpiła głucha cisza; żyrandol, leżące w nieładzie na stole sztuce i talerze były równie nieruchome jak Carla i matka, która wpatrywała się w niego, oparłszy głowę na rękach, zarazem przestraszona i władcza; dwie bruzdy przecinały jej czoło; nie wiadomo, czy błagała, czy rozkazywała.

Powróciło przykre współczucie: „Nie bój się - miał ochotę jej powiedzieć - nikt nie tknie tego twojego mężczyzny, mamó, nikt...” Jego oczy przyciągał, bawił blask białego światła między matką i Leem... to był sen, zmora obojętności.

- No... no - usłyszał głos Lea - podaj mi rękę i niech się to skończy. - Michele wyciągnął rękę i Leo uściskał ją; potem, rzecz nieprawdopodobna, spontanicznie rzucił się w ramiona Lea; uściskali się i ucałowali. Od razu powrócił wesoły nastrój.

- To mi się podoba - pochwaliła matka - brawo, Michele!

- To byłby nonsens - zawołał Leo uradowany - żeby między ludźmi na tym poziomie, co ja i Michele, nie było zgody - a w duchu myślał sobie: „Czy teraz, kiedyśmy się uściskali, zostawi mnie wreszcie w spokoju?” Tylko Michele, stojąc za stołem ze zwieszoną głową, jakby się wstydził tego manifestacyjnego uścisku.

Wreszcie podniósł oczy: tamtych troje po przełamaniu zapory jego nienawiści przestało się nim zajmować. Stali razem po drugiej stronie stołu, dalecy i obcy, jak gdyby widział ich przez szybę, śmiali się, pili... i nie zwracali na niego uwagi.

Leo wziął butelkę i dolał wina paniom, a przede wszystkim Carli: „Nie byłbym sobą - myślał - gdybym nie zmusił Carli do wypicia co najmniej jednej butelki”. Wiedział, że większa dawka alkoholu ułatwi mu podbój, już wyobrażał sobie rozkosze tego spotkania w ogrodzie, podniecony i syty po obfitym obiedzie czuł w sobie nabrzmiewającą żądzę.

- Nie zapominajcie - rzekł surowo, podnosząc kieliszek - że nie odejdziemy od stołu, dopóki nie opróżnimy tych dwóch butelek.

- Pan je wypije - rzekła matka, która między jednym a drugim wybuchem śmiechu rzucała kochankowi zabójcze i płomienne spojrzenia - pan albo Carla... ja naprawdę nie. - Słusznie - podchwycił Leo - wypijemy je we dwoje z Carłą... prawda, Carlo?

Carla spojrzała na niego; to wino nie smakowało jej, a nawet budziło wstręt, ale gest Lea i towarzyszące mu spojrzenie miały w sobie coś władczego i groźnego, czemu nie można było się oprzeć; więc zgodziła się.

- Wszystko - nalał Leo - do ostatniej kropli. - Matka śmiała się, Carla popatrzyła na Lea, potem na Marię Grację. „Upić się - pomyślała nagle gorączkowo, zmartwiała ze strachu; te twarze w białym świetle popołudnia przerażały ją, były to nędzne i niezrozumiałe twarze jej życia - nie widzieć więcej tego wszystkiego”. Z odrazą podniosła kieliszek i wychyliła go do dna; płyn musujący, słodkawy, o drażniącym smaku wypełnił jej usta; nie połknęła go od razu i przez chwilę miała ochotę plunąć nim w twarz Leowi; pohamowała się jednak, przymknęła powieki i słuchała bulgotu w swoim ściśniętym gardle; gdy otworzyła oczy, nachylona przez Lea butelka ponownie zawisała nad jej kieliszkiem, struga złotawego wina wypełniała kielich.

Leo mówił do matki:

- Proszę także wypić - namawiał - zna pani tę sentencję: „Napełniaj pusty kielich i wychylaj pełny; niechaj nigdy nie będzie ani pusty, ani pełny”.

- Ha, ha - śmiała się matka ubawiona wyświechtanym żartem.

- *In vino veritas* - ciągnął dalej Leo - proszę wypić ze mną... pewien jestem, że już po drugim kieliszku będzie pani podchmielona.

Matka obrazila się:

- Myli się pan - rzekła z godnością - mało kto znosi alkohol tak dobrze jak ja - i na dowód, że ma mocną głowę, wychyliła kieliszek do dna.

- Zobaczymy - podkiwał tryskający humorem Leo i pokazał matce dwa palce: - Ile to jest?

- Dwadzieścia - odpowiedziała mu wybuchając śmiechem.

- Doskonale! - Milczał przez chwilę obserwując matkę i córkę. - A teraz - dodał zwracając się niespodziewanie do Carli - pijmy, pijmy za zdrowie twojego przyszłego męża.

- Wobec tego - zawołała matka, uradowana - wypiję i ja. Carla zawahała się; była już trochę pijana i widziała wszystko zniekształcone, jak gdyby włożyła zbyt mocne szkła albo spoglądała w akwarium; przedmioty drżały, łączyły się ze sobą, zlewały. „Jeszcze ten kieliszek - pomyślała - a nic już nie będzie do mnie docierać”. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, podniosła ze wstrętem kieliszek i wychyliła go; natychmiast wydało się jej, że dała olbrzymiego susa w otchłań pijaństwa, zrobiło się jej bardzo wesoło, poczuła potrzebę mówienia i okazania wszystkim, że jest zupełnie trzeźwa.

- Chętnie piję za zdrowie mojego przyszłego męża - powiedziała skandując wyraźnie sylaby - ale kto nim będzie?

- Bóg jeden wie - rzekła matka.

- Gdybym nie uważał cię za córkę - zaczął mówić Leo - zaproponowałbym swoją kandydaturę....Chciałabyś mnie?

- Ty? - zawołała wskazując na niego palcem - ty miałbyś być moim mężem? - patrzyła na niego przez chwilę: czy nie był kochankiem jej matki? - Jesteś za gruby, Leo.

- O, jeśli idzie o to - sprzeciwiła się matka urażona - wcale nie jest za gruby... Mogę ci tylko z całego serca życzyć takiego męża, jak on.

- No więc zgodziłabyś się, Carlo? - nalegał z uśmiechem Leo. - Pojechalibyśmy w podróż poślubną do Paryża...

- Nie... ja wolę Indie - przerwała żalnym tonem dziewczyna.

- Paryż jest o wiele ciekawszy - powiedziała matka, która nigdy w Paryżu nie była.

- Niech będą Indie - zgodził się Leo - ofiarowałbym ci samochód, dom, suknie...
No i co powiesz, wyszłabyś za mnie?

Carla spojrzała na niego, zaczynało się jej już plątać w głowie; dlaczego Leo mówi to wszystko? Może chce zadrwić sobie z matki? Ale wobec tego wypadało się chyba śmiać.

- Co do mnie - odpowiedziała niepewnie - nie mam nic przeciwko temu... ale trzeba by zapytać mamę, czy się zgadza.

- A pani - zapytał Leo, wciąż z tym uśmiechem spokojnym i zadowolonym - przyjęłaby mnie pani za zięcia?

- Zobaczymy - odrzekła bez zająknięcia matka, której pod wpływem alkoholu i podniecenia wydawało się to wszystko bardzo zabawne - zobaczymy... Czy ma pan dobrą pozycję?

- Jestem urzędnikiem w Ministerstwie Sprawiedliwości - odpowiedział skromnie Leo - otrzymuję osiemset lirów miesięcznie... ale moi przełożeni lubią mnie... mam przyrzeczony awans.

- A pańska rodzina? - pytała dalej matka z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Nie mam żadnej rodziny, jestem samotny.

-Wierzący?

- Jak najbardziej.

- Słowem uważa pan, że uszczęśliwi moją córkę?

- Jestem przekonany - rzekł Leo bacznie obserwując Carlę.

- Wobec tego pobierzcie się i niech was Bóg błogosławi - zawołała Maria Gracja krztusząc się ze śmiechu.

- Pobierzmy się, Leo! - zawtórowała Carla z niewesołą miną.

Leo też się śmiał:

- Mam wrażenie, że próba generalna poszła znakomicie - oświadczył - teraz nie pozostaje ci nic innego jak czekać na prawdziwego męża.

Wziął drugą butelkę, nappełnił kieliszek Carli: „Musi pić - powtarzał sobie - pić jak gąbka”. Popatrzył na nią.

- A teraz toast za zdrowie pań - zaproponował; Carla wzięła kieliszek i spełniła toast; wtedy, tak nagle, że aż się złękła, zrozumiała, że jest pijana; kręciło się jej w

głowie, czuła suchość w gardle i wszystko wokół widziała jak przez mgłę, pomimo że szeroko otwierała oczy; od tej chwili straciła świadomość, co robi; przestała widzieć i słyszeć; kryształ i srebra na stole wydawały się jej tak błyszczące i wyraźne, że raziły ją w oczy, twarze biesiadników tak nieruchome i twarde, że brała je za maski; lecz raz po raz drgające fale przenikały w rzeczywistość, kontury stawały się mgliste, oczy i usta zacierały się na glinianych twarzach, białe migotanie poruszało powietrzem; i podobnie działo się ze słuchem: chwyciła całe słowa, ale pomimo że powtarzała je sobie i przekręcała na różne sposoby, nie mogła przeniknąć ich sensu. „Jestem teraz pijana - powtarzała sobie - więc jak będę mogła spotkać się w ogrodzie z Leem?” Przestraszyła się tej myśli i gorzko żałowała, że piła; miała ochotę się rozplakać.

Tymczasem Leowi zależało na tym, aby piła; gawędził z matką, udawał, że nie zwraca uwagi na dziewczynę, że jej nie widzi, lecz raz po raz, między jedną i drugą anegdotką, odwracał się z wesołą miną, z butelką w ręku, nalewał: - No, pijemy Carlo - i wznosił swój kieliszek; Carla patrzyła na niego: chciała zapytać: „Dlaczego?” Nieruchoma twarz Lea, przecięta tą ręką ściskającą butelkę, te gesty i słowa, wszystko wydawało się jej pełne nieubłaganego fatalizmu, okrutnego, niepojętego i automatycznego, jak gdyby ten mężczyzna był mechaniczną kukłą ustawioną tam po to, aby wciąż dolewał jej wina; nie okazywała jednak sprzeciwu, przewyciężała wstępną i piła, potem odstawiała pusty kieliszek i patrzyła nań błędnymi i wylęknionymi oczyma, wiedząc, że zaraz ukaże się pękata szyjka butelki i chluśnie z niej bezlitośnie nowy strumień wina.

Wreszcie skończyła się i druga butelka.

- Daliśmy radę i tej - rzekł wesoło Leo - brawo, Carlo! - Dziewczyna nie odpowiedziała: miała zwieszoną głowę, włosy opadały jej na oczy. - Hej - zawołał Leo - co ci jest? Czujesz się trochę oszołomiona?... Masz - dodał podsuwając jej papierośnicę - weź papierosa! - a widząc, jak zapala papierosa i z trudem zaciąga się dymem, pomyślał: „Brak jej tylko róży na piersi, żeby ją wziąć za kobietkę z nocnego lokalu”. Istotnie Carla, jak fordanserka nad ranem, siedziała oparta łokciem o stół, zasłaniając dłonią czoło, i potargana, z papierosem w kąciку ust, wpatrywała się w przestrzeń; suknia po matce, za luźna na nią i za strojna na jej wiek, zsunęła się jej z jednego ramienia i odsłaniała górną część białego i krągłego biustu; mdliło ją; pochylała się coraz niżej nad stołem, bo zdawało się jej, że umiera.

Maria Gracja patrzyła na nią z pewną dozą współczucia.

- Idź do ogrodu - poradziła - odetchnij świeżym powietrzem... to ci dobrze zrobi. - Carla, pomimo że pijana, przyjęła te słowa z gorzką ironią. „Co mi dobrze zrobi? - chciała powiedzieć. - Iść na schadzkę z Leem? Na pewno mi to dobrze zrobi, na pewno...” Głośno powiedziała tylko: - Czy jesteś tego pewna? - i wstała.

Od razu uświadomiła sobie, jak trudno jej będzie utrzymać się na nogach; cały pokój falował i podrygiwał, podłoga wznosiła się pod jej stopami jak pokład statku, ściany chwiały się, obraz, który wisiał prosto, przekrzywił się teraz, odnosiła wrażenie, że stół wraz z siedzącymi przy nim trzema osobami sięgnie lada chwila sufitu; ktoś tam od stołu, z głową wspartą na rękach, wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi i osłupiałymi oczami: czy to Michele? - nie mogła dociec. Wyszła chwiejnym krokiem z pokoju i znikła w mroku korytarza.

- Jest nie przyzwyczajona do picia - powiedziała matka śledząc ją wzrokiem.

- Tak - odrzekł Leo - ale tylko ktoś, kto jak ja był na wojnie i pił w górach grappę, którą tam wyrabiają, wie, co to jest pijaństwo. - Wziął butelkę, wlał resztkę wina do kieliszka Carli: - Za naszą przyjaźń, Michele - zawołał zwracając się do chłopca.

Lecz Michele nie zareagował, nie wypił, ani słowem nie odpowiedział na toast; siedział z nisko opuszczoną głową, dławił go ohydny niesmak pomieszany z żalem i upokorzeniem; widział siebie w objęciach Lea, z nosem na jego ramieniu, ze zwieszonymi rękami, wzruszonego, tak, niemal wzruszonego w swoim głupim sentymentalizmie; przypominał sobie pocałunek Lea, pocałunek odwzajemniony, och, piękna zaiste chwila! Dudniły mu jeszcze w uszach wybuchy wrzaskliwego śmiechu; zadowolony i wystrychnięty na dudka; tak, Leo triumfował, zagarnął pieniądze i matkę; on, Michele, został z pustymi rękami zadowolając się uściskiem i toastem, czyli niczym.

Dwie butelki były wysuszone do dna; stopy papierosów poszły z dymem.

Spokojne białe światło sączące się przez firanki zalewało pokój; matka, u której zazdrość przerodziła się w obsesję, zaczęła znowu starą śpiewkę:

- Dlaczego nie pije pan za zdrowie swojej nieobecnej przyjaciółki? - zapytała i dorzuciła złośliwym tonem: - *Loin de toi, loin de ton coeur.*

Rozparty na krześle Leo nie odpowiedział, spoglądał na nią tępym wzrokiem, ociężały z przejedzenia; w głuchym, sytym milczeniu rozległo się jego ziewnięcie; z rur

kaloryferów dochodziło dźwięczne pobrzękiwanie... W piwnicy ktoś dokładał węgla do pieca centralnego ogrzewania.

VII

Z korytarza Carla przeszła do westybulu, tutaj za kotarą ukryła się z Leem poprzedniego wieczora; wszystko wokół się kołysało, więc uchwyciła się tej kotary, żeby nie upaść; potem wyszła z domu, zeszła po marmurowych schodkach; śmiertelny spokój panował w ogrodzie; zza pni i nagich gałęzi drzew prześwitywał smutny mur ogrodzenia, żółtawy, upstrzony dużymi plamami wilgoci; żadnych cieni ani wiatru, powietrze było zimne i nieruchome, niebo szare, wysoko przelatywało stado kruków, to rozpraszając się, to znowu skupiając, i oddalało się, miękko zapadając w bezkresną przestrzeń; ukryty ptak pogwizdywał na smętną nutę; wydawało się, że całą naturą wstrząsa dreszcz.

Krok za krokiem, trzymając się ścian, obeszła dokoła willę; popatrzyła w górę na zamknięte okno jadalni: co tam robiło tych troje? Czy siedzieli jeszcze przy stole i pili? Czy rozmawiali? Podniosła kamyczek i rzuciła go przed siebie, trafiła w kwiat, zrobiła parę drobnych ruchów, chcąc przekonać samą siebie, że nie jest pijana; lecz z pewnej odległości wszystko się zlewało, drzewa wiły się jak węże, wszystko przesłaniała mgła; za każdym krokiem ziemia się kołysała i uciekała spod jej nóg.

Część ogrodu położona za willą była mniejsza niż od frontu, ale gęściejsza; rosły tam wysokie drzewa i krzewy; jedna tylko wąska alejka pod murem biegła wokół tej masy dziko wybujałej roślinności; ale i sama alejka była tak zapuszczona, zarośnięta trawą i gałęziami, że nieraz trudno było odnaleźć jej ślad; w głębi ogrodu stał mały drewniany budynek, kwadratowy, coś w rodzaju chatki, ale z miejsca, gdzie stała Carla, nie było go widać zza drzew.

Carla usiadła na zielono malowanej ławeczce stojącej pod ścianą willi; wsparła głowę na rękach; nigdy dotąd nie doznawała takich męczarni; wino coraz bardziej uderzało jej do głowy, po uczuciu lekkości i beztroski nastąpiły mdłości i ogłuszenie; ten płas wszystkiego wokół stawał się nie do zniesienia. „Czy nie ma żadnego sposobu - myślała zrozpaczona, patrząc pod nogi na biały żwir mrowiący się jej przed oczyma - żeby się skończyły te tortury?” Żadnej odpowiedzi; przygnieciona kontrastem pomiędzy tym, co się jej majaczyło, a niemym spokojem natury, Carla zamknęła oczy z nieokreślonym pragnieniem pograżenia się, unicestwienia w martwocie otoczenia.

Nie spała, nie myślała o niczym, parę minut siedziała z zaciśniętymi powiekami; potem poczuła dotknięcie dłoni na ramieniu, otworzyła oczy i zobaczyła Lea.

Stał z przerzuconym przez ramię płaszczem, w ręku trzymał kapelusz, w ustach miał papierosa.

- Co ci jest? Dlaczego tak tu siedzisz? - zapytał.

Dziewczyna odpowiedziała:

- Źle się czuję.

- Źle, źle... - powtórzył ze zniecierpliwionym uśmiechem Leo - wstań i chodź...

Nic ci nie jest... Po prostu za dużo wypiałś!

Wstała ślaniając się na nogach i od razu uczepliła się jego ręki.

- Podtrzymaj mnie - prosiła - wszystko mi się kręci wokoło... - Popatrzyła mu w twarz, po czym spuściła głowę i westchnęła głęboko.

Zrobili kilka kroków i weszli pod łukowate sklepienie gałęzi wilgotnej alejki biegnącej wzdłuż muru; raz po raz Leo pytał Carlę: - Lepiej ci? - Odpowiadała: - Nie.

- Lepiej ci?

- Nie.

Drzewa i rośliny splatające się nad nimi były równie nieruchome, jak szare niebo prześwitujące między konarami, gruba warstwa czarnych i mokrych liści tłumiała ich kroki, panowała głęboka, niczym nie zmacona cisza. - Lepiej ci, kochanie? - pytał Leo; podniecony i rozgorączkowany z pożądania, nie mógł się doczekać chwili, kiedy chwyci Carlę w ramiona; wspierała się bezwładnie całym ciałem na jego ramieniu, jej krągłe biodro dotykało jego uda, i ta bliskość coraz silniej rozbudzała w nim żądze. „Tylko spokojnie - myślał - zaraz zaprowadzę ją do tej chałupy i zrobię z nią wszystko, co chcę... jeszcze trochę cierpliwości...”

Oczy Carli błędziły po wąskiej, gęsto zarosłej alejce.

- Dlaczego mnie zmuszałeś do picia? - zapytała w końcu rozżalonym tonem.

- A ty dlaczego piłaś? - odparł Leo. Pytania, zawsze pytania. Przystanęli.

- Piłam - powiedziała niepewnie - żeby nie widzieć matki i ciebie... a nawet i Michela... żeby nie widzieć nikogo. - Spuściła oczy i potrząsnęła głową: - Ale gdybym wiedziała, że będę się czuła aż tak źle, nigdy bym tego nie zrobiła.

- Nie gadaj głupstw - krzyknął Leo tak głośno, że sam się zdziwił - piłaś, bo miałaś ochotę pić. - Zobaczył, że uśmiechnęła się tajemniczo.

- Myślisz może, że cię Kocham? - zapytała poufałym tonem.

Popatrzyli na siebie; Carla poważnie z przebłyskiem pijaństwa w wilgotnych oczach, Leo z podnieceniem zabarwionym lekką ironią i trochę zmieszany; nagle opuścił ręce i trywialnie chwycił dziewczynę za biodra; wybuchnęła piskliwym śmiechem i zaczęła się miotać wymachując rękami i kopiąc nogami: jej ruchy były pijackie i miały w sobie coś bezwstydnego.

- Leo, och, Leo - wołała wśród chichotów - Leo, nie patrz tak na mnie... puść mnie! - Niskie sklepienie gałęzi tłumilo jej przenikliwy głos; zmagając się z Leem widziała raz po raz przysuwającą się do jej twarzy jego czerwoną twarz, pełną złośliwej i jakby starczej lubieżności; sama nie wiedziała, dlaczego się broni. W końcu Leo poradził sobie z nią i chwycił ją mocno w ramiona; przez chwilę patrzył na nią wylęknionymi oczyma i z na pół otwartymi ustami; pobladł, po czym pochylił się i pocałował ją.

Oderwali się od siebie i, trochę chwiejni, zagłębili w ten cień pod martwą płataniną roślin i drzew; nagle Carla zatrzymała się niepewna i nerwowo ścisnęła za ramię towarzysza:

- Leo - szepnęła podnosząc palec ostrzegawczym i dziecinnym ruchem - Leo... nie trzeba... nie trzeba! - Przerwała niespodziewanie i znieruchomiała wpatrując się w mrok alejki oczyma, które za mgłą łez dziwnie zmieniały swój wyraz.

- No co? - zapytał Leo; lecz Carla zdawała się zafascynowana kamieniem, do połowy zagrzebanym w czarnych liściach pokrywających ziemię, białym i gładkim jak jajko; zresztą nie wiedziała, co odpowiedzieć; owo „nie trzeba” szepnęła prawie nieświadomie; uczucia, które je podyktowały, rozpierzchły się; wróciła ciemność.

- No co... co? - zachęcał Leo. - Nie trzeba? Nie trzeba pić?... Ba, wiem... ale teraz - dodał popychając ją naprzód - idziemy, idziemy, jeszcze tylko kawałek.

Doszli do końca ogrodu; alejka rozszerzała się tu przed domkiem przylegającym do ogrodzenia; po jego ścianie pięły się rośliny, wśród których widniały zmurszałe drzwi z zardzewiałymi zawiasami.

- Ach... co to takiego? - zapytał Leo, jak gdyby zdumiał go ten widok.

- Dom ogrodnika.

- Dom ogrodnika?... To mi dopiero... A ogrodnik jest?

- Nie ma.

- Dom ogrodnika... - powtórzył Leo, jak gdyby upodobał sobie te słowa w szczególny sposób, doszukując się w nich jakiegoś ukrytego znaczenia. - Wejdźmy, wejdźmy do środka.

Carla roześmiała się, to wszystko wydawało się jej niedorzeczne, ale usłuchała; pchnęli drzwi, które nie były zamknięte na klucz, i zobaczyli nisko sklepioną izbę i zakurzoną podłogę; ściany były nagie, wąskie żelazne łóżko z wypłowiałym materacem, całym w dziurach, zajmowało jeden kąt; w drugim stała na przedpociepowym trójnogu zardzewiała miednica; to było wszystko; Carla, otępiła, patrzyła na te nędzne sprzęty; mdłości stały się teraz nie do zniesienia, chciała wracać do domu, żeby się położyć na tapczanie w swoim pokoju, lecz kolana ugiwały się pod nią, więc usiadła na łóżku.

- Dlaczego - zapytała udręczona - dlaczego mnie zmuszałeś do picia?

Wpatrywała się w deski podłogi; kosmyki włosów zwisały jej przed oczyma, mdliło ją coraz bardziej, usta miała pełne śliny. Leo usiadł obok niej: „Przyszła nareszcie odpowiednia chwila” - myślał podniecony; objął ją w pól.

- Bądźże rozsądna - powiedział dobitnie - piłaś przecież z własnej, nieprzymuszonej woli. - Carla potrząsnęła głową, ale nie zaprzeczyła mu. - A zresztą - dodał - to nie ma żadnego znaczenia. - Rozsunął dekolt jej sukienki i z namaszczeniem pocałował ją w nagie ramię.

Nie odrywał oczu od jej obnażonych piersi; nagle rzucił się na nią, przewrócił ją na wznak i zaczął obmacywać; walka, skrzywienie łóżka; Carla na próżno usiłowała się bronić. - Puść mnie - szepnęła i zastygła jak martwa, zmożona wysiłkiem i jakąś dziwną słabością, jakiej nie doznawała nigdy przedtem; szeroko otwartymi i zbolalymi oczyma wpatrywała się w sufit i zobaczyła spadającą z niego jak meteor czerwoną twarz Lea; pocałunek trafił w szyję, musnął policzek, wpił się w usta; Carla przechyliła głowę na ramię, zamknęła oczy; dotknięcie tych miękkich i wilgotnych warg było jej obojętne, miała ochotę zasnąć; ale brzęk poodrywanych, toczących się po podłodze guzików, ucisk na plecach wyrwały ją z odrętwienia; wzdrygnęła się, otworzyła oczy i ujrzała pochyloną nad sobą rozognioną i podnieconą twarz Lea; spostrzegła, że ma nagie ramiona, i uchwyciła się swojej sukni niczym krawędzi przepaści; dwa mocne szarpnięcia niemal połamały jej paznokcie; Leo z niezwykłą pedanterią, stanowiącą przedziwny kontrast z jego wzburzoną twarzą, uniósł dziewczynę na łóżku i nie bez trudności ściągnął jej suknię do pasa; potem opadł znowu całym ciężarem na jej pierś i zwinnymi palcami zaczął zsuwać ramiączka halki.

Carla patrzyła na niego przerażona; widziała, że ilekroć próbuje stawiać opór, on, niby chirurg przy operacji, podnosi brwi, wykrzywia usta, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nic się nie przejmuj, moja droga... to drobiazg... zdaj się na mnie”. Ta władcza mimika i słabość przechodząca w mdłości działały więcej niż wysiłki Lea; Carla uległa, podniosła ręce na tyle, na ile należało je podnieść, wygięła plecy na tyle, na ile należało je wygiąć, nie przytrzymała halki, którą Leo ściągnął jej z brzucha, i naga, z zamkniętymi oczyma leżała nieruchomo na materacu; mdłości wzmagaly się; nie myślała o niczym, zdawało się jej, że umiera.

„Ach, jaka piękna dziewczuszka” - myślał tymczasem Leo; te nagości oślepiły go, nie wiedział, od czego zacząć, czy od ramion delikatnych, szczupłych i białych, czy od młodych piersi, gładkich, o bieli tak mlecznej, że jego oczy nie mogły się nimi nasycić.

„Ach jaka piękna dziewczuszka” - i już pochylał się, by wziąć ją w ramiona, gdy zobaczył, że podniosła głowę wystraszona, blada jak papier: drżenie jej podbródka i bulgotanie w gardle było bardziej wymowne od słów; odsunął się na bok; Carla w panice uniosła się na łóżku wbijając wzrok w kąt izby, gdzie stał trójnóg; Leo zrozumiał, poderwał się, wziął miednicę i ledwie zdążył podsunąć ją Carli: z ust jej buchnął na zardzewiałą miednicę gęsty, różnobarwny i dymiący strumień; ustał na chwilę, po czym popłynął znowu; dało się słyszeć burczenie w rozstrojonych kiszkiach; Leo podtrzymał Carłę za czoło, obserwując ją z wściekłością. „Powiniennem powiedzieć sobie: *mea culpa* - myślał. - Nie trzeba było jej tak poić”. Nie żywił już żadnych złudzeń, dzisiejsze popołudnie było stracone; patrzył na nią i wydawało mu się, że pęknie ze złości: oto wymarzona przez niego dziewczyna, naga, gotowa się oddać, zamiast głowy kochanka trzyma na kolanach miednicę i wpatruje się w nią urzeczonymi oczami. „I pomyśleć tylko - powtarzał sobie - że gdybym jej nie upił, byłaby już teraz moja.”

Carla przestała tymczasem wymiotować i odpychała od siebie miednicę, którą Leo, nie bez obrzydzenia, odstawił na trójnóg; odwróciwszy się popatrzył na Carłę; siedziała na krawędzi łóżka naga do pasa ze zwieszoną głową i opuszczonymi rękami; uderzył go kontrast między chudością jej ciała - wystawały jej żebra, ramiona miała wąskie i spiczaste - a nieproporcjonalnie dużymi piersiami i głową. „Brzydko zbudowana” - pomyślał na pocieszenie.

- Jak się czujesz? - zapytał głośno.

- Źle - odpowiedziała; patrzyła w dół, czując w ustach kwaśną ślinę; raz po raz wzrok jej padał na opuszczoną do połowy brzucha, zmiętą sukienkę; zaczynało jej być

zimno, ogarnął ją beznadziejny niesmak. „Wszystko się skończyło” - myślała; rzeczywiście wyczuwała intuicyjnie, że coś się skończyło, bez przyjemności, niegodnie, w tej zardzewiałej miednicy; ale co, tego nie potrafiłaby dokładnie określić; powoli podniosła głowę i spojrzała na kochanka oczyma pełnymi łez.

- A co teraz? - wyrwało się jej bezwiednie.

- Teraz się ubierz i idziemy - odrzekł Leo z hamowaną złością; wstał i zaczął spacerować po skrzypiących deskach podłogi; od czasu do czasu zerkał na ubierającą się Carlę; powracało pożądanie i zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby przeczekać niedyspozycję Carli i ponowić szturm na te piękne kształty; ale przyszło mu to do głowy za późno. Carla była już gotowa. „Nie ma co - pomyślał - czar prysł... na dzisiaj koniec.”

Podszedł do łóżka.

- A teraz jak się czujesz? - zapytał.

- Lepiej - odrzekła dziewczyna - lepiej. - Skończyła się ubierać, wstała; każde z osobna wyszło z szopy.

Na dworze szeleściły liście.

- A to co, deszcz - zawołał Leo ze zdziwieniem; zmieszany milczeniem Carli usiłował zachowywać się swobodnie, zrobili kilka kroków: powietrze w tym tunelu z drzew było nieruchome i duszne, czarny cień otulał płataninę gałęzi; przy każdym stąpieniu na śliskiej ziemi bluzgała woda z przydeptywanych liści. - Dziwne - mówił Leo - co dzień to samo: o świcie jest pogodnie, rano zaczyna się chmurzyć, a po południu pada aż do nocy. - Żadnej odpowiedzi. - A więc zobaczymy się dziś wieczorem. - Carla stanęła i spojrzała na niego: „Nigdy więcej” - miała ochotę odpowiedzieć, lecz powstrzymała ją myśl: „Trzeba brnąć do końca, do końca... do dna”; ruszyła dalej.

- Może... nie wiem - odrzekła.

Doszli do końca alejki, znowu przystanęli.

- Nie bocz się - powiedział Leo z głupkowskim uśmiechem ściskając ją za ramię - nie bocz się, zawsze jesteś śliczna, nawet kiedy chorujesz. - Popatrzyli na siebie: „Móc go kochać” - myślała Carla obserwując czerwoną i pozbawioną wyrazu twarz Lea; była jeszcze odrobinę pijana, bolała ją głowa, łaknęła czułości i pociechy; ale Leo klepał ją teraz po policzku:

- Głuptasek - powtarzał - głuptasek, który chce pić, a potem choruje... mały głuptasek, maciupęńki głuptasek - i przyciągał ją do siebie - daj mi całusa i nie mówmy o tym więcej. - Pocałowali się, odsunęli od siebie; potem Carla wyszła z zacisznej alejki i biegnąc w deszczu znikła za rogiem willi.

Co za paskudny dzień! Deszcz padał teraz łagodnie z wysokiego nieba, ogród był cały mokry, wilgotny; nieprzerwany plusk wody zagłuszał wszystkie inne głosy. Leo był zły; nie dość, że urodziny Carli - torebka i kwiaty - kosztowały go ładnych paręset lirów, ale z powodu owego zdradzieckiego wina przygoda skończyła się w sposób równie śmieszny, jak obrzydliwy. „Carla nie pragnie niczego innego - myślał z wściekłością - nie potrzeba było jej upijać... A teraz zaczynaj wszystko od początku”. Dopiero gdy znalazł się na ulicy i pomyślał, dokąd by iść, przypomniał sobie, że poprzedniego wieczora Liza prosiła, aby ją dziś odwiedził.

Początkowo myśl o powrocie do dawnej kochanki wydała mu się niedorzeczna; nie lubił przemierzać po raz drugi tych samych ścieżek, uważał taką wizytę za „odgrzewane kotlety”; z drugiej strony jednak żądza wzbudzona przez Carlę byłaby zaspokojona.

„Jeżeli dziś nie pofolguję sobie - myślał idąc w deszczu przez szerokie i puste ulice bogatej podmiejskiej dzielnicy - pęknię”. Obraz Carli nagiej i płaczącej stawał się tak natrętny, że machnął ręką przed oczyma, jak gdyby chciał go odpędzić: „Pójdę tam - postanowił w końcu - ostatecznie Liza też jest kobietą”.

Powziąwszy tę decyzję uczuł jakby skrzydła u nóg; zawołał taksówkę: - Ulica Boezio! - rzucił krótko, rozsiadając się wygodnie; taksówka ruszyła; Leo zapalił. „Będzie to najpiękniejszy dzień w jej życiu - pomyślał i już wyobrażał sobie Lizę od razu rzucającą mu się na szyję. - Wczoraj wieczorem grała komedię, chciała mi dokuczyć, naturalnie ona ma też swoją kobiecą ambicję... ale dziś... dziś nie każe się długo prosić”. Taksówka trzęsła niemiłosiernie; wydawało mu się, że daje dowód wielkoduszności decydując się na wizytę u Lizy, że spełnia swoją zachciankę, ale zarazem i dobry uczynek. „To będzie najpiękniejszy dzień w życiu Lizy - powtarzał sobie - dam jej to, czego nie mogła się spodziewać w najśmielszych marzeniach, a jednocześnie jakoś sobie osłodzę ten idiotyczny dzień”. Wyrzucił przez okno niedopałek papierosa; z miękким poślizgiem kół na mokrym asfalcie samochód wjeżdżał teraz w opustoszałą ulicę wysadzaną platanami: odliczone pieniądze miał w ręku; taksówka stanęła; Leo wysiadł i skulony, chroniąc się przed deszczem, zapłacił, po czym znikł szybko w bramie.

Powoli wstępował na schody, myśląc rzewnie, ale bez melancholii, ile razy przemierzał tę drogę przed dziesięciu laty.

„Nie ma co mówić - powtarzał w duchu nie próbując nawet wyjaśnić sobie istotnego znaczenia tej myśli - co dziesięć lat, to dziesięć lat". Zadzwoił, otworzono mu; zastał wszystko bez zmiany; wydało mu się przez chwilę, iż on również nie jest sobą terazniejszym, ale tamtym sprzed lat; każda rzecz znajdowała się na swoim miejscu: szafy w ciemnym korytarzu, w głębi brzęczące oszklone drzwi buduaru, ta sama spuszczone kotara, te same dywany... Siadł tedy w jednym ze skrzypiących foteli i zapalił.

Po chwili weszła Liza:

- Ach, to ty... - powiedziała z roztargnieniem; usiadła i patrzyła na Lea tak, jak gdyby pytała go o powód jego wizyty.

- Nie spodziewałaś się mnie? - zapytał Leo zdumiony, był bowiem pewien, że jest niecierpliwie oczekiwany. - Przecież wczoraj wieczorem dałaś mi do zrozumienia coś wręcz przeciwnego.

- Czego się nie mówi... - odrzekła obciążając suknię na kolanach - a zwłaszcza w nocy, po ciemku.

„Szczwana jest - pomyślał Leo - daje się prosić"; przysunął swój fotel do fotela Lizy i pochylając się powiedział: - A ja jestem przekonany, że mówiłaś poważnie.

- A jeżeli zmieniłam zamiar? - zapytała żywo; teraz wiedziała, że względy, jakie okazała wczoraj Leowi, nie były powrotem dawnej miłości, ale chwilowym zapomnieniem, zatarciem się jej uczuć do Michela. - Tyle rzeczy - dodała poważnie - mogło się zdarzyć od wczoraj do dziś.

Leo wpatrywał się w nią, oczy jego błędziły po jej twarzy, po jej postaci, po białym i pulchnym dekolcie, to znów po obnażonym ramieniu, które w głębokim mroku salonu wydawało się pełniejsze, jędrniejsze i świeższe, niż było w rzeczywistości. „Chce mnie wystawić na próbę - pomyślał - ho... ho... jest szczwana jak lis". Przysunął się jeszcze bliżej: - Wiesz, że bardzo wyładniałaś? - powiedział.

- Ach... to przedtem byłam brzydka? - zawołała z bezwiedną kokieterią, lecz od razu tego pożałowała. „Trzeba go spławić - pomyślała - trzeba dać mu do zrozumienia, że się pomylił". Spojrzała na Lea, zobaczyła, że jest purpurowy, podniecony i pewien swego; wystarczyło popatrzeć, jak prostuje się w niskim fotelu, jak wypina pierś, jak lubieżnie pałają mu oczy; porwała ją taka złość pomieszana ze zwycięską pychą

(„Teraz Kocham i jestem Kochana!” - miała ochotę krzyknąć mu w twarz), że nagle przyszło jej na myśl, iż będzie o wiele zabawniej i perfidniej udawać zakochaną po uszy, a dopiero potem otworzyć mu oczy, słowem - wystrychnąć go na dudka.

- Zawsze byłaś piękna - mówił tymczasem Leo - ale teraz jesteś jeszcze piękniejsza.

- Przecież masz swoją Marię Grację - zawołała Liza zgodnie ze swoją taktyką - co ja cię mogę obchodzić?

- Między mną i tą kobietą wszystko się skończyło... wszystko... Natomiast ty interesujesz mnie znowu jak dawniej.

- Dziękuję ci bardzo.

- Rozłączyło nas nieporozumienie - ciągnął dalej - tylko nieporozumienie... Wiesz, jak często człowiek popełnia błędy... W stosunku do ciebie popełniłem błąd, przyznaję... ale dziś przychodzę, aby ci powiedzieć: zapomnijmy o przeszłości i pogódźmy się.

Umilkł i wyciągnął rękę do Lizy. Spojrzała na tę twarz, potem na tę rękę:

- Po co się mamy godzić? Przecież nigdy nie byliśmy poróżnieni...

- Nie, nie mów tak - zaprotestował Leo - nie... na litość boską, nie udawaj, że nie rozumiałaś; wybac, że tak powiem, ale nie rób z siebie głupiej... Doskonale rozumiałaś, o co chodzi... mówiłem jasno... Trzeba o wszystkim zapomnieć, pogodzić się, a także, dlaczego nie? zacząć od nowa... Ja nie widzę przeszkód... nie owijam słów w bawełnę, mówię to, co myślę... Teraz czekam na twoją odpowiedź.

- Nie wiem... naprawdę nie wiem - zaczęła mówić udając, że się waha.

- Jak to nie wiesz? No, zdecyduj się!

- No więc - rzekła Liza - jeżeli chcesz, możemy się pogodzić... ale co do tego, żeby zacząć wszystko od nowa, to jeszcze zobaczymy...

„No, dopływamy do portu - pomyślał Leo zadowolony - nie jest taka głupia... wszystko rozumiała”. Pochylił się i z uniesieniem ucałował dłoń Lizy; potem podniósł głowę:

- Najbardziej podoba mi się w tobie twoja prostota... Wystarczy kilka słów i w lot wszystko pojmujesz.

- A to dlatego - odrzekła z naciskiem, nadając każdemu słowu ukryte znaczenie - że umiem zawsze odgadnąć w porę cudze intencje.

- Ach! Doskonale! - zawołał Leo przysuwając jeszcze bliżej swój fotel do fotela Lizy. - No to powiedz teraz, jakie są moje intencje.

- Twoje? - popatrzyła na niego: te pułapki słowne, ten jak gdyby rytuał złożony z pytań i odpowiedzi zdążających do jednego celu, nasyciły już jej pychę i teraz zaczęły budzić w niej niesmak. „To się skończyło... to wszystko się skończyło - myślała - teraz kocham i jestem kochana”; chciała jednak prowadzić do końca swoją grę.

- Twoje intencje?... Nietrudno byłoby je rozszyfrować.

- Skoro wiesz - nalegał Leo zelektryzowany - to powiedz.

- No więc... - zaczęła wstydliwie, z obliczonym na efekt, lekko ironicznym wahaniem - jeżeli chcesz wiedzieć... wydaje mi się, że masz intencje, jak by tu powiedzieć? Zaborcze...

- To znaczy? - zapytał Leo coraz bardziej pochylając się do przodu i muskając podbródkiem obnażone ramię Lizy.

Spojrzała na niego: „To znaczy - chciała mu odpowiedzieć, rozdrażniona widokiem tej czerwonej twarzy ocierającej się niemal o jej twarz - że trudzisz się na próżno... kocham Michela... Michele jest moją miłością” - powstrzymała się jednak.

- Uważaj - rzuciła ostrzeżenie słodkokwaśnym tonem - niebezpiecznie jest tak się przechylać, bo można się przewrócić.

Leo był zbyt podniecony, by słuchać Lizy.

- Co? - zapytał głupio.

- Można się przewrócić - powtórzyła Liza - a nawet nabić sobie guza.

- Tak czy inaczej - odrzekł Leo nie podnosząc głowy, powoli, z uporem - moje zamiary są proste: ubierzesz się teraz i pójdziemy razem na herbatę... chociażby do mnie... potem zjemy kolację i wybierzemy się na jakiś spektakl, a wreszcie odprowadzę cię do domu.

Chwila milczenia; Liza zdawała się pełna wahania.

- Poszłabym - odrzekła w końcu - ale skąd mogę mieć pewność, że kochasz mnie naprawdę i że to nie jest tylko chwilowy kaprys, po którym wrócisz do Marii Gracji?

- Nic podobnego - powiedział Leo nie podnosząc głowy, z uporem wywołanym powściąganą żądzą oraz niecierpliwością - mylisz się... Powiedziałem ci już i powtarzam teraz... nie wrócę do Marii Gracji, bo między nami od dawna wszystko jest skończone... utrzymywałem te stosunki, póki mogłem... To był jeden z tych

romansów, które się ciągną bez końca, trochę z przyzwyczajenia, a trochę z innych powodów...

- Z powodów praktycznych? - podsunęła Liza.

- Z jakich tam praktycznych... słowem, krótko mówiąc - Leo podniósł wreszcie głowę i popatrzył na nią - daj spokój Marii Gracji, bo nie w tym rzecz i odpowiedz mi...

- Na co?

- Wiesz przecież - odrzekł Leo ze sztuczną swobodą i jak gdyby chcąc poprawić sukienkę Lizy położył jej rękę na ramieniu - zgodzisz się wyjść ze mną, czy nie?

Zawahała się: czy miała mu powiedzieć prawdę? Lecz ocaliła ją ta ręka, która klepała ją teraz po karku.

- Nie - zawołała - zostaw, po prostu nie znoszę, żeby dotykano mojej szyi!

- Niegdyś to bardzo lubiłaś - odpowiedział Leo powoli, nie odrywając oczu od Lizy i przysuwając twarz do jej twarzy.

- Tak... ale już nie jestem ta sama, co niegdyś - powiedziała szybko, żeby nie ulec powabowi tej ręki.

- A to lubisz? - Leo poderwał się gwałtownie, odchylił jej głowę do tyłu, pociągnął za włosy i próbował ją pocałować; Liza ledwie zdążyła zasłonić sobie usta dłonią. - No, no, bądź grzeczna! - krzyknął rozkazująco i gdy odsuwał tę przeszkadzającą mu rękę, była w jego oczach i w jego zachowaniu taka pewność końcowego zwycięstwa i tak sceptyczna niewiara w szczerść jej oporu, że Lizę ogarnęła po prostu wściekłość; odjęła dłoń od ust: - Mówię ci, puść mnie - zawołała szorstko, ze złością w oczach; Leo jednak wykorzystał ten moment i wpił się w jej usta; z ustami na jego ustach szamotała się przez chwilę, na próżno usiłując się uwolnić, po czym szarpnęła się całym ciałem i zerwała na równe nogi; odepchnęła Lea z taką siłą, że przewrócił się w poprzek fotela.

Wstał i nerwowo poprawiając zgniecioną marynarkę powiedział:

- Dość tych żartów, Lizo... Czy nie postanowiliśmy znowu zostać przyjaciółmi?... Co to za maniery!

Liza teatralnie wskazała palcem drzwi.

- Idź precz! - rozkazała.

- Co? Jak to? - zaczął Leo rozwścieczony do ostateczności.

- Nie kocham cię, nigdy cię nie kochałam! - krzyknęła Liza i pochyliwszy się zasyczała mu prosto w twarz: - Udawałam tylko, wywiodłam cię w pole, żeby nacieszyć uszy tymi bzdurami, które mi naplotłeś... a teraz idź już!

Leo stał przez chwilę jak skamieniały, po czym nagle jego osłupienie zmieniło się w pełną mściwości opętańczą złość:

- Ach tak - ryknął - mam sobie iść, kiedy się już zabawiałś moim kosztem! Ale wiedz, że nie pójdę... - zawahał się na chwilę, w złości na próżno szukając odpowiedniej kary dla Lizy: zgruchotać jakiś mebel czy wazon? Spoliczkować ją?

- Nie odejdę stąd, zanim cię nie pocałuję! - Cisnął na bok krzesło i próbował chwycić Lizę w ramiona; zaślepiony gniewem uważał, że ten pocałunek będzie się równał jej zdobyciu; zaświtała mu myśl, żeby ją rzucić na ziemię i pojąć na dywanie: Liza jednak wywinęła mu się i uciekła za fotel; stali tak przez chwilę twarzą w twarz, pochyleni, uczipieni fotela, śledząc wzajemnie swoje ruchy.

- Idź precz - powiedziała w końcu Liza zadyszana, potargana, przerażona brutalnością ziejącą z twarzy stojącego naprzeciwko niej Lea. Wtedy on z grubiańską przebiegłością złapał ją za włosy, odepchnął fotel i chwycił ją w ramiona.

Zmagali się przez kilka sekund: Leo próbował unieruchomić jej rękę, Liza usiłowała wyrwać się z jego objęć; udało się jej to wreszcie; podbiegła do drzwi.

- Wyjdź - rozkazała ponownie urywanym głosem - wyjdź albo będę krzyczała o pomoc! - Była czerwona, zdyszana, włosy miała zmierzwione, suknię odpiętą na jednym ramieniu, trzymała rękę na klamce, pierś jej falowała; lecz w tej samej chwili ktoś, próbując wejść, pchnął drzwi od strony korytarza.

- Nie, Mario, nie jesteś mi potrzebna! - zawołała nie odwracając się za siebie.

- Otwórz - dał się słyszeć męski głos zza drzwi - to nie Maria, otwórz - Liza machinalnie odsunęła się na bok; drzwi otworzyły się i wszedł Michele.

Trzymał w ręku kapelusz, ubrany był w nieprzemakalny płaszcz, z którego spływała woda; popatrzył na zadyszaną i rozchełstaną Lizę, na purpurowego Lea; odgadł natychmiast, co się tutaj działo. „Leo przyszedł nawiązać dawne stosunki - pomyślał - Liza go odtrąciła”; lecz nie zachował się zgodnie z owym rozumowaniem; wydało mu się niejasno, że powinien wykorzystać tę okazję do ostatecznego zerwania z Lizą; a poza tym czy nie było to jedyne wyjście, obowiązujące w tego rodzaju sytuacji?

- Wybaczcie - rzekł głuchym głosem, który miał być ironiczny - to moja wina... Postanowiłem nie przychodzić tu więcej, a jednak przyszedłem... przeszkodziłem wam... wybaczcie mi! - Skłonił się sztywno i śmiesznie, odwrócił się na pięcie i znikł; drzwi zamknęły się. Ów diabełek, który niczym zabawka na sprężynie wyłonił się z cienia korytarza i równie szybko w nim zniknął, uspokoił Lea; uśmiechnął się.

- Czy to jest twoja miłość, Lizo? - zapytał.

Liza, wciąż jeszcze osłupiała, kiwnęła ponuro głową, po czym nagle, jak gdyby nie mogła znieść myśli, że Michele odszedł bez pożegnania i może już na zawsze, skoczyła do okna i otworzyła je na oścież.

Mieszkała na pierwszym piętrze, okna były bardzo nisko; wyjrzała, owiało ją zimne powietrze; ulica była mokra i pusta, padało, wysoki, ogołocoony z liści platan rosnący naprzeciwko przesłaniał widok nieba; ale na dole, o kilka metrów na lewo, szedł spokojnym krokiem pod murem ktoś w zielonym nieprzemakalnym płaszczu, ściśniętym paskiem.

- Michele - zawołała Liza wychylając się - Michele! - Zobaczyła, że ogląda się od niechcienia, obrzuca ją zaciekawionym wzrokiem i idzie dalej. - Michele! - zawołała jeszcze głośniejszym głosem; tym razem chłopak ani nie przystanął, ani się nie obejrzał, tylko machnął ręką na pożegnanie; był już dość daleko, szedł szybko po mokrym chodniku, za chwilę miał zniknąć za zakrętem; Liza zrozumiała, że na nic się nie zda dalsze nawoływanie, i odwróciła się od okna.

- Wróci, nie bój się! - powiedział Leo stojący pośrodku salonu.

- Znam go... nie należy do tych, którzy potrafią coś robić na serio... Wróci, możesz być tego pewna.

Ten głos prowokował, znieważał, obrażał śmiertelnie; Liza, pełna godności, podeszła do przeciwległej ściany i nacisnęła dzwonek; za chwilę zjawiała się służąca.

- Mario, proszę odprowadzić pana do przedpokoju! - To był koniec, banalny i groteskowy koniec; z salonu do drzwi wyjściowych były dwa kroki. Leo wychodząc bełkotał zmieszany: - Już idę... Lizo... Już idę, pozdrów ode mnie Michela. - Służąca nie mogła połączyć się w sytuacji i ogłupiała spoglądała to na niego, to na Lizę. Lecz Leo nie czekał, żeby wskazała mu drogę; wziął płaszcz, kapelusz i sam wyszedł.

Deszcz orzeźwił go; otworzył parasol i szedł nie myśląc właściwie o niczym. „Mogło się udać albo nie udać - pocieszył się w pewnej chwili - i nie udało się”; potem jeszcze, pogodnie: „Po dzisiejszym doświadczeniu muszę zapamiętać raz na zawsze, że

mam trzymać się od niej z daleka". Wreszcie nic już nie myśląc, zapalił papierosa i uważnie wymijając kałuże szedł swoim zwykłym krokiem, ani wolno, ani szybko.

Gdy dotarł do końca ulicy, znalazł się na dużym placu, bez skwerów i bez pomników; ruszył w kierunku przystanku, gdzie grupka ludzi czekała na tramwaj; gdy podszedł bliżej, zobaczył między nimi Michela.

- No proszę! Jesteś tu jeszcze! - zagadnął go bez cienia urazy.

- A tak - odrzekł chłopak spoglądając na niego znudzonym wzrokiem - czekam.
- Chwila milczenia.

- Wobec tego - oświadczył Leo - że jadę do domu, mogę cię podwieźć taksówką... Taksówka!

Michele zgodził się: „I po co to wszystko?” - pomyślał siadając w samochodzie obok Lea.

Przez chwilę nic nie mówili.

- Czy możesz mi powiedzieć - zapytał w końcu Leo - dlaczego wyszedłeś? Czy nie domyśliłeś się, że ona pragnęła całą duszą, żebyś został?

Michele nie odpowiedział od razu; spoglądał przez szybę na zalane deszczem fasady domów.

- Wiem o tym - odrzekł w końcu.

- Wobec tego, dlaczego nie zostałeś?

- Bo... nie kocham jej.

Ta odpowiedź ubawiła Lea. Uśmiechnął się.

- Jak to - zaczął - czyżbyś uważał, że można żyć z kobietą tylko wtedy, kiedy się ją kocha?

- Tak uważam! - odrzekł Michele poważnym tonem, nie odwracając się.

- No, jeżeli tak uważasz... - mruknął Leo trochę skonsternowany. - Ale ja na przykład - dodał spokojnie - miałem aż nadto kobiet, których nie kochałem... Należy do nich również Liza... a pomimo to nigdy tego nie żałowałem: bawiłem się znakomicie.

- Nie wątpię - wycedził Michele przez zaciśnięte zęby; miał ochotę krzyknąć: „Do diabła z tobą! Czy myślisz, że wszyscy na świecie są tacy jak ty?”

- A poza tym - ciągnął dalej Leo - kiedy widzę, że taki chłopak jak ty, bez większych znajomości, bez pieniędzy, kręci nosem na taką kobietę jak Liza, która co

jak co, ale nie jest do pogardzenia, to wydaje mi się, że świat przewrócił się do góry nogami.

- Daj mu się przewracać... - burknął Michele, ale Leo tego nie dosłyszał.

- A zresztą róbcie sobie, co chcecie, mnie to nie obchodzi! - dodał Leo; zapalił papierosa i otulił się płaszczem.

Michele popatrzył na niego.

- A więc twoim zdaniem - zapytał - nie powinienem rezygnować z Lizy?

- Oczywiście, że nie - stwierdził Leo wyjmując z ust papierosa - przede wszystkim dlatego, że Liza naprawdę jest nie do pogardzenia, przyjrzałem się jej dobrze jeszcze dzisiaj... Jest za tęga, ale jędrna... ten jej biust - dodał mrugając porozumiewawczo do apatycznego Michela - te biodra... A przy tym, mój kochany, tego rodzaju kobieta może dać mężczyźnie bez porównania więcej niż te młode niedoświadczone gąski... Ona ma temperament, to stuprocentowa kobieta, a poza tym, gdzie ty dziś znajdziesz kochankę, która by cię przyjmowała u siebie w domu? Zwłaszcza, że ciebie nie stać ani na hotel, ani na garsonierę; pomyśl więc, co to za wygoda, gwizdziesz sobie na wszystko. A weź także pod uwagę, że u chłopców w twoim wieku zawsze w końcu wiezie się kochankę do jakiejś obrzydliwej dziury, do podrzędnych restauracji i hotelików, tak że na samą myśl o tym wszystkiego się odechciewa... Jeżeli dodać jeszcze, że Liza nie będzie cię kosztowała złamanego szeląga, no to czego więcej chcieć?

„No tak - powtórzył sobie w duchu Michele - czego więcej chcieć?” Milczał, siedział lekko pochylony do przodu, patrząc to na Lea, to na ulicę; zapadał zmierzch, latarnie nie paliły się jeszcze... Wilgotny cień wypełniał zatłoczoną ulicę, tak że nie było widać jej końca; ludzie, parasole, pojazdy, wszystko zlewało się w jedną deszczową dal, w której migąły pojedyncze żółte światła tramwajów i samochodów. „I co mam teraz robić?” - zadawał sobie pytanie; ilekroć obserwował tę ruchliwość, ten nieustanny wir życia, jego własna bierność budziła w nim przerażenie.

- Przestań medytować, mój drogi - usłyszał głos Lea - to wszystko jest o wiele prostsze niż ci się wydaje... Liza tylko czeka na ciebie: idź do niej wieczorem, a przyjmie cię z otwartymi ramionami.

Michele zwrócił się ku niemu:

- Więc powinienem udawać, że ją kocham... - zaczął mówić.

- Po co udawać? - przerwał mu Leo. - Kto ci każe? Nie filozofuj... Najważniejsze jest to, że ona jest gotowa pójść z tobą do łóżka... i to ci powinno wystarczyć.

Michele, zamyślony, znowu spoglądał na ulicę.

- Każ stanąć na placu - powiedział - wysiądę tam. - Chwila milczenia. - Słuchaj - dodał - gdyby ktoś cię w jakiś sposób obraził, no, powiedzmy ktoś, do kogo nie czujesz antypatii, a nawet, pomimo obrazy, nie potrafisz go nienawidzić... Czy udawałbyś obrażonego i spoliczkowałbyś go?

- To zależałoby od rodzaju i stopnia obrazy - odrzekł Leo.

- Załóżmy, że to ciężka obraza.

- W takim razie - odpalił Leo - wykluczam możliwość, żeby ten ktoś nadal był mi sympatyczny i żebym pozostał obojętny na zniewagę.

- No, ale gdyby tak było...

- To spoliczkowałbym go! - odrzekł bez wahania Leo. Taksówka zatrzymała się na placu, lecz zanim Michele wysiadł, Leo pociągnął go za rękaw.

- Pamiętaj - powiedział przymrużając oko i wymownie machając ręką - ulegnij Lizie - po czym rozsiadłszy się wygodnie, podał taksówkarzowi swój adres.

Po pięciu minutach był już u siebie w domu; przeszedł do gabinetu, którego nagie ściany wyłożone były do połowy boazerią i gdzie stały tylko biurko i półki; w gęstym cieniu deszczowego zmierzchu te banalne meble i użyteczne przedmioty ziały tanizną i nudą; była to najgorsza godzina, już nie białe popołudnie i jeszcze nie czarna noc, światło dzienne było za słabe, światło żyrandola za silne na ów bury półmrok; Leo zapalił więc stojącą lampę, przeczytał urzędowy list i właśnie zabrał się do napisania odpowiedzi, gdy zadzwonił telefon.

Nie odkładając pióra podniósł słuchawkę i przytknął ją do ucha.

- Kto jest przy telefonie? - zapytał kobiecy głos. „To Maria Gracja” - pomyślał Leo. - Mówi pani z numerem 31496 - odpowiedział.

- Czy to pan Merumeci? - upewniał się głos.

- Tak.

- No więc tu Maria Gracja... Carla proponuje, żeby iść potańczyć do Ritza... Wybierze się pan z nami?

- Dobrze, za godzinkę - rzekł Leo.

- A propos - ciągnęła dalej. - A kiedy my się spotkamy? - Leo wiedząc z doświadczenia, że zanosi się na jedną z nie kończących się rozmów, uciął krótko: - Zobaczymy - i szybko odłożył słuchawkę.

Skończył rozpoczęty list i zaczął następny; interesów nie prowadził w prawdziwym znaczeniu tego słowa, nie pracował, zajmował się jedynie administracją swojego majątku składającego się z nieruchomości oraz grą na giełdzie, bardzo ostrożną. Jego stan posiadania wzrastał regularnie z roku na rok; wydawał trzy czwarte dochodu, a za resztę kupował nowe mieszkania. Zakleił list, zapalił papierosa i poszedł do sypialnego pokoju; miał godzinę czasu, żeby się ogolić, przebrać i stawić punktualnie u Ardengich. Wszedł do łazienki, umył się, ogolił starannie z włosami i pod włos i zaczął się ubierać; przykładął wielką wagę do elegancji, lubował się w dobieraniu i noszeniu wykwintnej garderoby; włożył białą jedwabną koszulę, zawiązał czarny, przetykany srebrną nitką krawat, wciągnął wełniane skarpetki popielato-czerwone, wreszcie wystroił się w szafirowy garnitur w jodełkę, skrojony rzeczywiście po mistrzowsku; przejrzał się w lustrze i czy dlatego, że panujący w pokoju półmrok zmienił go i odmłodził, czy też dlatego, że jego elegancja uderzyła mu do głowy, uznał, iż jest pięknym mężczyzną o szlachetnym wyglądzie, nie pozbawionym melancholijnej dystynkcji; popatrzył na zegarek; minęły już trzy kwadranse; szybko wyszedł, skierował się do garażu i wyprowadził samochód; w dziesięć minut później zadzwonił do drzwi willi Ardengich.

W salonie paliła się tylko jedna lampa, przy której Leo zobaczył siedzącą nieruchomo Carlę; była gotowa do wyjścia, upudrowana, uczesana, uszminekowana, miała na sobie powiewną sukienkę koloru brzoskwińskiego.

- Mama zaraz przyjdzie - powiedziała.

- Doskonale - rzekł Leo siadając i mocno zacierając ręce. - A ty jak się czujesz?

- Dobrze! - Cisza. Leo ujął dłoń dziewczyny i ucałował ją.

- No więc co robimy?

- Idziemy potańczyć - odrzekła zamyślona - a na kolacji będziesz u nas, prawda?

- Na kolacji chyba nie - powiedział Leo - ale na pewno przyjdę po kolacji.

Dał się słyszeć trzask otwieranych i zamykanych drzwi; Carla szybko cofnęła rękę; wszedł Michele.

- Co za przepych - zawołał ze sztuczną wesołością - dobry wieczór, Leo... A więc co robicie, ludzie bogaci, szczęśliwi i wytworni?

- Idziemy potańczyć - odpowiedziała Carla tym samym tonem co poprzednio.

- Potańczyć? - Michele usiadł. - Wobec tego ja też pójdę... Chcesz, Carlo?

- To Leo zaprasza - oświadczyła patrząc na kochankę.

Leo podniósł głowę: „Figę zapraszałem!” - miał ochotę zawołać.

- Z jakiej racji Leo? - zaprotestował tymczasem Michele. - Stać mnie jeszcze na zapłacenie filiżanki herbaty. - Carla znowu spojrzała na Lea, który wtrącił żywo:

- Nie ma o czym mówić, zapraszam ja i płacę za wszystkich. Milczeli przez chwilę.

- Ale możesz z nami iść, Michele - dodała siostra - pod warunkiem, że się przebierzesz.

- Oczywiście... oczywiście... - Pochylił się: był niesamowicie brudny, buty miał zabłocone, spodnie przemoczone do kolan i wygniecione: - Oczywiście, święta racja. - Wstał. - Dziękuję ci stokrotnie, szczodry przyjacielu... i idę doprowadzić się do ładu - skłonił się i wyszedł.

- Smutno mi! - powiedziała Carla, jeszcze nim zamknęły się drzwi.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem. - Popatrzyła na czarne szyby połyskujące ruchliwymi punkcikami rozpryskującego się deszczu: - Może ta pogoda... - Pochyliła ku niemu ciężką głowę. Przyciągnął ją za włosy i pocałował. - Będiesz tańczył ze mną - powiedziała po pocałunku, z flegmatycznym bezwstydem - cały czas ze mną... Mamy nie zaprosisz ani razu... będzie tańczyła z innymi, chociażby z Michelelem... - Roześmiała się sucho; wydawało się jej, że postarzała się o rok. „To koniec” - pomyślała.

Pocałowali się znowu, po czym Leo powiedział stanowczo:

- A więc wieczorem przyjdiesz do mnie, prawda, Carlo?

Zbladła.

- Jak to do ciebie?

- No, do mnie do domu - wyjaśnił Leo patrząc jej w oczy; zobaczył, że zawahała się i spuściła głowę, jak gdyby szukała czegoś na dywanie.

- Nie, to niemożliwe - odpowiedziała w końcu.

- Dlaczego niemożliwe? - nie ustępował Leo. - Przyrzekłaś mi, że przyjdiesz, musisz przyjść.

- Nie, nie... - potrząsnęła głową - to niemożliwe. - Przez chwilę nic nie mówili; Leo pożerał wzrokiem dziewczynę, widok jej zarysowujących się pod suknią piersi podniecał go, pałały mu policzki: „Co to będzie za kochanka - myślał. - Do licha, co za kochanka!” Zaciskały mu się szczęki z pożądania; objął ją wpół:

- Carlo, musisz przyjść, musisz, jeżeli nie przyjdiesz, to... - zawahał się szukając przekonującego argumentu; przypomniał sobie nagle jej wstręt do obecnego życia, pragnienie rozpoczęcia wszystkiego od nowa - jeżeli nie przyjdiesz - dokończył skromnie - nie będziesz mogła stworzyć sobie nowego życia.

Spojrzała na niego: „Chce się mną zabawić - pomyślała trzeźwo - ale ma słuszość: co z tym nowym życiem?” Rozumiała, że na to, aby je odmienić, należało najpierw dokonać dzieła zniszczenia, a jednak ta nocna schadzka w nieznanym domu budziła w niej odrazę, bała się.

- Przyjdę za dnia - zaproponowała z udaną prostotą - jutro albo pojutrze... Chcesz? Wypijemy razem herbatę... porozmawiamy, podoba ci się ten pomysł?

- Podobasz mi się ty - rzekł Leo, po czym połapał się, że skuteczniej będzie przemówić poważnym tonem: - Nie, mój aniele, albo dziś w nocy, albo wcale.

- Ależ zastanów się, Leo! - zawołała błagalnie.

- Będę na ciebie czekał w samochodzie tu w pobliżu - ciągnął dalej - a o świcie odwiozę cię do domu - patrzył na nią przez chwilę - i zobaczysz: tak ci się to spodoba, że będziesz wracać co noc.

- Nie - odrzekła lekliwie - nie, potem wszystko będzie musiało być jasne, trzeba będzie wszystko powiedzieć... Nagle porwała ją taka rozpacz, że miała ochotę krzyknąć. „Co noc... - powtarzała sobie - co to znaczy? Jak ja do tego doszłam?”

- Jestem pewien, że przyjdiesz - powiedział Leo i gwałtownie chwycił ją w ramiona - no powiedz... Prawda, że przyjdiesz?

Uczepiła się ostatniej wymówki:

- Przecież my dopiero od dwóch dni się kochamy... dlaczego nie poczekać? Czy nie wiesz, że każda kobieta ma swoją godność osobistą?

- Moja droga - odrzekł szybko - rozumiem... to znaczy, czekam na ciebie dziś wieczorem, czy tak?

Zawahala się jeszcze.

- Powiem ci na dansingu - wyjąkała w końcu. - Tak - dodała, jak gdyby chcąc przekonać samą siebie - powiem ci na pewno na dansingu.

„Bogu niech będą dzięki” - pomyślał Leo; uściskał ją. - A teraz nie pozostaje nam nic innego jak iść na ten dansing - zawołał wesoło; objął dziewczynę przysuwając do jej wystraszonej i uszminekowanej twarzyczki swoją rozpromienioną twarz: - Wiesz, co ty jesteś? Cud dziewczyna... tak, cud dziewczyna.

Skrzypnęły drzwi.

- Idziemy, panie Merumeci? - zapytała wchodząc matka.

Leo wstał:

- Ależ... oczywiście - powiedział szybko - chodźmy! - Carla również wstała i podeszła do matki.

- Dlaczego nie wzięłaś torebki, którą ci podarował pan Merumeci? - zapytała Maria Gracja taksując córkę spojrzeniem od stóp do głów. - Będzie świetnie pasowała do tej sukienki.

- Idę po torebkę i zaraz wracam - oświadczyła Carla; i wyszła. Szybko wbiegła na schody i wpadła do swojego pokoju; torebka leżała na komodzie, elegancka, rzeczywiście w bardzo dobrym guście; gdy wzięła ją do ręki, nagle przyszło jej na myśl, że może to być pierwszy z długiej serii prezentów; było to istne olśnienie; stała jak wryta przed lustrem; i wydało jej się, że siedzi na kolanach Lea, czule poklepując go po policzkach, albo tuli głowę do jego piersi i prosi go szeptem o pieniądze na nową suknię; albo pójdzie z kochankiem do słynnej modystki i zamówi kilka paryskich kapeluszy, tych najmodniejszych, które tak się jej podobały; to wszystko było naprawdę bardzo pociągające, podobnie jak posiadanie samochodu, domu, biżuterii; jak podróże, poznawanie nowych ludzi i nowych krajów, słowem: swoboda ruchów, jaką dają nieograniczone możliwości pieniężne - niezwykle pociągające; i już uśmiechała się mimo woli, gdy niespodziewanie, przysuwając się do lustra, zobaczyła, że ma na szyi okrągłą czerwoną plamę. Początkowo nie zorientowała się, co to jest, potarła ją palcami, przyjrzała się... aż wreszcie przypomniała sobie, że przed chwilą, w salonie, Leo pocałował ją w szyję; ogarnął ją niedorzeczny lęk, że matka zauważy tę plamę, więc wzięła puderniczkę, upudrowała szyję i kiedy wykręcała się przed lustrem, by sprawdzić, czy kompromitujące zaczerwienienie znikło, władcze zaproszenie Lea na dzisiejszą noc oraz te podarki, te wymarzone stroje wydały się jej połączone nierozzerwalnym węzłem. „Mój Boże, więc to ma być nowe życie - zadała

sobie pytanie z powierzchownym i konwencjonalnym lękiem, nie na tyle świadoma tego, co czuła, aby przestraszyć się naprawdę - to ma być nowe życie?" Nie miała jednak czasu zastanowić się nad tym; z ciemności, z ogrodu wzywał ją już skrzekliwy głos klaksonu.

Zgasiła światło, pędem zbiegła po schodach i pomimo że przy tym właściwie o niczym nie myślała, przeniknął ją dotkliwy smutek, chęć do płaczu wykrzywiła jej twarz śmiesznym grymasem. W przedpokoju było ciemno; doszła po omacku do westybulu, otworzyła drzwi; powitały ją wesole okrzyki matki, Lea i Michela, czekających w samochodzie. Plac pogrążony był w gęstym mroku; padało bezgłośnie, widać było tylko połyskliwy samochód i żółte oświetlone szyby, za którymi, wewnątrz wyściełanego pudełka, różowe, radosne, zadowolone twarze tamtych trojga niecierpliwie jej wyglądały. Trwało to jedną chwilę, po czym Carla wsiadła zajmując miejsce obok kochanka; samochód ruszył.

W czasie drogi milczeli wszyscy czworo; Leo wprawnie prowadził duży wóz w zamięcie zatłoczonych ulic; Carla nieruchoma i zamyślona patrzyła przed siebie; za błyszczącą maską widziała samochody z czerwonymi światłkami, które pod siekącym deszczem śmigają we wszystkie strony jak szalone wśród dwóch czarnych procesji parasoli. Matka też wyglądała przez okno, nie po to jednak, by widzieć, ale żeby być widzianą: ten duży luksusowy samochód dawał jej poczucie szczęścia i bogactwa, więc gdy tylko jakaś zbiedzona lub pospolita twarz wyłaniała się z szarego tłumu ulicznego i przesuwiała się jej przed oczami, miała ochotę skrzywić się z pogardą, jak gdyby chciała powiedzieć: „Ty, głupcze, idziesz piechotą, dobrze ci tak, nie zasługujesz na nic innego; ja natomiast nie muszę mieszać się z gawiedzią, siedzę rozparta w aucie i słusznie mi się to należy”.

Jeden tylko Michele nie patrzył na ulicę, obchodziło go jedynie to, że jedzie luksusowym samochodem, nic poza tym nie istniało dla niego; twarze jego trojga towarzyszy były niewidoczne w cieniu, ale ilekroć samochód przejeżdżał pod latarnią, żywy blask oświetlał na moment te siedzące nieruchomo postacie: ukazywała się wtedy twarz matki, wymacerowana, o głęboko wyżłobionych rysach i chełpliwych oczach; twarz Carli - dziewczęca, upojona perspektywą zabawy, i twarz Lea z profilu, czerwona, regularna, twarda jak nieokreślone i przerażające przedmioty, które pojawiają się na ułamek sekundy w świetle błyskawic podczas burzy. Michele za każdym razem na widok tych trojga dziwił się, że jest razem z nimi: „Dlaczego to właśnie ci - myślał - a nie inni?" Te osoby były mu dzisiaj bardziej obce niż

kiedykolwiek, nie poznawał ich niemal, wydawało mu się, że blondynka o niebieskich oczach na miejscu Carli, wysoka i szczupła kobieta na miejscu matki, drobny i nerwowy mężczyzna na miejscu Lea nie odmieniliby jego życia; siedzieli po ciemku nieruchomi, przy każdym wstrząsie samochodu zderzali się ze sobą jak bezwładne kukły; rozpaczą napełniała go myśl, że są do tego stopnia dalecy, oderwani, nieuchronnie sami.

Dojechali na miejsce: cztery czarne rzędy samochodów wypełniały ciemny plac przed hotelem; były one przeróżnego rodzaju i wielkości; szoferzy, przyodziani od stóp do głów w liberie z błyszczącego gumowego płótna, rozmawiali i palili papierosy w małych grupkach. Natomiast podwoje Ritza - przez kontrast z mrokiem zimowego wieczoru - jarzyły się luksusowym i gościnnym światłem. Kolejno weszli oszklonymi obrotowymi drzwiami, wydającymi znajomy ich uszom zgrzyt, do pełnego służby hallu; minęli szatnię, potem kilka pustych wyłożonych salonów i znaleźli się w sali balowej; koło drzwi siedzący przy stoliku mężczyzna sprzedawał bilety; Leo zapłacił; weszli.

Było już późno, zwarty tłum wypełniał niską i długą salę; stoły odsunięto pod ściany; pośrodku tańczono, a w głębi na podwyższeniu ocienionym dwiema palmami wybijali taneczny rytm Murzyni amerykańscy.

- Jaki ścisk - powiedziała matka z nutą podziwu i pesymizmu, rzucając dokoła pełne godności spojrzenie. - Zobaczysz, Carlo, że nie znajdziemy miejsca.

Tymczasem wbrew jej przewidywaniom znaleźli mały stolik w rogu; usiedli; matka zdjęła płaszcz.

- Wiecie - rzekła rozglądając się dokoła i zwracając się do całej trójki - że jest tu dużo znajomych... Patrz, Carlo, widzisz Valentinich?

- Są też Santandrea, mamó.

- I Contri - dodała matka i pochylając się do przodu dodała ściszym głosem: - *Á propos* państwa Santandrea, wiesz, jak wyglądała ich podróż poślubna przed dwoma miesiącami do Paryża? W tym samym wagonie sypialnym był oblubieniec, oblubienica i... przyjaciel oblubienicy... No ten, jak on się nazywa?

- Giorgetti - wtrąciła Carla.

- No właśnie, Giorgetti; pomyśl, co za historia; po prostu trudno uwierzyć.

Muzyka przestała grać, tancerze po daremnych oklaskach wrócili na miejsca; gwar spotęgował się natychmiast; matka zwróciła się do kochanka:

- Co by pan na to powiedział - zaproponowała - żebyśmy się wybrali dziś wieczorem do teatru na przedstawienie tego francuskiego zespołu... Mam łożę na drugie przedstawienie, albo dzisiaj, albo pojutrze.

- Dziś wieczór nie mogę - odrzekł Leo, uważnie spoglądając na Carlę - o jedenastej mam spotkanie, na które muszę się stawić.

- Spotkanie o jedenastej wieczorem! - powtórzyła matka na pół sarkastycznie, na pół poufale. - Proszę się przyznać, panie Merumeci: z mężczyzną czy z kobietą?

Leo zawahał się; czy miał wzbudzić zazdrość w matce, czy nie?

- Z kobietą, oczywiście - powiedział w końcu - ale źle się wyraziłem, to nie spotkanie, tylko wizyta... zimny bufet... u pewnej pani, która urządza przyjęcie dla przyjaciół...

- A któż to taki, ta pani, jeżeli można wiedzieć? - zapytała twardym tonem matka, już w najwyższym stopniu rozdrażniona. Leo zmieszał się, nie przewidział tej indagacji; szukał... szukał nazwiska jakiejś osoby, której matka nie znała:

- Smithson - znalazł wreszcie - wie pani, ta malarka.

- Ach! Doskonale - zawołała matka z gorzkim triumfem - pani Smithson... Przykro mi, doprawdy, ale byłam przedwczoraj u modystki i ona pokazała mi kapelusz, który pani Smithson kazała sobie przysłać do Mediolanu... No tak, bo ona jest już od pięciu dni w Mediolanie, ta pańska malarka.

- Jak to w Mediolanie? - powtórzył Leo zdumiony.

- No tak - wtrącił Michele - nie wiesz? Przyspieszyli datę otwarcia jej wystawy.

- Więc niech pan idzie do pani Smithson - matka uśmiechała się teraz jadowniczo - niech pan idzie, ale obawiam się, że nawet pociągiem czy samolotem nie zdąży pan na czas. - Umilkła na chwilę, Leo nic nie odpowiedział, Carla niemal przerażona uważnie obserwowała matkę. - Drogi panie, kłamstwo ma krótkie nogi - ciągnęła dalej - czy chce pan, żebym panu powiedziała, kto to taki ta osławiona pani, której musi pan złożyć wizytę? Oczywiście nie żadna uczciwa kobieta, pan nie ma takich znajomości... raczej jakaś dziwka, tak, jakaś ostatniego rzędu kokota.

Tym razem Carla tak zbladła, że Leo zląkł się, iż zemdleje albo wybuchnie płaczem; lecz nie zdarzyło się nic podobnego.

- Mamo, nie krzycz tak - powiedziała spokojnym głosem - ktoś mógłby usłyszeć. - Rozległy się trzy uderzenia batutą, zaczynał się taniec: - No co, Leo - dodała - zatańczymy?

Ruszyli na parkiet przeciskając się między stolikami; Carla wciąż była bardzo blada i gdy szła wśród gwarzących z ożywieniem ludzi, na jej twarzy malowało się coś w rodzaju lodowatej godności; lecz w tłumie, zanim oparła rękę na ramieniu swojego tancerza, podniosła głowę i powiedziała stanowczo, jak mu się wydało przez zaciśnięte zęby:

- Przyjdę dziś do ciebie, Leo... czekaj na mnie.

- Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. - Jej głos zmienił się już, nie był stanowczy, ale drżący, jak gdyby zabrakło jej tchu i zarazem odwagi. - Ale teraz - dodała - nic już nie mów do mnie... chcę tylko tańczyć.

Tańczyli, Leo z całej siły obejmował dziewczynę w talii, lekkość, niezwykle żar przypinały mu skrzydła do nóg i chociaż na parkiecie było ciasno, usiłował wykonywać najtrudniejsze figury. „Tym razem mam cię - myślał - mam cię”. W sercu Carli panowała rozterka; tańczyła opieszale, chętnie wydostałaby się z tego tłumy, aby usiąść gdzieś w kącie, zamknąć oczy; w nieustannym wirze karuzela tańczących par krążyła jej przed oczyma, twarze mężczyzn, kobiet, nieruchome, poważne, uśmiechnięte; muzyka była triumfalna, zwycięska, ale brzmiał w niej jednak nikły, drżący, smętny akord, bardzo zresztą banalny, który natrętnie powracał od czasu do czasu: twarze i muzyka, patrzenie i słuchanie przyprawiały ją o zawrót głowy.

Taniec się skończył; pary wracały na miejsce; wrócili też matka i Michele klócąc się zawzięcie.

- Nigdy więcej z tobą nie zatańczę - powtarzała matka, oburzona.

- O co chodzi? - władczo zapytał Leo.

- Nigdy, nigdy... - ciągnęła dalej matka. - Wyobraźcie sobie, że wszyscy na nas patrzyli... Bóg wie co mogli myśleć... to było straszne... on tańczył jak... jak - szukała odpowiedniego epitetu, ale była tak wzburzona, że nie znalazła go - jak złodziej.

- Ach, naprawdę? - zawołał Leo zdziwiony.

- Jak bezwstydnik! - zawołała matka.

- A czy można zapytać - rzekł chłopiec uśmiechając się z wysiłkiem - czy można zapytać, jak tańczą złodzieje?... A kto w tym towarzystwie jest złodziejem... Ja czy ktoś inny?

- Cicho - rzekła błagalnie matka rozglądając się dokoła.

- Nie - odpowiedział z naciskiem Michele - jeżeli już... to tańczę jak okradziony... lekki, bo pozbawiony wszelkich dóbr ziemskich, uosabiam pasję, radosne uniesienie... Natomiast, jeżeli chcesz wiedzieć, jak tańczy złodziej, musisz puścić się w tany z kimś innym - odparł świdrując wzrokiem Lea - tak, z kimś innym.

Leo, siedzący nieruchomo między dwiema zaniepokojonymi kobietami, milczał przez chwilę; potem uśmiechnął się.

- Myślę - powiedział wstając - że z tobą jest coś nie w porządku, Michele, i lepiej będzie, jeżeli wyjdiesz stąd natychmiast... chyba, że chcesz, abym ja wyszedł.

- Tak, idź, Michele, idź - prosiła matka; spojrział na nią.

- A więc - wyrwało mu się - wolisz, żebym wyszedł ja, twój syn, niż Leo, obcy człowiek?

- Przecież Leo nas tu zaprosił!

Nie mógł nic na to odpowiedzieć. „Ma rację - pomyślał - zapłacił za nas Leo”; popatrzył przed siebie: długa niska sala aż huczała od gwaru, ci wszyscy ludzie przy stolikach, uszmkowane kobiety siedzące z nogą założoną na nogę, z odsłoniętymi kolanami, mężczyźni rozparci na krzesłach, z papierosem w ustach, nonszalancko jedli, pili, rozmawiali; Murzyni stroili instrumenty pod palmami; nie było nic do powiedzenia.

- Masz rację - rzekł w końcu - idę... bawcie się... złodziej odchodzi - i wyszedł.

Na dworze wciąż padało. „Złodziej... złodziej - powtarzał sobie Michele prawie bez urazy, niejako z fałszywą egzaltacją. - Próbował też ukraść mi Lizę... więc kto jest tym złodziejem?"; lecz wkrótce, ku swemu zdumieniu, uświadomił sobie, że wcale nie jest zły; przeciwnie, jak najspokojniejszy; żaden postępek Lea, choćby najnikczemniejszy, nie mógł przełamać jego obojętności; zawsze kończyło się tak samo: po nieszczerym wybuchu nienawiści miał pustkę w głowie, czuł się trochę otepiały i dziwnie lekki.

Chodniki roily się od przechodniów, jezdnię wypełniały szczelnie samochody, była to godzina szczytu; Michele szedł w deszczu, bez parasola, powoli jak w słoneczny dzień, spoglądając na wystawy, na kobiety, na zawieszzone w ciemności świetlne reklamy; ale mimo że usiłował zainteresować się owym swoistym widowiskiem, jakie przedstawiała ulica, nie udawało mu się to; przygnębienie, które ogarnęło go bez powodu, gdy przechodził przez puste salony hotelu, nie mijało;

widział siebie samotnego, nędznego, obojętnego, takiego, jakim był, i nie mógł zapomnieć, że jest, i ten obraz go prześladował.

Przyszło mu na myśl, żeby iść do kina; luksusowe kino znajdowało się na tej właśnie ulicy; poszedł tam, obejrzał fotosy: chińska szmira kręcona w Ameryce; za głupie; zapalił papierosa i ruszył dalej w tę beznadziejną drogę wśród tłumu, w deszcz; wyrzucił papierosa: wszystko to było bez sensu.

Jego udreka jednak narastała, co do tego nie było wątpliwości; znał aż za dobrze jej kolejne fazy: najpierw bliżej nie określona niepewność, zniechęcenie, chępliwość, potrzeba zajęcia się czymś, zapalenia się do czegoś; potem, powoli, suchość w gardle, gorycz w ustach, wytrzeszczone oczy, natrętnie powracające do pustej głowy nedorzeczne zdania, po prostu wściekła rozpacz bez cienia nadziei. Michele odczuwał paniczny lęk przed ową udreka: chciał nie myśleć i jak inni ludzie żyć minuta za minutą, bez zgryzot, w zgodzie z samym sobą i ze wszystkimi; „Być głupcem” - wzdychał czasami; ale kiedy najmniej się tego spodziewał, jakieś słowo, jakiś obraz, jakaś myśl prowadziły go stale do tego samego zagadnienia; pryskało wówczas jego roztargnienie i wbrew chęci trzeba było myśleć.

Tego dnia, gdy szedł krok za krokiem zatłoczonymi chodnikami i patrzył w dół na setki migających w ruchu stóp, uderzyła go bezużyteczność tej przechadzki: „Ci wszyscy ludzie - pomyślał - wiedzą, dokąd idą i czego chcą, mają jakiś cel i dlatego śpieszą się, przejmują, są smutni albo weseli, żyją... Tymczasem ja nic... żadnego celu... wszystko jedno, czy chodzę, czy siedzę”. Nie odrywał oczu od ziemi: w tych depczących błoto nogach była pewność, ufność, których jemu brakowało; patrzył i wstręt, jaki czuł do siebie, wzmagał się; wciąż i wszędzie był taki właśnie rozpróżniony, obojętny; szedł przez tę smaganą deszczem ulicę tak samo jak przez życie, bez wiary i bez zapału, z oczyma urzeczonymi złudnym blaskiem reklam „Jak długo?” Podniósł oczy ku niebu; tam wyżej, w czarnej ciemności obracały się rozjarzone od świateł koła: jedno reklamowało pastę do zębów, drugie pastę do obuwia. Zwiesił głowę; nogi nie ustawały w marszu, błoto tryskało spod obcasów, tłum dokądś szedł. „A ja dokąd idę? - znowu zadawał sobie pytanie; przesunął palec pod kołnierzykiem. - Czym jestem? Dlaczego nie biegnę, nie śpieszę się, jak ci wszyscy ludzie? Dlaczego nie kieruję się instynktem, nie jestem szczery? Dlaczego nie mam wiary?” Udreka nie ustępowała: chętnie zatrzymałby jednego z tych przechodniów, zapytał, dokąd idzie, dlaczego aż tak się śpieszy; chciałby mieć przed sobą jakiś cel, choćby najbliższy, i nie krążyć tak po ulicach wśród ludzi, którzy ku czemuś dążyli.

„Dokąd idę?"; niegdyś, tak mu się przynajmniej wydawało, ludzie znali swoją drogę od pierwszego do ostatniego kroku; teraz nie; głowa w worku, ciemność, ślepotą, trzeba było jednak gdzieś pójść, ale gdzie? Michele pomyślał, że chyba pójdzie do domu.

Ogarnął go nagle gorączkowy pośpiech; ale jezdnię wypełniały po brzegi niezliczone samochody, jadące wolno wzdłuż chodników, nie można było przejść na drugą stronę, pod ukośnym deszczem, między czarnymi i oświetlonymi fasadami domów, dwa sznury samochodów podążających w przeciwnych kierunkach czekały na moment, kiedy korek się rozluźni i będą mogły śmignąć do przodu; on też czekał. I wtedy zauważył samochód większy i bardziej luksusowy od innych; siedział w nim mężczyzna sztywno wyprostowany, jego głowa pozostawała w cieniu, jego tors oplatała ramię, ramię kobiety, i można się było domyślić, że ona złożyła głowę na jego kolanach, uczepiwszy się ręką jego barku jak ktoś, kto błaga o coś i nie śmie spojrzeć w oczy; nieruchomy mężczyzna i tuląca się do niego kobieta, oświetleni białym światłem latarni, krótko znajdowali się w zasięgu wzroku Michela, potem samochód ruszył sunąc jak wieloryb między innymi autami; widział już tylko czerwone światełko nad tabliczką z numerem, było ono jak zew, potem też znikło.

Po tej scenie pozostał mu nerwowy i nieznośny smutek; nie znał tego mężczyzny ani tej kobiety, musieli to być ludzie z całkiem mu obcego środowiska, może cudzoziemcy, a jednak wydawało mu się, że ten obraz wyszedł z jego istoty, że był jedną z jego niespokojnych myśli, która przyoblekła się w ciało i którą dane mu było oglądać za sprawą jakiejś siły wyższej, to był jego świat, gdzie cierpiało się naprawdę i obejmowało się bezlitosne ramiona, i błagało się na próżno, a nie to przedpiekle pełne niedorzecznych hałasów, fałszywych uczuć, w którym plątały się koślawe i nieprawdziwe figury, Liza, jego matka, Carla, Leo, całe jego otoczenie; chciałby naprawdę nienawidzić tego mężczyzny, naprawdę kochać tę kobietę, ale wiedział, że nie ma się co ludzić, ta ziemia obiecana była dla niego zakazanym owocem, nigdy jej nie osiągnie.

Tymczasem policjant zatrzymał ruch; Michele przeszedł na drugą stronę; w połowie jezdni chwyciło go coś w rodzaju zawrotu głowy, nieznośnie dokuczliwe uczucie, zdjął kapelusz, aby deszcz orzeźwił go trochę.

Nie umiałby wyrazić tego, co czuł, kotłowało się w nim mnóstwo nieokreślonych pragnień, zamęt myśli sprawiał mu ból także fizyczny. Przejechała tuż koło niego wolna taksówka; wsiadł, podał adres, nie opuszczało go jednak

wspomnienie tamtych dwojga, mężczyzny i kobiety przytulonych do siebie w luksusowym samochodzie. „Gdyby tak wiedzieć, dokąd pojechali - myślał prawie poważnie - dać taksówkarzowi ich adres, poprosić, żeby mnie u siebie zatrzymali”. Te mrzonki i towarzyszące im obrazy uspokoiły go nieco, ale za każdym wstrząsem samochodu wydawało mu się, że budzi się z jakiegoś nieosiągalnego snu; uświadamiał sobie z goryczą, że te rojenia nie zmienią ani na jotę rzeczywistości, w której żył.

W pięć minut był na miejscu, przebiegł szybko przez ogród w coraz bardziej nasilającym się deszczu, wszedł do ciemnego westybulu; również w korytarzu było ciemno. Położył płaszcz i kapelusz na krześle i nie zapalając światła, po omacku ruszył w kierunku schodów. Lecz kiedy przechodził koło drzwi salonu, zauważył nagle światło sączące się przez dziurkę od klucza i usłyszał muzykę; tę samą melodię taneczną, którą grano tego wieczora na dansingu. „Prześladuje mnie to” - pomyślał, otworzył drzwi, wszedł; w mniejszej części salonu, gdzie przeważnie zasiadano na pogawędki, było ciemno, w drugiej za łukiem i dwiema kolumnami paliło się światło i ktoś grał na fortepianie. Podszedł bliżej; pochyłona nad klawiaturą osoba odwróciła się i spojrzała na niego: była to Liza.

„Przyszła, żeby tłumaczyć się przede mną - pomyślał znudzony - jak gdybym sam wszystkiego nie zrozumiał”. Usiadł na fotelu, w półcieniu.

- Byliśmy u Ritza - powiedział spokojnie - ale tak było nudno, że wyszedłem... a poza tym, wyobraź sobie, że pokłóciłem się z Leem.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Ach! Naprawdę? - zapytała wstając i zbliżając się do niego. Usiadła naprzeciw, jak najbliżej mogła: - A o co? - dodała z wahaniem, poufale. - Może o mnie?

Michele spojrzał na tę zaciekawioną twarz i miał wielką ochotę się roześmiać: „Moja biedna Lizo - odpowiedziałby najchętniej - co mam zrobić, żeby cię przekonać, że nie jestem w tobie zakochany?”; ale powstrzymywał się wiedziony współczuciem.

- Nie - odrzekł krótko - nie o ciebie, poszło o interesy, o interesy matki.

- Ach! Rozumiem - powiedziała Liza nieco zawiedziona; pożerała wzrokiem chłopca; nie mogła się doczekać chwili, kiedy mu wszystko wyjaśni. „Potem nie będzie już nieporozumień między nami - myślała - i on położy głowę na moich kolanach tak jak dziś rano”. Tymczasem mijała minuta za minutą, a ona nie znajdowała pretekstu, żeby zacząć mówić o tym, co leżało jej na sercu; popatrzyli na siebie.

- Powiedziałam tak - zaczęła nieśmiało Liza - bo uważam, że masz wszelkie powody, żeby mieć pretensje do mnie i do Lea.

- O co?... Niczego nie mam za złe ani tobie, ani jemu - rzekł Michele obserwując ją uważnie; i miał ochotę dodać: „Niestety”.

- Och, rozumiem cię - ciągnęła dalej Liza - jak cię rozumiem!... I dlatego uważam, że jestem ci winna wyjaśnienie.

Michele nie poruszył się i nic nie odpowiedział: „Muszę się zachowywać tak, aby odniosła wrażenie, że jestem nieobecny, myślą daleki od tych jej wynurzeń... że je lekceważę”.

- A przede wszystkim - Liza pochyliła się i zajrzała mu w oczy - jeżeli myślisz, że coś mnie łączy z tym człowiekiem, zapewniam cię, że jesteś w błędzie... Dawniej, muszę ci to powiedzieć, nie byłoby sensu tego ukrywać, był między nami romans... on mnie kochał... - Liza wykonała bliżej nie określony gest, jak gdyby odgrzebywała dawną przeszłość - byłam młoda, potrzebowałam pomocy; i w końcu uległam mu... zmusiły mnie do tego po części warunki, po części jego nieustępliwość.

- O ile wiem, jesteś wciąż jeszcze zamężna - wtrącił niemal bezwiednie Michele.

- Mój mąż uciekł - odrzekła Liza z wielką prostotą - w rok po ślubie... z całą moją biżuterią... - Zamyśliła się na chwilę, ale bez smutku i zakłopotania, jak osoba, która zamierza podchwycić wątek rozmowy przerwanej z błahego powodu.

- Uległam mu - mówiła dalej po krótkiej przerwie - i ciągnęło się to przez parę lat, przez trzy lata, dopóki nie uświadomiłam sobie pewnego pięknego dnia, że go nie kocham, że nie kochałam go nigdy, i zerwałam z nim.

„A czy to raczej nie on rzucił cię dla mojej matki?” - miał ochotę zapytać Michele; ale powstrzymał się, bo i na co by się to przydało?

- Przestaliśmy się spotykać, widywałam go tylko czasami u was... Aż do... dziś, kiedy przyszedł z Bóg wie jakimi zamiarami... Może liczył na to, że wszystko się zacznie od nowa! - Roześmiała się, żeby zaznaczyć, jak absurdalne były nadzieje Lea. - Jak gdybym mogła zapomnieć o jego zachowaniu się w stosunku do mnie, a przede wszystkim jak gdyby on był jedynym mężczyzną na świecie i wystarczyło mu kiwnąć palcem, żeby osiągnąć wszystko, co zechce... Właśnie pokazałam mu drzwi, kiedy przyszedłeś ty... tak było naprawdę, wierzaj mi, mogę ci przysiąc na wszystko, co mam najświętszego.

Liza umilkła i spojrzała błagalnie i zarazem niepewnie na Michela; on spuścił głowę i patrzył na swoje dłonie.

- Tak, rzeczywiście - rzekł w końcu ukazując roztargnione oczy i lekko zaaferowaną twarz.

Co rzeczywiście? Co oznaczało to „rzeczywiście”? Czy chciał powiedzieć: „Rzeczywiście, nie zdradziłaś mnie”? - czy też: „Rzeczywiście zdradziłaś mnie”? To słowo spotęgowało zakłopotanie Lizy; pochylona, przejęta jeszcze tym, co powiedziała, wpatrywała się w Michela, jak gdyby chciała wyczytać z jego twarzy właściwe znaczenie jego odpowiedzi; lecz chłopak zachowywał się z ostentacyjną obojętnością, jego oczy miały twardy wyraz; wyglądał, jak gdyby w ogóle nic nie powiedział.

Liza, rozczarowana, wyprostowała się w fotelu; osaczyły ją przeróżne obawy: „Nie wierzy mi - myślała i miała ochotę załamać ręce z rozpacz - a przecież powiedziałam mu szczerą prawdę”. Dłuższa chwila minęła w kłopotliwym milczeniu; po czym Liza zaśmiała się.

- Ten biedny Leo - zawołała - ma dziś pechowy dzień: pokłócił się ze mną, z tobą, nie licząc twojej matki, bo z nią wciąż się kłóci... Och, ileż niepowodzeń!

I śmiała się nerwowo, fałszywie; między jednym talem śmiechu a drugim obserwowała Michela i widziała, że ich nieporozumienie narasta. Śmiała się; dwie małe żarówki na fortepianie wkręcone w oprawki imitujące świece, całe zakapane, oświetlały podłużne i błyszczące wieko i wyglądały jak dwie gromnice nad trumną; śmiała się, i ten śmiech zamierał jej w gardle na widok nieruchomej i wyrażającej jakby politowanie, tak, politowanie, twarzy Michela: twarz ta mówiła wyraźnie: „To przecież wariatka: trzeba słuchać, co mówi, potakiwać jej i robić wszystko, żeby jej nie rozdrażnić”; w dążeniu do zgody i w tym głodzie miłości, jaki odczuwała, nic nie mogło zboleć jej okrutniej niż owa wystudiowana oziębłość. Potem Michele powiedział:

- Pewnie, mogło mu pójść lepiej.

Ta odpowiedź odebrała Lizie ostatnie złudzenia: ogarnęło ją gorzkie zniechęcenie: „Mści się - pomyślała - myśli, że go zdradziłam, nie chce mnie nawet słuchać i odpowiada mi jak idiota”.

Michele siedział tam, naprzeciw niej; nie ulegało wątpliwości: ta czystość, ta szczerłość, którą tak pragnąłby odnaleźć, były nadal z tych oczu, z tego czoła: jej miłość

była prawdziwa, istniała naprawdę; wydało się, że potrafi go przekonać, o ile uda się jej znaleźć odpowiednie słowa.

- Słuchaj, Michele - powiedziała błagalnie, znowu pochylając się ku niemu - to nie moja wina, że mnie zastałeś z Leem... on przyszedł niespodziewanie, a poza tym jak możesz przypuszczać, że po tym, co zaszło między mną i tobą z rana, mogłabym po południu pozwolić na jakąś poufałość innemu mężczyźnie?... I wiesz, że niemożliwością jest, żebym pokochała Lea: jest gruboskórny, interesowny; źle mnie sądzisz; musisz się do mnie przekonać: myślisz, że jestem frywolna... jak by tu powiedzieć?... łatwa, ale zapewniam cię, że to nieprawda; jestem zupełnie inna, potrzebuję czegoś więcej... gdybyś ty wiedział, ile o tym myślałam... czegoś, co nie jest tylko pozorem, ciałem, ale także... - urwała nagle patrząc na Michela - i właśnie w tobie - dodała powoli, ściszone głosem, przysuwając twarz do twarzy Michela - w tobie to znalazłam i dlatego szanuję cię i Kocham.

„To się nazywa mówić otwarcie” - pomyślał Michele. Nie odpowiedział, lekko odrzucił głowę do tyłu raczej z zakłopotaniem niż z niechęcią i obserwował Lizę; wychylała się całym tułowiem z niskiego fotela i w tej pozycji jej kształty rozsadyły obcisłą suknię, podkasana spódnica obnażała pulchne kobiece udo uciśnięte różową podwiązką. Uderzył go ten ostatni szczegół: „Jest naprawdę nie do pogardzenia - pomyślał - Leo ma rację”. Od razu jednak, po trosze z powodu fałszu, jakim przesycona była cała rozmowa, a po trosze dlatego, że uświadomił sobie niskość tego rodzaju myśli, ogarnęła go tak silna odraza, że zadrżały mu wargi. „To nie jest to - pomyślał - to nie może być to”. Spuścił oczy i odchylił się jeszcze bardziej do tyłu.

- Nie, nie patrz tak na mnie! - zawołała, nim Michele zdążył coś powiedzieć; przeraziła się widząc, że chłopiec po chwili rokującego nadzieję zmieszania, wywołanego widokiem jej nagiego uda, stał się znowu zimny jak lód. - Nie bądź taki... taki skryty, proszę cię, odpowiedz mi... Powiedz poważnie, co myślisz.

Nastąpiło milczenie i Michele, po raz pierwszy od chwili powrotu do domu, dosłyszał plusk deszczu zacinającego w szyby; przypomniał sobie pozostawionych w hotelu Lea, matkę i Carłę.

- Co myślę? - powtórzył w końcu bez cienia ironii. - Myślę o tym, że oni jeszcze nie wracają, że jest niepogoda... oto, co myślę.

Milczenie; Liza, wciąż pochylona do przodu, siedziała bez ruchu; nie było nic do powiedzenia, wszelkie próby zawiodły... Patrzyła na buty Michela, miała wrażenie,

że mąci się jej w głowie; przyłapała się na myśli: szkoda, że odtrąciłam Lea... teraz miałabym chociaż jego..."

Tymczasem mrok w salonie pogłębiał się, pochłaniał ściany i meble, gęstniał, opadał na nich oboje, osnuwał wszystko dokoła; tworzyła się kawerna wydłutowana w ciemności, o niskim, zakopconym łuku, kawerna mdłego światła; pochylone w tej zamierającej aureoli dwie czarne postacie czuwały przy trumnie, nad którą gromnice drgały, różowiły, bladły... i w końcu zgasły.

- Co się stało? - dał się słyszeć z nocnej otchłani zgnębiony głos Lizy.

- Nic strasznego - padła odpowiedź - po prostu z powodu niepogody ustał dopływ prądu... Poczekamy.

Milczenie; ciemność, szum deszczu; potem Michele poczuł dłoń na swojej dłoni i uśmiechnął się bezlitośnie. „Oto odpowiedni moment - pomyślał - odpowiedni moment, aby przebaczyć, zapomnieć i w opatrnościowych ciemnościach ulec uczuciom."

Lecz jego udręczona wyobraźnia odrzucała sarkazm i pieszczota tych palców pobudzała go do pasjonujących marzeń: tak, odszukać Lizę w tych ciemnościach, przygarnąć ją do siebie, przypieczętować jej usta pocałunkiem, szczerym, ostatecznym... Walczył przez chwilę z tą pokusą; przed pełnymi mroku oczyma przebiegały mu obrazy jeden za drugim; na wspomnienie nagiego uda Lizy odczuwał wzmagające się pożądanie, wrócili mu też na myśl kobieta i mężczyzna widziani w samochodzie. „Dlaczego Liza nie jest tamtą kobietą? - myślał. - Dlaczego ja nie jestem tamtym mężczyzną?" Słysząc było deszcz siekający o ściany willi, w nieprzeniknionej ciemności głupia i żarliwa dłoń nie ustawała w ciepłej pieszczocie, Michele nie śmiał odepchnąć jej i utracić; liczył sekundy i postanowił czekać minutę na światło, które ich rozdzieli." O, rączko - wołał w duchu - poczekaj jeszcze trochę... przynajmniej tyle, ile potrzeba dla zachowania pozorów!" Ale światło nie zapłonęło; minęła minuta; wówczas, pomimo że uświadamiał sobie w pełni, jak śmieszny jest ten akt uległości, pochylił się i pocałował Lizę w rękę.

„Teraz już koniec wszystkiego - pomyślał zaraz - teraz wezmę ją na kolana i pocałuję w usta"; i już miał zamiar to zrobić, gdy z korytarza doleciał odgłos rozmowy i śmiechu. Drzwi salonu otworzyły się; drżący blask świecy wtargnął w ciemności i rozkołysał cały pokój; gigantyczne cienie obity się o sufit, przeplatane błyskami żywego światła; weszła matka, za nią ukazali się Carla i Leo.

Szli małymi krokami, najwidoczniej usiłując rozpoznać, co to za para siedzi w salonie; Leo trzymał w ręku świecę, widać było doskonale jego czerwoną twarz, całą zalaną światłem; matka i córka stały po bokach i były tylko do połowy oświetlone; zbliżali się niepewnie, z nimi sunęły po ścianach i po suficie ich olbrzymie cienie.

- Ach, to ty! - zawołała w końcu matka poznając Lizę.

- Siedzisz tutaj? - zapytała z kolei Carla. - Czy dawno zgasło światło? Myśmy byli na dansingu i bawiliśmy się doskonale... No i wyobraź sobie, że mama i Leo zatańczyli charlestona.

- I jak dobrze! - rzekł Leo podchodząc bliżej.

- Ach, panie Merumeci, proszę mi nie mówić o tym charlestone - westchnęła siadając matka; wyglądała na bardzo zmęczoną. - Wyobraź sobie - dodała zwracając się do Lizy - w pewnej chwili odsuwa się ode mnie, zaczyna fikać nogami i mówi do mnie: „Proszę robić to samo”. Ja początkowo nie chciałam, potem zaczęłam go naśladować i po pięciu minutach tańczyłam najlepiej ze wszystkich kobiet na sali... Wcale nie jest trudny ten wasz charleston.

- Daj spokój... przecież nie można powiedzieć, że naprawdę umiesz go tańczyć - stwierdziła Carla.

- Jak to nie? - obraziła się matka. - Mogę ci pokazać nawet teraz... to takie łatwe.

- Ależ, mam - nie ustępowała Carla - nie można się przecież tak szybko nauczyć.

- Ach tak? - odrzekła matka, na dobre już rozgniewana, i wstała. - A więc zaraz ci zatańczę... choćby dlatego, żebyś wiedziała, że ja nie mam zwyczaju kłamać, tak jak ty.

Zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez krzesło.

- Lizo, proszę cię, zagraj charlestona - dodała zwracając się do przyjaciółki. - tam leżą nuty... wszystko muzyka taneczna.

Liza wstała; Leo ze świecą w ręku poszedł za nią.

- Co chcesz? - zapytała Liza przeglądając nuty przy świecy: - „Na transatlantyku”? „Noc w Nowym Jorku”?

- Może być „Noc w Nowym Jorku” - zgodziła się matka.

Liza siadła do fortepianu, Leo stanął obok, oświetlając jej nuty; Carla i Michele, spowici w mrok pod przeciwległą ścianą, patrzyli milcząco i nieruchomi.

Zabrzmiała w ciszy muzyka lekka i dysonansowa.

- No, prosimy - zachęcał Leo. Patrząc uważnie na nogi, matka zaczęła tańczyć; płomyk świecy słabo oświetlał jej twarz uszmiękaną i poczerwieniałą, zwioteczała i poraną zmarszczkami; suknię miała obcisłą i przy każdym ruchu lśniący materiał opinał się jej na biuście i na biodrach; wyrzucała nogi to w tę, to w tamtą stronę, starając się nie wypaść z rytmu i nie rozłączać kolan; najwidoczniej jednak niewiele zostało jej w pamięci z lekcji udzielonej przez Lea, bo w pewnej chwili przestała tańczyć spoglądając na kochanka z rozczarowaną miną.

- Nie wiem... w hotelu grali co innego - powiedziała - pod tę melodię nie umiem tańczyć.

- Jak widzisz, mam - oświadczyła Carla wychodząc z cienia - ja miałam rację.

- Nic podobnego - w blasku świecy żywe niezadowolenie malowało się na twarzy matki - to był inny taniec.

- Sama go wybrałaś - wtrąciła Liza odwracając się od fortepianu.

Leo podszedł ze świecą do skłóconej grupki.

- Drobiazg... drobiazg - powtarzał pojednawczo - jeszcze spróbujemy innym razem.

Wszyscy pięcioro milczeli przez chwilę, przyglądając się sobie; deszcz musiał być teraz większy, bo słychać było przeciągły szum pomieszany z porywami wiatru uderzającego w okiennice; wreszcie odezwała się Carla:

- Trzeba się przebrać, bo już niedługo będzie kolacja.

- Zje pan z nami kolację, prawda? - zawołała matka, chcąc za wszelką cenę wyłudzić od kochanka spotkanie na następny dzień.

- Nie... to znaczy tak... - odrzekł Leo.

Ruszyli ku drzwiom niepewnym krokiem, gęsiego; matka trzymała teraz świecę i zakomenderowała: - Kto mnie kocha, za mną. - Carla śmiała się. Ale Leo, przed wyjściem podszedł do Michela, który nie ruszył się z miejsca.

- No więc - zapytał - czy zrobiłeś tak, jak ci radziłem? Pamiętaj, że Liza jest warta grzechu... tłuścioch, ale doświadczona. - Po czym mrugnawszy porozumiewawczo do milczącego i obojętnego chłopca wyszedł wraz z całym towarzystwem z salonu; świeca rzuciła ostatni błysk na futrynę drzwi i zniknęła w czarnej czeluści korytarza; słychać było jeszcze głosy, między innymi głos matki: „Carlo, otwórz drzwi”. Michele pozostał w ciemności.

Szli wszyscy razem po schodach, potrącając się i gawędząc. W hallu na górze Carla znalazła w szufladzie jeszcze dwie świece; zabrała je matka i zaciągnęła Lizę do swego pokoju, żeby jej pokazać nową suknię.

- Złoty żabot - powtarzała po drodze - zobaczysz... to teraz najmodniejsze.

W hallu zostali Leo i Carla. Popatrzyli na siebie: w pozbawionych wyrazu oczach mężczyzny czaiło się wielkie podniecenie; postawił świecę na stole i owłosionymi palcami ścisnął aż do bólu rękę Carli, rękę, która mu się tak podobała, bo była mała, zimna i wąska; od stóp do głów mierzył Carłę spojrzeniem flegmatycznym i zarazem przenikliwym, wysilał swoją pozbawioną lotności fantazję, aby wyobrazić sobie śmiałe pieszczoty, jakimi będzie obdarzać go ta chłodna ręka z naturalnością nie pozbawioną zdumienia. „To jedna z tych rąk - myślał - które są tak delikatne, że wyglądają jak kwiaty, a potem, aby dać rozkosz, są zdolne do wszystkiego”. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się podniecał, w końcu jego twarz stwardniała, puścił rękę Carli i objął dziewczynę w pól. - Nie, Leo... nie... uważaj - szepnęła próbując się uwolnić; w końcu przestała się bronić. W tej samej chwili weszła Liza.

Zobaczyła tych dwoje przytulonych do siebie pośrodku hallu, który miał dokoła pięćdziesiąt drzwi z aksamitnymi kotarami; cofnęła się o krok i ukryła; gdy wyjrzała, lekko rozchylając kotarę, w mroku słabo rozjaśnionym przez stojącą na stole świecę zobaczyła dwie jeszcze zetknięte z sobą głowy, chwiejące się przy pocałunku; ich cienie w głuchej ciszy pełzały po suficie. Nie myślała o niczym, biło jej serce; przestała na chwilę podglądać i stała w ciemności niezdecydowana i przerażona, między drzwiami a portierą; potem ostrożnie wyjrzała znowu: siedzieli teraz koło siebie i Leo powiedział:

- Wydało mi się, że ta kotara się poruszyła... Duchu - dodał śmiejąc się i parodiując amatorskie seanse spirytystyczne przy stoliku - jeżeli tu jesteś, zastukaj raz, jeżeli cię nie ma, zastukaj dwa razy! - Carla, której częściowo oświetlona twarz była nachmurzona, roześmiała się mimo woli; Liza za kotarę miała ochotę zastukać, by zobaczyć ich odskakujących od siebie ze spłoszonymi twarzami i wystraszonymi oczyma.

- Usiądź tu - mówił tymczasem Leo - u mnie na kolanach.

- Ależ, Leo - powtarzała błagalnym głosem Carla - Leo... a gdyby ktoś wszedł?

- Nic się nie bój! - Szelest; Liza wyteżyła wzrok: nie, to nie był sen: Carla siedziała na kolanach Lea, z głową przy jego głowie, on całował ją w szyję.

- A teraz, Carlo - rzekł wesoło Leo - jeżeli jesteś, pocałuj mnie raz, jeżeli cię nie ma, pocałuj mnie dwa razy! - Zapanowała cisza; duża, ciemna głowa Carli żałośnie się pochylała, po czym nagle wyprostowała się: - Nie, Leo, nie... co to, to nie! - i broniła się wśród drgania gigantycznych cieni; potem nagle znieruchomiała; świeca rzucała to długie, to krótkie blaski; ci dwoje, pochłonięci sobą, siedzieli bez ruchu, w milczeniu; raz po raz dawało się słyszeć skrzypienie kanapy. Wówczas Liza po cichu wróciła do pokoju matki.

Zdążyła już ochłonąć ze zdumienia i ogarnęła ją z kolei mściwa radość: „Wezmę teraz za rękę Marię Grację - myślała - i pokażę jej, co wyprawia ten jej kochany Leo”. Lecz nie wiadomo dlaczego, gdy weszła do pokoju, rozbroił ją widok matki.

Zastała ją ze świecą w ręku, spacerującą przed lustrem i przeglądającą się w nowej sukni.

- Jak ci się podoba? - zapytała, bardzo zaniepokojona fałdką, którą zauważyła w pasie: suknia w tym miejscu wyraźnie się marszczyła. - Dam tutaj wstążkę - mówiła - albo... albo ty mi coś doradź, Lizo. - Krygowała się przed lustrem i wykręcała na wszystkie strony, niezadowolona; Liza usiadła w ciemnym kącie: teraz, sama nie wiedziała czemu, na wspomnienie tamtych dwojga ścisnęło się jej serce i przymykały oczy.

- Nie wiem... - powiedziała wymijająco.

- Jak to nie wiesz! - rzekła matka zdziwiona, przeglądając się w lustrze. - Widzisz, że ja się tym martwię, a ty mi odpowiadasz: nie wiem... co wobec tego wiesz?

„Wiem tyle rzeczy” - chciała odpowiedzieć jej Liza, ale teraz nie miała już najmniejszej ochoty zdradzić tej tajemnicy; powstrzymywały ją od tego względy osobiste, poczucie godności własnej: nie chciała, aby myślano, że do wyjawienia nowego romansu Lea skłoniła ją małostkowa mściwość zdradzonej kochanki, a nie odraza, jaką odczuwała, i przywiązanie do Carli; i dlatego postanowiła milczeć.

- A może by przypiąć złotą różę, jak myślisz? - pytała tymczasem matka; świeca, którą trzymała w ręku, rzucała niespokojne odbłaski na jej zwiotczalą twarz.

- Tak, oczywiście - powiedziała od niechcienia Liza; wciąż miała przed oczyma te dwie przytulone do siebie głowy i naprawdę cierpiała, co zdarzyło się jej po raz pierwszy; cierpiała jak nad czymś nieskończenie smutnym i przygnębiającym.

- A na przykład pasek - nalegała dalej matka - co o tym sądzisz, złoty wążutki paseczek? - Nadal się przeglądała, już nieco pocieszona. - To przepiękna suknia -

dodała - tylko ta zmarszczka... ta przekłeta zmarszczka! - Nagle na jej twarzy odmalowało się wahanie: - A może mam na sobie nieodpowiednią halkę? - zastanawiała się, po czym, postawiwszy świecę na podłodze, uniosła obiema rękami spódnicę i obciągnęła na sobie bieliznę. Świeca drgała, chwiała się i czarne smużki dymu wiły się w powietrzu; siedząca w ciemnym kącie Liza nie poruszała się i nie odzywała ani słowem: wodziła oczyma to po grubych, odsłoniętych nogach matki, to patrzyła na drzwi, za którymi, w hallu, całowali się Carla i Leo. Dławiła ją odraza, uczucie również całkiem dla niej nowe; prorocza odraza, gdyż wzięwszy pod uwagę młodość dziewczyny, trzeźwo przewidywała oplakane skutki tego związku; nie była tym zgorziona ani zdziwiona, o nie! Odczuwała natomiast bliżej nie określoną litość dla matki, Lea, Carli, dla wszystkich bez wyjątku, nawet dla samej siebie. Nowość tych wszystkich uczuć niemal ją przerażała; była bardzo zmęczona; w końcu ogarnęło ją histeryczne pragnienie opuszczenia tego domu, przemyślenia w samotności wszystkich wydarzeń tego dnia.

Wstała.

- Idę już - oświadczyła.

Matka, która zdjęła suknię, podeszła do niej w krótkiej halce i majtkach.

- Już? - zawołała, ale nie zatrzymywała jej; uściskała ją i odprowadziła do drzwi ze świecą.

- Co robisz wieczorem? - zapytała w progu.

- Idę do łóżka - odrzekła po prostu Liza; zobaczyła, że matka obserwuje ją bacznie, niedowierzająco: - Wobec tego do widzenia - powiedziała i wyszła z pokoju trzasnąwszy drzwiami, by przestrzec kochanków.

Carla od razu wstała z kanapy i podeszła do niej.

- Odprowadzę cię - powiedziała, a ty, Leo, posiedzisz chwilę po ciemku. - Płomyk świecy oświetlał jej okrągłą twarz; Liza zauważyła, że oczy dziewczyny są zmęczone i mętne, a policzki bledsze niż zwykle. Zapragnęła nagle porozmawiać z Carlą, powiedzieć, że ich widziała, ale dziewczyna odwróciła się już i schodziła ze schodów.

Liza ruszyła za nią i na każdym stopniu zastanawiała się: „Mam z nią pomówić czy nie?” Patrzyła na dziecinne policzki Carli, na jej dużą głowę, i jej współczucie rosło: „Maria Gracja jest winna, że to biedactwo znalazło się w takim położeniu”.

Doszły do przedpokoju: miała mówić czy nie? Liza jeszcze nigdy nie przeżywała tak dręczącej rozterki i nigdy dla nikogo nie czuła tak ogromnego współczucia. „To nie jej wina” - powtarzała sobie i chciała okazać dziewczynie, choćby bez słów, jakimś spojrzeniem czy odruchem, że wie o jej wstydlivej tajemnicy; ale jak to zrobić?

Włożyła kapelusz przed lustrem w korytarzu, nie przestając zerkać na Carlę, która stała ze świecą.

- Co ci jest? - zapytała nagle. - Wydaje mi się, że wyglądasz jakoś inaczej niż zwykle.

- Co mi jest? - Carla zdawała się zdziwiona. - Nic.

- Wiesz, że jesteś bardzo blada? - ciągnęła dalej Liza. - Moim zdaniem przemęczasz się.

Żadnej odpowiedzi; miała mówić czy nie? Narzuciła płaszcz i gotowa do wyjścia ujęła Carlę za rękę; Carla nie wytrzymała jej badawczego wzroku i spuściła oczy.

- Carlo - spytała niespodziewanie Liza wzruszonym głosem - zmieniłaś się; co ci się stało?

- Ależ... nic.

Liza, skonsternowana, wciąż jeszcze nie wychodziła.

- Wobec tego uściskaj mnie - rzekła gwałtownie. Uściskały się; całując jednak te zimne, jak gdyby obojętne policzki, poczuła się bardzo z siebie niezadowolona: „Nie tak - powtarzała sobie z żalem - nie tak powinnam z nią mówić”. Weszły do przedpokoju.

- Pamiętaj - dodała zmieszana - gdyby coś było nie tak jak trzeba, gdybyś miała... jakieś kłopoty, zwróć się do mnie. Nic przede mną nie ukrywaj.

- Dobrze... dobrze - rzekła Carla, jakby zawstydzona. Liza wyszła, drzwi się zamknęły.

Carla przygnębiona wracała na pierwsze piętro; rozmowa z Lizą lekko ją przestraszyła; „Czy ona się czegoś nie domyśla?” - zastanawiała się, lecz im dłużej o tym myślała, tym bardziej to przypuszczenie wydawało się jej nieuzasadnione: jej romans zaczął się dopiero dziś, Liza wpadła tylko na chwilę... chyba... chyba że nasunęła jej jakieś podejrzenia ta wczorajsza ich nieobecność w przedpokoju. „A zresztą teraz już wszystko jedno, czy odgadła, czy nie - stwierdziła, sama nie wiedząc, czy z radością, czy z żalem - dziś wieczorem idę do Lea”.

Wchodziła na schody powoli, za nią włókł się po ścianie rzucany przez świecę jej groteskowy cień z olbrzymią głową: „A więc wychodzę naprzeciw nowego życia” - pomyślała; siliła się na spokój, lecz na próżno; serce jej drżało, gnębiło ją uczucie smutku i niepewności. „Oby jak najszybciej minęły te godziny - pomyślała z westchnieniem - oby prędko minęła ta noc: niczego więcej nie pragnę”.

Blask świecy ukazał w głębi przedpokoju siedzącego w fotelu Lea; postawiła lichterz na stole i usiadła obok.

- To beznadziejne z tym światłem, prawda? - zaczęła mówić, byle coś powiedzieć; Leo ujął ją za rękę.

- A więc przyjdiesz wieczorem? - zapytał, lecz Carla nie zdążyła nic odrzec; kotara na jednych z pięciorga drzwi rozchyliła się i weszła Maria Gracja.

Niosła świecę, owinięta była w duży czarny szal, na jej oświetlonej twarzy czaił się ironiczny wyraz.

- Liza już poszła - oznajmiła stając przed kochankiem - pan by pewnie wolał, żebym ją zaprosiła na kolację?... Ale cóż... nie zawsze można mieć wszystko, co się chce... Zresztą pozwoli to pana drogiej przyjaciółce przygotować się na pańską wizytę... „nocną”.

Podkreśliła słowo „nocną” stłumionym śmiechem i nie czekając na odpowiedź zaczęła schodzić ze schodów.

- Dokąd idziesz, mamó? - zawołała Carla wstając.

- Myślę, że już czas na kolację - odrzekła matka nie obejrzawszy się za siebie, schodziła powoli, stopień za stopniem, niosąc światło w jednej ręce, a drugą trzymając się drewnianej poręczy. - Jeżeli jednak chce pan biec za Lizą, to proszę się nie krępować... nie robi mi to różnicy.

Blask znikł, wróciła ciemność, ostatnie słowa zamarły na podeście za zakrętem wąskich schodów.

Carla, która śledziła wzrokiem oddalającą się matkę, odwróciła się.

- Nie ma na to rady - rzekł Leo ze swego fotela - twoja matka nigdy się nie zmieni; kiedy sobie coś wbije do głowy, nikt jej tego nie wyperswaduje. - Machnął ręką i umilkł; przez chwilę nie rozmawiali; Carla przejęta i trochę wystraszona spojrzała na kochankę.

- Wiesz, co mi się wydaje? - powiedziała w końcu. - Że Liza się czegoś domyśla.

- Jakim sposobem?

- Nie wiem... ale ton, jakim do mnie mówiła...

Leo pogardliwie wzruszył ramionami: - Jeżeli o mnie chodzi, może się domyślać, czego tylko chce - i nagłym ruchem spróbował przyciągnąć dziewczynę, lecz Carla nie wiadomo dlaczego, stawiała mu opór.

- Nie... teraz dosyć - powiedziała odpychając go obiema rękami.

- No pozwól - błagał Leo pochylając ku niej w mroku podnieconą twarz i usiłując ją objąć: - Co ci to szkodzi? Tylko trochę, tak jak przedtem.

- Nie... - broniła się z niezwykłą zaciekłością; z jej oczu wyzierała złość; w pewnej chwili trąciła stół, stojąca na jego brzegu świeca spadła na ziemię i zgasła; zaległy całkowite ciemności; dał się słyszeć szybki tupot nóg na schodach, po czym nastąpiła cisza.

„Co za dziwna dziewczyna - pomyślał Leo, który pozostał sam w ciemności - przed chwilą dałaby się rozebrać... a pięć minut potem nie pozwala, żebym ją pocałował w czoło". Nie był zły, tylko trochę zdziwiony; żądza już przygasła. Błądząc pytającym wzrokiem w otaczających go ciemnościach, sięgnął do kieszeni po zapalki; zapaliwszy jedną z nich podniósł świecę i przytknął do niej płomyczek. „Trzeba już iść na kolację" - pomyślał. Wstał, uszedł kilka kroków, lecz nagle przyszło mu na myśl, że zapomniał umówić się z Carłą, gdzie i kiedy mają się spotkać tej nocy, żeby pojechać do niego.

Wrócił do stolika, postawił na nim świecę i systematycznie, bez pośpiechu, przy tym słabym świetle napisał złotym wiecznym piórem na swoim bilecie wizytowym: „Oczekuję cię za godzinę w samochodzie przed bramą ogrodu". „Oddam jej przy wyjściu" - pomyślał, po czym zadowolony wziął ogarek i zszedł na dół.

Na nakrytym stole paliła się tylko jedna świeca; w jadalni było prawie całkiem ciemno: matka, Carla i Michele siedzieli już przy stole i widać było tylko ich słabo oświetlone twarze; Leo zajął swoje miejsce i zaczął jeść w milczeniu. Zjedli już pierwsze danie, ale nie padło jeszcze ani jedno słowo; wszyscy czworo wpatrywali się w ruchomy płomyk świecy, panowała kompletna cisza, każde z nich pochłonięte było własnymi myślami, wzniesionymi w nich niepokój; ale najbardziej zamyślona i przejęta była matka; siedziała z łokciami przy stole, wspierając twarz na złożonych rękach, w kącikach ust miała dwie gorzkie bruzdy, spoglądała nieruchomymi, osłupiałymi oczyma na chwiejny płomyk świecy.

Wreszcie zdecydowała się spojrzeć na kochanka; wtedy cierpki ból, gwałtowny sarkazm wykrzywił jej twarz.

- Chciałabym wiedzieć - zaczęła zaczepnym tonem, zwracając się do całej trójki - dlaczego jest na świecie tylu kłamców... to właśnie chciałabym wiedzieć... Niechaj każdy robi co chce, ma do tego prawo, ale potem kryć się, kłamać, przekreślać prawdę... tego nie mogę ścierpieć.

Milczenie; nikt nie chciał jakąś nieopatrzoną odpowiedzią zachęcić jej do zagalopowania się na tej drodze. Ona spojrzała kolejno na wszystkich, jak gdyby chciała skłonić ich do rozmowy, ale Leo i Carla spuścili oczy, a Michele odwrócił wzrok w inną stronę. Wobec tego po ataku pośrednim zdecydowała się na bezpośredni:

- Na przykład pan - dodała kierując wzrok na kochanka - ma pan niezaprzeczone prawo być zajęty po kolacji, nikt panu tego nie broni, chociaż wyjść z domu, do którego się jest zaproszonym, natychmiast po zjedzeniu kolacji, to elementarny brak dobrego wychowania... Ale po co, zamiast powiedzieć prawdę, zmyślać te różne bajeczki: że ma pan obowiązki towarzyskie, że idzie pan na przyjęcie do pani Smithson, która, jak się okazuje, jest w Mediolanie, i tak dalej, i tak dalej? I po co pan to robi, po co, proszę mi powiedzieć? Kto panu każe opowiadać te bzdury? To jest nie tylko kłamstwo, ale i obraza, obraza dla mnie; uważa mnie pan za tak głupią, że nie domyślę się pewnych rzeczy; byłoby o wiele prościej powiedzieć prawdę: droga pani, o tej i o tej godzinie muszę się pożegnać, bo idę do tej a do tej osoby... Odpowiedziałabym panu: niech pan idzie dokąd pan chce, choćby i do diabła, jeżeli tak panu na tym zależy... i wszystko by się na tym skończyło.

Umilkła, odsunęła ręką półmisek, który podawała jej pokojówka; była strasznie wzburzona, ręce jej drżały, automatycznymi ruchami brała i odkładała na miejsce sztucę i kieliszki.

- Niechże pan w końcu coś odpowie! - krzyknęła widząc, że Leo nie ma zamiaru się odezwać. - Proszę mówić... może zdecyduje się pan wreszcie powiedzieć tę osławioną prawdę.

Leo popatrzył z ukosa na kochankę; te natrętne nalegania zaczynały go drażnić: „Zasłużyła na to, żeby ją chłostać po twarzy przez dwie godziny - myślał obserwując z nienawiścią tę sflaczałą i głupią twarz - co najmniej przez dwie godziny”. Ale wreszcie sięgnął do półmiska z drugim daniem i odparł przez zaciśnięte zęby:

- Nie mam nic do powiedzenia.

Nic nie mogło rozjrzeć matki bardziej, niż te obojętne słowa.

- Jak to? - zawołała. - Ja słusznie zarzucam panu kłamstwo, a pan nie tylko nie wyjaśnia przyczyn swojego postępowania, ale odpowiada mi niegrzecznie, jak gdybym... jak gdybym to ja była winna... Jest pan po prostu bezczelny.

Leo zazwyczaj pomijał milczeniem jej wymówki; tym razem jednak czy dlatego, że podniecenie zmysłowe wzburzyło jego nerwy, czy też dlatego, że poczuł się znieważony, obraził się.

- Dość tego - powiedział szorstko, odwracając się gwałtownie znad półmiska, który trzymała służąca - proszę z tym wreszcie raz skończyć, bo w przeciwnym razie będę zmuszony naprawdę niegrzecznie pani odpowiedzieć... Co za dużo, to niezdrowo.

Powiedziawszy to popatrzył przez chwilę na kochankę tak twardo i nieubłaganie, że nieszczęsnej Marii Gracji zabrakło tchu: światła i cienie rzucane dokoła przez chybotliwy płomyk świecy zdawały się podkreślać powściągany gniew Lea, widoczny w zaciśniętych szczękach, na których pod czerwoną i wygoloną skórą kurczyły się napięte mięśnie; w kącikach oczu, których rozjętrzone źrenice spoglądały na matkę, widniały dwie ostro zarysowane bruzdy znużenia; szyderstwo w wyrazie ust, na poły urągliwe, na poły gwałtowne, jak u człowieka, który hamuje się, żeby nie wybuchnąć, podkreślone było stożkiem cienia padającego na podbródek. Maria Gracja, ogłupiała, przerażona, oniemiała, wpatrywała się w tę bezlitosną twarz, w tę jakby katapultę, z której mierzono jej prosto w oczy; drżała całym ciałem, przenikliwe poczucie klęski, przerażającego braku dobroci i miłości ścisnęło jej serce, dławilo ją; chciała krzyknąć: „Lulu, nie patrz tak na mnie!” i potem skryć twarz w dłoniach; ale siedziała bez ruchu, wylękniona: „Kocham go, a on mi tak odpowiada” - kołatało się w jej pustej głowie.

Potem zobaczyła, że Leo odwraca się i najspokojniej nakłada sobie na talerz dwa duże plastry mięsa i jarzynę; nie było tu już nic więcej do powiedzenia: koniec; oczy jej napełniły się łzami, położyła serwetkę na stole, powoli podniosła się z krzesła.

- Nie chce mi się jeść - powiedziała - nie przerywajcie sobie... I prawie biegiem, potknąwszy się o dywan, wyszła.

Po jej nieoczekiwanym zniknięciu przez chwilę panowało milczenie; Leo znieruchomiał, z widelcem i nożem w ręku, zwróciwszy zdumioną twarz ku

pograżonym w ciemności drzwiom, którymi wyszła matka; Carla patrzyła w tym samym kierunku; Michele, najmniej zdziwiony z nich trojga, powiedział do Lea:

- Nie powinieneś być tak ostro jej odpowiadać, wiesz, jak jest impulsywna... Będziemy teraz mieli z nią bal bez końca - jego ton nie był podrażniony, lecz znudzony.

- A co ja jej takiego powiedziałem? - rzekł ostro Leo. - Jeżeli ma rozstrojone nerwy, to niech się leczy... teraz nie można już nawet mówić.

- Oboje mówicie aż za dużo - Michele popatrzył mu w oczy - o wiele za dużo.

- Głupstwa! - mruknął Leo wzruszając ramionami. - Owszem, twoja matka mówi za dużo, ale ja... - Umilkł spoglądając to na talerz, gdzie stygło apetyczne jedzenie, to na drzwi, za którymi znikła matka.

- A teraz - dodał - co zrobimy? Chyba ona nie zrezygnuje z kolacji... - Chwila milczenia, po czym Carla odłożyła serwetkę na stół.

- Michele ma rację - powiedziała - nie powinien pan być zwracać się do matki w ten sposób... Ma swoje wady, ale przecież to kobieta... Źle pan postąpił... - Podniosła się i stała przez chwilę zamyślona; to, co zamierzała zrobić, nappełniało ją odrazą, sprawiało ból.

- Pójdę po nią - rzekła w końcu i odsunawszy krzesło wyszła. W korytarzu panowały głębokie ciemności. Posuwała się po omacku, wzdłuż ściany: „Trzeba było wziąć świecę” - pomyślała; przypomniała sobie, że kiedyś po tego rodzaju scenie matka uciekła do salonu; zrobiła jeszcze parę kroków, a potem potknęła się o dywan tak gwałtownie, że o mało nie upadła; porwała ją złość na Marię Grację, która zachowywała się naprawdę jak dziecko.

„To wszystko musi się skończyć - pomyślała zaciskając zęby i biorąc za klamkę drzwi prowadzących do salonu - dziś jeszcze pójdę do Lea... wszystko się skończy”. Wydało się jej, że ciemność wypełniająca jej oczy dociera także jakimś niewytłumaczonym sposobem do jej duszy: „Muszę więc szukać tej mojej głupiej matki” - pomyślała jeszcze; czuła, że nie ma w niej litości, i jednocześnie głęboko nad tym bolała; przygryzła wargi i weszła.

Jak przewidywała, matka schroniła się w salonie; słychać było w tej nocy płacz i westchnienia, od czasu do czasu wycieranie nosa: Carla złagodniała: - Mamo, gdzie jesteś? - zapytała głośno, posuwając się naprzód z wyciągniętymi rękami.

Nikt jej nie odpowiedział. Wreszcie, parokrotnie potrąciwszy różne meble, dotknęła ramienia matki, która siedziała w kącie na kanapie.

- Co ty tu robisz? - zapytała, lekko nią potrząsając, i spojrzała w niewidzialny sufit, jak gdyby w pokoju było widno, i wołała nie patrzeć na łzy matki. - No chodź, pójdziemy do jadalni.

- Jedzcie sami, ja nie pójdę! - odpowiedział głos matki.

Z westchnieniem, w którym rozdrażnienie mieszało się ze smutkiem, Carla obeszła kanapę i usiadła obok matki.

- No chodźmy, chodźmy... - powtórzyła kładąc obie ręce na ramionach płaczącej - zapewniam cię, mamó, że Leo nie miał najmniejszego zamiaru... że on najbardziej żałuje tego, co zaszło...

- Ach, mój Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa! - głos matki był dziecinnie rozżalony. - Jaka nieszczęśliwa!

Carlę przeszył dreszcz.

- Chodź, mamó - powtórzyła już mniej pewnym głosem. Kanapa zaskrzypiała, dwoje ramion otoczyło szyję dziewczyny, poczuła na swoim policzku mokry policzek matki.

- Czy myślisz - zapytał płaczliwy głos - czy myślisz... powiedz... że on znowu zakochał się w tamtej?

- W kim? - zapytała Carla, zmieszana; wyczuwała na przedramieniu miękka i zadyszana pierś, nie wiedziała, co robić, to pocieszanie matki było jej wstrętne, jakby sprzeczne z naturą. „Gdyby przynajmniej przestała płakać” - powtarzała sobie.

- No, w Lizie - nalegał rozszlochany głos - czy nie widziałaś, że wczoraj wieczorem wyszli razem? Jestem pewna, jestem pewna, że oni się znowu kochają... Ach! Jaka ja jestem nieszczęśliwa.

„On kocha mnie” - miała ochotę odpowiedzieć Carla; ale czy tak było naprawdę? Ogarnęła ją nagła odraza do wszystkiego, co działo się wokół niej.

- Co ja mu takiego zrobiłam? - usłyszała dalsze lamenty Marii Gracji. - Za co mnie to wszystko spotyka... poświęciłam mu całe moje życie... i teraz widzisz, jak on mnie traktuje!

Carla miała ochotę znaleźć się o tysiące kilometrów od niej.

- Nic nie wiem - powiedziała w końcu i już chciała uwolnić się z objęć matki, gdy w głębi salonu, spokojnie, jak gdyby ktoś przekreślił kontakt, zapaliły się dwie lampki na fortepianie.

Ciemność pierzchła; natychmiast, instynktownym odruchem matka oderwała się od córki, pochyliła się i wytarła nos; Carla wstała.

- Czy jestem potargana? - zapytała Maria Gracja, wstając także. - Czy jestem bardzo czerwona?

Carla spojrzała na nią; policzki matki pokryte były bladymi plamkami, włosy miała w nieładzie, nos czerwony i podpuchnięte oczy, jak gdyby była silnie przeziębiona.

- Ależ nie... wyglądasz doskonale.

Wyszły z salonu; w korytarzu również paliło się światło; Maria Gracja stanęła przed lustrem, starając się doprowadzić do ładu swój wygląd; potem najpierw Carla, a za nią matka wróciły do jadalni.

I tutaj było już jasno; siedzący naprzeciw siebie Leo i Michele spokojnie gawędzili.

- W interesach - mówił Leo - niełatwo jest się dorobić: kto się na tym nie zna, powierza pieniądze takiemu, który się na nich zna. - Na widok wchodzących kobiet przestał się zajmować chłopcem.

- A więc nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda, proszę pani? - rzekł wstając i podchodząc do Marii Gracji.

- Do pewnego stopnia - odpowiedziała matka z ostentacyjnym chłodem i siadła na swoim miejscu.

Dokończyli kolacji w milczeniu: każdego pochłaniały własne myśli, nikt nie miał ochoty mówić. „Żeby ją wszyscy diabli wzięli” - powtarzał w duchu skonsternowany Leo patrząc na Marię Grację; jej zachowanie było mu obojętne, lecz ta niezwykła zaciętość nie wróżyła nic dobrego. Matka tymczasem głowiła się, w jaki sposób zemścić się na kochanku; to, co przecierpiała, pozostawiło w niej głęboką urazę. „Zależy mu na tym, żebym mu bezpośrednio scedowała willę - pomyślała w końcu triumfalnie - ale ja sprzedam ją na licytacji”; nie wiedziała, jaką korzyść mogłoby jej przynieść takie załatwienie sprawy, nie znała istotnej wartości willi, ale wyobrażała sobie mgliście, że w ten sposób nie tylko zrobi na złość kochankowi, ale wyciągnie jeszcze ze sprzedaży kilka tysięcy lirów więcej. Carla myślała o

nadchodzącej nocy, opanowało ją niezwykle wzburzenie. „Czy naprawdę mu to przyrzekłam - zadawała sobie pytanie - i muszę tam iść dziś w nocy?” Michela także dręczył niepokój; wydawało mu się, że jego zachowanie podczas sprzeczki matki z Leem było karygodnie obojętne. „Straciłem jeszcze jedną okazję - mówił sobie - żeby się z nim na dobre pokłócić, żeby zerwać z nim raz na zawsze”.

VIII

Wyszli w końcu z jadalni wolnym krokiem, zapalili papierosy, rzucając ukradkowe spojrzenia w lustro w korytarzu, i skierowali się do salonu.

- Dzisiejszego wieczora - rzekł z miejsca Leo siadając przy Marii Gracji na kanapie - czuję się usposobiony do słuchania dobrej klasycznej muzyki. No, Carlo - dodał zwracając się do dziewczyny - zagraj nam, co chcesz, Chopina, Beethovena, byleby to było coś z dawnych czasów, kiedy nie znano jeszcze jazzu, od którego pęka głowa. - Roześmiał się swobodnie i założył nogę na nogę.

- Tak, Carlo - poparła go ochoczo matka, która nie dowierzała własnemu szczęściu, że pod osłoną muzyki będzie mogła swobodniej porozmawiać z kochankiem - tak, zagraj nam coś, na przykład... tę fugę... zaraz, czyją to? Ach tak, Bacha... ona tak dobrze ci wychodziła...

Michele też był zachwycony tym pomysłem; czuł się zmęczony, rozdrażniony i konwencjonalne pojęcie muzyki jako rozkosznej rzeki, w którą można się zanurzyć i zapomnieć o wszystkim, nigdy nie wydawało mu się tak prawdziwe jak teraz. „Tak, muzyka - pomyślał przymykając oczy - do diabła z tymi małostkami... chcę prawdziwej muzyki”.

- Od dawna już nie gram - uprzedziła Carla - nie bądźcie więc za surowi. - Podeszła do fortepianu, otworzyła go, przejrzała nuty. - Fuga Bacha - oznajmiła w końcu.

Zabrzmiały pierwsze akordy; Michele zamknął oczy i przygotował się do słuchania; jego samotność, rozmowy z Lizą obudziły w nim przemożne pragnienie przyjaźni i miłości, rozpaczliwą nadzieję znalezienia wśród tylu ludzi na świecie kobiety, którą mógłby kochać szczerze, bez ironii, bez rezygnacji. „Znaleźć prawdziwą kobietę - pomyślał - czystą kobietę, która nie byłaby ani fałszywa, ani głupia, ani zepsuta... to rozwiązałoby wszystko”. Na razie jej nie znajdował, nie wiedział nawet, gdzie jej szukać, ale miał w duszy jej obraz idealny zarazem i materialny, który zlewał się z innymi postaciami spontanicznego i szczerzego świata fantazji, w którym pragnąłby żyć; muzyka pomoże mu odtworzyć ten umiłowany obraz... I oto rzeczywiście, raczej siłą jego egzaltacji i pragnienia niż dzięki samej muzyce, już od pierwszych tonów między nim i Carlą zaczął się kształtować ten obraz... Była to młoda

dziewczyna, domyślił się tego po smukłości jej ciała, po oczach, po całym zachowaniu, pełna prawdziwego wdzięku; stała bokiem do niego i obserwowała go uważnie, bez kokieterii, bez cienia frywolności, och nie, na to mógłby przysiąc, ale ze szczerą i upartą ciekawością, z jaką dzieci obserwują rówieśników. „Towarzyszka mojego życia” - pomyślał; i już wyobrażał sobie ruchy subtelne, pieszczotę, uśmiech, gest ręki, drobne zdarzenia, rozmowy, spacer; tworzyło się to i przelatywało po wymarzonej niebie jego fantazji, gdy nagle usłyszał przyciszoną paplaninę; czar prysnął i Michele powrócił do rzeczywistości.

To matka wprowadziła w czyn swój zamiar wykorzystania muzyki na rozmowę z kochankiem.

- Jeżeli pan chce - nalegała patrząc jadowniczo na roztargnionego Lea - może pan iść choćby i zaraz na to swoje przyjęcie... nie widzę powodu, żeby miał się pan tutaj nudzić słuchaniem muzyki... nikt pana nie zatrzymuje... proszę, proszę bardzo, niech pan idzie tam, gdzie na pana czekają!

Leo spojrział na nią; nie miał najmniejszej ochoty do kłótni; wskazał ręką w kierunku Carli, jak gdyby chciał powiedzieć: „Teraz nie... teraz słuchamy Bacha”.

- Tak, tak - nie ustępowała matka - pan się tu nudzi... proszę nie zaprzeczać: widziałam na własne oczy, jak pan ziewał... My pana nudzimy, a nie możemy przecież puścić się w tany, żeby pana zabawić... Proszę iść więc tam, gdzie będzie pan przyjęty z otwartymi ramionami, gdzie nikt nie będzie grał i nikt się panu nie będzie naprzykrzał... Proszę iść! - Mówiła i nie przestawała się uśmiechać, oszalała z zazdrości na samą myśl o Lizie.

- Poza tym - dodała - to byłby naprawdę wielki nietakt nie pokazać się na przyjęciu u pani Smithson... Wyobrażam sobie, ile tam będzie osób... Musiała chyba zamówić specjalny pociąg, który przywiezie jej gości do Mediolanu...

Leo gotów był na wszystko, byle się skończyła ta mordega; strzepnął popiół z cygara i spokojnie zwrócił się do matki:

- Jeżeli skłamałem, to tylko przez wzgląd na panią, żeby nie myślała pani, że się nudzę w jej domu, nie wybieram się bowiem nigdzie, po prostu idę spać... Ostatnio zarwałem kilka nocy i czuję się zmęczony... Dzisiaj chcę się wcześniej położyć.

- Ach tak! - zawołała matka z miną osoby, która wie, co w trawie piszczy. - A więc pan chce iść spać, nie dosypiał pan ostatnio, to się po prostu rzuca w oczy, pan

słania się na nogach, oczy się panu zamykają... Biedaczek! Moje współczucie nie ma granic!

- Nie potrzebuję niczyjego współczucia - odrzekł Leo, który zaczął tracić panowanie nad sobą.

- Przecież pan kłamie jak z nut; czy nie zdaje pan sobie z tego sprawy? - zapytała opryskliwie Maria Gracja. - Najpierw ta Smithson, teraz znowu niewyspanie; powinien się pan wstydzić!

- Wcale się nie wstydzę, dlaczego miałbym się wstydzić?

- Niech pan już wreszcie umilknie!

Leo bez słowa wzruszył ramionami; Michele obserwował ich ze wstrętem: „A żeby ich diabli wzięli - myślał - nie można nawet posłuchać muzyki... Wciąż się kłóć o byle co”. Obraz ukochanej rozwiął się; muzyka stała się płataniną bezsensownych tonów; matka i Leo triumfowali.

- Chce pan iść spać, co? - brnęła dalej matka sycząc kochankowi prosto do ucha. - Iść spać, prawda? A wie pan, co powiem? Że wiem wszystko, rozumie pan? Wiem wszystko, co było wczoraj wieczór i dzisiaj, wiem wszystko.

- A właśnie, że nic pani nie wie! - ostro rzekł Leo, nawet nie mrugnawszy okiem; wypuścił prosto przed siebie kłęb dymu; Carla siedziała odwrócona tyłem do niego, widział jej jędrne, krągłe ramiona. „Co to będzie za noc - myślał - co za noc!... Jeszcze tylko kilka godzin, a mnie się zdaje, że cała wieczność”. Jego utkwione w jeden punkt i nieruchome oczy nie dostrzegały matki, Michela, salonu... Pożądanie roztaczało przed nim wizje... Carla siedzi nagusieńka na taborecie przed fortepianem; wydawało mu się, że w zacienionym kącie widzi jej białe plecy, szerokie i pulchne biodra, a teraz, kiedy się odwróciła, także i piersi. Ale muzyka umilkła, wracała rzeczywistość; oklaskiwana niezwykle gorąco przez Michela, Carla spytała:

- Podobają wam się?

- Bardzo, tak, bardzo - odrzekł Leo - zagraj coś jeszcze, Carlo.

- Nie, nie - wtrąciła matka - pan Merumeci tak się nudzi, że siedzi jak na rozżarzonych węglach... Chce jak najprędzej iść spać... i nie widzę powodu, żeby go zatrzymywać. - Zwróciwszy się do kochanka nalegała cierpkim głosem, ciągnąc go za rękaw: - No, no, proszę już iść spać.

Leo usunął rękę uśmiechając się z przymusem; kusilo go, żeby wymierzyć dwa tęgie policzki natrętnej kochance; Carla patrzyła na nich przez chwilę. „Więc

naprawdę muszę iść do niego dziś w nocy?" - powtarzała sobie; wydawało się jej to bardzo dziwne: teraz siedzi przy fortepianie, a za dwie godziny znajdzie się w sypialni kochanka. Wyczuwając pożądlivą niecierpliwość Lea, chciała odwlec to decydujące nocne spotkanie, trochę z czysto kobiecej przekory, postanowiła więc grać dalej.

- Dobrze - powiedziała stanowczo - ale Leo teraz nie wyjdzie i ponudzi się jeszcze przez dziesięć minut: prawda, Leo? - Otworzyła gruby plik nut i zaczęła grać z zatroskaną i skupioną miną.

„Ach, ta mała wiedźma - pomyślał Leo - rozkoszuje się tym, że ja tu konam, umieram z niecierpliwości". Teraz nie mógł już znieść ani muzyki, ani rozmowy, ani ciszy, pożerała go żądza, chciał tylko jednego: zabrać Carlę do siebie i posiadać ją. „Licho wie jak długo to potrwa - myślał słuchając ze złością pierwszych akordów - dziesięć minut... kwadrans? Co też mi przyszło do głowy, żeby ją namawiać do grania...?

Tymczasem matka atakowała dalej; dotknęła jego ramienia.

- A jutro rano - oznajmiła z pełnym afektacji uśmiechem, jak gdyby kończyła przerwana rozmowę - pójdę do mojego adwokata i powiem mu, żeby się zajął wystawieniem willi na licytację.

To, co usłyszał, sprawiło na nim bardziej piorunujące wrażenie, niż gdyby z sufitu oderwała się cegła i spadła mu na głowę; twarz oblała mu się szkarłatem, potem purpurą; zacisnął zęby, przez myśl przemykały mu krótkie zdania: „tego tylko brakowało... I właśnie dziś... Bodaj ją piekło pochłonęło... Tylko mnie mogło się to zdarzyć"; gwałtownym ruchem zwrócił się cały w jej stronę: - Nie zrobisz tego! - wycedził głosem nie znoszącym sprzeciwu, w furii mówiąc jej po imieniu i odruchowo przyciskając pięści do piersi.

„Teraz wezmą się za łby" - pomyślał Michele.

- A właśnie, że zrobię - odrzekła matka z ostentacyjnym spokojem - jutro, z samego rana.

- Toż to czyste szaleństwo! - zaczął Leo; chwycił jej dłoń przyciskając ją do kanapy. - Chcesz... chce pani sprzedać willę na licytacji, żeby stracić pięćdziesiąt procent... i zawiadamia mnie pani o tym dziś wieczór - „akurat dziś wieczór" - powtórzył w duchu, rzucając wściekle spojrzenie w kierunku Carli. - Teraz, kiedy umowa jest już sporządzona i nie pozostaje nic innego jak ją podpisać... To czyste szaleństwo.

- Może to pan sobie nazywać, jak pan chce - odrzekła matka, która sama się dziwiła swojemu kamiennemu spokojowi - ale ja jutro rano idę do adwokata.

Leo popatrzył na nią: do rozdrażnienia spowodowanego jego niezaspokojoną żądzą dołączyło się teraz nowe utrapienie. Jego pierwszym instynktownym odruchem było rzucić się na Marię Grację, spoliczkować ją, nawet udusić; zdołał się jednak opanować.

- Chyba nie mówi tego pani poważnie - nalegał - proszę się chwilę zastanowić.

- Już się zastanowiłam.

- Ależ, Mario Gracjo - zaczął mówić Leo, ponownie zwracając się do niej po imieniu, ale tym razem świadomie - miejże do mnie zaufanie... W interesach nie wolno działać pochopnie... Posłuchaj... chcesz, żebyśmy się spotkali jutro po południu?

- Na nic się to nie przyda - odpowiedziała matka, już mniej stanowczo - uważam, że lepiej będzie spotkać się z adwokatem.

„Ty idiotko” - miał ochotę zawołać Leo, a tymczasem złożył ręce: - Mario Gracjo, licytacja to wielkie ryzyko, twój adwokat może być oszustem, pełno ich dziś wszędzie; jesteś kobietą, nic łatwiejszego jak wywieść cię w pole w sprawach, na których się nie znasz.

- Myślisz? - zapytała matka z niepewnym uśmiechem.

- Jestem tego pewien... A więc umawiamy się... Oczekuję cię jutro o czwartej.

Rzuciała zalotne spojrzenia na wszystkie strony; jej sterane serce trzepotało: „Kochasz mnie?” - chciała zapytać; lecz powiedziała:

- Jutro?... Nie, jutro nie mogę.

- No to pojutrze.

- Czekaj... - szepnęła matka wbijając wzrok w przestrzeń, jak gdyby chciała sobie coś przypomnieć. - Tak, umówiłam się z kimś, ale odwołam to spotkanie... Przyjdę, dobrze... nie myśl jednak - dodała z radosnym i przymilnym uśmiechem - że potrafisz mnie przekonać. - Umilkła, zawahała się, po czym ujęła go za rękę i już chciała zapytać po cichu: „Czy kochasz mnie chociaż troszkę?”, gdy muzyka urwała się nagle i Carla zwróciła się w ich stronę:

- Nie warto grać dalej - oświadczyła spokojnie. - Wszyscy rozmawiają... wszyscy dyskutują, naprawdę lepiej iść spać.

Siedząca na kanapie para poczuła się przyłapana na gorącym uczynku; matka odsunęła się od kochanka i skonsternowana patrzyła na córkę.

- Jeżeli chcecie rozmawiać - dodała dziewczyna - nie każcie mi grać. - Cisza.

- Robiliśmy komentarze na temat muzyki - odrzekł w końcu Leo. - Bardzo ładnie grasz... Graj dalej, graj.

To nowe kłamstwo stało się sygnałem do buntu, jak gdyby wszyscy zbudzili się nagle z długiego odrętwienia; pierwszy zareagował Michele, który do tej pory znosił w milczeniu gadaninę matki i Lea: trochę ze złości, trochę z instynktownej potrzeby działania wziął gazetę, którą trzymał na kolanach, i cisnął o ziemię.

- To nieprawda - krzyknął patrząc na Lea - to bezczelne kłamstwo... Muzyka tyle was obchodzi, co zeszłoroczny śnieg... Mówiliście o interesach, o adwokacie - roześmiał się z wysiłkiem - i jeszcze o innych rzeczach.

Zaległa cisza.

- Nareszcie ktoś powiedział prawdę - zawołała niespodziewanie Carla klaszcząc w ręce - nareszcie... nareszcie można wreszcie lżej odetchnąć!

Zdawało się, że ktoś szeroko otworzył okno i do salonu przeniknęło rześkie powietrze nocy; przez chwilę wszyscy spoglądali na siebie, zdumieni; Leo ocknął się pierwszy:

- Mylisz się - rzekł surowo - widocznie coś ci się przesłyszało. Na to niewybredne kłamstwo chłopiec wybuchnął głośnym i przykrym śmiechem:

- Cha, cha - śmiał się, rozparty w fotelu - to mi się podoba! - Potem śmiech zamarł mu w gardle: - Ty kłamco! - zawołał gwałtownie.

Popatrzyli na siebie; Carla wstrzymała oddech; matka zbladła.

- Tego już doprawdy za wiele! - krzyknął nagle Leo uderzając pięścią w stół. Nie wstał jednak, siedział mierząc chłopca badawczym wzrokiem. - Nie wiedziałem, że jesteś taki wojowniczy - powiedział i po chwili dodał: - A jeżeli się nie poprawisz, będę zmuszony wytargać cię za uszy. - To ostatnie zdanie wypowiedział nad wyraz głupio i uroczyście: Michele miał wrażenie, że groźba Lea, zrazu pełna dumy, słabnie powoli i kurczy się do wulgarnej zapowiedzi wytargania za uszy; tym samym osłabł jego własny gniew; nie pozostawało nic do zrobienia; nie można było rzucić rękawicy na znak wyzwania ani bronić obrażonego honoru; wystarczało chronić zagrożoną część ciała, uszy, nic więcej.

- Wytargać za uszy, wytargać za uszy, mnie? mnie? mnie? - Każde „mnie” miało mu dodawać bodźca do czynu, ale jednocześnie czuł w sobie chłód i obojętność, dobywające się z jego ust słowa były fałszywe, głos fałszywy; gdzie zapal? gdzie wzgarda? a może w ogóle nie istniały?

Na stole, między kwiatami, filiżankami i dzbankiem do kawy leżała alabastrowa popielniczka, biała z szarymi żyłkami: wyciągnął lunatycznym ruchem rękę, wziął ją i bez rozmachu rzucił. Zobaczył, że matka załamała rękę, usłyszał jej krzyk; Leo wrzeszczał: - To istny obłęd! - Carla rzuciła się do kanapy; uświadomił sobie, że marmurowa popielniczka chybiła celu; zamiast w Lea, trafiła w matkę. W głowę? Nie, w ramię?

Wstał, niezdarnie podszedł do kanapy, gdzie leżała jego ofiara; na twarzy matki malował się wyraz niepewności; sama nie wiedząc dlaczego, nie otwierała oczu i raz po raz wzdychała; było jednak widoczne, że nie odczuwa bólu i że jej omdlenie jest udane.

Michele wraz z tamtymi pochylił się nad nią; widok matki nie sprawiał mu bólu, nie odczuwał skruchy, co więcej, nie mógł stłumić w sobie wrażenia, że ta scena jest po prostu śmieszna. Na próżno myślał: „To moja matka... trafiłem ją... zraniłem... mogłem być ją zabić”; na próżno usiłował wykrzesać z siebie odrobinę współczucia dla tej nieruchomej postaci, ofiary pomyłki: był jak kamień. Pochylił się i popatrzył na nią: teraz matka, nie zmieniając pozycji i nie otwierając oczu, leniwie podniosła rękę i palcami zaczęła zsuwać suknię z barku, w który trafiła popielniczka; ukazało się ramię, nagie, grube, ale bez śladu stłuczenia, nie posiniałe, nie zaczerwienione: nic. Lecz palce, jak gdyby nie zaspokojone, dalej obciążały suknię obnażając przedramię, pachę. Był to dziwny widok: przesuwające się na klatkę piersiową bezwstydnymi palcami coraz to szerzej odsłaniały biały biust, jakby celem ich było nie ukazanie rany, lecz obnażenie.

Istotnie owa miękka bezwolność była przeznaczona dla kochanka; miała wzbudzić romantyczne współczucie i wzruszyć jego serce: „Zobaczy mnie zranioną, zemdloną, z obnażoną piersią - tak mniej więcej rozumowała Maria Gracja - przypomni sobie, że osłoniłam go własnym ciałem, że popielniczka trafiła we mnie zamiast w niego, i musi się w nim obudzić głęboka, pełna wdzięczności tkliwość”. W swojej naiwności wyobrażała sobie, że Leo chwyci ją w ramiona, potrząśnie nią, będzie ją wołał po imieniu i wreszcie zaniepokoi się, że ona nie wraca do przytomności... Wtedy ocknie się, powoli otworzy oczy, jemu rzuci pierwsze

spojrzenie, jemu pierwszy uśmiech. Lecz jej marzenia nie spełniły się, Leo nie chwycił jej w objęcia, nie zawołał jej po imieniu.

- Lepiej chyba, żebym stąd wyszła - powiedziała natomiast Carla z zamierzoną ironią. Podziałało to na matkę jak strumień zimnej wody skierowany tu właśnie, na obnażone dla kochanka ramię; otworzyła oczy, usiadła, popatrzyła dokoła: zobaczyła Michela, który ją obserwował bezceremonialnie, jak gdyby do jego żalu dołączyło się jakieś inne uczucie; Carłę, która próbowała naciągnąć jej suknię na nagie piersi; ale gdzie Leo? gdzie jest Leo? Niestety, nie u jej boku: podniósł popielniczkę i ważył ją w dłoni; potem gwałtownie zwrócił się do Michela:

- Dobrze - powiedział tonem szyderczej zachęty - dobrze... doskonale.

Michele wzruszył ramionami i spojrzał na niego:

- Oczywiście... nawet więcej niż doskonale - odrzekł dobitnie, spokojnie. Wtedy zza pleców Lea dobiegł piskliwy głos matki:

- Na litość boską, panie Merumeci - błagała - na litość boską, nie zaczynajcie na nowo, proszę go nie dotykać... nie mówić nic do niego... nawet na niego nie patrzeć... - Wydawało się, że Maria Gracja jest u kresu rozsądku i wytrzymałości, o krok od szaleństwa.

Michele schronił się we wnęce okiennej: a deszcz padał dalej, słychać było jego szelest na okiennicach i na drzewach w ogrodzie; padał spokojnie na wille i na puste ulice. Na pewno wiele ludzi wsłuchiwało się w jego szum za zamkniętymi oknami, z sercem przepelnionym tą samą udręką, odwróciwszy się plecami do ciepłych, przytulnych pokoi. „I co tu mówić... - powtarzał sobie błędząc palcami po parapacie okna - co tu dużo mówić... to nie jest moje życie". Wróciła mu na myśl scena z popielniczką, groteskowe omdlenie, jego obojętność: „Tu wszystko przekształca się w śmieszność, w fałsz; nie ma szczerości... ja się nie urodziłem do takiego życia". Mężczyzna, którego miał nienawidzić, nie dawał się nienawidzić wystarczająco; kobieta, którą miał kochać, Liza, była uosobieniem fałszu, maskowała nieznośnym sentymentalizmem prostacką żądę, niemożliwością było ją kochać: wydawało mu się, że odwraca się plecami nie do salonu, ale do bezdennej czarnej przepaści. „To nie jest moje życie - pomyślał raz jeszcze z głębokim przekonaniem - ale co wobec tego?"

Usłyszał trzaśnięcie drzwiami, odwrócił się; salon był pusty; matka i córka wyszły, aby odprowadzić gościa do przedpokoju; lampa paliła się w nieruchomym kręgu pustych foteli.

- To jeszcze dzieciak - powiedziała matka do Lea w westybulu - nie można go brać na serio... sam nie wie, co robi.

Ze skruszoną miną zdjęła z wieszaka melonik i podała go kochankowi.

- Mnie - odrzekł pogodnie Leo wkładając na szyję wełniany szalik - mnie nic nie zrobił... Przykro mi tylko, że ten sławetny pocisk wylądował na pani ramieniu - roześmiał się chłodno, fałszywie i łaskawie; popatrzył na Carłę, jak gdyby żądając od niej aprobaty; w końcu odwrócił się i włożył płaszcz.

- To dzieciak... - powtórzyła automatycznie matka pomagając mu; myśl, że Leo wykorzystując wybryk Michela mógłby z nią zerwać, napęliła ją grozą.

- Może pan być pewien - dodała autorytatywnym i przymilnym tonem - że to się więcej nie powtórzy... Pomówię z Michelelem... i jeżeli zajdzie potrzeba - dokończyła niepewnym głosem - wezmę się za niego.

Zaległo milczenie.

- Daj spokój - wtrąciła Carla, która oparta o drzwi uważnie patrzyła na matkę - daj spokój... nie przejmuj się; jestem pewna - dodała spuszczać oczy i uśmiechając się - że Leo zdążył już o tym zapomnieć.

- Tak, oczywiście - odrzekł Leo - jest tyle ważniejszych rzeczy.

- Pocałował w rękę matkę, która jeszcze niezupełnie się uspokoiła.

- Do rychłego zobaczenia - powiedział do Carli patrząc jej prosto w oczy; dziewczyna zbladła i powolnym zrezygnowanym ruchem nacisnęła klamkę.

Drzwi otworzyły się na oścież, gwałtownie, uderzając o ścianę, jak gdyby ktoś w pośpiechu pchnął je z całej siły od zewnątrz.

- Och, jaki ziąb, jak mokro! - krzyknęła matka. Jak na potwierdzenie tych słów raptowny poryw wiatru wtargnął do wewnątrz; deszcz chlusnął wściekle na białe kafle posadzki; lampa zakołysała się, szarpnięty podmuchem lekki płaszcz Michela wiszący na wieszaku trzepnął kilkakrotnie długimi rękawami po twarzy Lea; suknie obu kobiet wydeły się, a potem owinęły się im wokół nóg.

- Zamknij, zamknij! - wołała matka czepiając się obiema rękami drzwi i śmiesznie, na sztywnych nogach pochylając się do przodu, aby nie zamoczyć nóg; jak wodny ptak skakała ostrożnie po zalanej posadzce Carla.

- Zamknij - powtarzała matka, lecz nikt się nie ruszył; wszyscy troje patrzyli ogłupiali na tę z niczego powstałą przemoc, która ryczała, jęczała, skrzypiała i wylewała łzy na pustym progu; w końcu otwarły się także drugie drzwi od

przedpokoju. Powstało wtedy coś w rodzaju huraganu, który przeleciał przez korytarz i wpadł do mieszkania; dał się słyszeć zewsząd łoskot to bliższych, to dalszych drzwi, jakiś inny niż huk drzwi zatraskiwanych niecierpliwą lub gniewną ręką; łoskot, w którym mieszało się wycie wiatru i jakieś uderzenia i wahania, które zdawały się zwiastować najsilniejszy, ostateczny cios; cała willa zadrżała w posadach, jak gdyby miała lada chwila oderwać się od ziemi i, obracając się dokoła własnej osi niby oszalały bąk, ulecieć w oka mgnieniu na fosforyzującą grzywę chmur.

Matce z wielkim wysiłkiem udało się zamknąć drzwi, a Leo zapytał:

- Co teraz zrobimy?

- Poczekamy - odpowiedziała. Umilkli wszyscy troje: Maria Gracja patrzyła na kochankę zawiedzionymi oczyma; była zdruzgotana tym pośpiechem. Za chwilę Leo odejdzie, zniknie w deszczowej nocy, pozostawi ją w jej zimnym domu, w jej pustym łóżku; pójdzie gdzie indziej; może do Lizy, tak, na pewno do Lizy, która od tak dawna go oczekuje. Kto wie, jakie szaleństwa czekają ich tej nocy, kto wie, jak będą się z niej natrzęsać!

Zrobiła ostatnią próbę; nadstawiła uszu, skrzywiła się, jak gdyby w coś się wsłuchiwała:

- Zdaje mi się - powiedziała - że coś łomocze w salonie... Idź, Carlo - dodała zniecierpliwionym głosem - idź zobaczyć. - Zaczęli wszyscy troje nasłuchiwać: zdawało się, że matka swoją nakazującą miną chce wywołać ów łomot trzaskających drzwi, któremu przeczyła panująca w willi cisza.

- Nie wydaje mi się - odrzekła po chwili Carla. - Nic nie słyszę... nic a nic.

- A ja ci mówię, że tak - nalegała matka, uparta i niespokojna. - Słyszysz? - dodała w zalegającej ciszy. - Słyszysz, jak łomocą drzwi?

Wtedy Leo roześmiał się:

- Nic podobnego - powiedział spokojnie, rozweselony głupotą kochanki - nic nie łomocze. - Sprawilo mu przyjemność, że widzi znowu bolesny wyraz w jej oczach: - Złudzenie, droga pani - stwierdził sięgnąwszy po melonik - złudzenie.

- Idzie pan?

- Oczywiście... już najwyższy czas.

- Ale w taki deszcz?... Przecież leje jak z cebra... - powiedziała z rozpaczliwym naciskiem, stając między drzwiami i kochankiem.

- Leje - odrzekł Leo zapinając płaszcz - tak samo, jak łomocą drzwi.

Ucałował dłoń upokorzonej Marii Gracji, sięgnął do kieszeni po rękawiczki, które, jak się okazało, były w drugiej kieszeni, podszedł do drzwi, otworzył je i trzymając za klamkę, aby nie zamknął ich wiatr, powiedział:

- Do widzenia, Carlo. - Uścisnął rękę, którą do niego wyciągnęła, uśmiechnął się, wyszedł.

Wróciły do przedpokoju; matka drżała.

- Jak zimno... och, jak zimno - powtarzała: mięśnie jej twarzy rozluźniły się, była jakby unicestwiona, wodziła po otaczających ją przedmiotach błędnym, niepewnym spojrzeniem; jej zniszczona kosmetykami twarz zszarzała, usta lekko drgały. - Idę spać - powtarzała spoza drewnianej balustrady, wchodząc powoli na schody - idę spać... dobranoc.

Jej cień doszedł aż do sufitu, zatrzymał się na podeście, przemknął ukośnie po ścianie i znikł.

Carla pozostała sama w przedpokoju. Podeszła do lampy; w jej zaciśniętej dłoni coś szeleściło; był to bilecik od Lea, bilecik, który on wsunął w jej niepewne palce, gdy podała mu rękę na pożegnanie.

Bilecik był krótki: „Oczekuję cię za godzinę w samochodzie, przed bramą ogrodu” i niżej podpis: Leo.

Wzburzona weszła na schody: „Za godzinę - powtarzała sobie - mam wyjść za godzinę”. Stopień po stopniu doszła na wąski podest, spojrzała w górę: widziała stąd tylko fotel i róg kanapy w hallu, który był pusty, pogrążony w domowym spokoju, mroczny i zaciszny; za godzinę na pewno zarówno matka, jak Michele będą już spali. Na pierwszym piętrze skierowała się w głąb korytarza i weszła prosto do swojego pokoju; uderzył ją od razu jego ciepły i przytulny wygląd; każda rzecz znajdowała się na swoim miejscu, lampa z różowym abażurem była zapalona, koszula nocna z jasnoniebieskiego batystu leżała na łóżku, róg kołdry był odchylony, wszystko zapraszało do snu; należało się tylko rozebrać, wsunąć pod kołdrę i spać.

Może widok tego łóżka, które wraz z bębnieniem ulewnego deszczu o okiennice budziło w niej wielkie pragnienie odpoczynku i bezpieczeństwa, a może po prostu całodziennie zmęczenie sprawiły, że nagle stehórzyła; ogarnęło ją takie obrzydzenie do tej nocnej schadzki, na którą się wybierała, że zlekła się samej siebie. „No tak - pomyślała - położyć się, wypocząć... dobrze., ale co potem? Jutro rano znajdę się w tej samej sytuacji, i co wtedy... I czy nigdy nie rozpocznę nowego życia?”

Oderwała się od progu, podeszła do lustrzanej szafy i zaczęła się przeglądać, to cofając się, to postępując parę kroków naprzód; widziała, że ma twarz rozpaloną aż po błyszczące źrenice, lecz gdy zbliżała ją do lustra, dostrzegła między tą jaskrawą czerwienią a oczyma głębokie czarne kręgi, co niepokoiło ją jak poczucie winy; kiedy się odsuwała, była tylko wystrojoną odświętnie dziewczyną ze złożonymi na piersiach rękami, z dużą głową lekko pochyloną na ramię, ze smutnymi oczyma i zakłopotanym uśmiechem. Nic więcej; bezskutecznie chciała przeniknąć tajemnicę swojego ciała.

Odeszła od lustra, zrobiła kilka kroków i usiadła na łóżku; lekki strach nie pozwalał jej zebrać myśli; była zaciekawiona i zniecierpliwiona, w pogotowiu, jak na wizycie, kiedy spacerując i rozglądając się dokoła, czekała na wejście uśmiechniętej pani domu; nic więcej. Siedziała z nogą założoną na nogę, z pochyloną głową i zdawało się jej, że nad czymś głęboko rozmyśla, ale gdy wstawiała i przeglądała się w lustrze, widziała po dziwnie roztargnionych błyskach swoich oczu, że nie może myśleć.

Spędziła tak kilka minut: o spaniu nie było już mowy; pogodziła się w duchu z myślą, że tej nocy odda się Leowi, lecz nie wiedziała, kiedy, i wydawało jej się, że ta chwila, na szczęście, jest jeszcze bardzo daleka. „Ale deszcz!” - myślała raz po raz, gdy plusk wody stawał się głośniejszy; lecz nie uświadamiała sobie, że będzie musiała wyjść tej nocy, w ten deszcz, na spotkanie z kochankiem; ogarnęło ją rzewne zdziwienie; w końcu, bez żalu, lekko ujęła się rękami za głowę i osunęła na łóżko. Leżała na plecach i w tej pozycji widziała tylko oświetlony sufit. Jedynymi dźwiękami, jakie docierały do jej uszu, były odgłosy burzliwej nocy: powtarzając sobie, że niedługo będzie musiała wstać i wyjść, po chwili zamknęła oczy i wpadła w jakieś odrętwienie pełne lęku i nieufności; odrętwienie przeszło w senność i powoli, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, Carla zasnęła.

Był to sen pusty, czarny jak smoła, który bez wątpienia przyczynił się niemało do późniejszych luk pamięciowych, powstałych wokół wydarzeń tej nocy. Brak snów miał zmylić śpiącą, uniemożliwić jej zdanie sobie sprawy, jak długo trwał ów letarg: nagle i bez żadnego powodu obudziła się, zdrętwiała ze strachu; zabrakło jej tchu, bo uświadomiła sobie, że zasnęła: „Spałam - pomyślała przerażona siadając na łóżku i rozglądając się po oświetlonym i cichym pokoju. - Która to może być godzina... druga, trzecia... Leo już może odjechał... czekał i odjechał”. I w pierwszej chwili z żalu i rozpaczony omal nie wybuchnęła płaczem. - Spałam - powtórzyła głośno, łapiąc się za

głowę i patrząc w lustro na swoje odbicie z rozczochranymi włosami, z wystraszonymi oczyma. - Spałam!

Zerwała się z łóżka, podbiegła do komódki, na której stał zegarek: minęły zaledwie trzy kwadranse, była za kwadrans dwunasta.

Wydało się jej to niemożliwe, pomyślała, że zegarek stanął, przyłożyła go do ucha; szedł, a więc mogła się jeszcze spotkać z kochankiem. Sama nie wiedząc dlaczego, poczuła się nagle rozczarowana; odstawiła zegarek na komodę.

Lecz teraz wyłoniły się nowe wątpliwości: jak i gdzie mają się spotkać? Zapamiętała, że za godzinę, że samochód miał na nią czekać przed bramą ogrodu; ale nie była całkiem pewna. „Bilecik - pomyślała nagle - gdzie jest bilecik?”

Rozejrzała się dokoła: nie ma go. Popatrzyła na komodę zastawioną bibelotami; nic; podeszła do łóżka, przetrząsnęła je, przewróciła poduszkę, nic... Ogarnęły ją lęk i niedorzeczny pośpiech; co się stało z tym bilecikiem?... Zaczęła biegać po pokoju rozrzucając rzeczy na wszystkie strony, przetrząsając szuflady, bieliznę... Nagle znieruchomiała: „Zaraz... - pomyślała - przeczytałam go na dole, ale miałam go w ręku, kiedy weszłam, więc musi tu być, tylko spokojnie, musi tu być”. Jak ktoś, kto chce schwytać zwinne, drobne stworzenie, mysz albo motyla, zabrała się powolutku i skrupulatnie do poszukiwań, schyliła się, zajrzała pod meble zgięta prawie w kabłąk, żeby nie zabrudzić sukni, przyciskała czoło i policzki do zakurzonej podłogi, wytężając wzrok zaglądała w ciemne zakamarki. Prostując się odczuwała za każdym razem nerwowe zmęczenie w całym ciele; przymykała oczy i stojąc nieruchomo, z rozłożonymi rozpaczliwym gestem rękami, miała mgliste poczucie, że to poszukiwanie jest pokutą za jakąś zapomnianą winę; ilekroć się pochylała, ogarniało ją pragnienie, żeby połamać się w kawałki i pozostać na podłodze jak roztrzaskany przedmiot.

Z dziecinną pedanterią przeprowadzała poszukiwania nawet w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach: w pudełku z robótkami ręcznymi, w pudełku od pudru... Wszystko na nic; usiadła otępiała i zmęczona: czy było to pismo, które zniknęło natychmiast po przeczytaniu? Taka sama bajkowa nierzeczywistość snu spowijała jej wspomnienia nieuchwytną atmosferą, która po pewnych słowach, po pewnych błyskawicznych czynnościach każe się nam zastanawiać: „Czy to się naprawdę zdarzyło, czy też śniliśmy tylko albo ubzduraliśmy sobie to wszystko, wyszali z palca?” Ten uścisk dłoni, ten skrawek papieru przerwały na trudny do uchwycenia ułamek sekundy ciągłość codziennych wydarzeń; potem wszystko wróciło

do normy; teraz Carla, straciwszy głowę, chciała odnaleźć bilecik Lea: nie miała wątpliwości co do tego, że go dostała, ale nie pamiętała jasno i dokładnie, co zawierał; trzymała go w ręku, widziała i przeczytała, ale nie zdążyła na dobre utrwalić w pamięci.

Co tam było napisane? Za godzinę, czy też wcześniej albo później? Tej czy następnej nocy? I czy nie było już za późno? Czy nie za bardzo padało? I czy nie byłoby lepiej położyć się, zasnąć i wrócić nazajutrz do tego samego życia, co zawsze? Siedziała pochylona, bez ruchu, czas ją zwyciężał; wydawało się jej, wśród osaczających ją wątpliwości, że dławi sama siebie, że popełnia samobójstwo.

Wzdrygnęła się na przenikliwe bicie zegara, który wydzwaniał dwunastą; wróciło opamiętanie, pomyślała: „Pójdę; jeżeli go nie będzie, to znaczy, że mi się to wszystko śniło”. Spojrzała na zegar, obliczyła, że Leo musiał na nią czekać już z piętnaście minut; wtedy ogarnął ją nedorzeczny pośpiech: podbiegła do okna, przytknęła twarz do czarnych szyb, żeby zobaczyć, czy deszcz jeszcze pada; nasłuchiwała, wyteżała wzrok: nic; noc nie chciała jej się objawić, a za plecami pokój z nieubłaganą ironią przeciwstawiał jej swoje nieskazitelne złudzenia i obojętne światło lampy. „Deszcz, nie deszcz - pomyślała z wściekłością - włożę nieprzemakalny płaszcz”. Pobiegła do szafy, chwyciła gumowy płaszcz, narzuciła go na siebie przed lustrem; potem schyliła się i poprawiła rozluźnione podwiązki, upudrowała się, przyczesiła włosy i przesunęła pomadką po wargach; włożyła pierwszy z brzegu kapelusz, naciągając go za głęboko na kark: „Jak Amerykanki” - pomyślała, patrząc na swoją okrągłą twarz w aureoli wymykających się spod wąskiego ronda loczków; zaczęła teraz szukać: „Te przekłete rękawiczki!” Już nie myślała, żyła: pośpiech zabił w niej wszystko, co ludzkie. Podbiegła do zegarka z równie trzpiotowatym zapamiętaniem, z jakim zwykle wybierała się na wizytę, kiedy to czesząc się i strojąc w pośpiechu, wołała do służącej: „Prędeż... już jest późno, późno”. Z impetem otworzyła drzwi, po czym nagle zwolniła kroku i na palcach wyszła na korytarz.

Hall był pusty i oświetlony, wszystko stało na swoim miejscu, fotele, kanapa; nie robiąc hałasu Carla wyjęła z szuflady stolika klucze od mieszkania i jak najostrożniej, to opierając się o ścianę, to o balustradę, zeszła z wąskich schodów; drewniane stopnie skrzypiały pod jej nogami, część schodów za podestem pogrążona była w półmroku; widziała tylko brązowy chodnik, leżący na stopniach; na parterze także panowała ciemność. Zapaliła światło, przeszła przez korytarz między dwoma rzędami luster, w przedpokoju wzięła ze stojaka parasolkę i wyszła.

Deszcz smagał, noc była czarna i wilgotna, zewsząd dolatywał monotony chłopot ulewy. Carla zeszła po marmurowych stopniach, otworzyła parasolkę zwykłym odruchem, który wprowadził ją w zdumienie, jak gdyby - pomyślała - w pewnych niezwykłych okolicznościach każdą czynność należało wykonywać inaczej.

Wydało się jej, że nie przywiązuje aż takiej wagi do tej smutnej i wstydlivej ucieczki, jaką na jej miejscu przywiązywaliby inni; po prostu wychodziła z domu, biegła alejką, schylona pod parasolem, starając się ochronić twarz od zacinającego ukośnie deszczu i wymijając kałuże; przechodziła o tak późnej porze przez ogród bez lęku, bez zdziwienia, a nawet bez tego zabarwionego rozterką i nie pozbawionego żyłki awanturniczej smutku, jaki towarzyszy ważnym przedsięwzięciom; mokry żwir skrzypiał jej pod nogami, a ona słuchała tego z przyjemnością; to wszystko.

Podniosła oczy i zobaczyła przed sobą czarną plamę bramy, dwa białe filary, ciemną koronę dużego drzewa gnącego się pod deszczem; otworzyła boczną furtkę, wyszła na ulicę; popatrzyła nie w tę stronę, gdzie oczekiwał jej Leo. „Nie ma go” - pomyślała zawiedziona, obserwując spokojne światło hakowatej latarni padające na zalany deszczem, pusty bruk; lecz samochód kochanka jechał już za nią i nim się z nią zrównał, dosięgły ją światła zapalonych nagle reflektorów.

Żegnaj, opustoszała dzielnicę tętniąca deszczem jak przemarszem wojsk, żegnajcie, ulice, wille śpiące w wilgotnych ogrodach, długie, wysadzone drzewami aleje, pełne wrzawy parki; żegnaj, położona wysoko bogata dzielnicę! Siedząca nieruchomo u boku Lea Carla patrzyła zadumana na siekący w przednią szybę samochodu deszcz, w którego strugach spływały nieprzerwanie rozpuszczone na szkle wszystkie światła miasta, latarnie, neony, reflektory. Mijali ulicę za ulicą: Carla widziała je splatające się z sobą, chylące się na boki, skręcające za ruchomą maską samochodu; raz po raz, przy wstrząsach, w pędzie, odrywały się od nocy czarne fasady domów, przelatowały mimo i rozplływały się jak boki transatlantyków, prujące fale; czarne grupki ludzi, oświetlone bramy, latarnie, wszystko to ukazywało się na moment, a potem zniknęło pochłonięte całkowicie przez ciemności.

Nieruchoma, jak oczarowana, Carla patrzyła to na Lea, na jego ręce oparte o kierownicę, na spokojne, sprawne ruchy, jakimi prowadził wóz, to na ulicę; te szczegóły urzekały ją; w głowie miała absolutną pustkę. Gdy po dziesięciu minutach samochód zatrzymał się nagle i pomyślała: „Przyjechaliśmy”, z wrażenia zabrakło jej tchu.

Leo wysiadł i powiedział:

- Zaczekaj tu.

Widziała go przez zroszoną szybę, jak otwierał coś ciemnego, pewnie bramę; potem znikł w ciemnym ogrodzie. „Chce wprowadzić samochód do garażu - przyszło jej na myśl; istotnie poprzez plusk deszczu dobiegł do niej zgrzyt podnoszonej żaluzji; zaraz potem wrócił, wsiadł i nie zwracając na nią najmniejszej uwagi wjechał najpierw na wysypany żwirem dziedziniec, a potem do ciemnej wnęki garażu: ostry zapach benzyny i naoliwionej stali; w rogu czerwona latarenka; wysiedli oboje i nie bez trudu spuścili żaluzję; potem Leo skrupulatnie zamknął ją na kłódkę.

Na prawo okrągła lampa oświetlała cztery marmurowe stopnie i dwuskrzydłowe, zamknięte drzwi domu; Leo otworzył je i wepchnął Carłę do przedsionka. Po mokrym i ciemnym ogródku wszystko tu było kolorowe i błyszczące, z sufitu zwisała latarnia z kutego żelaza, białe ściany, pokryte grubą chropowatą warstwą, obramowane były żółtymi drewnianymi listwami, w rogach stały zielone palmy, wszystko było nowiuteńkie; w głębi znajdowała się winda, ale woleli pójść schodami.

Szli w milczeniu; na pierwszym piętrze dały się słyszeć lekko przytłumione dźwięki gramofonu, szmer wesołych głosów i szuranie nóg.

- Tańczą - powiedziała Carla z wymuszonym uśmiechem, opierając się o poręcz. - Kto to?

- Mieszka tu - rzekł Leo pochylając się i odczytując mosiężną tabliczkę na drzwiach - doktor Innamorati, który - dodał trochę, aby rozweselić Carłę, a trochę, aby ukryć swoją niecierpliwość - wraz ze swoją czcigodną małżonką i potomstwem przyjmuje doborowe towarzystwo, ważne osobistości i damy z najwyższych sfer. - Roześmiał się i ujął Carłę pod rękę. - Chodźmy - powiedział - jeszcze jedno piętro i będziemy u celu.

Poszli wyżej; na wykładanej białymi kaflami klatce schodowej rozlegała się płynąca z oddali skoczna muzyka; w przerwach zalegała głucha cisza. Wtedy łatwo było wyobrazić sobie mały salon, tancerzy stojących pod żyrandolem, śmiechy, ruch, a przy oknach, za kotarami, niewinne zaloty... Na drugim piętrze weszli do mieszkania.

W przedpokoju Leo zdjął kapelusz i płaszcz i pomógł Carli się rozebrać. Przedpokój był biały i obszerny, miał troje drzwi; naprzeciwko wejścia mieściło się duże, ciemne, prostokątne okno, zapewne wychodzące na wewnętrzne podwórze. Przeszli do salonu.

- Usiądźmy tu - rzekł Leo wskazując szeroką skórzaną kanapę, pełną poduszek.

Usiedli; stojąca na stoliku lampa z czerwonym abażurem oświetlała ich do piersi, głowy i reszta pokoju były pograżone w cieniu. Przez chwilę siedzieli bez ruchu, w milczeniu: Carla obojętnie spoglądała dokoła; jej oczy błędziły to po ścianach, to po stoliku, na którym stała butelka trunku; zachowywała się jak osoba nie usposobiona do obserwacji, ale czekająca na jakieś słowo czy gest; Leo podziwiał Carłę.

- Moja droga - powiedział w końcu - co ci jest, dlaczego milczysz jak zaklęta i nawet nie popatrzysz na mnie? Weź się w garść i powiedz mi, o czym myślisz, a jeżeli masz jakieś życzenie, nie krepuj się, mów otwarcie... Czuj się jak u siebie w domu. - Wyciągnął rękę i pieśczośliwie pogłodził poważną twarz dziewczyny. - Chyba nie żałujesz - dodał bez cienia zakłopotania - że przyszłaś?

Zwróciła ku niemu głowę.

- Nie - odrzekła - nie... jestem bardzo zadowolona, tylko... rozumiesz chyba?... Muszę się oswoić...

- No to oswajaj się, oswajaj - odrzekł z pewnością siebie Leo; jeszcze przysunął się do Carli: „Do licha - myślał zmieszany i podniecony - co to za nuda te wstępy...” Otoczył jej kibić ramieniem, czego ona zdawała się nie dostrzegać.

- Co za prześliczna sukienka - zaczął Leo pieśczośliwym i ściszym głosem. - Skąd ją masz, Carlo?... Jakie piękne z ciebie dziewczątko... Zobaczysz, jak dobrze nam będzie razem: będziesz moim dziewczątkiem, jedynym dziewczątkiem mojego życia, moim uroczym dziewczątkiem.

Umilkł, musnął szybko wargami dłoń i nagie ramię Carli, zatrzymał się chwilę na szyi, przyciągnął jej dużą głowę; pocałowali się; oderwali się od siebie.

- Usiądź tu - rzekł prosząco, wskazując na swoje kolana; Carla potulnie usłuchała; sukienka zadarła się jej odsłaniając nogi, ale Carla nie obciągnęła jej; ta nonszalancja przekonała Lea ostatecznie o solidności jego podboju.

- Jaki tam jest pokój? - zapytała Carla wskazując drugie drzwi salonu.

- Sypialnia - odrzekł kochanek uważnie ją obserwując; po chwili objął ją znowu i dodał tonem perswazji: - Ale to nieważne... Słuchaj... powiedz, kochasz mnie?

- A ty? - zapytała szeptem, patrząc na niego poważnym wzrokiem.

- Ja?... A co to ma do rzeczy? Oczywiście, że cię kocham, gdyby było inaczej, nie robiłbym tego wszystkiego... Oczywiście, że kocham moją Carlottę, moją laleczkę, moją Carlottinę - oświadczył Leo burząc palcami włosy Carli - kocham ją bardzo, ale to bardzo... i biada temu, kto by ją śmiał choćby tknąć palcem... Pragnę jej całej,

budzą we mnie pożądanie te usta, te policzki, te piękne ramiona, te piękne plecy, to całe jej ciało pełne... kobiecości, rozkoszne, wdzięczne, zachwycające, które... które... które mnie doprowadzi do szaleństwa... - wybuchnął w końcu i rzeczywiście jak oszalały rzucił się na Carłę, przytulił ją do siebie z całej siły i wraz z nią padł na kanapę; lampa rzucała swoje obojętne światło na plecy Lea w opiętej na naprężonych barkach marynarce i nogi Carli w cielistych pończochach. Leżeli tak przez chwilę; Leo dyszał, dygotał z pożądania, raz po raz rzucał urywane, tkliwe słowa. Carla milczała. Poddawała się tym porywom namiętności ulegle, ale bez rezygnacji; wbrew swoim przewidywaniom nie potrafiła zachować jasności myśli, bezwstydne, lubieżne podniecenie rozpałało jej policzki; nie było co ukrywać, nie przyjmowała obojętnie tych pieszczot, rozkosz tym bardziej przenikliwa, im bardziej wydawać się mogła paradoksalna, zaćmiewała jej umysł: „Zaraz, zaraz... - myślała drżąc instynktownie w pożądliwych i okrutnych uściskach kochanka - co ja robię?" Nigdy dotąd te ich więzy nie wydawały się jej tak wulgarne, niewybaczalne i niszczyielskie. „Nowe życie” - przemknęło jej jeszcze przez myśl; potem zamknęła oczy.

Leo potrafił jednak utrzymać swoje żądze w określonych granicach; gdy zobaczył, że Carla omdlewająco przymyka oczy, że jest blada jak wosk na ciemnym tle kanapy, pomyślał natychmiast: „Nie, nie tu... w sypialni... tu jest niewygodnie”. Podniósł się i pomógł się podnieść dziewczynie, przez chwilę siedzieli nieruchomo, w milczeniu, zadyszani; lampa pozostawiała w cieniu Lea rozpartego na kanapie i oświetlała Carłę, która w niczym nie przypominała eleganckiej panienci sprzed kilku minut: włosy miała potargane, twarz czerwoną, niepewną i zasepioną, długi kosmyk opadał jej na oczy, ramiączko, przerwane w połowie w gwałtownym uścisku, zwisało jej na piersi i na plecach obnażając białe ramię. Podczas gdy zamyślona Carla patrzyła przed siebie, Leo zauważył, że coś dziwnego, jak gdyby złożona w czworo karteczka wsunięta za suknię między piersi sterczy pod różowym jedwabiem; uśmiechnął się, wyciągnął rękę i dotknął tego wzniesienia.

- Co to jest? - zapytał bez żadnej intencji, z czystej ciekawości.

Carla zwróciła ku niemu wystraszoną twarz:

- Co?

- No ta karteczka, którą tak zazdrośnie chowasz na piersi - wyjaśnił Leo z ojcowskim niemal uśmiechem.

Spuściła głowę i przyłożyła dłoń do piersi; Leo miał rację, coś jak kartka papieru tkwiło między ciałem i bielizną; Carla nie wiedziała, co to za karteczka, nie pamiętała, że ją tam schowała; podniosła oczy i zakłopotana popatrzyła na kochanka.

- Wszystkie dziewczęta ukrywają tu swoje sekrety - rzekł Leo, którego ta kryjówka rozrzewniła i podnieciła zarazem. - No, zobaczymy, Carlo, zobaczymy ten twój sekret. - Wyciągnął rękę i chciał ją wsunąć pod bieliznę.

- Nie pozwolę ci - krzyknęła nagle, sama nie wiedząc dlaczego, i zasłoniła się rękami.

Uśmiech znikł z twarzy Lea.

- Dobrze - powiedział, bacznie obserwując dziewczynę - pozwalam ci nie pozwalać... Sama wyjmij ten skarb... i przeczytaj mi go.

Carla w milczeniu patrzyła na kochanka, niezdecydowana i zmieszana; wyczuwała, że ta historia z kartką papieru zaczyna go drażnić; zgadywała to po jego oczach, które stawały się twarde; i głowiła się na próżno, co zawiera ta kartka, którą miała pod palcami; nie wyjmowała jej jednak, trochę przez przekorę (a nuż to naprawdę jest jakiś jej sekret, którego nie powinna powierzać nikomu?), a trochę dlatego, żeby zobaczyć, jak się zachowa Leo, kiedy ukłuje go zazdrość.

- A jeżeli - powiedziała w końcu tonem wyzwania, opierając ręce na kolanach - a jeżeli ja nie zechcę ci pokazać tego listu?

- Ach, więc to jest list! - zawołał Leo zaciekawiony i już niespokojny. - A od kogo, jeśli można zapytać, od jakiej to osoby aż tak ważnej, że nosisz go na sercu zamiast zostawić w domu?

Rzuciła mu spojrzenie spod rzęs, pochylając dużą kędzierzawą głowę na nagie ramię.

- Tego ci nie powiem - odrzekła przybierając kapryśną pozę, patrząc przed siebie i obojętnie bębniąc palcami po kolanach.

„To u niej całkiem możliwe - pomyślał Leo rozdrażniony - że ma kogoś innego... całkiem możliwe”. Powoli wstał z kanapy.

- Słuchaj, Carlo - rzekł dobitnie, wbijając w nią świdrujące i władcze oczy - muszę się dowiedzieć, od kogo jest ten list.

Parsknęła śmiechem, ubawiona tą zazdrością; ale nie przestała zachowywać się nonszalancko.

- Zgadnij - powiedziała.

- Od mężczyzny? - zapytał Leo.

- Ma się rozumieć - odparła drwiącym tonem - że nie od kobiety. - W przewidywaniu jakiegoś gwałtownego odruchu Lea trzymała rękę przyciśniętą do piersi; patrzyła w przestrzeń; jej zwrócone na ciemny sufit oczy przymykały się; była zmęczona; miała ochotę skłonić głowę nad tym swoim nie istniejącym sekretem i zasnąć.

- Rozumiem - rzekł Leo z wymuszonym uśmiechem - rozumiem... jakiś adorator... jakiś żółtodziób.

- Nic podobnego - odpowiedziała nie opuszczając głowy - to mężczyzna. - Widziała na przeciwległej ścianie szeroki i niewyraźny cień Lea, który poruszał się, jak gdyby przygotowując się do skoku na swoją ofiarę.

- To mężczyzna - powtórzyła już słabszym głosem, nie przestając bębnić palcami po kolanach - i gdybyś wiedział - dodała upajając się jakimś niczym nie uzasadnionym smutkiem - gdybyś wiedział, jak ja go kocham! - Jej serce drżało, pełne łez oczy przymykały się: „A tymczasem - pomyślała zimno - ten mężczyzna nie istnieje”.

- Mężczyzna... moje gratulacje. - Teraz Leo był naprawdę zły; ta niewinność, która okazywała się mrzonką, ten podbój dokonany przez innego doprowadzały go do szaleństwa; zamiast wymarzonej, dziecinnej i czystej Carli miał przed sobą doświadczoną w miłości pannicę, która bez skrpułów odwiedza męskie garsoniery; powab, barwa i aromat idylli rozwiewały się; był zraniony w swej ambicji uwodziciela.

- To moja wina - dodał przekonany - powinienem był się domyślić, że to nie pierwszy raz.

- Co nie pierwszy raz? - zapytała odwracając się gwałtownie.

- Nie pierwszy raz... rozumiesz chyba... nie pierwszy raz odwiedzasz mężczyznę w jego mieszkaniu.

Policzki Carli zapłonęły jaskrawym rumieńcem, spojrzała na kochanka, nie wiedząc, czy się oburzyć i wyjawić mu tę głupią prawdę, czy też brnąć dalej; wybrała to drugie.

- A gdyby nawet tak było? - odrzekła patrząc mu prosto w oczy.

- Ach, więc to prawda? - Leo zacisnął zęby i pięści, po czym opanował się i dodał złośliwie: - A więc, niewinna dziewczeczko, masz kochanka...

- Tak - wyznała czerwieniąc się znowu; ta ironia i ten ton zabolą ją; nigdy jeszcze nie tęskniła tak do czyjejs dobroci.

- No cóż, godna jesteś podziwu, najwyższego podziwu - wycedził Leo. Spojrzał Carli w oczy i dodał jak gdyby sam do siebie: - Nic dziwnego... jaka matka... taka córka. - Potem oczy nabiegły mu krwią; wściekle szarpnął ją za ramię: - Wiesz, kim jesteś?... Jesteś... jesteś... - bełkotał i w pasji nie mógł znaleźć właściwego epitetu - jesteś bezwstydną... I pomimo to przyszedłaś też do mnie?

- To zupełnie co innego - odrzekła spokojnie Carla.

„Ładna historia... co za ohyda... I pomyśleć tylko, że ona ma zaledwie dwadzieścia cztery lata” - myślał Leo patrząc na Carłę. - A czy można wiedzieć przynajmniej, kto to taki ten pan? - zapytał.

- Jest wysoki - odpowiedziała usiłując opisać mglisty ideał, ku któremu skłaniało się jej serce - ma kasztanowate włosy, myślące czoło, twarz owalną... nie czerwona... raczej bladą... bardzo ładne ręce.

- Santoro! - wykrzyknął Leo nazwisko jednego ze znajomych Carli, który pasował mu najbardziej do tego opisu.

- Nie, to nie on! - Carla popatrzyła przed siebie: „Gdyby rzeczywiście istniał - myślała - nie byłoby mnie tutaj”. Milczała przez chwilę.

- Kocha mnie bardzo i ja go bardzo kocham - mówiła dalej z niezwykłą płynnością, która ją samą zdumiewała i zachwycała, bo wydawało się jej teraz, że nie kłamie - poznaliśmy się dwa lata temu... i od tej pory stale się spotykamy... On nie jest taki jak ty, jest... jest przede wszystkim dobry, rozumiemy się bez słów, mogę się z nim podzielić każdą moją myślą, wszystkim, i nikt tak do mnie nie mówi jak on, i bierze mnie w ramiona i... i... - głos jej zadrżał, oczy napełniły się łzami; w tej chwili sama wierzyła w to, co mówi, wydawało się jej niemal, że widzi przed sobą wcielony twór swojej fantazji. - Bo on jest naprawdę inny niż wszyscy i tylko on naprawdę mnie kocha - zakończyła wzruszona, a także zachwycona, że umie kłamać jak z nut.

- Nazwisko - rzekł Leo bynajmniej nie wzruszony ani jej tonem, ani słowami - chcę znać jego nazwisko!

Carla przecząco pokręciła głową:

- Nazwiska ci nie powiem.

Chwila milczenia; popatrzyli na siebie.

- Daj mi ten list - rozkazał Leo tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Przestraszona, zasłoniła piersi rękami.

- Dlaczego... Leo? - zaczęła błagalnym głosem.

- List... daj list! - chwycił Carlę nagle w pól i chciał siłą wepchnąć rękę w jej kryjówkę; lecz ona uchyliła się, odepchnęła go i w końcu, rozczochrana, uciekła pod przeciwległą ścianę.

- Nie wiesz jeszcze, że niczego nie osiąga się przemocą? - krzyknęła i otworzywszy drzwi od sypialni znikła.

Nieprzytomny ze złości, Leo rzucił się na zamknięte drzwi; ale Carla przekreśliła już klucz z drugiej strony.

- Otwórz - krzyknął w przystępie furii, bijąc pięściami w drzwi - otwórz, idiotko... - Nie było odpowiedzi.

Przyszło mu nagle na myśl, że może się dostać do sypialni od strony łazienki; pobiegł do przedpokoju, wpadł do łazienki; wszystko było w porządku, niklowane krany i kafelki z lśniącej majoliki połyskiwały w półmroku. Ku swojej wielkiej radości zobaczył, że oszklone zielone drzwi są uchylone; w pierwszej chwili nie dostrzegł Carli; światło było zgaszone, sypialnia tonęła w ciemności. „Może wyskoczyła oknem?” - pomyślał niespodzianie, posuwając się po omacku. Zapalił światło, w pokoju rzeczywiście nie było nikogo: „Niech ją diabli wezmą, gdzie mogła się schować?” - zastanawiał się i już chciał wyjść i szukać Carli w innych pokojach, gdy nagle zobaczył ją skuloną za drzwiami łazienki.

Podszedł do Carli, chwycił ją za rękę i siłą wyciągnął z kryjówki, tak jak się robi z krnąbrnymi dziećmi.

- Daj list! - rzekł surowo, trzymając ją mocno.

Patrzyli na siebie; myśl, że kochanek może ją przyłapać na kłamstwie, przerażała i upokarzała Carlę; wiedziała, że ten skrawek papieru nie ma żadnego znaczenia, że to jakiś bilet wizytowy albo inne głupstewko, i cierpiała nad tym, że będzie zmuszona wyznać Leowi, że wszystko to było jej fantazją.

Zrobiła ostatnią próbę.

- Postępujesz niesprawiedliwie, Leo - zaczęła kłótlwym głosem - ja...

- List! - rozkazał po raz drugi.

Carla zrozumiała, że dalszy opór jest bezcelowy. „Co będzie, to będzie” - pomyślała zrezygnowana, a także trochę zadowolona, co zawiera list; wyjęła z gorsu kartkę i podała mu ją.

- Masz!

Leo wziął ją, ale nim się zabrał do czytania, spojrzął na dziewczynę. I wtedy, nie wiadomo czemu, Carla zachowała się tak, jak gdyby poczuła się zhańbiona: skrzywiła się rozpaczliwie, odwróciła, podeszła do łóżka i rzuciła się na nie, kryjąc twarz w dłoniach; ale była to tylko komedia, której nie towarzyszyły żadne przeżycia, i ona sama doskonale zdawała sobie z tego sprawę; potem usłyszała, że Leo się śmieje, i podniosła głowę:

- Przecież to mój bilet - zawołał podchodząc do niej - mój bilet, który ci dałem dzisiaj.

Nie była zaskoczona; ostatecznie ta historia z listem była niedorzeczna, nikt przecież do niej nie pisywał, nikt jej nie kochał... pomimo to uważała, że spotyka ją okrutna niesprawiedliwość: niesprawiedliwością było, że nie stał się cud (czy siła jej pragnień nie mogła przemienić w miłosny list tego głupiego biletu?), niesprawiedliwością była ta żalosna rzeczywistość; zbladła.

- No tak, twój bilet - odrzekła Carla z uczuciem gorzkiego i nieuniknionego rozczarowania. - A ty myślałeś, że co?

- Wobec tego - mówił dalej, zbliżając się do niej i siadając koło niej na łóżku - wobec tego ja jestem tym mężczyzną... kasztanowate włosy, myślące czoło... ja jestem tym, którego kochasz.

Długo przyglądała mu się, jak gdyby chciała dopatrzeć się w tej czerwonej i zadowolonej twarzy wymarzonego ideału.

- No... no - odrzekła wahająco i spuściła oczy, świadoma, że kłamie dalej - jeszcze się nie domyśliłeś?

Po raz pierwszy, od kiedy się znali, Leo roześmiał się szczerze, serdecznie, niemal młodzieńczo.

- No wiesz! - zawołał i objął ją wpół: - Uznajmy za niebyłe wszystko, co mówiłem - dodał - uznajmy za niebyłe. - Pochylił się, całował jej ramiona, szyję, policzki, piersi: to ciało podnieciło go znowu, wraz z odzyskanymi złudzeniami wracało pożądanie.

- Moja mała kłamczuszka - powtarzał - moja dziecina, mój kłamczuszek...

Ten wylew uczucia nie trwał dłużej niż minutę; potem niezdarnie poderwał się z łóżka.

- A teraz? - zapytał pół żartem, pół serio, nie przyglądając potarganych włosów: z tymi zmierzwionymi na czole kosmykami wyglądał trochę jak pijak, trochę jak niedojda. - Nie uważasz, że już czas iść spać?... Jestem taki śpiący... strasznie śpiący.

Carla zdobyła się na uśmiech i nieśmiało skinęła głową.

- Wobec tego masz tu pidzamę - powiedział wskazując na poduszkę, gdzie leżała pidzama w szerokie pasy. - Tam na komodzie masz wszystkie przybory toaletowe... rozbierz się i połóż do łóżka... ja zaraz przyjdę. - Ufnie uśmiechnął się do niej, poklepał ją po ramieniu i poszedł do łazienki.

IX

Łóżko, niskie i szerokie, zajmowało cały róg sypialni; położyła się i rozejrzała po pokoju: w półmroku, nie rozproszonym światłem palącej się u wezglowia lampki, widać było dwie szafy z lśniącymi lustrami, jedną na prawo od drzwi, drugą z przeciwnej strony; i nic poza tym; okno zajmowało całą przeciwległą ścianę; było niskie, prostokątne, z małymi szybami, miało krótkie, przezroczyste śnieżnobiałe firanki; pod oknem był kaloryfer zasłonięty metalową siatką; żaluzje były spuszczone, drzwi od salonu zamknięte, tak samo jak drzwi od łazienki, o szybach oświetlonych łagodnie, jak ścianki akwarium w słońcu. Spuściła oczy, u jej stóp leżała duża niedźwiedzia skóra, biała i włochata: miała oczy z żółtego celuloиду i rozdziawiony pysk pełen ostrych zębów; ta gładka skóra z krótkimi łapami i małym ogonem robiła takie wrażenie, jak gdyby rozplaszczyl ją gigantyczny walec, pozostawiając nietknięty jedynie srogi łeb. Wstała, machinalnie przeszła się po pokoju, dotknęła kaloryfera, który był ciepły, rozsunęła firankę, po czym obejrzała się: za łagodnie oświetlonymi, oszklonymi drzwiami łazienki to przesuwiał się, to znikał cień jej kochanka i słychać było plusk lejącej się strumieniem wody... Przyjrzawszy się swojej wylęknionej twarzy i zburzonej fryzurze, wróciła do łóżka i zaczęła się rozbierać.

Nie myślała o niczym; niezwykle czynności, które wykonywała, pochłaniały ją bez reszty, wprawiały w senne zdumienie. Największe wrażenie robiło na niej to, że nie jest w domu, że znalazła się o tej porze w tym pokoju; zdjęła rozdartą sukienkę i powiesiła ją na niskim fotelu w nogach łóżka, potem pończochy i wpatrywała się przez chwilę w swoje gołe nogi; potem halkę i majteczki; zawahała się; czy miała zdjąć również koszulę? Namyslała się; tak, to było konieczne; ściągnęła ją przez głowę i położyła na pozostałych częściach garderoby. Naga poczuła się dopiero pod zimnym prześcieradłem i skuliła się cała przy ścianie, kładąc jedną rękę na brzuchu, a drugą na piersi: pasiastą pidżamę, która przypominała jej kitel więzienny, rzuciła na ziemię; przyszło jej na myśl, że mogła ją kiedyś mieć na sobie matka.

Z wolna jej płonące ciało rozgrzewało pościel. Nagle to ciepło jak gdyby rozluźniło pęta strachu i odrętwienia, które do tej chwili krępowały jej serce; poczuła się samotna, ogarnęły ją litość i tklivość dla siebie samej; starając się skurczyć jak najbardziej, zwinęła się w kłębek, dotykając wargami swych krągłych kolan. Bijący z

nich zdrowy i zmysłowy zapach wzruszył ją; kilkakrotnie ucałowała je w uniesieniu. „Biedulka... biedactwo” - powtarzała w duchu, pieszcząc się. Oczy wypełniły się jej łzami; chętnie skłoniłaby głowę na swoje bujne piersi, żeby się na nich wypłakać jak na piersi matki; potem, nie przestając wpatrywać się uważnie w ścianę, na którą padało mdłe światło lampki, zaczęła nasłuchiwać. Dobiegające ją odgłosy były znajome i uprzytomniały jej w pełni, gdzie się znajduje; deszcz jeszcze padał, słychać było jego szelest; po łazience ktoś chodził; płynęła woda z kranu; przy każdym poruszeniu łóżko miękko się ugięło z głuchym i jak gdyby dalekim jękiem, nie wiadomo, czy wywołanym jakimś wspomnieniem, czy niezwykłą elastycznością materaca. Nie było to łóżko takie jak jej własne, wąskie i twarde, ani takie jak obce łóżka, w których sypia się po długich podróżach i które zawsze wydają się za wysokie albo za niskie, i dlatego źle się w nich wypoczywa; nie; było to łóżko wygodne, mięciuteńkie, pełne troskliwości i względów; tylko że wylężnione ciało kulilo się w nim, drżało i raz po raz niepewnie wyciągnięta ręka macała rozciągającą się przed nią olbrzymią i zimną przestrzeń, tę Syberię z płótna, pustą i wrogą; było to uczucie bardzo niemile, takie mniej więcej jak wyczuwanie za plecami w ciemnej ulicy czyjejs obecności.

Zamknęła zmęczone oczy; minęła zaledwie minuta, a jej się wydawało, że leży w tym łóżku już od godziny. „Dlaczego Leo nie przychodzi?” - przyszło jej nagle na myśl. Po tej myśli przyszły dalsze: „Nie odwrócę się, dopóki nie zgasi światła - powiedziała sobie bez nienawiści - nie chcę go widzieć...”

Wstrząsnął nią dreszcz. „To koniec” - pomyślała z roztargnieniem i bez przekonania; teraz, gdy niezłomna chęć samounicestwienia zaprowadziła ją aż do tego łóżka, zachłannie pragnęła ciemności, w której obejmą ją ramiona kochanka; z pewnym zażenowaniem snuła marzenia, wynikające może z instynktownej żądzy rozkoszy, a może z tej upartej chęci stoczenia się na dno; wyobrażała sobie, jak tej ciemnej nocy rzuci się w odmęty najbardziej wyuzdanych pieszczot, których nie zaznała dotąd, ale których istnienie od dawna przeczuwała; ale nawet te podniecające myśli nie zabijały czasu: niecierpliwie czekała na kochanka. „Dlaczego Leo nie przychodzi?” - powtarzała sobie raz po raz... Potem, zmęczona rozpustą, zaśnie u boku Lea; ta myśl, nie wiadomo dlaczego, podobała się jej; musiało to być błogie i zarazem smutne uczucie; spać razem, nago, we dwoje, w objęciach przez całą długą noc; poczuła przypływ tkliwości dla Lea i już postanowiła sobie, że nie poruszy się, że

będzie wstrzymywała oddech, aby go nie zbudzić... gdy brzęknęły szyby otwierających się drzwi łazienki...

W niepokoju, jaki ją w końcu ogarnął, ten niespodziewany, ale swojski odgłos wydał się jej miły jak obecność bliskiej osoby w obcym albo budzącym grozę miejscu: w taki sam sposób i z takim samym szmerem otwierały się oszklone drzwi na całym świecie, zarówno w jej domu, jak wszędzie. Cały ułożony przez nią plan uleciał jej nagle z głowy, szeroko otworzyła oczy, zobaczyła na ścianie duży cień Lea i odwróciła się: kochanek pochylał się nad nią. Zdążyła zauważyć, że Leo ma na sobie nie pidżamę, ale coś w rodzaju luźnego szlafroka, że jest starannie ogolony, upudrowany, uczesany; potem najzwyczajszym ruchem, nie tracąc właściwego sobie roztargnionego i twardego wyrazu, odchylił kóldrę i położył się obok niej.

X

Pierwszy zasnął Leo; nieoczekiwane a prymitywne wyuzdanie Carli wycięczyło go. Gdy po ostatnim uścisku miłosnym leżeli przez chwilę nieruchomo, na pół we śnie, na pół na jawie, spoceni, spleceni ze sobą, z zamkniętymi oczyma, z głowami stykającymi się na poduszce, Carla poczuła, że ręka Lea wysliznęła się powoli spod jej pleców, jego nogi oderwały się od jej nóg: kochanek odwrócił się na drugi bok. „A jutro rano? - mignęła jej niejasna myśl, gdy wsłuchiwała się w spokojny oddech śpiącego. - A jutro rano?” Ona też była strasznie wyczerpana, wydawało się jej, że od wieków jest pogrążona w gęstej ciemności pokoju, bolała ją głowa, nie śmiała się poruszyć; potem, znienacka, pomimo że wciąż wyczuwała wyostrzonymi zmysłami obecność tego nagiego ciała obok swojego ciała i specyficzne ciepło prześcieradeł, tak dla niej nowe, i nieuchwytną atmosferę, która nie pozwalała zapomnieć jej ani na chwilę, w jakim mieszkaniu, w jakim pokoju się znajduje, przestała się temu wszystkiemu dziwić, jak gdyby w tym krótkim czasie zdołała już do nich przywyknąć; odwróciła się na bok, pociągnęła kołdrę w swoją stronę i zasnęła.

Natychmiast nawiedził ją dziwny sen: wydało się jej, że widzi tego wymarzonego kochanka, którego tak dokładnie opisała Leowi; jest wysoki - może dlatego, że stoi, a ona leży w łóżku - czoło ma myślące; spokojne i wyrozumiałe oczy; sztywno wyprostowany, patrzy na nią z uwagą i zdziwieniem, jak gdyby naprawdę wszedł teraz do sypialni i zastał ją nagą, w łóżku, zhańbioną, z ciałem napiętowanym - na ramionach, na piersiach, na brzuchu - wyuzdanymi pieszczotami Lea. Ona siebie nie widzi, leży na wznak, lecz spojrzenie mężczyzny mówi jej, że cała jest naznaczona jakimiś śladami czy plamami i że nawet w oczach tego obcego człowieka jest już inna niż dawna Carla; oboje przez chwilę nieruchomo patrzą na siebie, w końcu jednak widok tej twarzy spokojnej, surowej i skupionej, tych oczu zwróconych na jej zhańbione ciało (najstraszniejsze jest to, że ona siebie nie widzi), staje się dla niej torturą nie do zniesienia, zasłania więc oczy ręką i chce wybuchnąć płaczem; ale spotyka ją znowu przykra niespodzianka: jej oczy pozostają suche, nie może wycisnąć ani jednej łzy, nie potrafi już płakać. A tymczasem przenika ją nieznośny ból i gorzki żal nie wiadomo za czym; skarży się, krzyczy, tak przynajmniej wydaje się jej we śnie, i wciąż leżąc na wznak (istna męka to uczucie, że jest przygwożdżona do łóżka, że nie

może zgiąć się ani wstać) zaczyna się miotać całym ciałem; w tych spazmatycznych drgawkach przebitego szpilką motyla widzi chwilami w oddali spokojną twarz, oczy, które nie przestają na nią patrzeć, sprawiedliwe czoło: „Płacz, płacz” - powtarza sobie, wysila się, by uронić choć jedną łzę, zwilżyć nią suche powieki, ale na próżno... Jej ból nie znajduje ujścia, przygniata jej duszę olbrzymim ciężarem, dławi ją; wreszcie nie może już dłużej i wyciąga ramiona do tej dalekiej głowy... Wydaje się jej, że wzywa go najśłodszymi imionami, nowymi, płynącymi prosto z serca, które ją samą wzruszają głęboko, obiecuje kochać go przez całe życie, zawsze (ta myśl o wieczności nie wiadomo dlaczego napełnia ją wielką goryczą); wszystko na próżno, mężczyzna nagle znika; a ona zapada się w ciemność; rozbrzmiewa wtedy z narastającą, rosnącą dźwięcznością, głęboka jak bicie dzwonu sylaba: „San... San... San... San...”, która doprowadzają do rozpacz i rodzi w niej koszmarny lęk; potem niespodziewanie słyszy całe nazwisko „Santoro” i budzi się.

Otaczały ją te same ciemności, w których zasnęła; była zlana potem, a z lewego boku wyczuwała jakąś strefę wilgotną, emanującą żarem. „Gdzie jestem?” - pomyślała ze strachem. Zaraz jednak przypomniała sobie wszystko i już wiedziała, że ciepło bije z nagiego boku Lea dotykającego jej pleców; miała wrażenie, że się dusi, odrzuciła więc kóldrę i wysunęła ręce; orzeźwiło ją to od razu; otworzyła oczy, bo i z obawy przed dalszymi sennymi zmorami, i ze zdenerwowania nie chciała już spać; znów instynktownie wróciła myślą do wszystkich wydarzeń tej nocy.

Przypominała je sobie urywkami: widziała siebie to w samochodzie pędzącym w deszczu przez ulice miasta, to w salonie, na kolanach kochanka; niemal równocześnie stanął jej przed oczami obraz Lea kładącego się do łóżka, w którym ona na niego czekała, i ten drugi obraz, bardziej dziwaczny i kłopotliwy, kiedy oboje nadzy czekają obok siebie przy napełniającej się wodą wannie, oślepieni światłem w białej, wykładanej lśniącoymi kaflami łazience. Te wspomnienia tak świeże wydawały się jej dalekie i jak gdyby oderwane od jej osoby, nie chwytala ich i nie analizowała, bo było w nich coś zupełnie paradoksalnego; a jednak nie ulegało wątpliwości, że te widziane przez nią obrazy z przesuwającymi się w nich w naturalnej wielkości osobami to było jej życie, które naprawdę przeżywała; wystarczyło wyciągnąć rękę pod kóldrę, by dotknąć nagiego ciała kochanka, lub zapalić światło i przekonać się, że to pokój Lea, a nie jej własny: „Jestem poza domem... w nocy... - pomyślała w końcu z nieopisanym zmieszaniem - tu... w łóżku mojego kochanka”. Zdumiewały ją nawet najzwyklejsze z wydarzeń tej nocy, a już prawdziwym wstrząsem były dla niej sprawy, których nie

tylko nie znała, ale nawet nie podejrzewała ich istnienia; nie mogła się nasycić ich roztrząsaniem, odtwarzała je wielokrotnie, jak, gdyby na nowo się w nich rozsmakowując... Na przykład wyraźne wspomnienie błyskawicznych chwil, jak gdyby jasnowidzenia, kiedy jeszcze przy świetle lampy przez mgnienie oka widziała pewne pozy swoje i kochanka, tak monstrualnie nieprzyzwoite, że wyryły w jej pamięci niezatarte ślady.

Ale czy wskutek otaczających ją ciemności, czy też lękliwej niepewności, jaka zaczęła ją ogarniać, wspomnienia te znużyły ją i nie mogły dłużej zwodzić jej do tego stopnia, aby utraciła świadomość swego obecnego położenia. „A co się teraz - pomyślała nagle - co się ze mną stanie?” Nie chciała się przyznać, że czuje się straszliwie samotna... Leży na wznak w tym łóżku, rzucona na pastwę swoich myśli, swojego lęku, swojej słabości; noc wypełniła jej szeroko otwarte oczy, kochanek nie pieści jej czoła, nie gładzi rozwichrzonych włosów, nie czuwa nad nią w jej męczącym półśnie, nie broni jej; jak gdyby go przy niej nie było; spokojny oddech po jej lewej stronie to mógł być równie dobrze Leo, jak każda inna osoba; przypominał jej tylko od czasu do czasu, że nie jest sama.

Ogarnęło ją znienacka histeryczne pragnienie czyjejs obecności i pieszczot. „Dlaczego on śpi? - zadawała sobie pytanie - dlaczego nie troszczy się o mnie?” W końcu jego letargiczny oddech przestraszył ją, jak gdyby tam, u jej boku leżał nie Leo, ale jakiś inny mężczyzna, nieznajomy, może nawet wróg; był w tym oddechu rytm tak obojętny i regularność stanowiąca tak potworne przeciwieństwo z jej rozterką, z jej majakami, że sama nie wiedziała, czy powinna się go bać, czy nim gardzić; próbowała o nim zapomnieć, wsłuchiwała się w inne odgłosy, w jakieś szelesty i szmery; potem szeroko otworzyła oczy, chcąc dostrzec w ciemności coś, na czym mogłaby skupić uwagę... Wysiłała się jednak na próżno, oddech narzucał się natrętnie, spokojny, prawie nieludzki... „Jakby to było cudownie” - pomyślała wreszcie rozżalona - gdyby on się teraz obudził i powiedział mi, że mnie kocha”. I już sobie wyobrażała, jakby się to odbyło: przyciągnąłby ją do siebie, przytulił policzek do jej policzka i szeptałby jej w ucho miłosne słowa; na samą myśl o tym poczuła wzruszenie i ulgę; nagle zlodowaciała z przerażenia. Wydało się jej, że drzwi od łazienki, na wprost łóżka, powoli się otwierają; było tam odrobinę jaśniej, prawdopodobnie trochę światła padało z podwórza przez niedomknięte żaluzje w łazience... Drzwi w głębi uchylały się powoli, jak gdyby ktoś chciał wejść do sypialni i popychał je powoli od zewnątrz.

Ze strachu zabrakło jej tchu, serce zaczęło bić jak szalone; zamarła, zeszywniała z oczyma wbitymi w drzwi; przemknęła jej przez głowę niedorzeczna myśl, w którą sama nie wierzyła: „To matka chce mnie tu przyłapać...” Potem drzwi cicho skrzypnęły i tego było już dla niej za wiele: zamknęła oczy, zebrała wszystkie siły i z rozdzierającym uczuciem krzyknęła przenikliwie, żałośnie.

Powstało zamieszanie; zapłonęło światło, ukazała się spokojna sypialnia, zaspany Leo usiadł na łóżku:

- Co ci się stało?

- Drzwi... - wyjąkała Carla blada i zadyszana - drzwi od łazienki.

Leo bez słowa wstał z łóżka: zobaczyła, jak otwiera drzwi, znika w łazience i zaraz potem wraca.

- Nie tam nie widzę - oznajmił - to musiał być wiatr... Zostawiłem otwarte okno w łazience... - Podszedł do łóżka, uniósł kołdrę, położył się: - Nie myśl o tym więcej - powiedział - śpij dobrze - i zgasił światło.

Wszystko to odbyło się tak szybko, światło zapaliło się na tak krótko, że nie zdążyła nic powiedzieć ani wyrazić wzrokiem czy uściskiem, jak bardzo jej serce pragnie pociechy i pieszczoty; i wtedy, w ponownie otaczających ją ciemnościach, po chwili zaczęła płakać.

Łzy szybko ściekały po jej policzkach, buchnęła cała gorycz, jaka nagromadziła się w niej tej nocy: „Gdyby mnie kochał - powtarzała sobie - pocieszyłby mnie... a tymczasem nic: zgasił światło i odwrócił się do mnie plecami”. Przeczuwana samotność okazała się nieunikniona; zasłoniła oczy nagim ramieniem, twarz jej wykrzywił bolesny grymas: „Nie kocha mnie... nikt mnie nie kocha” - powtarzała. Chwyciła się za włosy; policzki miała mokre od łez; w końcu zmogło ją zmęczenie i wciąż płacząc zasnęła.

Gdy się obudziła, musiał już być dzień, wskazywały na to prześwity w poprzecznych szparach żaluzji, rozpraszające gęsty mrok sypialni. Rozbudziła się od razu, bez trudu poznała, gdzie się znajduje, nie zdziwiła się, że ma na sobie pasiastą pidżamę, którą odrzuciła ze wstrętem wieczorem: nie pamiętała tylko, w jakim momencie, w nocy, włożyła ją; gdy usiadła na łóżku oparta o ścianę i jej oczy przywykły do pylistego półmroku sypialni, nie zdziwiła się również dostrzegając na poduszce odcinającą się ciemną plamą głowę Lea. Słowem, sen rozwiął wszystkie przywidzenia i lęki nocne; było tak, jak gdyby od lat przywykła budzić się w ten

sposób, w łóżku kochanka; skończyły się męczarnie, zdziwienie, niecierpliwość; skończyły się przywidzenia posępne i burzliwe; Carla z oczyma szeroko otwartymi w przytłaczającym mroku napawała się uczuciem nie znanej dotąd sytości, spokoju, zrównoważenia, które przekonało ją, że naprawdę wstąpiła w nowe życie. „Dziwne - pomyślała w pewnej chwili - mam takie wrażenie, jak gdybym się stała nagle o wiele starsza...” Siedziała przez chwilę nieruchomo, lekko zaniepokojona; potem pochyliła się i potrząsnęła za ramię Lea:

- Leo... - zawołała dziwnym, przyciszonym głosem.

Leo, przykryty kołdrą po uszy, spał głębokim snem i początkowo jej nie dosłyszał; Carla pochyliła się więc nad nim po raz drugi i znów go szturchnęła; wtedy dał się słyszeć znad poduszki zaspany głos:

- Dlaczego mnie budzisz?

- Jest już późno - powiedziała znowu tym nowym, ściszym i poufnym tonem - najwyższy czas, żeby wrócić do domu...

Leo, bez słowa, nie zmieniając pozycji, wyciągnął rękę i zapalił lampę; zabłysło to samo spokojne światło, co wczorajszego wieczora; Carla zobaczyła meble, drzwi, fotelik, gdzie leżała jej bielizna, i siebie, siedzącą na łóżku... Zegarek na stoliku pod lampą wskazywał wpół do szóstej.

- Wpół do szóstej - powiedział z żalem i rozdrażnieniem Leo, nie odwracając głowy - dlaczego mnie obudziłaś?

- Jest już późno - powtórzyła; zawahała się, po czym ostrożnie prześliznąwszy się poprzez leżącego Lea usiadła na krawędzi łóżka.

On zdawał się jej nie widzieć i nic nie odpowiedział; pomyślała więc, że zamknął oczy i zasnął na nowo; nie zwracając już na niego uwagi postanowiła się ubrać.

Ale ledwie zdążyła zdjąć ten ohydny pasiasty kitel i stojąc nago chciała włożyć koszulę, poczuła obejmujące ją wpół ramię. Pierwszym jej odruchem był lęk; upuściła koszulę i gwałtownie obejrzała się: zobaczyła wtedy, tuż przy swoim biodrze, zaspaną, czerwoną twarz kochanka.

- Carlo - szepnął wychylając się z łóżka, podnosząc podniecone i jeszcze senne oczy na dziewczynę i udając bardziej zaspanego, niż był w istocie - dlaczego chcesz już iść? Chodź tu... wróć jeszcze na chwilę do twojego Lea.

Spojrzała na tę kusicielską twarz, oświetloną ciepłym blaskiem lampy, i nagle wezbrał w niej niewytłumaczony ból.

- Zostaw mnie - zachnęła się szorstko, usiłując odtrącić wpijające się w jej bok palce - jest późno... muszę już iść.

Zobaczyła, że Leo się śmieje, przymrużając małe, pożądlive oczka.

- Są rzeczy, na które nigdy nie jest późno - rzekł, a Carla nagle, bez powodu, bo nie było nic dziwnego w tym wybuchu pożądlivosti kochanka, wpadła w furję:

- Mówię ci, zostaw mnie - powtórzyła twardo: w odpowiedzi Leo wyciągnął drugą rękę, usiłując przewrócić ją na bok; wówczas wyrwała mu się gwałtownym szarpnięciem, podeszła do fotela stojącego w nogach łóżka i w milczeniu, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, zaczęła wciągać pończochy.

Potem przyszła kolej na podwiązki; minęła dłuższa chwila, nim podniosła oczy i ostro spojrzała w stronę łóżka; Leo był odwrócony do ściany i zdawał się pogrążony we śnie. „Śpij sobie, śpij!” - pomyślała; był to ułamek sekundy; niemal jednocześnie, jak gdyby pod wpływem tej myśli, lęk i niepewność ścisnęły jej serce; po wielu godzinach całkowitego zapomnienia zabrzmiało jej w głowie echo słów: „nowe życie”; schyliła się, sięgnęła po halkę. „Czy to możliwe - myślała ściskając nerwowo ten łaśzek i patrząc przed siebie - żeby to było nowe życie?”

Ta myśl nie dawała jej spokoju; skończyła się ubierać i podeszła do łóżka.

- Wstawaj - zawołała do śpiącego Lea pochylając się nad nim i dotykając jego ramienia - pośpiesz się... trzeba już iść.

- Dobrze! - usłyszała odpowiedź. Pewna, że za chwilę zobaczy go gotowego do wyjścia, poszła do łazienki.

Uczesała się grzebieniem i szczotką Lea, umyła ręce, przyjrzała się w lustrze swojej pobladłej twarzy: „W domu - pomyślała - umyję się cała... wykąpię się... a potem muszę zaraz wyjść, umówiłam się przecież na partię tenisa...” Ale mimo tych spokojnych i trzeźwych myśli wciąż gnębiło ją podświadomie tamto pytanie: „Czy to możliwe, żeby to było nowe życie?”

W sypialni spotkała ją niespodzianka: Leo nie tylko nie był gotów, ale nawet nie wstał z łóżka; leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła, i zdawał się spać w najlepsze.

Podeszła do niego i potrząsnęła nim:

- Leo... jest już późno... musimy iść, wstawaj!

Leo odwrócił się, uniósł lekko z poduszki rozspaną twarz i spojrzał na nią:

- Co? Już jesteś ubrana?

- Jest późno...

- Późno? - powtórzył Leo, jak gdyby nie rozumiał, o co chodzi. - No to co?

- Jak to: no to co?... Musisz mnie odwieźć do domu.

Ziewnął, odgarnął włosy z czoła.

- Żebyś ty wiedziała, jak mi się chce spać... - zaczął - przez całą noc nie dałaś mi chwili spokoju: wołałaś mnie... wciąż coś do mnie mówiłaś... kopałaś mnie... sam już nie wiem co... Jestem strasznie śpiący. - Mówił powoli, przeciągając zgłoski, unikając jej wzroku; Carla uważnie go obserwowała. „Oczywiście - pomyślała w pewnej chwili, bez gniewu, spokojnie - udaje, że jest taki śpiący nie dlatego, że się nie wyspał, ale dlatego, że nie uległam mu przed chwilą...” Wyprostowała się:

- Jeżeli chcesz spać, Leo - powiedziała prawie pieszczotliwie - nie krępuj się... mogę sama wrócić do domu.

- Głupstwa mówisz... - przeciągnął się - skoro już mnie zbudziłaś, odwiozę cię.

„Pokażę mu, że się myli - pomyślała patrząc na niego - że... nie jestem taka jak on”. - Nie, nie - nalegała dalej, tym samym łagodnym tonem - nie... nie, wołałabym nie robić ci kłopotu, chce ci się spać, to zrozumiałe... wolę iść sama.

Leo, zbity z tropu, popatrzył na nią:

- Nie puszcze cię samej - rzekł w końcu niby to stanowczo, ale właściwie dość miękko - teraz tak mówisz, a potem nie przestaniesz mi tego wypominać... Znam kobiety; nie ma o czym mówić, odwiozę cię.

- A gdybym ci zabroniła?

- Czego byś mi zabroniła?

- Odwieźć mnie.

Leo wytrzeszczył oczy, zdumiony.

- No to sprawa wyglądałaby całkiem inaczej - odpowiedział nieufnie.

- Wobec tego - oświadczyła Carla, spokojnie poprawiając pasek przy sukni - zabraniam ci.

Chwila milczenia.

- Najpierw chciałaś, żebym cię odwiózł - powiedział w końcu - teraz znowu nie chcesz... Co to za kaprysy?

„Ach, więc to ja mam kaprysy” - pomyślała zaciskając zęby; usiadła na łóżku obok kochanka.

- To nie są kaprysy - powiedziała - ale pomyślałam sobie, że twoje towarzystwo mogłoby mnie skompromitować... gdyby ktoś nas razem zobaczył... A poza tym Michele pewnie już wstał... sam chyba rozumiesz... Lepiej, żebym poszła sama... znam drogę... za dziesięć minut będę w domu... a ty... będziesz mógł się wyspać.

Umilkli oboje, spoglądając na siebie; teraz, po tamtym chwilowym wybuchu pożądania, Leo naprawdę był śpiący i wzdrygał się na samą myśl o wyjściu z domu, może w dodatku na deszcz; poza tym musiałby wyprowadzić samochód z garażu: uśmiechnął się do niej, wyciągnął rękę, pogłaskał ją po policzku.

- W gruncie rzeczy - powiedział - pomimo tych różnych twoich grymasów jesteś naprawdę kochanym dzieckiem... Więc mogę cię puścić samą?

- Naturalnie - odrzekła wstając; drażnił ją ton Lea. - Możesz mnie nie odprowadzać... a nawet proszę cię o to.

- W każdym razie - dodał Leo, mówiąc jakby do siebie - sama widziałas, że nalegałem do ostatka... Jeżeli cię nie odwiozę, to nie dlatego, że chcę spać, ale dlatego, że jak powiedziałaś, mógłbym cię skompromitować... więc żebyś potem nie mówiła... - Ale urwał; Carli nie było już w pokoju, poszła po kapelusz. „Tym lepiej - pomyślał Leo - dogadza to i jej, i mnie... oboje jesteśmy zadowoleni.”

Carla wróciła po chwili, była w kapeluszu, w nieprzemakalnym płaszczu, trzymała pod pachą parasol. Wciągnęła jedną rękawiczkę, drugiej szukała na próżno po wszystkich kieszeniach.

- Trudno - powiedziała w końcu - widocznie ją zgubiłam - i dodała bez cienia zakłopotania: - Słuchaj, czy możesz mi dać pieniądze na taksówkę... nie mam przy sobie ani grosza.

Marynarka Lea wisiała na krześle przy łóżku; wysunął rękę i wyjął z kieszeni garść srebrnych monet.

- Masz - powiedział podając je Carli.

Gdy już miała pieniądze w kieszeni, nie mogła się powstrzymać od myśli: „Zaczynam zarabiać”. Podeszła do łóżka, pochyliła się:

- Do zobaczenia wkrótce, kochanie - powiedziała prawie z czułością, jak gdyby chcąc mu wynagrodzić tamtą niedobrą myśl; pocałowali się.

- Zamknij dobrze drzwi - zawołał Leo. Patrzył, jak wychodzi z pokoju, a potem czekał, kiedy usłyszy trzaśnięcie drzwi; ale żaden odgłos nie dobiegł do jego uszu; zgasił lampę, odwrócił się do ściany i zasnął.

XI

W śnie Lea postacie świtu, postacie porannych snów, gdy słońce świeci i jasność sączy się ze wszystkich stron do pokoju, jak do rozłupanego okrętu, pojawiały się i znikwały... Carla, matka, Michele wykonywali gesty miłe i nieprzyzwoite, lecz sylwetki ich były blade, jak gdyby światło z zewnątrz odbierało im barwę... Leo jeszcze we śnie usiłował zatrzymać je. „Nie chcę się obudzić - powtarzał nie zdając sobie z tego sprawy - nie chcę się obudzić”. Jakiś głos patetyczny i odległy, nabrzmiały nutą wyrzutu, wzywał go z dali: „Leo, Leo, zbudź się, to ja” - ale on, wciąż podświadomie, łudził się, że to tylko sen, i z uparciem zamkniętymi oczyma, wtulając się mocno w poduszkę, łudził się, że gdy minie to chwilowe zamieszanie, on powróci do uroczego i rozkosznego wątku snu. Lecz wołanie powtarzało się coraz donośniej i wreszcie czyjaś ręka szarpnęła go za ramię; wówczas otworzył oczy i zobaczył Marię Grację.

Początkowo nie wierzył własnym oczom, wyteżył wzrok, tak, nie ulegało wątpliwości, przy łóżku stała jego kochanka, w kapeluszu, w szarym kostiumie, z lilem na szyi; mrok nocy nie panoszył się już w pokoju, musiał być śliczny dzień, tu i ówdzie połyskiwały wesołe plamy słońca na matowych i zakurzonych meblach.

- Ty tutaj? - powiedział w końcu. - A jak tu weszłaś?

- Przyszłam, żeby ci zostawić bilecik - odrzekła Maria Gracja - ale zastałam drzwi otwarte i weszłam.

Leo patrzył na nią ze zdumieniem. „Otwarte drzwi - pomyślał - aha, to na pewno Carla...”. Ziewnął, przeciągnął się niedbale.

- A co mi chciałaś zakomunikować?

Matka usiadła na łóżku, w cieniu przeciętym pasami światła wpadającego przez poprzeczne szczeliny żaluzji.

- Chciałam do ciebie zatelefonować - zaczęła - ale od dwóch miesięcy nie płacimy, więc wyłączyli nam telefon... Wczorajem obiecałeś mi, że się spotkamy jutro... ale ja pomyślałam, że może jesteś wolny dziś po południu...

Leo splótł dłonie na kolanach: - Dziś po południu? - powtórzył; ta propozycja raczej mu dogadzała, zrobił obrachunek, że jeśli już dziś pozbędzie się tego nudziarstwa z matką, to na całą resztę tygodnia pozostanie mu wolny czas dla Carli; ale w obawie jakichś niespodzianek wołał nic nie obiecywać.

- Słuchaj - powiedział - przyjdę do was dziś po obiedzie... i wtedy się umówimy... dobrze?

- Dobrze.

Nastąpiło długie milczenie; nieufna i niezadowolona Maria Gracja rozglądała się dokoła, obserwowała z uwagą wszystkie przedmioty, tak dobrze jej znane, łóżko, twarz Lea, która wydawała się jej blada i zmieniona; to oraz fakt, że zastała go jeszcze pogrążonego we śnie, wystarczyło, by ją utwierdzić w podejrzeniach: „Spędził noc z Lizą - pomyślała - na pewno... może Liza była tu przed chwilą”; ogarnęło ją ponure rozgoryczenie, rzuciła kochankowi spojrzenie pełne jadowitego wyrzutu.

- Ja - powiedziała słodkokwaśnym tonem - na twoim miejscu, nie zapomniałabym o tym, że nie mam dwudziestu lat.

- Co to znaczy? - zapytał Leo, zaskoczony.

- To znaczy - odrzekła Maria Gracja - że się starzejesz i nie zdajesz sobie z tego sprawy... a także nie zdajesz sobie sprawy, że szaleństwa, na jakie prawdopodobnie pozwoliłeś sobie dzisiejszej nocy, to już nie dla ciebie... Przejrzyj się w lustrze - dodała podnosząc głos - zobacz tylko, jakie masz oczy, cerę, istny koszmar... zobacz, proszę...

- Ja się starzeję?... I jakie znowu szaleństwa?... - wykrzyknął Leo, urażony przede wszystkim aluzją do jego wieku, niewątpliwie już dojrzałego. - O jakich szaleństwach mówisz?

- Już ja wiem, co mówię - odparła matka machnąwszy ręką - ale powiem ci więcej: za rok albo za dwa będą cię wozić na wózku... Nie będziesz już mógł nawet chodzić.

Leo z wściekłością wzruszył ramionami:

- Jeżeli przyszłaś tu, żeby mi opowiadać te bzdury, to lepiej, żebyś sobie poszła!
- Spojrzawszy na stojący przy łóżku zegarek dodał: - Dwunasta!... Zawracasz mi głowę, a ja się umówiłem na wpół do pierwszej... Idź już, idź. - Wyskoczył z łóżka, włożył ranne pantofle, podszedł do okna i podniósł żaluzję; światło zalało pokój.

- Nie nosisz, widzę, tego szlafroka ode mnie - rzekła matka, wciąż siedząc na łóżku - może zdążyłeś go już podarować jakiejś przelotnej kochance, co?

Leo nic nie odpowiedział i przeszedł do łazienki; Maria Gracja wstała i trochę dla zabicia czasu, a trochę z ciekawości, zaczęła krążyć po pokoju.

- Znikł też mój drugi prezent, ten wspaniały wazon z Murano... Czy także go komuś podarowałaś? - zawołała po chwili; Leo nie odpowiedział; z łazienki dobiegał szmer spływającej wody; brał prysznic.

Maria Gracja, zniechęcona, ale nie chcąc dać za wygraną, przeprowadzała dalej inspekcję; każdy przedmiot w tej sypialni budził w niej rozkoszne wspomnienia; wzdychała od czasu do czasu porównując żalną teraźniejszość z dawnymi pięknymi czasami; widok jej fotografii na konsolce pocieszył ją nieco. „W gruncie rzeczy kocha tylko mnie - pomyślała. - Kiedy się źle czuje, kiedy ma jakieś kłopoty, przychodzi ze wszystkim do mnie... To tylko chwilowe ochłodzenie... Tamto wróci." Miała przypięty do żakietu bukietek fiołków, kupiony przed chwilą na ulicy; odpięła kwiatki i z wdzięczności, a także w przeświadczeniu, że robi miły gest, włożyła je do małego wazonika stojącego koło fotografii; potem weszła do łazienki.

Leo, w szlafroku, golił się.

- Już idę - powiedziała - i *à propos*, jak przyjdiesz do nas, nie mów, żeśmy się widzieli... po prostu otrzymałeś ode mnie ten bilecik... dobrze?

- Dobrze - odpowiedział nie odwracając oczu od lustra. Maria Gracja, zadowolona, wyszła; szybko zeszła na dół i na rogu ulicy wsiadła do tramwaju, jadącego do centrum miasta; Liza czekała na nią już pewnie dwadzieścia minut u modystki, gdzie się umówiły, aby obejrzeć nowe paryskie modele... Matka siedziała przy oknie, odwrócona plecami do tłumu pasażerów, patrzyła na ulicę; o tej porze chodniki roiły się od ludzi śpieszących z biur i fabryk do domu, na obiad; zimne lutowe słońce oświetlało ich twarze zaczerwienione od wiatru pod zniszczonymi rondami wyblakłych, zdeformowanych kapeluszy, ich postacie okutane szczelnie w płaszcze znoszone i poszarzałe; blade słońce nie przygrzewało, ale hojnie darzyło chłodnym światłem owe łachmany, jak gdyby chcąc je błogosławić; jeden po drugim przesuwały się wspaniałe sklepy z kolorowymi napisami, niebieskimi, czerwonymi, białymi, wymalowanymi na szybach; świetlne reklamy, wiszące na gzymsach, wygaszone i szare, wyglądały jak spopieliałe larwy; tramwaj jechał powoli, różnobarwny, gminny, wypełniony jak karuzela, dygotał, dzwonił... Raz po raz przed oczyma matki pojawiała się wydłużona i lśniąca maska samochodu, zatrzymywała się, jak gdyby wyszukując sobie drogę dużymi reflektorami, wyskakiwała do przodu... Za szybą siedział nieruchomo na swoim miejscu szofer, w rękawiczkach, z rękami na kierownicy, a w głębi, rozparty na skórzanych poduszkach, zadowolony, zerkający spod przymrużonych powiek na tłum mężczyzna lub otulona w puszyste futro dama, o

delikatnej i uszminkowanej twarzy... Wtedy mimo woli matka wzdychała; ona nigdy nie będzie przejeżdżać wśród biednie ubranej cizby, w imponującym, wspaniałym samochodzie, jej lata przeminęły, jej młodość rozwiła się w lśniącej limuzynie jej marzeń; potem przedmiot jej zawiści, owe przelotne postacie znikające z szybkością strzały w warczących samochodach, ulotniły się też z jej wyobraźni, przestały budzić nadzieję; zrezygnowana, odbywała dalszą drogę w tym kolorowym wagonie z żelaza i szkła, jak gdyby z poczuciem obrażonej godności.

Zastała Lizę na zapleczu salonu modystki, pełnym luster i nowych kapeluszy; przed lustrem młoda przystojna osóbką przeglądała się chępliwie, spacerując tam i na powrót sztywnym i zmanierowanym krokiem; słychać było rozmowy w sąsiednim salonie i odgłos zatraskiwanych drzwi; posadzka pachniała woskiem; pokój miał szare i nagie ściany; w jednym z kątów piętrzyła się piramida lekkich pudeł z białego kartonu, mniejszych i większych, otwartych i zamkniętych; w przeciwległym rogu widniała na drewnianych stojakach cała mozaika najmodniejszych kapeluszy w świeżych, spokojnych i pastelowych kolorach.

Liza na widok matki szybko wstała.

- Bardzo żałuję - powiedziała - och, naprawdę bardzo żałuję, ale nie mogę z tobą zostać... Jest już późno i muszę wracać do domu.

Matka spojrzała na nią podejrzliwym wzrokiem: „Proszę, jaka to egoistka - pomyślała - przymierzyła już sobie i wybrała, co chciała, a ja się w ogóle nie liczę”.

- Ale ja zostanę - oświadczyła z niezdecydowaną miną.

- Rób, jak chcesz - odrzekła Liza i już podała jej rękę, gdy matka zmieniła zamiar:

- Nie, pójdę z tobą: obejrzę sobie kapelusze innym razem.

Wyszły razem na zatłoczoną ulicę:

- Odprowadzę cię kawałek - rzekła matka - aż do parku, żebyśmy mogły trochę pogadać. - Liza nic nie odpowiedziała; ruszyły przed siebie, często zatrzymując się przed wystawami, oglądając towary, porównując ceny; sklepy jubilerskie budziły w matce melancholię: - Miałam taki naszyjnik, jak ten - mówiła wskazując palcem koliaż perłę w puzderku - ale już go nie mam... - Liza spoglądała na nią, lecz nie odzywała się ani słowem; jej klejnoty również przepadły: „Ale moją biżuterię - myślała - przywłaszczył sobie mój mąż... Ja przynajmniej nie musiałam wyprzedawać jej na życie”. Doszły tak, wolnym krokiem, do końca ulicy.

Matka wyszła z przyjaciółką, żeby z nią porozmawiać na temat podejrzeń, jakie żywiła w stosunku do Lea; potem ruch uliczny, sklepy, słoneczny ranek ułagodziły jej żal; ale kiedy na placu zobaczyła Lea we własnej osobie rozmawiającego na chodniku z jakimś czarno ubranym panem, Lea, który nie przerywając swojej rozmowy ledwie raczył uchylić kapelusza i nie obdarzył jej ani jednym spojrzeniem, jej niepokój stał się jeszcze dokuczliwszy niż przedtem.

Spojrzała na Lizę: „Spędziła z nim dzisiejszą noc” - pomyślała. To przypuszczenie wydawało się jej niezbitym faktem, była pewna, że nie tylko jej, ale każdemu musiało się rzucać w oczy, że „coś jest” między tymi dwojgiem. Patrzyła badawczo na Lizę i odnajdowała w niej jakiś nowy urok, jakieś szczęście cielesne trudne do określenia, ale bezsporne; owa zmiana - matka odgadywała to z niezdrowym dreszczykiem - była sygnałem miłości: tak, niewątpliwie, widać to było w twarzy, pulchnej, o delikatnych rysach, jakie często miewają blondynki: Liza kochała i była kochana; kim był ten mężczyzna? „Leo - myślała matka i jej zazdrość, podsycana perwersyjną wyobraźnią, narastała. - Byli razem dzisiejszej nocy” - myślała. W wilgotnych oczach przyjaciółki, we wrażliwości jej zmysłowych nozdrzy znajdowała uzasadnienie swojej odrazy: „Jak można kochać taką kobietę? - zadawała sobie pytanie, wzdrygając się histerycznie. - Ja bym się brzydziła jej dotknąć, aż kipi w niej chuć, grzeje się... to nie kobieta, to zwierzę”. Palce zaciskały się jej kurczowo ze wstrętu na myśl, że Leo mógł pieścić to ciało, tę głowę, to wszystko, takie gorące i pulsujące.

Teraz przed ich oczyma rozciągała się długa, szeroka, wysadzana drzewami, prosta aleja ginąca w szarej dali między dwoma rzędami willi na pół ukrytych w ogrodach; drzewa, gigantyczne platany, były nagie, powietrze zimne i nieruchome; mało kto przechodził tą opustoszałą ulicą; z jedwabistym szelestem przejeżdżały prawie niedosłyszalnie po gładkim asfalcie duże samochody, o jakich marzyła matka.

Opowiadała teraz o przygotowaniach do balu, który miał się odbyć tego wieczora.

- Kostium Hiszpanki idealnie harmonizuje z moją cerą -mówiła. - Będę miała duży grzebień, wiesz, taki andaluzyjski grzebień... Jesteśmy zaproszeni do stolika Berardich... A ty się wybierasz?

- Ja? - odrzekła Liza. - Ja, na bal? Nie mam z kim iść. - Umilkła, czekając niecierpliwie na odpowiedź przyjaciółki, która mogła przecież zaproponować, aby poszła razem z nimi na ten bal; znała Berardich, obmyśliłaby sobie na przódce jakiś

kostium, wypiłaby, zabawiłaby się... Potem, wychodząc z balu, poprosiłaby matkę, żeby jej zostawiła Michela (lubiała go traktować jak dziecko), wracałaby z nim do domu późną nocą, żartując, przekomarzając się z nim, podniecając go; jechałaby z nim po ciemku, w zamkniętym samochodzie... Do domu mieliby daleko, ulice na tej trasie nie były oświetlane; mieliby czas i porozmawiać, i milczeć, słowem, dojść do porozumienia; zaprosiłaby go do siebie na kieliszek likieru albo na szklanekę herbaty, żeby się rozgrzał w tę zimną noc, przed powrotem do domu.

Ten plan dogadzał jej, pociągał za sobą nieuniknione następstwa; Michel nie mógł odmówić i nie wstąpić do niej, nie mógł...

Lecz matka już przemyślała odpowiedź i jak wszyscy ludzie przekonani, że posiadają niewyczerpane zasoby makiawelskiej złośliwości, włożyła jej tak mało w swoje słowa, że aluzja przeszła niezauważona.

- Nie brak ci przyjaciół - odrzekła z naciskiem - możesz się wybrać z którymś z nich.

- Wy jesteście moimi przyjaciółmi - odpowiedziała Liza, która chciała być zaproszona za wszelką cenę - mam tylko was.

- Dziękuję, to ślicznie z twojej strony.

- A was kto zaprosił? Państwo Berardi? Przecież ja ich znam - ciągnęła dalej Liza - spędziliśmy razem lato nad morzem.

- Ach tak?

- A ty i Carla z kim idziecie? - zapytała naiwnie Liza.

- Leo - powiedziała matka skandując sylaby - będzie przy innym stoliku... my idziemy z Berardimi...

„Co mnie obchodzi Leo!” - pomyślała Liza. - Czy rzeczywiście ten bal zapowiada się tak wspaniale? - dodała powątpiewająco.

- Wspaniale.

Milczała przez chwilę.

- Chętnie bym poszła - zaczęła Liza niby to od niechcienia, patrząc przed siebie - żeby się zobaczyć z Berardimi... Nie widziałam ich bardzo dawno... już chyba ze dwa lata.

- Ach tak, z Berardimi? - matka zaczynała się denerwować i stuknęła parasolką o płyty chodnika. - Z nimi właśnie?

- Tak - odrzekła Liza nie patrząc na nią, niby to pogrążona we wspomnieniach.
- A ich dzieci, Pippo, Mary, Fanny... Jak się mają?

- Znakomicie... bądź spokojna, nic nie zagraża ich zdrowiu.

Znowu milczenie. „Co się z nią dzieje?” - pomyślała Liza spoglądając na lekko zaczerwienioną twarz przyjaciółki. Zauważyła w końcu zdenerwowanie matki i uznała, że nie wróży jej ono nic dobrego. „Co za egoizm - pomyślała rozgoryczona - w lot się domyśliła, jak mi zależy na tym balu, i nie zaprosi mnie tylko dlatego, żeby mi zrobić na złość.” Bała się, że wszystko stracone; zrobiła jednak ostatni wysiłek:

- Muszę ci się przyznać, Mario Gracjo - powiedziała ściszym i sugestywnym tonem - że bardzo mi zależy na tym balu... Nie chciałabym ci sprawić kłopotu moją osobą... ale może mogłabyś wziąć mnie z sobą do tego stolika Berardich? - Umilkła i zobaczyła, że Maria Gracja się śmieje.

- Ach, to mi się podoba! - zawołała matka dławiąc się szyderyczym chichotem. - Ja miałabym?... Wpadłaś zaiste na bardzo subtelny pomysł... ale dziękuję ci, nie mam zamiaru występować w roli stręczycielki!

- Co takiego? - zawołała Liza, która dopiero teraz zrozumiała prawdziwe znaczenie tych ironicznych przytyków; matka jednak nie dała jej dojść do słowa.

- Chcesz więc, żebym ci wygarnęła całą prawdę? - zapytała. - Wszystko jest dla mnie jasne: masz ochotę iść na ten bal nie ze względu na towarzystwo moje i Berardich, ale ze względu na kogoś innego, na kogoś, kto cię interesuje.

- Co cię to może obchodzić?

- No tak - odrzekła matka z goryczą, kiwając głową - no tak, nie powinno mnie to obchodzić. Nic a nic! W gruncie rzeczy masz rację. Tak samo jak nie powinno mnie obchodzić, że mnie okradną albo zamordują. Nic, nic a nic! - Umilkła na chwilę, rozkoszując się jadem swoich myśli, po czym ciągnęła dalej: - A wszystko dzieje się tak dlatego, że jestem za dobra, o wiele za dobra... Gdybym cię od razu zdeptała, nie byłoby tego wszystkiego!

- Gdybyś mnie zdeptała? Mnie? Mario Gracjo, chyba oszalałaś?

Kłóciły się idąc pustym chodnikiem; matka była w szarym kostiumie, Liza w brązowym; obie miały na szyi lisy, Liza niebieskiego, matka srebrnego; szły i kłóciły się zawzięcie; przejeżdżały lśniące samochody, od czasu do czasu mijały ich pary, młode, eleganckie; szarość i złoto; szare - bliskie i dalekie postacie przechodniów, głębokie ogrody za sztachetami, pusta aleja, platany; złote - świeże i zimne słońce,

zakrzepłe jeszcze w zimowym mrozie, kąpiące światłem i wodą z tających sopli, roześmiane i oziębłe jak rekonwalescent, złote słońce otulone w powłoczkę zimowego nieba.

Matka ciągnęła swój monolog.

- Za dobra - odpowiedziała jej Liza z głośnym i pogardliwym śmiechem - za dobra, ty?

Chwila milczenia.

- Ale - mówiła matka odsuwając się od przyjaciółki i patrząc przed siebie, jak gdyby zwracała się do osoby trzeciej - naprawdę nie pojmuję, jak można kochać niektóre kobiety... nie pojmuję tego.

- Jestem tego samego zdania.

Liza stawała się coraz bledsza, usta jej drżały: dlaczego jej przyjaciółka jest taka zawzięta i bezlitosna? Ona nie wyrządziła jej nigdy żadnej krzywdy; bolało ją, że matka wykazuje troskę o syna tylko w tym celu, żeby zrobić na złość swej dawnej rywalce. Co mogło szkodzić Marii Gracji, że ona chce iść na bal, aby tam spotkać się z Michelelem?... Może po raz pierwszy w życiu Liza poczuła się niesłusznie oskarżona, toteż jej rozżalenie nie miało granic; ta krzyżująca niesprawiedliwość sprawiła, że Liza jak gdyby cofnęła się w czasy, gdy była niewinną dziewczyną, wydało jej się, że ma duszę i skrzydła anioła, męczeńską aureolę wokół skroni; kocha Michela, Michele ją kocha, więc dlaczego potępiać rzecz tak czystą i doszukiwać się w niej skandalu?

- A wczoraj wieczorem... - ciągnęła dalej matka - jak to było wczoraj wieczorem, co? Lepiej być nie mogło, prawda? Z nami nie chciał zostać, udawał śpiącego i wyszedł... Wiadomo: tyś na niego czekała. - Umilkła na chwilę, po czym dodała, patrząc na Lizę: - Wiesz, co ci powiem? Że naprawdę powinnaś się wstydzić! - Wzgardliwie wykrzywiła uszmiłkowane wargi, mierząc wzrokiem przyjaciółkę od stóp do głów: - Nie jesteś już młoda!

- Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku... ty jesteś starsza ode mnie.

- Nie, moja pani - zaprzeczyła władczo matka - to co innego... ja jestem wdową... ale ty jeszcze jesteś mężatką... twój mąż żyje... Powinnaś się wstydzić.

Przechodziły właśnie koło willi o zamkniętych oknach; za willą, otoczoną dużymi, nagimi drzewami, grano widocznie w *tamburello*; słychać było dźwięczne uderzenia piłki o rakiety, odbijające się głuchym echem w ciszy południowego nieba, jak gdyby tam w górze stukało coś o błękit; a gdy wiatr, rozdmuchujący biały dym z

kominów, zawiewał od strony ulicy, dolatywały również donośne i wesołe głosy grających.

Liza, zamyślona, nasłuchiwała przez chwilę, po czym spojrzała na Marię Grację; ogarnęło ją zdziwienie; czy to możliwe, aby ta twarz ziejąca jadem i zazdrością wyrażała... miłość macierzyńską? I czy może to być miłość macierzyńska, skoro doprowadza do takiej furii kobietę, która nigdy nie okazywała zbytnej czułości dla swoich dzieci? Czy nie jest to po prostu zazdrość cielesna, zazdrość kochanki?... Nagle zrozumiała: pierwszym uczuciem była ulga; potem popatrzyła na matkę, bo nasunęły się jej nowe wątpliwości:

- Mario Gracjo - zapytała - powiedz, masz na myśli Lea, prawda? - Zobaczyła, że przyjaciółka kiwnęła głową z zakłopotaną i zbolałą miną, jak gdyby chciała powiedzieć: „Dlaczego mnie o to pytasz?... Wiesz przecież, mam tylko jego...” Popatrzyły na siebie; Liza odetchnęła pełną piersią, w jej oczach odmalowało się coś w rodzaju triumfalnej litości. Powiedziała: - Moja biedna Mario Gracjo - i mogła teraz usprawiedliwić się, wytłumaczyć, rozwiać podejrzenia dręczące przyjaciółkę: - Moja biedna Mario Gracjo - powtórzyła. Osaczyły ją wspomnienia, widziała scenę z wczorajszego wieczora: świecę, Carlę w objęciach Lea. „O swoją córkę - myślała - o swoją córkę powinna być zazdrosna.” Współczuła w pewnym stopniu przyjaciółce zagubionej w błędnych domysłach, jednocześnie jednak była tak szczęśliwa, że nie ma nic wspólnego z tym, o co tamta ją oskarżyła, że nie wiedziała, jak ma mówić, czy ze wzgardą, czy z litością.

- Zapewniam cię - rzekła wreszcie - że nie widziałam Lea ani wczoraj, ani... w ogóle, mogę ci to przysiąc na wszelkie świętości.

Matka, w milczeniu, nie przestawała mierzyć jej badawczym i podejrzliwym wzrokiem.

- Wierzaj mi - powiedziała Liza, zmieszana tym spojrzeniem - to jest nieporozumienie.

Matka spuściła głowę.

- Nie odprowadzę cię dalej - rzekła starając się przybrać pozę chłodną, powściągliwą i pełną godności - jest późno. - Słysząc było uderzenia piłki i w przerwach głosy grających... Matka zdążyła już ująć kilka kroków.

- Wierzaj mi - powtórzyła Liza, skonsternowana - to nieporozumienie. - Rozglądała się dokoła, jak gdyby szukając poparcia dla swoich argumentów. W tej

chwili aleja była wyludniona, słońce powiększało jeszcze pustkę, oświetlając jak okiem sięgnąć nagi chodnik. Liza stała rozglądając się; tymczasem Maria Gracja oddalała się, krok za krokiem, roztargniona, osowiła, ze zwieszoną głową. „Wierzaj mi - miała ochotę zawołać Liza - Leo cię zdradza nie ze mną, ale z Carlą, z twoją rodzoną córką...” - lecz lekko pochylone plecy Marii Gracji wyrażały uparte postanowienie odwrócenia się od prawdy; Liza patrzyła na nią: powoli postać jej malała, bladła w tym słońcu, zlewała się z cieniami padającymi poprzez wysokie sztachety ogrodów; w końcu stała się już tylko czarną plamką w głębi alei.

XII

Dlaczego Liza początkowo niemal przyznała się do winy, a potem twierdziła, że jest niewinna? Każdy inny na miejscu matki gubiłby się w domysłach, ale dla niej wszystko było jasne jak słońce, nie podlegające dyskusji; matka miała głębokie przekonanie, że Liza jest hipokrytką i że kłamie... Nie wiedziała, skąd ma tę pewność, ot po prostu jej twarz, jej słowa, jej zachowanie wskazywały na to... To od dawna zakorzenione w matce przekonanie, wywodzące się z jakiegoś zapomnianego już zdarzenia, było jednak tak nieodzowne w stworzonej przez nią fizjonomii moralnej Lizy, że odrzucenie go równałoby się wykreśleniu z pamięci osoby przyjaciółki.

Liza była hipokrytką i kłamała, a wobec tego wszystko było jasne. Dlaczego powiedziała jej nieledwie ze współczuciem: „Moja biedna Mario Gracjo?” Oczywiście drwiła z niej, szydziła, a w najlepszym razie litowała się nad jej gigantycznymi rogami. Dlaczego tak się rwała do pójścia na bal z nią i z Berardimi? Jasne: żeby ją sprytnie wywieść w pole, wmówić jej, że tego wieczora nie oczekuje Lea. Słowem Liza, z właściwą jej obłudą, wymyśliła cały steek kręactw, aby ją oszukać; czy jej się to udało? Och! Nie, co to, to nie; niełatwo oszukać ją, Marię Grację, niełatwo: „Nie ludź się, moja droga - miałyby ochotę rzucić jej w twarz - nie jestem aż taką kretynką... minęły te czasy, kiedy wierzyłam ludziom i brałam wszystko za dobrą monetę... Teraz mam oczy otwarte i nie dam się wystrychnąć na dudka... O nie, moja droga, jeden raz to dosyć... Nie ludź się więc, moje złotko, wszystko zrozumiałam... Nie nabierzesz mnie, jestem bystra, bardzo bystra, wyjątkowo bystra”. Pogrążona w myślach, wyniośle potrząsała głową i uśmiechała się cierpko, przybierając wyraz obrażonej godności; najbardziej drażniło ją to, że przyjaciółka może ją uważać za nierozgarniętą i bezmyślną; idąc mrużyła oczy i zaciskała pięści ze złości; nigdy jeszcze nie była taka bezlitosna: gdyby Liza konała z pragnienia, nie podałyby jej szklanki wody, gdyby umierała z głodu, odmówiłyby jej kawałka chleba; a gdyby przyjaciółka pozostała nagle bez środków do życia, to choćby ją błagała na kolanach, nie dałyby jej złamanego grosza; gdyby wezwała ją na łożu śmierci, pozwoliłyby jej zdechnąć jak psu, szczeznąć samotnie na brudnym wyrku, z twarzą odwróconą do ściany, w pustym pokoju; czuła nawet, że byłaby zdolna znęcać się nad nią, zadawać jej tortury, szarpać ją za włosy, deptać obcasami po brzuchu, po piersiach, po twarzy... Byłaby zdolna do

wszystkiego; nigdy w życiu jeszcze nie było w niej tyle świadomej złości, zachłystywała się nią.

Ale... ale czy najlepszą zemstą nie było przebaczenie? Tak, ale jakie przebaczenie? To szczere, wielkoduszne, spokojne? Czy tamto - pogardliwe, zimne, rzucone w twarz jak jałmużna?

Chyba to drugie; na przykład Liza rujnuje się, zadłuża i w ostatecznej nędzy, w łachmanach musi zebrać; albo po ciężkiej chorobie chudnie, brzydzie, szarzeje, a może nawet, takie rzeczy się zdarzają, idiocieje, wariuje czy ślepie... Twarz poorana zmarszczkami, bielmo na oczach, chwiejna postać obija się o ludzi, o meble... palec Boży, kara Niebios, zdarzają się takie rzeczy... Wtedy ona przebacza jej... zaraz, chwileczkę, przebacza i owszem, ale tylko połowicznie, chłodno, z pogardą, niczego nie puszczając w niepamięć, upokarzając ją i trzymając na dystans, aby okazać, że Liza nie jest godna nawet jej nienawiści... A jakby się odbył akt przebaczenia? Wydaje wieczorne przyjęcie... przygrywa huczna orkiestra... taneczne pary przesuwają się i znikają za złożonymi podwojami jej salonów... Pod jarzącymi się żyrandolami, przy bufecie, w zacisznych kącikach, w westybulach, nawet na tarasach, skąd widać księżyc wschodzący między czarnymi wierzchołkami świerków, w całej jej rezydencji zebrało się towarzystwo z najwyższych sfer; jest właśnie moment kulminacyjny, kiedy gwar rozmów zlewa się z dźwiękami muzyki, rozpalają się namiętności, więdną kwiaty, a kawalerowie szepcą damom płomienne komplementy... Wówczas powinna zjawić się pokojówka i powiedzieć po cichu: „Przyszła pani Liza”. Ona podrywa się z fotela... nie, każe jej czekać, po czym, przepraszając gości, wychodzi z salonu; wkracza do westybulu, gdzie piętrzą się płaszcze i kapelusze; ani jednego wolnego krzesła i wśród tych kosztownych okryć stoi, nędznie odziana, postarzała o co najmniej dziesięć lat Liza... Na widok pani domu idzie ku niej z wyciągniętymi ramionami... Nie tak pochopnie, moje złotko... i utrzymuje odpowiedni dystans, wysłuchuje wspaniałości jej krętaćkich przeprosin, powoływania się na dawną przyjaźń... Następnie z wielkim chłodem, z zimną wyższością odpowiada: „Tak, przebaczam ci, dobrze... ale musisz poczekać tu albo na górze w korytarzu... Mam w tej chwili dom pełen gości, którym ciebie nie mogę przedstawić... to sama arystokracja, rozumiesz?... Ludzie ze ściśle zamkniętego kręgu, którzy nie lubią robić byle jakich znajomości... Idź więc na górę i poczekaj na mnie"... I trzyma ją tak przez cały długi wieczór... W końcu, późną nocą, zjawia się ze swoim najpiękniejszym uśmiechem, w najstrojniejszej sukni przed tą nieszczęsną, pogrążoną w smutku i w mroku: „Wybacz, Lizo - mówi - ale dziś

naprawdę nie mam dla ciebie czasu, przyjdź jutro, może jutro"... I wybuchnąwszy śmiechem, znikają... A ktoś to oczekuje jej przed domem, w olbrzymim ośmiocylindrowym samochodzie, który ma niklowaną maskę, dwóch szoferów i całe wnętrze obite aksamitem? Leo... i oboje ubawieni tym powrotem Lizy giną w czeluściach nocy...

Te filmowe obrazy, galopujące po ekranie jej duszy, pocieszały matkę; chwilami, gdy podnosiła oczy, krajobraz i słońce przywoływały ją do rzeczywistości. I wtedy uświadomiła sobie, że jest tą samą co zawsze Marią Gracją, że te marzenia są bezsensowne, że idzie sama, pieszo, pustymi ulicami przedmieścia; w końcu znalazła się przed domem, pchnęła uchyloną furtkę i weszła.

Szybko minęła aleję ogrodu; była zmęczona, nie wiedziała, czy kłótnią z Lizą, czy tym uczuciem pustki, jakie ogarniało ją zawsze, kiedy bez reszty puszczała wodze swojej wyobraźni.

W hallu zastała Michela, który siedział w fotelu i palił papierosa.

- Ledwie się trzymam na nogach... - powiedziała zdejmując omdlewającym ruchem kapelusz. - A gdzie jest Carla?

- Jeszcze nie wróciła - odrzekł Michele; Maria Gracja wyszła bez słowa.

Michele był w złym humorze, skwaśniały po wydarzeniach wczorajszego wieczora; wiedział, że musi wreszcie przezwyciężyć tę swoją obojętność i działać; niewątpliwie do czynu pchał go rozum, nie serce; miłość synowska, nienawiść do kochanki matki, oddanie rodzinie: on tych uczuć nie znał... ale jakie to mogło mieć znaczenie? Skoro się nie jest szczerym, trzeba udawać, a udając zaczyna się w końcu wierzyć; taki jest początek każdej wiary.

Słowem, błaga?

Tak, nic innego jak błaga. „Na przykład Liza... - myślał Michele - nie kocham jej... nawet nie pociąga mnie zmysłowo... A jednak wczoraj wieczorem pocałowałem ją w rękę... dziś pójdę do niej; najpierw będę zimny, potem zacznę się podniecać; to śmieszne... ale myślę, że skończy się na tym, iż zostanę jej kochankiem."

Nie istniały już dla niego wiara, szczerokość, tragizm; poprzez pryzmat jego obojętności wszystko wydawało mu się żalotne, śmieszne, fałszywe; rozumiał jednak trudności i niebezpieczeństwa swojej sytuacji; należało się zapalić, działać, cierpieć, przezwyciężyć tę słabość, tę wzgardę, ten fałsz, to poczucie śmieszności; należało być tragicznie wzniosłym i szczerym.

„Jaki piękny musiał być ten świat - myślał z ironicznym ubolewaniem - kiedy zdradzony mąż mógł krzyknąć do żony: «Niecna małżonko, życiem zapłacisz za twoje winy»... a co ważniejsze, on naprawdę to myślał, myślał, co mówił, nie patyczkował się, tylko mordował żonę, kochanków, krewnych, kogo się dało, i pozostawał bezkarny, nie odczuwał skruchy; po myśli szedł czyn: „Nienawidzę cię” - i ciach! sztyletem; wróg czy przyjaciel leżał w kałuży krwi; nie myślano wtedy za dużo i pierwszy odruch był zawsze najlepszy; życie nie było śmieszne jak teraz, ale tragiczne, i umierało się naprawdę, i zabijało się, i nienawidziło, i kochało naprawdę, i wylewało się prawdziwe łzy nad prawdziwymi nieszczęściami, i wszyscy ludzie byli ludźmi z krwi i kości, zrośniętymi z rzeczywistością, jak drzewa z ziemią”. Ironia zanikała w nim powoli i zostawał żal; chciałby żyć w tych tragicznych i prawdziwych czasach, chciałby zaznać tych wielkich, zawrotnych nienawiści, wznieść się do tych żywiołowych uczuć... ale tkwił w swoich czasach, w swoim życiu, na ziemi.

Rozmyślał i palił; na stole w pudełku z dziesięciu papierosów został tylko jeden; siedział już przeszło dwie godziny w tym hallu pełnym białego porannego światła; wstał późno i ubrał się z drobiazgową starannością; krawaty, koszule, garnitury... Jak on - w swojej marności - usiłuje znaleźć pociechę w dorównywaniu świetnościom eleganckich żurnali angielskich! Podobali mu się ci dżentelmeni stojący przy wyścigowych samochodach, te luźne płaszcze, te gładko wygolone twarze wyłaniające się z ciepłych wełnianych szalików, ta banalna i wytworna sceneria; jakiś *cottage* otulony zielenią drzew kulistych i lekkich jak obłoki; urzekały go pozy, węzły krawatów, fasony marynarek, nieskazitelne szyby i wełny.

Siedział teraz w fotelu, w pozie wykwintnej i nobliwej, założywszy nogę na nogę; spodnie miał nieskazitelnie podciągnięte na wełnianych skarpetkach, głowę o wyszczotkowanych i lśniących włosach lekko pochyloną na ramię w kierunku papierosa, którego trzymał niedbałym gestem między dwoma palcami; na jego delikatnej, wygolonej, owalnej twarzy odbijały się to ironia, to gorycz, niczym światła i cienie na obliczu posągu; palił i rozmyślał.

Po chwili wróciła z tenisa Carla i powoli weszła na schody; miała na sobie kolorowy sweterek i białą plisowaną spódnicę; trzymała przewieszony przez ramię płaszcz, w ręku niosła raketę i siatkę z piłkami, uśmiechała się.

- Gdzie jest mama? - zawołała wesoło; gdy weszła, stanęła przed Michele. - Spotkałam Pippa Berardi - powiedziała. - Jesteśmy zaproszone na kolację, ja i mama;

potem pojedziemy z nimi na bal, a ty możesz tam do nas dojechać, jeżeli masz ochotę.
- Umilkła. Michele palił i milczał.

- Co ci jest? - zapytała widząc, że brat ją obserwuje. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? - Jej donośny głos zabrzmiał w pustym hallu jak wyzwanie pełne nadziei i melancholii; zaczynało się nowe życie, wszyscy powinni o tym wiedzieć; ale za jej złudnym opanowaniem kryła się nieznośna zgryzota; była tak udrećzona, że chciała zamknąć oczy, skrzyżować ramiona i pograżyć się w czeluści snu, czarnego i głębokiego.

Weszła matka.

- Wiesz, mamó - powtórzyła Carla, zamyślona, już nie tak radosnym głosem - państwo Berardi zaprosili nas na kolację... i potem... zabiorą nas na bal.

- Dobrze - odrzekła matka bez entuzjazmu; nos miała czerwony i zmarznięty, twarz nie upudrowaną, błyszczącą i spod nienaturalnie przymrużonych powiek rzucała zimne spojrzenia. - Wobec tego - dodała - trzeba będzie wcześniej się przebrać.

Usiadła.

- A z tobą - rzekła patrząc na Michela - muszę się rozmówić.

Carla wyszła.

- Ze mną? - odrzekł Michele udając wielkie zdziwienie. - Ze mną? A o co chodzi?

Matka potrząsnęła głową.

- Wiesz lepiej ode mnie. Wczoraj wieczorem rzuciłeś popielniczką w Lea... na szczęście trafiłeś we mnie... mam jeszcze znak... - Podniosła rękę, żeby odsłonić ramię, ale syn powstrzymał ją.

- Nie - powiedział z niesmakiem - nie, dziękuję... nie lubię ekshibicjonizmu... nie jestem Leem. - Nastąpiło milczenie, twarz matki wykrzywiła się, jej oczy spochmurniały; pozostała z ręką na piersi, w pozycji pełnej godności, jak madonna wskazująca na swoje przebite serce; ta poza, początkowo śmieszna, stawała się niemal szlachetna, jak gdyby matka chciała obnażyć jakąś inną ranę, nie tę od popielniczki. Ale jaką? Michele usiłował to odgadnąć, ale matka już się poruszyła.

- Chcę być wyrozumiała dla ciebie - powiedziała zmienionym głosem. - Co ci jest, Michele, co ci jest?

- Nic. - Jego złe samopoczucie narastało. „Powinna wiedzieć, co mi jest - myślał poruszony i zrozpaczony; płaczący głos matki przeszył go dreszczem. - Jeżeli dalej będzie mówiła tym tonem, stanie się patetyczna i śmieszna, śmieszna i patetyczna... Trzeba za wszelką cenę przerwać to jej melodramatyczne gędzenie... za wszelką cenę... nie chcę jej łez, krzyków i błagań.”

- Michele - ciągnęła matka - czy zrobisz to, o co cię poproszę?

- Co tylko zechcesz.

- Wobec tego - odrzekła rozpogodzona, nie wyczuwając jego ironii - daj dowód dobrej woli... Na przykład, postaraj się trochę zaprzyjaźnić z Leem albo choćby udawaj, że go polubiłeś... Nawet to mi wystarczy.

Milczeli przez chwilę patrząc na siebie.

- A on? - zapytał Michele i twarz mu stwardniała. - Czy on jest choć trochę moim przyjacielem?

- On? - zawołała matka z młodzieńczym uśmiechem, tak prostodusznym i pełnym złudzeń, że aż wzruszającym. - On cię kocha jak ojciec.

- Ach! Naprawdę? - zapytał chłopiec nie wierząc własnym uszom; ta bezgraniczna naiwność i ślepotą zniechęciły go. „Nic z tego... - pomyślał - skoro tak, życie do niej należy, nie do mnie”. I do matki również należał ów wykoślawiony świat, tak gorzko groteskowy, że chciało się zgrzytać zębami; dla niego, dla jego wnikliwości nie było tu miejsca.

- Przecież - powiedziała jeszcze matka z tym uśmiechem głośnym i triumfalnym - to najlepszy w świecie człowiek! - Ach, dobrze, doskonale! nie miał nic więcej do powiedzenia; nawet ziemia, znieważona, przestawała się kręcić; Michele milczał zrezygnowany.

- Często - mówiła dalej matka - rozmawia ze mną o tobie, martwi się tobą, troszczy o twoją przyszłość...

- Jestem mu głęboko wdzięczny - wtrącił chłopak.

- Nie wierzysz? - zapytała matka. - No to wiedz, że nie dalej jak przedwczoraj przedstawiał mi swoje plany dotyczące was obojga, ciebie i Carli... Trzeba ci go było słyszeć... Oceniałbyś wtedy jego dobroć. „Wiem - mówił mi; tu matka zrobiła skupioną minę, jak gdyby recytowała pacierz - wiem, że Michele za mną nie przepada, ale to nie ma znaczenia... moje uczucia dla niego zawsze są niezmiennie... Niedługo, kiedy Carla

wyjdzie za mąż, będzie musiał wziąć się do pracy. A wtedy - słuchaj! - może liczyć niezawodnie na protekcję, pomoc i zachętę z mojej strony."

- Powiedział tak? - zapytał Michele, zainteresowany; wobec tych pochlebstw jego nieufność ustępowała jak łatwa kobietka, którą wystarczy uszczypnąć, żeby się uśmiechnęła i uległa.

„A jeżeli to prawda - pomyślał - a jeżeli Leo rzeczywiście zechce mi pomóc, żebym doszedł do czegoś, żebym był... bogaty?" Podniecony nadzieją, widział już w wyobraźni wszystko, czego pragnął i co było przedmiotem jego zawiści: luksusowe kobiety, których uśmiechy drogo się opłaca, podróże, hotele, intensywne życie dzielone pomiędzy interesy i przyjemności... Jak w kinie przed szeroko otwartymi oczyma widzów, przesunęły się przed nim w triumfalnym i tęsknym rytmie wspaniałe miasta z wszelkimi bogactwami, dalekie krajobrazy, przygody, najpiękniejsze kobiety i najszczęśliwsi mężczyźni. W przyśpieszonym rytmie jego serca, pełnego złudzeń, film jego ambicji pędził coraz szybciej... na ekranie jego fantazji obrazy ściagały się doganiały, mieszały, wyprzedzały... Był to wyścig nadziei, która zapiera dech w piersi, targa sercem, ludzi i w końcu rozplywa się pozostawiając szarą rzeczywistość - jak w kinie, kiedy zapala się światło i widzowie spoglądają na siebie rozczarowani i rozgoryczeni.

„Gdyby to była prawda - powtórzył w duchu - gdyby to była prawda!"

- Powiedział tak - ciągnęła dalej matka - i mówił jeszcze wiele innych rzeczy. - Umilkła na chwilę. - On jest dobry - dodała spoglądając przed siebie, jak gdyby widziała Lea i tuż obok tę jego dobroć, stojących pośrodku hallu. - Jest naprawdę dobry... Oczywiście i on ma swoje wady, ale niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto ich nie ma... Nie wolno sądzić z pozorów: jest człowiekiem małomównym, szorstkim, nie ujawnia wszystkiego, co myśli, ukrywa swoje uczucia; trzeba być z nim w zażyłych stosunkach...

„A ty jesteś!" - pomyślał Michele ubawiony i poirytowany.

-... żeby wiedzieć, jaki on potrafi być wylewny, wesoły, czuły... Pamiętam jeszcze - dodała matka z uśmiechem roztkliwienia - jak brał na kolana ciebie i Carlę; byliście tacy mali i on wkładał wam do ust i do rąk czekoladki... A ile razy zastawałam go bawiącego się z wami jak dziecko...

Chłopak uśmiechnął się z politowaniem.

- Powiedz - zapytał chcąc zatamować przyływ tych czułościowych rodzinnych wspomnień - Leo naprawdę mówił, że mi pomoże?

- Oczywiście - odrzekła matka, trochę niepewnie - oczywiście, że wam pomoże... Jak tylko zrobisz dyplom... ma tyle znajomości... tylu wysoko postawionych przyjaciół... - tu matka podniosła rękę, jak gdyby chcąc wskazać owe szczyty, na których zasiadały te napuszone i syte chwały znakomitości, pozostające w tak zażyłych stosunkach z jej kochankiem. - Oczywiście, że ci pomoże...

- Ach, pomoże mi? - Na jego ustach błąkał się uśmiech zadowolenia: ten dobry, ten wspaniały Leo! Matka miała słuszość, to człowiek praktyczny, szorstki, tak, ale o złotym sercu... Pewnego pięknego dnia pójdzie do niego i powie: „Słuchaj, Leo... daj mi bilet polecający do takiego a takiego, no wiesz, do tej grubej ryby...” Albo: „Leo, czy mógłbyś mi pożyczyć sto tysięcy lirów?” A Leo: „Oczywiście, Michele... siadaj... Oto bilecik... oto pieniądze... Wolisz czek czy gotówkę? I pamiętaj: kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebował - doda odprowadzając go do drzwi i poklepując zachęcająco po ramieniu - przychodź do mnie, bo widzisz... przyrzekłem twojej matce pomagać ci w życiu... zawsze i wszędzie”. Ach, Leo, Leo, człowiek silny, oddany i dobry!... Serce wzbierało mu teraz przyjaźnią i uczuciem... Wracały tysiące wspomnień, tysiące epizodów, w których Leo okazał się skromny, praktyczny i szczodry, pełen humoru, rozsądku i dobroci, to poważny, to wesoły, nigdy śmieszny, ironiczny, mrukliwy, ale ojcowski i przykładowy!

- Tak, tak - ciągnęła matka, coraz triumfalniej - tak, pomoże ci, ale pod warunkiem, że będziesz się życzliwiej do niego odnosił... W przeciwnym razie może mu się to w końcu sprzykrzyć... Bierz przykład z Carli: zachowuje się zawsze z umiarem... i on... i on jest jej bardzo oddany.

- Ach, jest jej oddany?... - przerwał Michele z drżącym na wargach uśmiechem.

- Naturalnie, jest jej oddany do tego stopnia, że myśli o niej jak o rodzonej córce... Na przykład rozumie, że trzeba ją wydać za mąż... teraz lub nigdy... i wziął to sobie do serca, wciąż o tym myśli!... Rozmawiał ze mną na ten temat nie dalej jak wczoraj, na dansingu... Mówił mi, że Pippo Berardi to byłaby dobra partia...

- Brzydki jak noc! - zawołał Michele.

- Brzydki, ale sympatyczny... Widzisz więc - dorzuciła matka - musimy strzec naszego Lea jak źrenicy oka.

„Naszego Lea...” - powtórzył w duchu Michele z radosnym dreszczem.

- I nie zrażać go sobie grubiańskim zachowaniem, a tym bardziej nie rzucać w niego popielniczką. - Całkowicie rozpogodzona ujęła Michela za rękę: - A więc obiecujesz mi - zapytała - obiecujesz mi, że będziesz grzeczniejszy dla Lea? - Głos zadrgał jej nagłym i szczerym wzruszeniem, serce jej otwierało się jak szkatułka pełna miłości, którą w tkliwym uniesieniu chciałyby obdarzyć wszystkich, Lea, Carlę, Michela, Pippa Berardi... - Obiecujesz mi, Michelino? - powtórzyła; to zdrobnienie było dla niej dzieciństwem, bobasem o jasnych oczach, minionymi latami, jej młodością; Michelino był jej synem, nie Michele.

- Ależ tak - odpowiedział chłopak, który poczuł się nieswojo na widok tych wilgotnych ze wzruszenia oczu - tak, obiecuję ci. - Zrozumiał, niestety za późno, że mimo całej swojej trzeźwości zagubił się w zapamiętaniu matki, jak w ciemnym lesie.

Weszła Carla.

- Co tu robicie? - zapytała. - Myślałam, że zastanę was przy obiedzie.

- Nic - rzekł Michele, który już żałował swojej obietnicy - rozmawialiśmy...

- Właśnie - wyjaśniła skwapliwie matka - mówiłam mu, że powinien być uprzejmniejszy dla Lea... Nie uważasz, że mam rację, Carlo?... On nam wyświadcza tyle przysług, jest starym przyjacielem domu, niemal rośliście na jego oczach... nie można go traktować jak kogoś obcego.

Stojąc bez ruchu na środku hallu Carla spojrzała na matkę; i wtedy po raz pierwszy, widząc ją tak ślepą i bezbronną, zrozumiała, że ją zdradziła: „Co byś powiedziała - przemknęła jej myśl - gdybyś знаła prawdę?”

- Ja uważam - odrzekła w końcu - że trzeba być uprzejmym dla wszystkich.

- O proszę - zawołała matka uszczęśliwiona. - Chodź tu, Carlo - dodała z niespodziewaną tkliwością - chodź, pokaż mi się. - Przyciągnęła ją do siebie, posadziła na poręczu fotela, pogładziła po policzku:

- Córeczko - powiedziała - jakoś mi blado wyglądasz... Dobrze spałaś?

- Doskonale.

- Ja nie - powiedziała naiwnie matka. - Miałam straszny sen... śniło mi się, że w kącie siedzi bardzo gruby mężczyzna... ja spaceruję po pokoju, myślę o różnych rzeczach i w końcu podchodzę do niego i pytam go, która godzina... Nie odpowiada mi... Myślę, że jest głuchy, i chcę odejść, kiedy nagle dostrzegam, że on ma tak zagłębione w ciele oczy, że prawie nie widzi... usta ma opuchnięte, czoło dotyka kości policzkowych, ledwie, ledwie widać coś jasnego, co się porusza między dwiema

fałdami tłuszczu... słowem: okropność... Z litością pytam, co mu jest, a on mówi, że tak tyje, że w końcu nie będzie nic widział... Mówię mu: powinien pan mniej jeść, a on znowu mi nie odpowiada... Więc przychodzi mi na myśl, że muszę za wszelką cenę otworzyć mu oczy: „Żeby mógł nas widzieć” - mówię sobie, sama nie wiem, dlaczego, i już wyciągam rękę, żeby rozsunąć tę słoninę zasłaniającą mu oczy, kiedy zaczyna padać śnieg... śnieg taki gęsty i gwałtowny, że po chwili już nic nie widzę... mam pełne śniegu oczy, uszy, włosy; potykam się, padam, wstaję i tak mi jest zimno, że szcękam zębami... W końcu budzę się i widzę, że wiatr na oścież otworzył okno... Czy to nie dziwne? Mówią, że można tłumaczyć sny... Chciałabym wiedzieć, jakie znaczenie miał mój sen.

- Sen zimowy - rzucił od niechcienia Michele - i... czy nie byłby już czas na obiad?

Wstali.

- Naprawdę - nalegała matka - jesteś bardzo blada, Carlo... Nie męczysz cię za nadto ten tenis?

- Ale skądże, mammo!

Zeszli po schodach w milczeniu.

Zasiedli we troje, w zimnej jadalni, wokół dużego stołu; jedli nie patrząc na siebie, ze skupieniem i umiarem kapłanów odprawiających jakiś obrządek; milczeli; ciszę przerywało jedynie stukanie łyżek o talerze, które w blasku dnia odbijającym się o białe ściany przypominało mrozący krew w żyłach chrobot narzędzi chirurgicznych podczas operacji; ta obojętna, nieprzyjazna cisza nie dogadzała matce.

- Jak cicho! - zawołała w pewnej chwili. - Przeleciał anioł... No powiedzcie sami, jak nam brakuje Lea!

- Właśnie - mruknął zamyślony Michele - Lea...

Carla podniosła głowę: „Już teraz odczuwasz jego brak? - miała ochotę zapytać - a potem? Co zrobisz potem, kiedy nie zobaczysz go więcej?” Czuła się lekka i podniecona, jak ktoś, kto wybiera się w podróż, po raz ostatni zasiada w pośpiechu przy rodzinnym stole i myśli o bliskim wyjeździe... Natomiast matka wydawała się jej przygwożdżona na zawsze do swego miejsca, skamieniała w tej pozycji i w tych słowach żalu. „Jak nam brakuje Lea!” - powie też za dziesięć lat i za dwadzieścia, i codziennie będzie zasiadała do stołu ubolewając nad utratą kochanka.

- Bo naprawdę - powiedziała matka, jak gdyby ktoś podawał w wątpliwość jej słowa - jak przychodzi Leo, wszystkim jest weselej... Na przykład wczoraj... Czego to nie naopowiadał? Czego nie wyprawiał? Był doprawdy niezmordowany.

- Jeżeli tak ci go brakuje - rzekł Michele z drwiącym uśmiechem - jeżeli nie możesz się bez niego obyć, to zapraszaj go co dzień... A nawet można by mu zaproponować, żeby się u nas stołował.

- Pleciesz bzdury - odrzekła matka podrażniona, wyczuwając ironię - nie chciałam przez to powiedzieć, że nie mogę bez niego żyć, nie... - „Ale to prawda” - miał ochotę wtrącić Michele. -... po prostu lubię jego towarzystwo, bo jest wesoły, miły, zabawny... to wszystko. - Umilkła i zabrała się do jedzenia. - Mówmy o czym innym - powiedziała po chwili. - A kto cię zaprosił: Pippo czy ktoś inny z jego rodziny?

- Pippo.

- Aha, był na tenisie... a długo byliście razem?

- Pół godziny.

- Tylko pół godziny? - rzekła matka, zawiedziona. - A... o czym rozmawialiście?

- O niczym specjalnym - odpowiedziała Carla odkładając widelec - przyglądaliśmy się grze...

Cisza; pokojówka zmieniła talerze.

- A jak on ci się podoba?

- Hm... tak sobie - odpowiedziała wymijająco Carla.

- A tobie? - zapytała matka zwracając się do Michela.

- Brzydki, ale sympatyczny - usłyszała w odpowiedzi te same słowa, jakich użyła przed kilkoma minutami; rozejrzała się dokoła z zadowoleniem, jak gdyby chciała usłyszeć jeszcze opinię jakichś innych osób.

- To chłopak inteligentny i wykształcony, dużo podróżował, ma moc znajomości... Wydaje mi się - dodała z gruboskórną ironią - że on ma słabość do Carli.

- Ach, tak?

- Oni muszą być bogaci - ciągnęła dalej matka, konsekwentnie rozwijając swoją myśl - bardzo bogaci...

„I dlatego - miał wielką ochotę dokończyć Michele - to byłaby dobra partia.”
Lecz powstrzymał się i spoglądał na matkę pogodnie i z zaciekawieniem, jak gdyby był kimś obcym i te wszystkie głupstwa, które plotła, w ogóle go nie obchodziły.

- Mają pięć samochodów - dodała matka z oczywistą przesadą.

- Dziesięć - oświadczył spokojnie Michele nie podnosząc głowy - dziesięć samochodów.

- Nie - sprostowała flegmatycznie Carla - mają tylko trzy: jeden Pippa, drugi ojca, i ten mały, który jest wspólną własnością Mary i Fanny.

Zjawiała się pokojówka z drugim daniem, które przyszło w sukurs zachwianej sytuacji matki.

- Pani Berardi mówiła mi - ciągnęła matka nakładając sobie z półmiska - że na samo tylko ubranie córek wydaje osiemdziesiąt tysięcy lirów rocznie.

Była to również lekka przesada, ale tym razem Michele nie wytknął jej matce, bo i po co? Na pewne rzeczy nie ma lekarstwa.

- One są bardzo ładnie ubrane - przyznała Carla bez zawiści, ale jak gdyby chcąc podkreślić ubóstwo swojej garderoby; dławiła ją nieznośnie ta nieskazitelna biel: mgła czy muślin? - ta biała zjawa, te białe fluidy, które przez zasłonięte okna wlewały się do pokoju, zdawały się ścisnąć olbrzymią i pełną waty dłonią jej drżące serce; przy każdym ucisku miękka wata chrzęściła, a jej oczy zasnuwały się mgłą i wszystko wokół stawało się białe, białością gęstą i chwiejną, w której dalekie głosy matki i Michela brzmiały jak nieartykułowane dźwięki, rozciągnięte w długie sylaby, jak z płyty gramofonowej puszczonej na zwolnionych obrotach. I wtedy same odtwarzały się sceny z ubiegłej nocy: z tej mgły, pochłaniającej w mgnieniu oka ich twarze i postacie, wyłaniała się ręka Lea i pieściła jej duże, wrażliwe piersi, jej płaski brzuch; pomimo że siedziała nieruchomo, wydawało się, że drga całym ciałem pod tym dotknięciem; potem mgła rozrzedzała się i w jeszcze twardszej i plastyczniejszej rzeczywistości ukazywali się matka, Michele i podająca półmisek służąca.

Odmówiła miękким ruchem.

- Jak to Carlo, nie jesz? - zapytała matka. - Dlaczego?

- Tak sobie... - Nie była głodna wśród tych wszystkich otaczających ją zgłodniałych przedmiotów; bo w rzeczywistości ta jadalnia, w której ona powinna była się odżywiać, żywiła się nią; te wszystkie martwe przedmioty wysysały dzień za dniem jej siły witalne z zaciekłością silniejszą od jej słabych prób wyzwolenia; w ciemnym drewnie pękatych kredensów płynęła jej najlepsza krew; w tej wiecznej bieli powietrza rozpuściło się mleko jej ciała, w starym lustrze naprzeciwko pozostało uwięzione odbicie jej dziewczęcych lat.

- Tak sobie:., to nie jest wytłumaczenie - odrzekła z naciskiem matka. Jadła zachłannie, patrzyła na każdy kęs przed włożeniem go do ust. - Ojciec - dodała ciągnąc w nieskończoność biografię rodziny Berardich - doskonale zarabia.

- Przemysłowiec - wyrecytował Michele napełniając sobie kieliszek winem - bawełna jako surowiec i w wyrobach, deseniowe tkaniny bawełniane.

- Tak, przemysłowiec! Inteligentny i energiczny człowiek. Zaczął od niczego i potrafił zrobić majątek. - Matka wychyliła kieliszek, otarła usta i popatrzyła na Michela z błogim wyrazem sytości. - Jest komandorem! - powiedziała.

- Naprawdę? - zapytał ze zdumieniem Michele. - Berardi komandorem? A to jakim sposobem?

- A skąd ja mogę wiedzieć - odparła matka, która wciąż traktowała tę rozmowę na serio - może oddał jakieś usługi państwu...

- Kiedy? Gdzie? I w jaki sposób? - nalegał Michele z najwyższą powagą.

- Ach, nie wiem! - rzekła matka; pochyliła głowę i zaczęła jeść, po czym znowu podniosła te swoje nic nie rozumiejące oczy. - Tak - powtórzyła z oziębłą wyższością, zamyślona - komandor... Carlo - dodała ostro - obserwowałam cię wczoraj, kiedy tańczyłaś z Pippem... wydałaś mi się zimna, sztywna... tańczyłaś jak automat... i oczywiście on nie zaprosił cię więcej do tańca.

- Nie byłam zimna - odpowiedziała żywo Carla - to on był za gorący, prowadził ze mną nieprzyzwoitą rozmowę... Powiedziałam mu, żeby przestał, no i tańczyliśmy w milczeniu...

Matka niedowierzająco potrząsnęła głową.

- Daj spokój - rzekła z przenikliwym uśmieszkiem - daj spokój... Co on ci mógł takiego nieprzyzwoitego powiedzieć?... Głupstewka, jakie młodzi ludzie zawsze mówią pannom... A ja myślę, Carlo - dodała - że ty się po prostu uprzedziłaś do niego.

Weszła służąca z owocami; Carla wzięła jabłko, przyjrzała mu się i odpowiedziała dopiero, gdy tamta wyszła.

- Najpierw - rzekła spokojnym głosem, nie podnosząc głowy - prawil mi komplementy na temat twojej urody.

- Mojej urody! - przerwała matka mile pochlebiona.

- Tak... Potem namawiał mnie, żebym przyszła do jego pracowni. Gdy zapytałam, nad czym pracuje, odpowiedział mi, że poświęca się przede wszystkim aktowi kobiecemu.

- No i co w tym złego? - wtrąciła matka. - Skoro jest malarzem...

- Czekaj... Więc ja zapytałam naiwnie, czy uprawia malarstwo, czy rysunek... Roześmiał się i tym swoim głosem, wiesz? takim zmanierowanym, powiedział: „Ależ ja nie umiem nawet trzymać ołówka w ręku...” Ja na to: „Och, nie rozumiem...” - a on wciąż się śmiejąc odpowiada: „Niech pani przyjdzie, to nie ma znaczenia... Co do pani aktu, może pani być pewna, że to się załatwi...” I jednocześnie... jak to się mówi? puszcza do mnie oko... - Tu Carla przerwała swoje opowiadanie, popatrzyła z komiczną powagą na nie posiadającą się ze zdumienia matkę i nagle zabawnie do niej mrugnęła: - O tak... i zapytał mnie, czy przyjdę... Odpowiedziałam sucho, że nie... a on, on... jak gdyby zdziwiony, zawołał: „Nie powie mi pani chyba, że zdarzyłoby się to pani po raz pierwszy...” Zrozumiałaś? Myślał, że dla mnie to codzienny chleb odwiedzać... pracownie; oczywiście nic mu nie odpowiedziałam i na tym się skończyło...

Nastąpiło pełne napięcia milczenie; matka, wyniosła i trochę śmieszna, jak gdyby Pippo obraził ją osobiście właśnie w tej chwili albo co gorzej potrącił ją zmuszając do porzucenia dumnej pozy, wyglądała jak wcielenie zdumienia i oburzenia. Michele z roztargnieniem patrzył na Carlę: ta historia zamąciła jego zupełną obojętność; chciał przekonać sam siebie, że Pippo zachował się nikczemnie, że siostra doznała ciężkiej obrazy, ale mu się nie udawało; wszystko wymykało się jego uwadze, było dalekie i obce... Odnosił wrażenie, że równie dobrze mógłby ubolewać nad losem Lukrecji, młodej, pięknej i dobrej, ale żyjącej w zamierzchłych czasach, zgwałconej przez rozpustnego Tarkwiniusza. „To ohydne” - powtarzał w duchu, ale zarazem uświadamiał sobie, że nie wie, na czym polega ta ohyda.

Wreszcie matka odzyskała mowę; z niesmakiem wykrzywiła usta, z których padła obelga:

- Łajdak!

- Tak już jest, mamó - dodała Carla nie podnosząc głowy - że wiele osób źle o mnie mówi.

Była bardzo spokojna: niedługo, myślała, złe języki zatriumfują; ucieknie z kochankiem albo ją w końcu przyłapią na gorącym uczynku; to była zwykła kolej rzeczy; w tej rezygnacji i przewidywaniu skandalu zdawała się gasnąć wszelka nadzieja na nowe życie.

- Gdyby tak nie było - dodała smutno - dlaczego Pippo miałby mówić w ten sposób?

Michele nie odrywał oczu od siostry, wydawała mu się przygnębiona i bezbronna... ale nie umiał wyjść poza ramy tego wzruszającego stwierdzenia. „Zastanówmy się - myślał rozumiejąc zresztą całą śmieszność tego pytania - zastanówmy się, czy nie powinienem zapalać gniewem?” Był wyzuty z wszelkich uczuć, wyrachowany; taksował wzrokiem Carlę; wyglądała bardzo pociągająco, wydawało mu się, że lepiej rozumie rozpustę Pippa niż oburzenie siostry: „To śliczna dziewczyna - myślał z niegodziwą lekkomyślnością. -Nie ma złego gustu ten Pippo... wpadła mu w oko... Poza tym, kto wie, może to byłby naprawdę nie pierwszy raz, może Pippo ma rację...” Zimno i po dyletancku wyobrażał sobie Carlę w objęciach mężczyzny: tak... rozebraną, potarganą, rozkraczoną, skuloną na jego piersi, półnągą; albo bez żenady siedzącą na męskich kolanach... Bardzo prawdopodobne... przecież i ona jest kobietą... musi przeżywać swoje rozkosze... Mieć swoje sympatie... Przy tak rozwiniętym ciele mógł się rozwinąć i temperament... Przypomniał sobie, że widział ją raz przypadkiem, jak wychodziła z wanny: pozostało mu wspomnienie białych, długich pleców pochylonych pod ciężarem dużej mokrej głowy oraz czegoś przypominającego wielki biały żołądź: piersi, która w tej pozycji zwisała pod ciemną pachą; „Zuzanna w kąpielii” - pomyślał wtedy wycofując się dyskretnie; a teraz Pippo... ho, ho, ten Pippo... nie można powiedzieć, żeby miał zły gust.

Ironizował i milczał: i oto nagle zorientował się, że musi się odezwać; zrozumiał, że te smutne okoliczności wymagają, aby wyraził stosowne w danej chwili i szczere oburzenie; wiedział, że jeśli tego nie zrobi, wpadnie znowu w tę śmiertelną obojętność, która nie pozwalała mu działać i żyć jak wszyscy inni ludzie; musi teraz przemóc się i być tragiczny i szczery. „Teraz albo nigdy” - pomyślał. Spojrzał na matkę: - Rzeczywiście łajdak! - powtórzył i zmroził go jego własny głos, tak chłodny i banalny, jak gdyby mówił „dzień dobry” albo „która godzina”. Wtedy uderzył pięścią w stół: - Ale ja - zawołał z piskliwą i powierzchowną gwałtownością - potrafię pójść do niego i spoliczkować go w jego własnym domu! - Podniósł oczy i zobaczył się w weneckim lustrze: czy to było jego odbicie, ten chłopak o fałszywych oczach, który mierzył go spojrzeniem od stóp do głów, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Nie... nie zdobędziesz się na to”?

Matka jakby nie dostrzegła tego braterskiego wybuchu oburzenia.

- Wszyscy wiedzą, co to za ludzie - powtarzała - nowobogacy, nowobogacy i tyle.

Ale Carla usłyszała i zwróciła się do niego:

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała - ale ja go już osadziłam na miejscu... Zostaw to mnie.

Ten spokój wzmógł jego chęć do gniewu.

- Zostawić to tobie! - krzyknął i stwierdził z ulgą, że jest już o niebo szerszy. - A ja ci mówię, że jedno moje słowo lepiej by go przekonało, niż grubo się pomylił!

- Proszę cię - powtórzyła Carla, uważnie go obserwując - zostaw to mnie. - Po raz pierwszy widziała brata w roli mściciela i wydawał jej się niezręczny i przesadny jak kiepski prowincjonalny aktor. „A gdyby wiedział, że się oddałam Leowi - pomyślała zmieszana - co by zrobił?” Spojrzała na niego: Michele milczał teraz, pochylając nad talerzem lśniąca, starannie uczesana głowę; milczał, zdawał się pogrążony w myślach i kręcił palcami kulki z chleba; nic nie zdradzało jego wojowniczych zamiarów. „Co by zrobił?” - powtórzyła w duchu; wyczuwała, że jest jakiś fałsz w tym zachowaniu brata, w tym uderzeniu pięścią w stół, w tych jego słowach, lecz nie wiedziała, jaki... I kiedy Michele podniósł oczy, wydało się jej, że czai się w nich jakaś smutna i wstydliva tajemnica; teraz śnieżnobiała zjawia chwytiała znów jej drżące serce; wszystko stawało się białe; we mgle słychać było głos matki.

Obiad był skończony.

- Powiedz, mamó - zapytała Carla zapalając papierosa - jakie masz plany na dziś? - Z pewnym niepokojem oczekiwała odpowiedzi: „Byle tylko - pomyślała - nie proponowała mi, żebym z nią poszła”. Chciała spędzić popołudnie u kochanka, uświadamiała sobie, że teraz już nie będzie mogła się bez niego obejść; przyzwyczajenie rugowało pragnienie nowego życia, ogarniała ją zachłanna i bolesna niecierpliwość, żeby wrócić do tego pokoju, żeby być z tym mężczyzną.

- Ja? - odrzekła matka roztargnionym i obojętnym tonem. - Nie wiem jeszcze... chyba pójdę na zakupy. - Umilkła na chwilę i utkwiała spojrzenie w zapalonym koniuszku papierosa. - A ty? - spytała; jej dojrzałe i pełne złudzeń serce biło mocniej; ten dzień będzie jej dniem, kochanek wróci do niej i do swojej starej, ale pewnej miłości; bywało już tak niejednym razem (to doświadczenie napełniało ją nadzieją i bardzo pocieszało) po przelotnych zdradach.

- Ja? - odpowiedziała Carla tym samym obojętnym tonem, co matka. - Jestem zaproszona na herbatę do Claretty. - Obie zamilkły spuszczać oczy, jak gdyby nie chciały ujawnić swoich skrycie triumfalnych, zadowolonych spojrzeń; taki sam wyraz ulgi i pogody odmalował się na dojrzałej twarzy matki i na młodzieńczej twarzy córki; obie miały w sercu obraz wspólnego kochanka, obie całą duszą wrywały się ku niemu, jak gdyby chcąc mu powiedzieć z powściąganą radością i satysfakcją: „No widzisz, kochanie... udało się... nikt, nikt nam nie przeszkodzi”.

Wstały, wyszły z jadalni: pierwsza weszła do salonu matka drżąc z zimna i zacierając skostniałe dłonie, i od razu, zdziwiona, zawołała:

- O, jest pan Merumeci! - Podeszła do niego i uścisnęła go za rękę.

- Od dawna pan czeka? - zapytała. Weszła z kolei Carla i ona również z wyrazem radosnego zaskoczenia na twarzy wykrzyknęła zdumiona: - O, jest Leo. - Ostatni zjawiał się Michele: powitał Lea ruchem ręki, zapalił papierosa i wyszedł.

- A więc - rzekła matka, mocniej zacierając ręce, jak gdyby chciała okazać w ten sposób swoje zadowolenie - a więc... jakie pomysły wiatry pana tu przyniosły?

- Muszę prozaicznie sprostować, że po prostu przyjechałem samochodem - wysilił się na dowcip Leo, a one obie od razu roześmiały się serdecznie i nerwowo, śmiechem osób sytych, które po obiedzie, w przytulnym i miłym salonie, chętnie słuchają wyświechtanych żarcików.

- Otrzymałem właśnie - dodał już poważniejszym tonem - list pani dotyczący interesów... i chciałem zatelefonować... ale dowiedziałem się, że telefon jest nieczynny.

- I przyszedł pan osobiście - wtrąciła matka; zwróciła się do Carli: - Słuchaj - powiedziała - idź i powiedz, żeby zrobili nie trzy kawy, ale cztery.

Carla wstała i wyszła ze spuszczonej oczyma.

- A teraz - rzekła matka nadskakująco, z uśmiechem, przybierając swobodniejszą pozę - co mi powiesz... Przemyślałeś już tę odpowiedź?

- Tak - odpowiedział Leo obserwując z uwagą zapalony koniec cygara.

- Co ci jest? - niespokojnie i natarczywie zapytała matka i szybko wstała. - Co ci jest, Lulu? - Z tkliwym i podnieconym wyrazem twarzy, jak gdyby chciała wydobyć od niego jakieś wyznanie i zarazem okazać całą swoją czułość, stanęła za jego plecami, opłotła mu szyję ramionami i schyliła głowę muskając policzkiem jego policzek: - Co ci jest, Lulu? - powtórzyła.

Leo, rozdrażniony, odchylił głowę na bok.

- Nic - odrzekł, wciąż wpatrując się w cygaro; Maria Gracja ujęła go za rękę, przytuliła ją do swojej twarzy, ocierając o nią, jak wierny pies, zimny nos i miękkie wargi. - Kochasz mnie? - zapytała cicho, po czym szybko zmieniła ton i powiedziała nonszalancko, jak gdyby zrozumiała, jak ryzykowna jest czułośćkowość: - Przyjdę dziś... ale będziesz rozważny, bardzo rozważny. - Podświadomie powtarzała te same słowa co niegdyś, kiedy Leo, pod jakimś błahym pretekstem, po raz pierwszy zaprosił ją do siebie. „Bardzo rozważny” - powiedziała również wtedy, z najpiękniejszym uśmiechem, wchodząc do mieszkania kochanka; minęło piętnaście lat; przyszła w końcu ta obłudnie przyzywana rozważa; Leo, bardzo rozważnie, usiłował się uwolnić z jej grzesznego uścisku.

- Będziemy grzeczni - dodała całując tę bezwładną dłoń - będziemy jak dwoje grzecznych dzieci - powtórzyła łakomie, z góry rozkoszując się zawartym w tych słowach rytuałem; mawiała to z dreszczem szczęścia, wygrażając jednocześnie palcem i starając się przybrać dziecinny wyraz twarzy, za każdym razem, kiedy leżała już, biała i tłusta, na żółtej kołdrze i wołała do siebie kochanka; on odpowiadał jej, z tym samym ostrzegawczym ruchem palca: „Będziemy jak dwoje grzecznych dzieci”; po czym rozpoczynała się ich wyuzdana i skomplikowana miłość. Ale teraz Leo potrząsnął głową.

- Muszę ci powiedzieć, Mario Gracjo - oświadczył bez cienia zmieszania - że nie możemy się dziś zobaczyć: mam bardzo pilny interes do załatwienia... Nie możemy się zobaczyć w żaden sposób. - Pochylił głowę, znów patrząc na cygaro; twarz matki skurczyła się, przybierając wyraz rozczarowany, głupkowaty i zbolący; ale nie przestała czule się nad nim pochylać.

- To znaczy - nalegała niepewnie - że w ogóle cię dziś nie zobaczę?

- No tak.

Uścisk rozluźnił się; matka wsparła dłonie na jego ramionach, jej twarz stwardniała.

- Ja nie... - syknęła cicho, ale bardzo przenikliwie - ale dla takich dziwek jak Liza... dla takich... wszystko można zrobić... odłożyć nawet najpilniejsze interesy... Aż kipisz, tak się rwiesz do niej... Rwij się, rwij, Lulu... - Zbliżyła się do niego, zacisnęła zęby i uszczypnęła go w ramię.

Leo otrząsnął się z wściekłością, potarł bolące miejsce, ale nie odezwał się ani słowem; kontemplował czubek swojego pięknie wyczyszczonego buta, na który zerkał to jednym, to drugim okiem; to zajęcie zdawało się pochłaniać go bez reszty.

- Ale wiesz, co ci powiem - powiedziała wpijając w niego oczy - że masz rację, po tysiącokroć rację... To ja jestem skończoną kretynką, to ja nie umiem żyć... Ale ty wiedz - dodała, prostując się dumnie, przybierając lodowaty wyraz twarzy i proroczym gestem wyciągając rękę przed siebie - że wyjdzie szydło z worka... jutro zobaczysz. - Cofnęła się trochę, żeby zbadać, jaki efekt wywołała jej pogroźka: żaden; w tej chwili weszła Carla wnosząc na tacy kawę.

- Michele wyszedł - powiedziała - Leo wypije jego kawę. - Napelniła filiżanki, podała kawę, usiadła; wszyscy troje pili w milczeniu.

- Mam dla pana przyjemną wiadomość - powiedziała matka odstawiając filiżankę. - Dziś rano spotkałam pańską Lizę...

- Moją? - przerwał Leo ze śmiechem. - Moją? Dlaczego? Od kiedy?

- Mądrej głowie dość na słowie - rzekła matka z chytrą i głupią miną - i prosiła mnie - dodała nie zdając sobie sprawy, że kłamie - żeby panu przekazać najgorętsze, najczulsze, najserdeczniejsze pozdrowienia.

- Jestem jej niewymownie wdzięczny - odrzekł Leo już bez uśmiechu - ale nie rozumiem, droga pani, co to wszystko ma znaczyć.

- O, nie ma obawy... rozumie mnie pan doskonale - mówiła matka coraz przebieglej i jak gdyby wyłączając Carlę z tej całej sprawy - aż za dobrze... I bardzo proszę... nie żałować sobie tych spotkań... gdyby miał pan stracić chociaż jedno z nich, szkoda byłaby niepowetowana.

- O co chodzi? - zapytała Carla, sztywno pochylając się do przodu; nedorzeczne zmieszanie przyśpieszało bicie jej serca, brakowało jej tchu, miała ochotę zerwać się z kanapy, zostawić tych dwoje, wyjść z salonu, wyrwać się z tej atmosfery.

- Chodzi - wyjaśniła matka usiłując zachowywać się nonszalancko i bawiąc się nerwowo naszyjnikami z pereł - o interesy... Nasz Leo - dodała głośniejszym głosem, spoglądając w górę i coraz szybciej przebierając palcami perły - jest człowiekiem interesu... jest szalenie zajęty... to aferzysta jakich mało, rzecz ogólnie wiadoma... Cha! cha! - Trzęsła się ze śmiechu i gwałtownym szarpnięciem rozerwała naszyjnik; dało się słyszeć suche stukanie o podłogę; spadały pierwsze perły; matka siedziała sztywno z wypiętą naprzód pierś, z rękami opartymi o poręcz fotela, nie zwracała uwagi na perły

toczące się po jej szyi, dekolcie i wpadające za gors; była wyższa ponad wszystko, teatralna, a jednak, pomimo swojej wrodzonej śmieszności, tragiczna; z uczernionych oczu dwie brudne łzy spłynęły po jej twarzy pokrytej grubą warstwą pudru, pozostawiając mokre ślady, potem dwie następne, a z szyi podobnie jak te łzy kapąły perły na drżące piersi; w tej sztywnej pozie, w sutej fałdowanej spódnicy wyglądała jak posąg, a spadające perły i łzy jednakowo toczyły się po jej twarzy i postaci, które zastygły w skurczu cierpienia.

„Do diabła z neurastenikami!” - pomyślał Leo w chwili, gdy Maria Gracja zerwała naszyjnik. Teraz widok płaczącej kochanki napełnił go zmieszaniem i odrazą: „Do diabła z tym płaczem” - myślał i, jak poprzednio, starał się patrzeć tylko na czubek swojego kołyszącego się buta; Carla wstała.

- Dlaczego?... - spytała. - Co się stało? - Jej głos był zimny, na twarzy malowało się znużenie; Leo pomyślał, że Carli także uprzykrzyły się już te fochy. „Do diabła z tym płaczem” - powtórzył w duchu. Tymczasem matka ruchem ręki i głowy odsuwała od siebie córkę, jak gdyby nie chciała psuć sobie tej sztywnej i teatralnej pozy wyrażającej cierpienie.

W tej chwili zjawiał się Michele, gotów do wyjścia: kapelusz, płaszcz, rękawiczki. - Przyszła do ciebie jakaś pani - powiedział matce - ma duże pudełko... to chyba krawcowa i... - Urwał nagle widząc, że matka płacze.

- Co się stało? - zapytał.

- Nic... nic - odpowiedziała matka; szybko wstała, nie troszcząc się o spadające na ziemię perły; głośno wytarła nos: - Już idę - dodała, po czym z wypiekami na twarzy i pochylona, jak gdyby coś ukrywała, wyszła.

- Co się stało? - dopytywał się Michele obrzucając zaciekawionym spojrzeniem Lea; ten wzruszył ramionami.

- Nic - odrzekł - zerwała naszyjnik... i rozplakała się.

Zaległa cisza; Carla milczała stojąc przy pustym fotelu matki, Leo patrzył w ziemię; nieruchomy na środku salonu, Michele spoglądał na niego niepewnym i zakłopotanym wzrokiem; nie odczuwał ani litości dla matki, ani nienawiści do Lea, czuł się zbyteczny, niepotrzebny; na chwilę ogarnęło go gwałtowne pragnienie, żeby jakoś zareagować, pytać, sprzeczać się, protestować... potem z przenikliwym uczuciem upokorzenia i apatii pomyślał, że w gruncie rzeczy to wszystko jego nie dotyczy.

- Róbcie, co chcecie - powiedział szorstko - ja wychodzę. - I wyszedł.

- Chodź tu, Carlo - powiedział Leo rozkazująco, z udaną swobodą, nim jeszcze drzwi się zamknęły - chodź do mnie.

- Dobrze spałeś? - zapytała dziewczyna podchodząc.

- Doskonale.

Wyciągnął ręce, objął ją w pól i przyciągnął do siebie.

- Potem wyjdziemy razem - rzekł głębokim głosem - znajdziesz jakiś pretekst... jakaś przyjaciółka... jakaś wizyta... i pojedziesz ze mną. - Przytulił ją mocniej zsuwając splecione ramiona i ściskając ją niżej, gdzie okrągłe i muskularne biodra łączyły się z kulistymi pośladkami wyraźną linią, widoczną poprzez materiał spódnicy.

- A dziś rano? - dodał ot tak, żeby coś powiedzieć. - Wszystko dobrze poszło?

- Jak najlepiej - odrzekła i sama nie wiedziała, czy patrzy z odrazą, czy z lękiem na tego siedzącego mężczyznę, który rozmawiał z nią spuściwszy głowę, nie odrywając oczu od swojej kamizelki, jak gdyby prowadził dialog ze swoim brzuchem i był zajęty jedynie właśnie tą, mniej szlachetną częścią swojego ciała. - Nikt nic nie zauważył.

- Było wcześniej... - odpowiedział nie zmieniając pozycji i jakby mówiąc do siebie; w końcu otrząsnął się z nieruchawości, podniósł oczy i wziął dziewczynę na kolana.

- Nie boisz się już - zapytał patrząc na nią z tępą i głupią miną - że ktoś może wejść?

Carla wzruszyła ramionami.

- Teraz - odpowiedziała dobitnym głosem i jej usta wypełniły się śliną - niewiele by mnie to obeszło.

- Czekaj, czekaj - nalegał Leo, ubawiony - a gdyby tak w tej chwili weszła matka, to co byś zrobiła?

- Powiedziałabym prawdę.

- A potem?

- Potem - odrzekła niepewnym tonem, z rozpaczliwym uczuciem, że przeczy najgłębszej prawdzie, a jednocześnie bawiąc się krawatem Lea - odeszłabym z tobą... i już bym z tobą została.

Leo poczuł się mile polechtany jej powagą, bo źle zrozumiał jej motywy: uśmiechnął się.

- Jesteś dzielną dziewczynką - oświadczył obejmując ją. Pocałowali się, po czym Leo dodał: - Mamy dla siebie czas od trzeciej do siódmej. - Ta perspektywa nie

budziła w nim entuzjazmu; pomimo podniecenia zdawał sobie niejasno sprawę, tuląc do siebie to młode bujne ciało, że brak mu już będzie sił na zaspokojenie jego szaleńczych apetytów. Było to przykre i dotkliwe uczucie niewydolności, może impotencji? Czuł się tak, jak gdyby, chcąc go nasycić, ofiarowano mu całe beczki pełne wina, olbrzymie stoły uginające się od najwysmienitszych potraw i najwspanialsze apartamenty, w których całymi stosami, jedna na drugiej, leżały najpiękniejsze kobiety świata.

„Od trzeciej do siódmej” - pomyślał ironicznie - co ja pocznę?” Przez ramię Carli spojrział w lustro: wyłysiałe czoło, ciężka i czerwona twarz, policzki raczej obrzmiałe niż tłuste, na które nie ogolony zarost rzucał niebieskawy i metaliczny refleks: dojrzałość. „Gwiżdżę sobie na to - zawyrokował pogodnie, z żywym poczuciem rzeczywistości. - Jak już nie będę mógł nic z siebie dać, po prostu jej to powiem.” Pograżony w tych myślach głaskał z roztargnieniem szyję Carli: - Jaka ty jesteś ciepła! - zawołał.

Carla milczała wpatrując się uważnie w czerwoną i niewzruszoną twarz kochanka.

- Dlaczego mama płakała? - zapytała w końcu.

- Bo jej powiedziałem, że nie może dziś do mnie przyjść.

- Czy mnie także - zapytała łagodnie - powiesz kiedyś to samo, Leo?

- Dlaczego miałbym tak powiedzieć? - W tej chwili najbardziej interesował go i bawił kontrast między uległością, a nawet - sądząc po drżeniu jej ciała - przyjemnością, z jaką Carla pozwalała się pieścić, a obojętnością czy nawet smutną godnością jej twarzy i każdego jej słowa. „Jak gdyby nie obchodziło jej nic, co dotyczy jej ciała” - pomyślał rozweselony.

Kilka chwil upłynęło w milczeniu, po czym Leo zapytał podnosząc oczy na dziewczynę:

- O czym myślisz?

- O tym dniu - odrzekła, w pewnym stopniu świadoma, że mówi nieszczerze - kiedy i mnie powiesz, że nie możesz mnie przyjąć u siebie.

- Bzdury - oświadczył Leo spuszcżając głowę i wracając do swoich wystudiowanych pieszczot. - Dlaczego porównujesz się z twoją matką?

- Teraz - ciągnęła Carla - tak mówisz... Ale potem? - Sama nie wiedziała, dlaczego to mówi; chodziło jej nie o to, żeby wybadać, czy kochanek ją porzuci, czy

nie, lecz chciała się upewnić, że jej życie nie będzie takie, jak życie matki; jej pytanie oznaczało: „Czy będę mogła mieć inne życie niż moja matka?”

Leo nie odpowiedział, z uwagą gniótł jej spódnicę.

- A co tu jest? - zapytał dotykając palcami jej nogi.

- Podwiązka - schyliła głowę stuknąwszy czołem o twarde czoło kochanka. - A mnie... kochasz? - spytała.

Leo spojrział na nią ze zdumieniem.

- Chciałam powiedzieć - dodała pośpiesznie - że mamy nigdy nie kochałeś, ale mnie tak, prawda?

Leo doznał nagłego olśnienia: „Jest zazdrosna o Marię Grację... rozumiem... jest zazdrosna o swoją matkę”. Dumny ze swojej przenikliwości, rad z tej rywalizacji, uśmiechnął się:

- Nic się nie bój... nawet o tym nie myśl... z twoją matką jest wszystko skończone, rozumiesz? Skończone!

- Nie o to... - I już Carla miała sformułować, co jej leży na sercu, gdy otworzyły się drzwi salonu.

- Puść mnie - szepnęła wrywając się z jego objęć - idzie mama! - Uwolniła się jednym ruchem i zsunęła na ziemię.

Weszła matka podniecona, już pogodna, z paczuszką w ręku.

- Co ty robisz? - zapytała.

- Zbieram perły - odrzekła dziewczyna; na czworakach, ze spuszczoną głową i opadającymi włosami, szybko zbierała rozsypane perły; rozparty w fotelu Leo obserwował z rozbawieniem jej wysokie, ruchome, krągłe pośladki nad wygiętymi plecami i prawie niewidoczną głową.

- To nie była krawcowa - powiedziała matka - tylko taka osoba, która sprzedaje materiały i poduszki... kupiłam jedną...

- Co kupiłaś? - zapytała Carla usiłując dosięgnąć jedną z pereł, leżącą pod kanapą.

- Poduszkę - powtórzyła matka. - Patrz - dodała wskazując palcem - tam w rogu leży już taka jedna... - Ostentacyjnie nie zajmowała się Leem; widać było, że świeżo się upudrowała.

- Widzę - rzekła Carla; pochylona zbierała perły; co jej strzeliło do głowy, skąd ta potrzeba, żeby się schylać, pełzać, kryć się z dłonią pełną pereł, z szeroko

otwartymi, nieruchomymi i smutnymi oczyma? Nie wiedziała; zaczerwieniona wstała i wysypała perły do popielniczki.

- Chcę zobaczyć - powiedziała.

Matka rozwinęła paczkę i pokazała swój zakup: był to błękitny kwadrat jedwabiu z wyhaftowanym w jaskrawych kolorach - zieleń, czerwień i złoto - chińskim smokiem, który miał ziejącą ogniem paszczę i najeżony kolcami ogon.

- Ładne - rzekł Leo.

- Jak ci się podoba? - zwróciła się do córki, jak gdyby nie słysząc, co powiedział Leo.

- Uważam, że jest zupełnie niepotrzebna - odrzekła dosyć opryskliwie Carla. - Mam tego pełen dom... nawet nie wiem, gdzie ją położyć.

- W hallu - zaproponowała potulnie matka.

- A zresztą - pocieszyła ją Carla w przypiływie nagłego współczucia - jest wcale niebrzydka.

- Naprawdę? - zapytała matka ze słabym uśmiechem zadowolenia.

Carla zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

- Idę się ubrać - powiedziała. - Leo, zaczekaj na mnie... wyjdziemy razem.

- Jeszcze jest wcześnie - zawołała matka patrząc na zegarek i biegnąc za nią.

- Nie szkodzi! - odrzekła dziewczyna już z głębi salonu.

- Ależ nie... - mówiła matka - nie. - I obydwie sprzecząc się, hałasując, wymachując rękoma, jak dwa duże wystraszone ptaki skrzydłami, wyszły zatraskując drzwi.

Leo został sam; odłożył zgaszone cygaro, przeciągnął się prostując ręce i nogi, ziewnął, po czym wyjął z kieszeni pilnik i zaczął czyścić paznokcie; Carla po dziesięciu minutach zastała go przy tym zajęciu.

- No co, Leo? - powiedziała wciągając rękawiczki. - Idziemy?

- *All right* - odrzekł Leo; wstał, poszedł za Carlą, a w przedpokoju zaczął błaznować: - Czy będę miał zaszczyt i przyjemność - zapytał z niskim ukłonem - towarzyszyć pani?

- Owszem - odpowiedziała Carla czerwieniąc się lekko i uśmiechając mimo woli. Wyszli śmiejąc się i poszturchując, zbiegli z lekkością i zręcznością faunów po

marmurowych schodkach, pożółkłych po ostatnich deszczach: pośrodku placu stał w słońcu nisko zawieszony na dużych kołach samochód Lea.

Żartując i raz po raz wybuchając śmiechem podeszli do lśniącego samochodu, szybko wsiedli, najpierw Leo, potem Carla.

- Niczego nie zapomniałaś? - zapytał Leo uruchamiając silnik.

- Niczego - odpowiedziała dziewczyna. W tym tak rześkim i przezroczystym powietrzu rozwiały się jej lęki i smutki; siedząc u boku Lea cieszyła się błękitnym niebem, odświeżoną deszczem przyrodą, błyszczącym samochodem.

Samochód ruszył i przemknął szybko między nagimi drzewami alei; oszołomiły ich, uderzyły im do głowy zwisające gałęzie, słońce i wiatr; ten sam dziecinny zachwyt, ta sama kolorowa i radosna młodość malowały się na ich twarzach; nie zważając na pęd przeglądali się w przedniej szybie, gdzie na zagmatwanym tle ogrodów i nieba wyraźnie majaczyły ich odbicia: oczy, usta, pełne policzki Carli, kapelusz Lea - oderwane i zawieszane w próżni jak nieodgadnione miraże.

XIII

Michele wyszedł, żeby odwiedzić Lizę; przez całe rano zamiar ten krył się za każdą jego myślą powodując takie samo napięcie, jakie w liczonym towarzystwie wywołuje fakt, o którym wszyscy wiedzą, ale o którym nikt nie ma odwagi mówić pierwszy; przez całe rano wspomnienie tego wczorajszego pocałunku w ciemnościach nie opuszczało go ani na chwilę, stwarzając atmosferę przejściowości i zniechęcenia: pojmował niejasno, że w obecnej chwili nie jest dla niego zasadniczą sprawą, czy zrobi to, czy tamto, ale decyzja, czy ma wrócić do Lizy, czy nie; najważniejsze było nie czytać, pisać, mówić, żyć, byle żyć, lecz kochać Lizę; wreszcie po obiedzie, pod pretekstem, że idzie na spacer, wyszedł.

Dlaczego wyszedł z domu, uświadomił sobie jasno, gdy tylko znalazł się na ulicy i spojrzał w niebo, które pogodne jeszcze przed chwilą, zasnuwało się drobnymi białymi obłoczkami. „Rozumie się - pomyślał spokojnie, zamykając za sobą furtkę od ogrodu - że nie wyszedłem po to, żeby się przejść albo wstąpić na kawę... nie; muszę sam siebie przekonać, że wyszedłem, aby pójść do Lizy". Wydało mu się, że daje dowód siły charakteru idąc dobrowolnie ku własnemu nieuniknionemu upodleniu i w pewnym sensie odważnie przyjmując warunki, których żadna siła nie zdołałaby zmienić; niepotrzebne były ten zakłamaný upór i ta dziecinna pycha, które początkowo kazały mu wierzyć, że Liza nawiązała nowy romans z dawnym kochankiem, i oładnęły nim nie pozwalając mu zejść z fałszywie obranej drogi. Rozumiał też, że ten szyderczy ukłon, jaki złożył w drzwiach zadyszanej i rozchełstanej Lizie, nie był podyktowany żadnym prawdziwym uczuciem: równie dobrze mógł wejść, usiąść, rozmawiać albo dobrodusznie pogodzić się z faktem dokonanym, albo wyrwać Lizę z objęć kochanka i zabrać ją z sobą; on jednak, niby wytrawny aktor zmuszony do improwizowania swojej roli, wybrał tę ironiczną postawę jako najstosowniejszą, a raczej najnaturalniejszą i najbardziej tradycyjną w tego rodzaju sytuacji; parę słów, ukłon i w nogi; lecz potem, na ulicy, żadnej zazdrości, żadnego cierpienia: jedynie nieznośny niesmak spowodowany tą jego wszystko obejmującą obojętnością, która sprawiała, że - jak inni ubranie - on zmieniał codziennie postawę i przekonania.

Znaczenie tej wizyty było dla niego oczywiste i decydujące: była to ostateczna próba jego szczerości; jeżeli zawiedzie, będzie żył dalej w tym prowizorycznym stanie zwątpienia albo obierze inną drogę, tę, którą idą wszyscy, tę, gdzie czyny - jeden wart drugiego - nie są podparte prawdą i wiarą, i nawarstwiając się dławia w końcu sumienie; jeżeli jednak uda się, odmieni się wszystko; odnajdzie swoją rzeczywistość, jak artysta odnajduje natchnienie ze swoich najlepszych lat; zacznie się nowe życie, prawdziwe życie, to jedno jedynie możliwe.

Skręcił w szerszą ulicę i znalazł się pod sygnałem świetlnym, przed którym zatrzymywał się tramwaj jadący do dzielnicy, w której mieszkała Liza. Miał czekać, czy nie? Spojrzał na zegarek: było wcześnie, lepiej pójść pieszo. Ruszył dalej ze swoimi myślami; a więc krótko powiedziawszy, istniały dwie możliwości: albo zwycięży szczerość, albo przyjdzie mu żyć tak, jak żyją wszyscy inni.

Pierwsza możliwość była jasna; trzeba by się odizolować z garstką ideałów, z garstką uczuć naprawdę odczuwanych, z garstką osób naprawdę kochanych, o ile by się takie znalazły, i na tych nielicznych, lecz solidnych podstawach rozpocząć życie zgodne z jego zasadą szczerości. A w drugim wypadku, poza jego wewnętrzną porażką, nic by się nie zmieniło; poprawiłby jako tako swoje warunki, jak reperuje się brzydki, zniszczony budynek, bo nie ma pieniędzy na postawienie nowego: dopuściłby do ruiny finansowej rodziny, zgodziłby się nawet i na to, żeby wziął ją na utrzymanie Leo, a sam z kolei (choć czuł się upokorzony, że to stanowi dla niego jakąś pociechę) zdecydowałby się na małe plugastwa z Lizą; świństwa, drobne podłości, drobne oszustwa; kto ich nie gromadzi po wszystkich kątach swojej egzystencji, jak po kątach dużego, pustego domu? Żegnaj, życie szlachetne i nieposzlakowane: zostałyby kochankiem Lizy.

A willa? a hipoteka? W tej sprawie ułożyłby się z Leem: „Ty mi dasz pieniądze, żebym miał za co żyć z rodziną, a ja w zamian dam ci...” Ale czy zostawało jeszcze coś, czego Leo samowolnie nie wziął?... Zaraz... chwileczkę: zostawała Liza... z... z którą Leo na próżno usiłował nawiązać dawne stosunki... Tak, oczywiście, Liza... wobec tego: „Ty mi dasz pieniądze... a ja w zamian nastęcę ci Lizę...”

Zdawało mu się, że widzi już, jakby się to odbyło.

Pewnego wieczora, po wielu wahaniach, powiedziałaby wszystko Lizie; ona wzbraniałaby się. „Zrób to przez miłość do mnie - błagałby ją - jeżeli mnie kochasz, zrobisz to.” Liza w końcu usłuchałaby go, kto wie? może w głębi ducha nawet skora do odnowienia starej przyjaźni. „Będzie, jak chcesz - odpowiedziałaby rzucając mu

pogardliwe spojrzenie - niech przyjdzie... ale nie myśl, że robię to dla twojej rodziny... jedynie i wyłącznie dla ciebie."

Uściskały ją gorąco na podziękowanie i poszedłby do przedpokoju, po Lea: „Idź - powiedziałby mu - Liza czeka”. I poprowadziłby go za rękę, pchnąłby go w jej ramiona; a gdzie wręczyłby mu pieniądze Leo? Tam, w tym mieszkaniu, na oczach Lizy, czy gdzie indziej? Gdzie indziej. Więc ulotniłby się dyskretnie, zamykając za sobą drzwi i życząc im dobrej nocy; potem z kolei wyczekiwałby w przedpokoju; dłużałaby mu się nieskończenie ta nieprzespana noc, spędzona na łowieniu odgłosów z sypialni: to zasypiałby, to znów by się budził, mając przed sobą ten płaszcz na wieszaku, zdradzający obecność mężczyzny przy boku jego kochanki; ta noc nie miałaby końca! I wreszcie o świcie Leo wyszedłby bez słowa podziękowania, bez jednego spojrzenia, łaskawie pozwalając sobie pomóc przy wkładaniu płaszcza; ustąpiłby mu miejsca w rozgrzebanym, niechlujnym łóżku, obok półnagiej Lizy, pogrążonej we śnie ciężkim po tych męczących rozkoszach, jak po pijaństwie. I nie byłby to ani pierwszy, ani ostatni raz; Leo odwiedzałby ją często, za każdym razem, kiedy on potrzebowałby pieniędzy... „To także - stwierdził - byłoby jakieś rozwiązanie.” Lecz był śmiertelnie zmęczony, jak gdyby to wszystko nie było wytworem jego fantazji, ale działa się w rzeczywistości. A gdyby Leo nie chciał słyszeć o Lizie i na odwrót? Wobec tego... wobec tego pozostawała tylko Carla jako ostatnia deska ratunku... Słusznie... Carla również mogła stanowić źródło dochodów, a skoro już trzeba było żyć w ten sposób, przed niczym nie należało się cofać. Pozostawała więc Carla... można by ją wydać za mąż, za Lea... Byłoby to małżeństwo z wyrachowania, dla pieniędzy... takie małżeństwa spotyka się zresztą na każdym kroku i są one najbardziej udane; miłość przychodzi potem, a jeżeli nie przychodzi, mniejsza z tym; Carla mogła się pocieszać w inny sposób, nie jeden Leo na świecie... Słusznie...

Ale... ale... gdyby Leo zgodził się dać pieniądze jedynie pod warunkiem, że weźmie ją za kochankę?

„Jest zdolny do wszystkiego... - pomyślał Michele - tak...” - przystanął na chwilę: miał wrażenie, że kręci mu się w głowie; przytłaczało go zmęczenie, odczuwał dręczący niesmak, biło mu serce; ale nieubłagane brnął dalej, snując swój wątek: „Naprzód, naprzód...” - pomyślał, i sam się dziwił, że odkrywa w sobie coraz to nowe nikczemności; kiedy przyjdzie wreszcie temu koniec? „Nie wolno cofać się przed niczym.” Uśmiechnął się słabo... A więc gdyby Leo nie chciał się żenić, trzeba by było wziąć i to pod uwagę; wtedy strony musiałyby zawrzeć inny układ... Leo dałby

pieniądze, ale, rzucając na szalę dziewictwo, urodę i młodość Carli, Michele zażądałby od niego o wiele więcej niż za przywidłą już i zdeprawowaną Lizę... Jaki towar, taka cena... I on... on w zamian za to podjąłby się... Oczywiście w takiej atmosferze, na tym skraju przepaści można się posunąć aż tak daleko... wziąłby na siebie załatwienie wszystkiego z siostrą. Ciężki orzech do zgryzienia; Carla na pewno ma zasady; poza tym, kto wie? może kocha innego; ciężki orzech... Do celu mogły doprowadzić dwie drogi: albo wyłożyć karty na stół, powołując się na honor rodziny i groźącą nędzę, po czym równie brutalnie wyrzucić nacisk i wygrać tę batalię za jednym zamachem; albo powoli przygotować dziewczynę, po trochu dawać jej do zrozumienia to i owo, wciągając ją w obsesję, dziś jedno, jutro drugie wypowiedziane z naciskiem słówko, aby w końcu odgadła, czego się od niej żąda... Który sposób był lepszy?... Niewątpliwie ten drugi... poza tym... poza tym w tej płątaninie aluzji, niedomówień, obietnic Carla, słaba, nie mająca w nikim oparcia, ustąpiłaby w końcu... „Przytrafia się to tylu dziewczynom - pomyślał - dlaczego nie miałyby się i jej przytrafić?” Szedł krok za krokiem, z oczyma wbitymi w ziemię, i w nagłym olśnieniu wydało mu się, że potrafi sobie wyobrazić także i ten akt uwiedzenia... Szary dzień jak dziś, martwy ciepławy dzień, bez słońca i wiatru... Leo przyszedłby jak dziś i zaprosiłby jego i jego siostrę na przejażdżkę samochodem... Zgodziłby się, a po przejażdżce gdzie poszliby na herbatę? Do Lea, tak, do Lea; Carla przystałaby na to chętnie, ośmielona obecnością brata... Wszyscy troje wysiedliby przed bramą, wszyscy troje weszliby po schodach, Carla przodem, za nią oni dwaj... Kiedy Carla zdejmowałaby kapelusz w przedpokoju, oni ukradkiem uścisnęliby sobie dłonie, na przypieczętowanie umowy... i po obejrzeniu mieszkania, które musieliby podziwiać, znaleźliby się wszyscy troje - każde zajęte swoimi myślami - w małym saloniku Lea, w bladym świetle szarego popołudnia. Potem Carla nalałaby im herbatę i podałaby biszkopty, cukier, mleko; otrzymaliby to wszystko z jej rąk, jej piękne usta obdarzyłyby ich ufnym uśmiechem, a oczy czystym spojrzeniem... Usiedliby wszyscy troje pod oknem, bo niebo zachmurzyłoby się i kąty pokoju zaczęłyby zasnuwać cień, razem piliby i jedli... Rozmawialiby wśród panującej dokoła popołudniowej ciszy; oni dwaj wymienialiby porozumiewawcze spojrzenia, ona, nieświadoma niczego, żartowałaby wesoło... A po herbacie, w chwili, gdy po zaspokojeniu apetytu zalega leniwe milczenie, on popatrzyłby wymownie na Lea... Czy Lea spoczęłyby na lekko pochylonej głowie Carli i na drzwiach... On zrozumiałby w lot i wstałby powoli. „Idę po papierosy” - powiedziałałby i pewnym krokiem, z

podniesionym czołem wyszedłby pozostawiając siostrę i Lea, nieruchomych, ciemnych na tle okna i ołowianego nieba.

Znalazłby się w przedpokoju i narzuciwszy płaszcz wyszedłby z mieszkania, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. To popołudnie ciągnęłoby się w nieskończoność, godzina wlokłaby się za godziną, bez Carli, bez Lea, w samotności na ulicy lub w małej kawiarence, może w kinie. I kiedy wróciłby wieczorem do domu, zastałby przy rodzinnym stole Carlę, może i Lea, badałby ich twarze, ale nie dostrzegłby żadnego znaku, żadnego spojrzenia, które pozwoliłoby mu odgadnąć, co się działo w tamtych czterech ścianach po jego odejściu: ucieczka po ciemnym mieszkaniu wśród hałasu przewracanych krzesel, zamykanych i otwieranych drzwi? Krótka walka w mroku salonu pod oknem, w zapadającym zmierzchu? Czy raczej śmiertelna rezygnacja w obliczu nieuniknionego losu, z dawna przeczuwanego, z którym należało się pogodzić?

Nie dowiedziałyby się nigdy; i pomimo tego popołudnia oraz innych dni, w których powtarzałyby się ten zyskowny i grzeszny proceder, ich życie siłą przyzwyczajenia i konwensu płynęłoby nie zmienione... po prostu jeden fałsz więcej... Albo pewnego pięknego dnia ta utajona hańba i sromota, jak robaki w rozkładającym się cielsku, wyszłyby na jaw, nastąpiłby wybuch powodując ostateczną ruinę... Stanęliby przed sobą nadzy, i to byłby koniec, prawdziwy koniec.

Wydawało mu się, że się dusi; stanął, spojrzął przed siebie, nie widząc wystawy sklepu, na którą patrzył. Dotarł teraz naprawdę do dna swojej przyszłości: nie miał już nic do sprzedania: ani niewinności Carli, ani miłości do Lizy, ani własnej odwagi, nic już nie mógł ofiarować Leowi w zamian za jego pieniądze. Po tych rojeniach, równie zawrotnych, jak przepaść, w jaką staczało się jego życie, odczuwał taką suchość palącą w gardle i rozsadzającą mu pierś, że miał ochotę krzyczeć i płakać; był u kresu sił i wytrzymałości, jak gdyby naprawdę pozostawił przed chwilą Carlę w mieszkaniu Lea i teraz właśnie dopełniała się tam ta hańba, z szamotaniem, ucieczką, rezygnacją... widział barwy i kształty: wyciągnięte ramiona, obnażone piersi, ciało uginające się pod ciężarem drugiego ciała, oczy zamknięte i zgwałcone; obrazy jak błyskawice ukazywały się na rozgorączkowanym niebie jego wyobraźni. Przygniatało go takie znużenie, taki wstręt, że instynktownie zapragnął się umyć, nie wiedział dlaczego, ale rozpaczliwie zapragnął czystej wody, jak gdyby jej świeży strumień mógł przepłynąć meandrami jego duszy i obmyć ją... Ruczaje szemrzące wśród traw, białe i szybkie wodospady lecące z nieustannym hukiem z wysokich skał, zimne potoki pieniące się w

swoich żwirowych łożyskach, strugi, które podczas odwilży spływają z ośnieżonych stoków gór niewidocznymi szczelinami i potem łączą się w dolinie - te wszystkie kryształowe wody nie wystarczyły mu w jego desperackiej zachłanności.

Szedł dalej: uświadamiał sobie teraz, że słowa: „Na szczęście to tylko fikcja” nie mogłyby go oczyścić: suchość w gardle, niepokój wewnętrzny mówiły mu, że jednak przeżył te urojenia; nigdy już nie popatrzy na Carlę oczyma brata, nigdy nie zapomni, że wyobrażał ją sobie uprawiającą haniebną procedurę; było już za późno na spokojniejsze wizje: myśleć to żyć.

Zobaczył i zrozumiał, czym się stanie, jeżeli nie zdoła przezwyciężyć swojej apatii; bez miłości, bez wiary, jedynie po to, aby się utrzymać na powierzchni, należało po prostu żyć według utartego szablonu, w tych nieznośnych warunkach - albo wyrwać się z nich na zawsze; należało nienawidzić Lea, kochać Lizę, żywić wzgardliwe politowanie i współczucie dla matki, prawdziwe przywiązanie do Carli, a te wszystkie uczucia były mu obce; albo wyjechać gdzieś daleko w poszukiwaniu bliskich sercu ludzi, bliskich sercu miejsc, słowem: tego raj, gdzie wszystkie czyny, słowa i uczucia miałyby naturalne powiązania z rzeczywistością, z której się rozdziły.

Niegdyś, przed dwoma laty, wydało mu się, że dostrzegł ów świat konkretny i prawdy we łzach prostytutki, którą zatrzymał na ulicy i wziął do hotelu. Mała, frywolna, miała figurkę zabawną przez kontrast nadmiernych wypukłości piersi i pośladków z bardzo wciętą talią, co, gdy szła naga, sprawiało wrażenie, iż pochyła się ku przodowi, obnosząc dumnie, jak paw ogon, te swoje bujne wypukłości. Drugi kontrast polegał na tym, że ofiarowywała swoje różowe i znużone wdzięki otulona w tandetny welon z krepy, który nosiła trochę na ukos, jak na maskaradzie; była w żałobie; zwierzyła mu się na schodach, bez cienia smutku, z obojętną prostotą, z jaką przyjmuje się naturalne wydarzenia, że przed tygodniem umarła jej matka. Ale ta strata, po której, jak powiedziała, pozostała sama na świecie, nie przeszkadzała jej szukać co wieczór towarzysza samotności; trzeba było żyć.

W pokoju hotelowym odegrała krótką komedię wstydu, wesoło, z wdzięczną i pogodną werwą: pokój był mały i skromny; dziewczyna porzuciła tu i ówdzie na podłodze, jak człowiek ścigany, który uwalnia się z wszelkiego balastu, aby szybciej uciekać, swoje łaszki, czarny welon, spódnicę, bieliznę; w końcu, już tylko w pończochach, schroniła się w najciemniejszym i najcieplejszym kącie, koło pieca. Wyszła stamtąd strojąc minki, kołysząc biustem i biodrami, co wyglądało, jak gdyby składała niezdarne ukłony, certowała się i osłaniała rękoma, co tylko mogła; ostrożnie

wsunęła się do łóżka z tajemniczym i przymilnym uśmiechem, który zdawał się obiecywać najbardziej wyrafinowane rozkosze... ale potem, gdy Michele próbował ją zmusić do pewnych praktyk uprawianych w tej profesji, odmówiła, a gdy okazał się nieustępliwy, zaczęła płakać; nie był to płacz ani obrażonego wstydu, ani bolesny i tragiczny płacz cierpienia, ani wybuch hysterii, któremu towarzyszą konwulsyjne odruchy i krzyki... nie był to płacz dziecinny, ze łzami jak grad, z gwałtownym szlochaniem, wstrząsający nią całą, a przede wszystkim jej delikatnymi i lekkimi pierściami, które podrygiwały jak dwaj jeźdźcy zmuszeni do kłusowania na narowistym koniu. Patrzył na nią zdumiony, nie rozumiejąc tego nagłego przejścia od radości do smutku... W końcu po dłuższej indagacji zaczął pojmować, że kiedy zażądał, aby się popisała arkanami swojej profesji, w tej głowie, tak bliskiej i jednocześnie tak dalekiej od jego głowy, myśl o zmarłej matce stała się tak przemożna i bolesna, że wywołała ten wybuch płaczu. Po chaotycznych wyjaśnieniach, wyjąkanych żalonym i sennym głosem, gdy on, jeszcze oszołomiony, spoglądał na nią bez słowa, wytarła sobie starannie nos i oczy rąbkim prześcieradła, znowu pogodna i wesoła, nawet gorliwa, jak gdyby chciała uzyskać przebaczenie za te niewczesne łzy. Wszystko poszło jak najlepiej i po godzinie rozstali się przed bramą hotelu; każde udało się w swoją stronę i nie widzieli się więcej.

Wspominał teraz ten płacz jako objaw życia do głębi spoistego i szczerego; te łzy, które spływały po uróżowanych policzkach dziewczyny w takiej właśnie chwili, dobywały się z tajemnej pełni owego życia, jak mięśnie napinające się pod skórą przy najłżejszym skurczu. Ta duszyczka, ze wszystkimi cnotami i grzechami, była jednolita, posiadała dar właściwy wszystkiemu, co autentyczne i trwałe, dar ukazywania w każdej chwili głębokiej i prostej prawdy. On nie był taki; na białym i płaskim ekranie jego obojętności uciechy i smutki przesuwały się jak cienie, nie pozostawiając żadnego śladu, a jednocześnie, jak gdyby to jego rozkojarzenie udzielało się również światu zewnętrznemu, wszystko dookoła traciło swoją wagę i swoją wartość, stawało się przelotne jak gra światłocieni; te zjawy mające w myśl tradycji uosabiać jego rodzinę, matkę i siostrę albo kochaną kobietę, Lizę, przez tę dwoistość, która mogła powtarzać się w nieskończoność, przeobrażały się w inne, zależne od okoliczności i od jego fantazji. Mógł tedy widzieć w Carli dziewczynę bez honoru, w matce kobietę głupią i śmieszna, w Lizie nierządnicę; nie mówiąc już o Merumecim, o którym nieustannie zmieniał opinię: to nie mógł go ścierpieć, to niemal rozczulał się nad nim, jak przed chwilą.

Wystarczyłby jeden akt wiary, jeden akt szczerości, aby skończyć z chaosem i ustawić te wartości w stosownej perspektywie; w związku z tym wydawało mu się, że jego wizyta u Lizy ma olbrzymie znaczenie; gdyby mu się udało ją pokochać, wszystko byłoby potem możliwe: nienawiść do Lea i cała reszta.

Podniósł głowę i zorientował się, że minął ulicę, przy której mieszkała Liza: zawrócił. Teraz dręczył go jego zły duch: „A gdybyś nawet potrafił - mówił mu - ułożyć wszystko zgodnie z ogólnie przyjętym porządkiem, czy myślisz, że zyskałbyś na tym? Czy myślisz, że gdybyś się stał prawdziwym bratem, prawdziwym synem, prawdziwym kochankiem, prawdziwym przeciętnym człowiekiem, samolubnym i logicznym, jakich są miliony, osiągnąłbyś coś więcej niż w obecnych warunkach?” Wszystko to były pytania bez odpowiedzi. „Czy nie przychodzi ci na myśl - ciągnął dalej sceptyczny głos - że ta droga zwątpienia i deprawacji, którą idziesz teraz, zaprowadziłaby cię o wiele dalej? I czy nie sądzisz, że byłoby tchórzostwem z twojej strony zostać takim jak wszyscy inni?” - „Do czego więc doprowadziłoby - pomyślał trochę z ironią, a trochę z rozpaczą - do czego doprowadziłoby zdobycie się na szczerość?” Patrzył przed siebie zwilgotniałymi oczyma, omamiony swoim odbiciem w szybie sklepowej; i nagle wydało mu się, że zrozumiał, do czego doprowadziłaby szczerość: pośrodku wystawy - była to perfumeria - między złotawym połyskiem butelek taniej wody kolońskiej, na wierzchołku piramidy różowych i seledynowych mydełek, przyciągała uwagę przechodniów lalka reklamowa: kartonowy manekin w żywych barwach, o kształtach raczej przeciętnie ludzkich niż karykaturalnych; miał nieruchomą, głupią, wesołą twarz i duże piwne oczy, naiwne i tchnące niezłomną wiarą; ubrany był w elegancką bonzurkę, jak gdyby dopiero co wstał z łóżka, i niezmordowanie, z tym przylepionym do ust uśmiechem przesuwiał brzytwę tam i z powrotem po skórzanym pasku: ostrzył ją. Nie mogło być żadnego związku między wykonywaną przez niego pospolitą czynnością a radosnym wyrazem jego różowej twarzy, lecz na tym właśnie absurdzie polegała skuteczność reklamy; przesadne uszczęśliwienie nie miało podkreślać głupoty człowieka, lecz zalety brzytwy; nie zamierzało ukazywać korzyści z posiadania ograniczonej inteligencji, ale wygodę golenia się dobrym ostrzem; lecz Michele, zatopiony w swoich myślach, odniósł zupełnie inne wrażenie.

Wydawało mu się, że widzi siebie samego i swoją szczerość, że ten uśmiechnięty pajac daje mu odpowiedź na jego pytanie: „Na co zdałaby się wiara?” Była to zniechęcająca odpowiedź: „Na to, żeby mieć brzytwę, szczęście takie jak moje, takie jak wszystkich innych ludzi, może niewybredne, prostackie, ale olśniewające... bo

najważniejsze, że ona goli". Taką samą odpowiedź dałby mu niejeden człowiek z „towarzystwa”: „Rób tak jak ja... a staniesz się taki jak ja": stawiając mu swoją głupią i trywialną osobę za wzór, który on miałby osiągnąć u szczytu swoich zmagania i wyrzeczeń. „Masz przykład, na co by się to przydało - nie ustępował jego zły duch - na to, aby stać się głupim różowym pajacem jak ten tutaj". Spoglądał zażawionymi oczyma na tę kukłę, która urywanymi, automatycznymi podrygami, raz, dwa, trzy, ostrzyła brzytwę, i miał ochotę zdzielić ją pięścią w twarz i zmiażdżyć ten promienny uśmiech.

„Powinieneś płakać - myślał - wylewać gorzkie łzy." Lecz kukła uśmiechała się i ostrzyła brzytwę.

Z trudem oderwał się od fascynującego widoku (było naprawdę coś szaleńczego i urzekającego w tym ustawicznym ruchu) i ruszył w kierunku domu Lizy; w głowie wirowały mu idiotyczne i niedorzeczne słowa: „Liza - powtarzał - Liza, oto twoja nieszczęsna kukła z brzytwą".

XIV

W ciemnym korytarzu unosiły się specyficzne kuchenne zapachy, które znał z innych tego rodzaju mieszkań; otworzyła mu sama Liza; musiała dopiero co wstać od stołu, w ustach trzymała papierosa, twarz miała czerwoną i rozgrzaną pewnie od wina, którego widać sobie nie żałowała. - Tędy... Tędy... - mówiła nie odpowiadając na jego powitanie i prowadziła go do buduaru, zamykając po drodze wszystkie pootwierane na oścież drzwi: od dusznej sypialni z nie pościelonym łóżkiem, od czarnej, zawalonej garnkami kuchenki, od dobrze mu znanego salonu, zakurzonego i tonącego w półmroku.

- Tu nam będzie wygodniej - rzekła wchodząc do buduaru. W tym pokoju białe, oślepiające światło sączyło się przez dwa okna przesłonięte muślinowymi firankami; zapewne niebo przejaśniało się w tej chwili; rażący, nieznośny blask rozpościerał się za oknami.

Usiedli razem na tapczanie.

- Co słyhać, jak się miewasz? - zapytała Liza podsuwając mu pudełko pełne papierosów. Sięgnął po papierosa nie podnosząc oczu, wyraz niepokoju nie schodził z jego twarzy: „Najlepiej od razu przystąpić do rzeczy” - pomyślał spoglądając spod oka na Lizę. Przesadnie upudrowana, Liza ubrana była w białą, ale pożółkłą ze starości bluzkę i szarą spódnicę z miękkiego materiału, znoszoną, zdefasonowaną; długi krawat w jaskrawych kolorach był źle zawiązany i już nie pierwszej świeżości, w mankietach emaliowane spinki w kształcie psiej główki. Ten męski styl ubrania kłócił się z obfitym biustem rozsadzającym bluzkę, spod której prześwitywały na tle pulchnego różowego ciała białe tandetne ramiączka od halki.

- Źle - odrzekł w końcu.

- Źle? - Podniecenie wynikające może z nadmiaru wypitego wina, a może z innych powodów, przyśpieszało rytm serca Lizy, utrudniało jej oddech; jej podniecona i poważna twarz bladła i czerwieniała na przemian: - A dlaczego? - Patrzyła na Michela pełna nadziei, że on pamięta ten wczorajszy pocałunek w ciemnym salonie.

- Nie wiem! - Odłożył papierosa i spoglądał przez chwilę na Lizę. - Myślałem o wielu rzeczach... chcesz, żebym ci powiedział, o czym? - Zobaczył żywy gest zachęty z jej strony.

- Mów... - zawołała przybierając minę i pozę osoby, która chce cała zamienić się w słuch. Wziął papierosa.

- Muszę ci powiedzieć - zaczął - że znalazłem się w dziwnej sytuacji wobec was wszystkich.

- Co to znaczy: was?

- Wobec całego kółka najbliższych: ciebie, Lea, mojej matki, siostry...

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Wobec mnie także? - zapytała ujmując go jak gdyby przypadkiem, z całą naturalnością za rękę. Popatrzyli na siebie.

- Także wobec ciebie - odrzekł; ścisnął odruchowo jej palce. - Każde z was - ciągnął zachęcony - powinienem obdarzać jakimś uczuciem; mówię: powinienem, bo życie zdążyło mnie już nauczyć, że okoliczności wymagają od nas zawsze jakiegoś uczucia... Weź na przykład ślub i pogrzeb, w obu przypadkach okazywanie radości i smutku jest równie nieodzowne, jak odpowiedni strój... Nie można się śmiać idąc za trumną i lamentować, kiedy nowożeńcy wymieniają obrączki... byłoby to skandaliczne, gorzej: nieludzkie... Ten, komu wszystko jest obojętne, nie odczuwa nic, musi udawać... i tak jest ze mną w stosunku do was... udaję, że nienawidzę Lea... że kocham matkę...

- No i co? - zapytała zachłannie Liza widząc, że się zawahał i urwał.

- No i nic - odpowiedział. Czuł nudę i smutek: „Jeżeli czekasz, żebym zaczął mówić o tobie, to się mylisz!” - myślał patrząc na twarz Lizy. - Tylko - dodał i głos mu zadrżał, jak gdyby chciał żałośnie zaprotestować - tylko, że ja nie umiem udawać... i dlatego przez te fałszywe uczucia, gesty, słowa, myśli moje życie stało się niezdatną komedią... Ja nie mogę udawać... rozumiesz? - Umilkł na chwilę: Liza wpatrywała się w niego jakby zawiedziona. - Zresztą - dodał zmieszany i zniechęcony, słysząc nagle rozlegające się w ciszy buduaru własne słowa, na które nie było odpowiedzi - to ciebie nie obchodzi i nie możesz tego zrozumieć... Mógłbym mówić przez cały boży dzień i też byś mnie niezrozumiała. - Zwiesił głowę; i wówczas usłyszał wreszcie nad sobą nieszczerze natchniony i poufały głos Lizy:

- Zrozumiałabym cię, mój biedny Michele, jestem pewna, że bym cię zrozumiała... - Wydawało mu się, że słyszy głos, jakim sam by mówił, gdyby chciał wyznać swoją miłość Lizie. „No proszę - pomyślał z gorzką ironią - jesteśmy oboje w tym samym położeniu.” Poczul jej dłoń na swoich włosach i ogarnęło go odrażające współczucie dla niej i dla siebie. „Och, biedaczko - powiedział sobie - mnie chcesz uczyć, jak się gra komedię?” Ale podniósł oczy i napotkał wejrzenie i twarz tak nabrzmiałe tkliwością, że aż się przeraził: „Jak to, już nadeszła ta chwila?” - pomyślał zaskoczony jak pacjent, który położywszy się na stole operacyjnym wyobraża sobie, że nastąpią długie przygotowania, a tymczasem widzi już nad sobą błyszczące narzędzie chirurga. Patrzył na twarz Lizy, na jej rozchylone błagalnie wargi, pałające oczy, rumieńce na policzkach i uświadamiał sobie, skłaniając się powoli do tej niemej prośby, że raz jeszcze życie twardo narzucało jego obojętności fałszywą postawę; potem poczul, że palce Lizy zaciskają się na jego palcach, jak gdyby zachęcając go do działania, więc pochylił się i pocałował ją w usta.

Długi pocałunek; przelotna chmura przyćmiła biały blask, który przed chwilą wypełniał buduar, ściany nagle poszarzały, oziębily się, a na tapczanie między oknami tych dwoje siedziało obok siebie ze złączonymi ustami; byli zwrócenii ku sobie tylko o tyle, by usta mogły dosięgnąć ust, sztywno wyprostowani, nieruchomi. Gdyby nie te chciwie przylegające do siebie wargi, ich poprawne pozy sugerowałyby raczej konwersację niż miłosne zbliżenie. Michele miał zwieszzone po bokach ręce i leniwie wodził oczyma po przeciwległej ścianie; Liza, z dłońmi w dłoniach Michela, raz po raz poruszała głową, jak ktoś, kto gasi pragnienie, odpoczywa chwilę, po czym pije jeszcze łąpczywiej; wreszcie pocałunek się skończył; popatrzyli na siebie.

„A co teraz - myślał Michele zadumany, wpatrując się w zmieszaną, podnieconą i poważną twarz Lizy - co teraz?” Widział wyraz wdzięczności tchnący z jej oczu, oblewający jej policzki rumieńcem, widział wilgotne wargi składające się w niemym zachwycie, w uwielbieniu niemal religijnym, brakowało tylko, aby rozłożyła wołające o litość dłonie; po chwili wyciągnęła rękę i przesunęła mu ją po włosach, szepcząc „kochanie...” głosem drżącym i fałszywym.

Spuścił oczy; Liza niewygodnie siedziała na podkurczonych nogach, z trudem utrzymując równowagę, i jak gdyby nigdy nic, wciąż głaszcząc go po głowie, coraz to bardziej przybliżała się do niego przesuwając się z wysiłkiem na tapczanie: przy tych ruchach spódnica podciągała się jej coraz wyżej, ukazując stopniowo luźno opadającą pod kolanem pończochę i masywne udo. Poczul się nieswojo, ogarnęło go

rozdrażnienie, sam nie wiedział, czy ze złości, że dał się wciągnąć w pułapkę tego pocałunku, czy dlatego, że mierzył go kontrast między tymi pieszczotami, tym czułym słowem a tą bezwstydną nagością. „Za kogo ona mnie bierze?” - pomyślał z niesmakiem. Lekkie lubieżne podniecenie, w jakie wprowadził go pocałunek, zniknęło bez śladu; odsunął się i, mierząc wzrokiem Lizę, niezdarnie wstał z tapczanu.

- Nie - rzekł potrząsając głową - to wszystko nie tak...

Liza wpatrywała się w niego zdumiona, niemal zgorszona, nie zasłaniając nagiego uda.

- Jak to nie tak? - zapytała; oziębłość Michela obrażała jej oddanie, jej uległość. „Głupi chłopak - myślała - tak dobrze się zaczęło... i teraz... teraz nagle wstaje.” Zobaczyła, że po raz drugi potrząsnął głową, powtarzając: „To wszystko nie tak”. Wtedy uniosła się i niepewnie wzięła go za rękę.

- Chodź - powiedziała próbując przyciągnąć go do siebie - chodź tu, usiądź tu... O co ci chodzi?

Zawahał się, po czym usiadł.

- Mówiłem ci już, o co chodzi - wyjaśnił znudzonym głosem, obserwując uważnie jakiś punkt nad jej głową i udając, że nie dostrzega tych przejętych, wlepionych w niego oczu. - Powiedziałem ci już, że nie stanowisz wyjątku: czuję się wobec ciebie tak samo, jak wobec wszystkich innych.

- Co to znaczy?

- Tak samo, jak nie mogę nienawidzić Lea...

- Nawet po tym, co ci powiedziałam?

Michele spojrzał na nią.

- Muszę ci się przyznać - zaczął z pewnym zakłopotaniem - że udawałem zaskoczonego, kiedy mi wówczas mówiłaś o matce... Wiedziałem już o tym.

- Już o tym wiedziałeś?

- Co najmniej od dziesięciu lat. - Schylił się, podniósł nóż do przecinania kartek, który spadł ze stolika; i kiedy go kładł na miejsce, poczuł nagle histeryczne pragnienie prawdy: - i tak samo jak nie mogę nienawidzić Lea, chociaż mógłbym ci opowiedzieć od A do Z historię jego stosunków z matką... tak samo nie mogę kochać ciebie; i zawsze ta sama przyczyna: obojętność i jeszcze raz obojętność... A więc - zakończył rozgniewany - zamiast udawać, że z rozkoszą padam ci w ramiona, że umieram z miłości, że robię ci wyznania... ponieważ mi się to nie udaje... wolę nic nie

robić. - Umilkł i spojrzał na Lizę: była tak zmieszana i zawiedziona, że ogarnęło go przekorne współczucie.

- Spróbuj mnie zrozumieć - dodał ponuro. - Jak mogę coś zrobić, skoro nic nie czuję?

- Spróbuj.

Potrząsnął głową.

- Nie... to byłoby tak, jak gdybym poszedł do Lea i powiedział mu: „Słuchaj, mój drogi, nie czuję do ciebie nienawiści, przeciwnie, ogromnie cię lubię, mam cię za najlepszego przyjaciela, ale niestety nie mogę się powstrzymać, muszę cię spoliczkować”: i od razu w mordę...

- Ale miłość zawsze przychodzi potem... - szepnęła uparcie, z bezwstydem, który wydał się Michelowi niewiarygodny - przy bliższym poznaniu...

- Znamy się aż za dobrze.

Liza zbladła; nikt nie odtrącił jej nigdy tak okrutnie; złękła się, że ten jej „młodzieniaszek” ucieknie od niej na zawsze, i mignęła jej szalona myśl, żeby paść mu do nóg i błagać go jak bóstwo, ale jeszcze próbowała coś wskórać perswazją.

- Nie mówisz tego poważnie!

- Trudno mówić poważniej!

Przysunęła się do niego, chwyciła go za rękę, z przejęcia płonęły jej policzki, serce biło jak szalone.

- Nie bądź taki niedobry - napraszała się nieśmiałym głosem, głaszcząc go po rękę - doprawdy... doprawdy nic a nic nie czujesz do swojej Lizy?... No powiedz, nie odmawiaj mi tej przyjemności - dodała oplatając ramieniem jego szyję. - Michele... prawda, że masz w sercu odrobinę miłości dla mnie? - Nieprzytomne podniecenie zniekształcało jej szkarłatną w tej chwili twarz; głos był natrętnie czuły... Cała zwrócona ku niemu, dotykała kolanem jego nogi; Michele potrząsnął głową.

- Zrozum mnie - powtórzył; porwał go teraz gniew na to uparte wyuzdanie. - Co by się stało z tą twoją miłością, gdybym nie dbając o moje uczucia, jak wobec kobiety z rynsztoka, gdybym cię... wziął i rzucił bezceremonialnie na tapczan? Zrozum mnie...

- Ale nie doszliśmy jeszcze do tego, żebyś mnie rzucał na tapczan! - zawołała pochlebiona, z głupim chichotem; po krótkiej chwili wahania splotła mu ramiona na szyi i przewróciła na wznak na tapczan; Michele, zaskoczony, nie zdołał utrzymać równowagi i upadł do przodu; lecz gdy zobaczył rozpaloną lubieżnym podnieceniem

twarz Lizy, te brwi rozkazująco uniesione nad niespokojnymi oczyma, gdy poczuł na karku cały ciężar jej ciała, z gniewem i nieprzewyciężonym wstrętem podniósł głowę, przycisnął dłonią tę władczą i błagającą twarz i jednym gwałtownym ruchem uwolnił się z objęć Lizy; wstał.

- Jeżeli nie możesz pohamować swojego pożądanego - rzekł nachmurzony, poprawiając machinalnie krawat - to wróć do Lea.

Leżąca na tapczanie Liza, z twarzą ukrytą w dłoniach i falującą piersią, odgrywała komedię uciśnionej niewinności; lecz gdy tylko Michele wymówił imię jej dawnego kochanka, uniosła się z zapamiętałymi oczyma i oskarżycielskim ruchem wyciągnęła rękę:

- Leo... powiedziałaś: Leo... że mam wrócić do Lea? - krzyknęła nie zważając na swoje potargane włosy i nieprzyzwoicie podkasaną spódnicę. - I o ile mnie uszy nie mylą, powiedziałaś też, że nie potrafisz nienawidzić Lea, czy tak? Nawet wiedząc to, co wiesz?

- Tak... - wyjąkał patrząc na nią zmieszany tym nagłym napadem furii - tak... ale co to ma z sobą wspólnego?

- Już ja wiem, co... - parsknęła nerwowym śmiechem - wiem... - Milczała przez chwilę zachłystując się śliną i własną niecierpliwością. - A wiesz, co ci powiem? - mówiła dalej, nachylając się i wbijając w niego te zapamiętałe oczy: - Że jest jedna, ale wystarczająca przyczyna, żebym ja nie wróciła do Lea i żebyś ty go znienawidził...

- Moja matka - rzucił na chybił-trafił czując się nieswojo wobec tej oskarżycielskiej ręki.

- Twoja matka... a to dobre, a to dobre! Twoja matka! - rzekła Liza krztusząc się szyderczym śmiechem. - Mój biedny Michele, twoja matka już od dawna nie wchodzi w grę... od bardzo dawna!

Spojrzał na nią; i wydało mu się, że widzi tę postać mścicielki z bardzo wysoka, z wyższością wynikającą raczej z przykrego politowania dla niej, niż z jego moralnej przewagi nad nieszczęściem jeszcze bardziej poniżającym i ślepy niż jego własne; miał ochotę schylić się, pogłaskać te zmierzwiłone włosy, ułagodzić tę oskarżycielską rękę; ale nie zdążył.

- Nie - ciągnęła Liza mierząc go oczyma, które zdawały się przenikać poprzez ściany buduaru, poprzez ściany domu i widzieć osoby, które miała na myśli - nie, mój

drogi... chodzi o kogoś innego, nie o twoją matkę... no, zgadnij! - Zaśmiała się nerwowo, poprawiła włosy, spódnice, usiadła wygodniej.

- O ciebie - powiedział.

- O mnie?

Wykonała taki ruch, jak gdyby spadła z obłoków.

- O mnie... ależ, mój drogi Michele, przecież powiedziałam ci już, że z pewnej przyczyny nigdy do Lea nie wrócę... Wiesz, kto jest tą przyczyną... wiesz, kto? - Miała już to imię na ustach, ale się powstrzymała. - Nie - dodała - lepiej ci nie mówić. - Minęła chwila zapalczywej szczerości i Liza odzyskiwała swoją zwykłą obłudę, która niczym misterna i pochłaniająca gra dawała jej największą pociechę we wszystkich nieszczęściach. - Nie chciałabym, żeby z mojej winy wydarzyło się coś niedobrego... - Zapaliła papierosa, i jak osoba, która postanowiła milczeć, wbiła wzrok w dywan.

- Słuchaj, Lizo - rzekł w końcu Michele. - Powiedz, co masz do powiedzenia, bo widzę, jak cię świerzbi język... i skończ już z tym...

Zbliżył się do niej, wsunął rękę w jej włosy i odchylił jej głowę do tyłu... I gdy patrzył w jej oczy, wydało mu się, że w tym bezlitosnym i głupim otępieniu, jakie z nich wyzierało, odkrył jakąś zatwardziałą i nieuleczalną skazę; i znowu poczuł odrażające współczucie: „Gdybym ją kochał - pomyślał odpychając od siebie jej głowę - nie byłaby taka...”

Usiadł.

- Co za maniery! - mówiła Liza powoli, zawziętym głosem.

Michele nie spuszczał z niej wzroku. „To nie ich wina, tylko moja - myślał - moja... oni potrzebują mojego uczucia, a ja im go dać nie mogę.”

- Czy rzeczywiście chcesz wszystko wiedzieć?

- Tak... i streszczaj się.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Powiedziałeś - zaczęła nie bez wahania Liza - że chciałbyś nienawidzić Lea, a nie możesz.

- Tak - odrzekł - i powiedziałem też - dodał jakby w zamyśleniu - że chciałbym cię kochać, ale nie mogę.

- Nie troszcz się o mnie - powiedziała zimno, z suchym gestem ręki; zadumała się na chwilę, jak ktoś zbierający myśli przed rozpoczęciem opowiadania: - To krótka historia - zaczęła wreszcie, spuszczając oczy i przyglądając się swoim dłoniom. -

Wczoraj... pamiętasz? twoja matka, twoja siostra i Leo wrócili z tego podwieczorku tanecznego... Nie było światła i szukało się świec... Potem matka zaciągnęła mnie do swojego pokoju, żeby mi pokazać nową suknię, którą sprowadziła z Paryża: rzeczywiście niebrzydka, ale ma feler w talii... W pewnej chwili, już nie pamiętam dlaczego, wyszłam z jej pokoju. Otwieram drzwi, idę i zgadnij, kogo widzę w hallu?

Michele spojrzał na nią: opowiedziała to wszystko lakonicznie, zimnym głosem i ani na chwilę nie oderwała oczu od swoich dłoni; lecz teraz uświadomił sobie nagle, że wszystkie jej niedomówienia dotyczyły wyłącznie Lea; te koncentryczne koła zaciskały się wokół jego imienia; ogarnęło go zaniepokojenie, niejasne, pełne grozy i tak nagłe, że mu zabrakło tchu. - Lea... - szepnął.

- Tak, Lea - odpowiedziała Liza spokojnie, strącając ostentacyjnie popiół z papierosa. - Lea... i Carlę... w uścisku.

Cisza; Michele nieruchomo patrzył na dywan różowy jak reszta buduaru, przetarty na brzegach; na dywanie spoczywały złączone stopy Lizy; nieco dalej stał tapczan: „W uścisku - powtarzał sobie raz po raz - w uścisku... to niesłychane”. Miał ochotę zawołać: „To fantastyczne”, ubawiony, zaintrygowany aż taką niespodzianką. Nie był oburzony ani nawet zgorszony, raczej zaciekawiony; i kusilo go, żeby się dowiedzieć bliższych szczegółów.

Taki stan ducha trwał kilka sekund; i gdy już miał zasypać Lizę pytaniami, uświadomił sobie znienacka, niemal z przerażeniem, że znowu wyzuty jest z uczuć, jakie powinna była w nim wywołać ta ponura wiadomość; ściskający się po ciemku Leo i Carla budzili w nim jedynie ciekawość, powiedzmy, światową; ten nowy upadek nie poruszył go, ta ostateczna i nieprzewidziana próba jego szczerości zawiodła; Carla i Leo byli dla niego taką samą parą, jak każda inna znajoma czy nieznajoma para, nie uwzględniał w ich osobach tego, co najbardziej go dotyczyło. „Zaraz... - pomyślał - chodzi przecież o moją siostrę, o Carlę... Liza widziała ją w objęciach mężczyzny, kochanka mojej matki... Czy to nie jest potworne? Czy to nie jest bezecne?... Zaraz... Czy to nie jest prawie kazirodztwo?” Ale Carla i Leo spleceni w kazirodczym uścisku wciąż nie budzili w nim strachu ani wstrętu; nie mógł ich dosięgnąć.

Spojrzał na Lizę i wyczytał w jej oczach oraz w całym jej zachowaniu, że oczekuje z ciekawością i rozkoszą pięknej sceny biadania nad zbezczeszczonym honorem rodziny, wołania o pomstę do nieba: „Gniew... furia... nienawiść - pomyślał gorączkowo - wszystkie bogactwa świata za odrobinę szczerą nienawiścią”. Ale jego duch był bezwładny, ciężki jak ołów; ani śladu gniewu i nienawiści: Carla we łzach,

naga, zgubiona, rozbestwiony Leo, ten koszmar, ta hańba, nic nie potrafiło nim wstrząsnąć.

Wtedy błysnęła mu rozpaczliwa myśl; skoro ostatnia próba zawiodła i żaden najgwałtowniejszy bodziec nie zdołał zgalwanizować jego martwego ducha, czy nie byłoby lepiej raz na zawsze zdecydować się, że będzie udawał wszystko: miłość, nienawiść, pogardę? Udawać i nie żałować sobie, szeroką ręką, nawet zbyt hojnie, jak ktoś, kogo stać na marnotrawstwo?... „To koniec - pomyślał i wydało mu się naprawdę, że wyrzeka się na zawsze nieosiągalnej orzeźwiającej kąpieli w wartkich, kryształowych, wciąż płynących strumieniach - koniec... ale coś się musi stać... coś się stanie.”

Wstał.

- Nie - powiedział i zaczął spacerować tam i z powrotem po buduarze, jak przystoi człowiekowi oburzonemu i poruszonemu do głębi - tego już za wiele... nie, dalej tak być nie może... to szczyt wszystkiego! - Czuł swój wewnętrzny chłód i ironię; wydało mu się, że mówi nie dość zdenerwowanym tonem; postanowił go zmienić.

- Leo wyobraża sobie, że mu wszystko wolno - mówił po chwili dalej, Liza bowiem, pochylona i nieporuszona, patrzyła na niego nie odzywając się ani słowem - ale grubo się myli... - „Nie, to za słabe - pomyślał nie przestając chodzić po pokoju - trzeba powiedzieć coś mocniejszego... jestem bratem obrażonym przez kochankę matki, który zhańbił mi siostrę (te wszystkie słowa, cnotliwe i znajome, robiły na nim wrażenie archaicznych); trzeba znaleźć coś ostrzejszego... a nawet w razie potrzeby przesadzać.” Ale ten szyderyczy fałsz potęgował jego smutne znużenie: miał ochotę skończyć z tą komedią, klęknąć przed Lizą jak przed ukochaną kobietą i powiedzieć całą prawdę: „Lizo, nie jestem szczery: nie obchodzi mnie moja siostra, nikt mnie nie obchodzi, co ja pocznę?”

Liza jednak nie była ukochaną kobietą i nie zrozumiałaby go; jak wszyscy inni żądała od niego, aby zajął odpowiednie, samo przez się zrozumiałe stanowisko.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała.

Staął i popatrzył na nią, usiłując nadać spokojnym oczom zacięty wyraz.

- Co zamierzam zrobić?... Co zamierzam zrobić?... Co zamierzam zrobić? - powtórzył prędko. - To jasne, co muszę zrobić... Pójść do tego łajdaka i chwycić go za kark. - Odniósł wrażenie, że Lizę zdumiała ta jego gwałtowność.

- Kiedy? - zapytała wpatrując się w niego przenikliwie zza dymu papierosa, który trzymała w ustach.

- Kiedy?... Jutro... Nie, dziś... od razu! - Wziął papierosa ze stolika, zapalił; zobaczył, że Liza mierzy go od stóp do głów dziwnym wzrokiem.

- A co mu powiesz? - spytała.

- Och, będę z nim rozmawiał bardzo, ale to bardzo zimno - odrzekł gestykując; spoglądał przed siebie posepnie, jakby patrzył w swoje przeznaczenie; coraz lepiej odgrywał swoją rolę. - Wystarczy kilka słów... i zrozumie od razu, że tu nie ma żartów... - Znowu rzut oka na Lizę: „Jaki ze mnie kretyń” - pomyślał. - Ale co jest dla mnie najbardziej odpychające - ciągnął z żywym pragnieniem, żeby się rozjątrzyć i przekonać samego siebie oraz Lizę - to fałsz Lea... jego podłość... Gdyby się nawet naprawdę zakochał w mojej siostrze... też nie byłby usprawiedliwiony, ale tłumaczyłoby to częściowo jego postępowanie... Ale nie... jestem przekonany, że jej nie kocha, to mi na niego nie wygląda, wpadła mu w oko, spodobała mu się i chciał się z nią zabawić... A teraz, pomijając już fakt, że wykorzystanie nieświadomości dziewczyny jest zawsze nikczemne, po trzykroć nikczemny jest mężczyzna, który, jak on, robi to z zimną krwią i w sytuacji, w jakiej znajduje się wobec Carli i wobec nas wszystkich!... Trudno o... o - szukał najwymowniejszego słowa na określenie postępowania Lea - o większe świństwo!... Poza tym, powiedziałem już: gdyby to zrobił pod wpływem uczucia... gdyby stracił głowę z miłości... Nie, tu nie ma mowy o miłości, namiętności, uczuciu, jest tylko lubieżna żądza i najhaniebniejsza, najohydniejsza obłuda kryjąca się pod płaszczykiem czystych, idealnych uczuć... Nie można jej ani usprawiedliwić, ani zrozumieć... można ją tylko potępić... - Początkowo chwiejny, potem coraz pewniejszy siebie, Michele wypowiedział ostatnie słowa z tak niezwykłą siłą, że sam siebie zadziwił. - Co do Carli - dodał po chwili - ona jest niewinna, dała się omotać temu człowiekowi.

Milczenie; Liza siedziała nieruchomo na tapczanie z wspartą na rękach głową i przyglądała się Michelowi.

- Nie ulega wątpliwości - powiedziała w końcu, jakby mu wtórując - że obłuda to obrzydliwa przywara.

- Najobrzydliwsza! - Podszedł do okna; słońce znikło, niska i gęsta zasłona chmur zawisła nad miastem. Liza mieszkała na pierwszym piętrze, lecz dom stał na wzniesieniu i z tej strony rozciągała się przed oknami szeroka panorama dachów;

kominy, dachówki, małe okienka na poddaszach, tarasy, cały ten widok, w monotonnym i wilgotnym żółtobrazowym tonie, rozmazany i zniekształcony przez porowatą szybę, przypominał wyblakłą i tandetną dekorację; na dalszym planie dym ulatujący z kominów i mieszający się z chmurami tworzył mgłę, w której nieregularne profile domów i las kominów traciły wyrazistość, zagęszczały się i zlewały.

Pod oknem w dole dachówki były czerwone i rosły na nich kępki trawy. Michele oddawał się kontemplacji tego krajobrazu; spostrzegł go po raz pierwszy i teraz nie mógł się od niego oderwać; te wszystkie dachy przykuwały jego uwagę: „Odkryć je - myślał - zobaczyć, co się dzieje wewnątrz domów...” Potem czarny kot przebiegł zwinnie po gzymsie między oknami poddasza; Michele przez chwilę śledził go wzrokiem. „Będzie deszcz” - pomyślał spoglądając w szare niebo i w daleką wilgotną przestrzeń; wzdrygnął się; obejrzał; miał teraz przed oczyma spłowiwały buduar i siedzącą na podniszczonym tapczanie nieruchomą i zamyśloną Lizę; podszedł do niej: „Muszę udawać - pomyślał czepiając się znowu swojej zakłamanej rzeczywistości - chciałbym... chciałbym spać, ale muszę udawać”. Nie było żadnego związku między „udawać” i „spać”, lecz to ostatnie słowo przyszło mu na myśl spontanicznie, jako wyraz śmiertelnego zmęczenia, które go nękało.

- Która godzina? - zapytał gwałtownie. - Czas już chyba iść do Lea.

Liza otrząsnęła się leniwie i spojrzała na zegarek.

- Czwarta - powiedziała patrząc uważnie na Michela. - Ale byłoby może lepiej najpierw do niego zatelefonować i sprawdzić, czy jest w domu. - Wstała i poszła do drzwi.

W korytarzu było zupełnie ciemno; Liza przekręciła kontakt i żółtawe, senne światło spłynęło z niskiego sufitu na szare ściany; telefon wisiał koło drzwi salonu; pod telefonem leżała książka telefoniczna; Liza szybko przerzuciła stronicę i zakręciła korbką.

- Ale czy ty naprawdę tam pójdziesz? - zapytała niedowierzająco, zwracając się do Michela.

- Jeszcze masz wątpliwości? - odpowiedział z energią; lecz wydało mu się, że w jej oczach czai się złośliwa i przewrotna nieufność.

- Nie... nic podobnego! - powiedziała; odwróciła się i znowu zaczęła kręcić korbką.

Telefon dzwonił; Liza wspięła się na palce i wołała gardłowym głosem: - Halloooo... halloooo! - Czekwała chwilę skupiona i zasluchana, i znów zaczynała. Michele rozglądał się po korytarzu: dwie szafy, puste półki, krzesła... Liza stała do niego tyłem, pod bluzką, prześwieconą na wskroś tym żółtym blaskiem, uwydatniały się jeszcze bardziej pulchność jej różowawych pleców i matowe ramiączka halki; biodra ginące w półmroku wydawały się mniej szerokie, nogi mniej krzywe... Obserwował to wszystko sennymi oczyma. „Jestem w mieszkaniu Lizy, w korytarzu - powtarzał sobie - muszę udawać... bez chwili wytchnienia... udawać...” Sam nie wiedząc, co robi, zbliżył się do Lizy i opasał ramieniem jej kibić.

- No co? - zapytał przymilnym i obłudnym głosem, muskając wargami jej kark:
- No co?... Gniewasz się jeszcze na mnie? - Odezwała się telefonistka, Liza podała numer i odwróciła się.

- Nie zaprzataj sobie głowy mną - powiedziała taksując go wzrokiem jak przed chwilą - myśl teraz o nim i o Carli.

- Już o nich myślałem - odrzekł zmieszany, puścił ją i oparł się o ścianę. „Muszę udawać - pomyślał rozczarowany - ale jak długo można udawać?” To drugie spojrzenie Lizy wystarczyło mu: nie wierzyła w szczerłość jego oburzenia; ale co zrobić, żeby ją przekonać?

Mówiła teraz w słuchawkę:

- Z kim? - powtarzała. - Z kim?... Z panem... z panem Merumeci?... Och, przepraszam... pomyłka. - Odłożyła słuchawkę i odwróciła się.

- Jest w domu - powiedziała sucho. - Jeżeli pójdziesz zaraz, najprawdopodobniej go zastaniesz. - Popatrzyli na siebie.

„Nie wierzy mi” - pomyślał Michele przyglądając się jej podejrzliwie.

- No więc, idź już - dodała. Chłopak podniósł rękę w dzieciennym i przezornym geście, który mógł oznaczać: „powoli... nie ma pośpiechu”. Zrobił krok naprzód:

- Idę... tak, idę - powiedział. .

- Równie dobrze możesz nie iść - oświadczyła twardym głosem Liza - możesz udawać, że nic nie wiesz; mnie osobiście nic to nie obchodzi, czy tam pójdziesz, czy nie.

W przedpokoju pomogła mu włożyć płaszcz i podała kapelusz.

- Wobec tego - powiedział - przyjdę jutro, żeby ci zdać raport.

- Dobrze... do jutra.

Lecz Michele ociągał się. Wyczuwał, że Liza nie wierzy, aby w tym, co powiedział, było chociaż jedno słowo prawdy; miał ochotę sięgnąć do wielkich gestów i słów, przysięgać, słowem: przekonać ją. Zawahał się...

- Jestem pewien - rzekł w końcu, ściskając jej wyciągniętą dłoń - że nie wierzysz w moją nienawiść do Lea, w moje oburzenie.

- Tak, nie wierzę! - odrzekła po chwili milczenia.

- A dlaczego?

- No bo nie.

Znowu milczenie.

- A gdybym ci tego dowiódł czynem? - zapytał Michele.

- Jakim czynem?

Znowu się zawahał: w oczach Lizy było teraz coś władczego. „Rzeczywiście, jakim czynem?” - powtórzył w duchu. Ogarnął go lekki niepokój, że nie potrafi wynaleźć nic, co przekonałoby Lizę; i nagle, pomyślawszy o swoim wrogu, doznał olśnienia, w jakim najczęściej znajdujemy podświadomie coś od dawna poszukiwanego: zabić Lea. Ten pomysł spodobał mu się nie dlatego, żeby go zamierzał wykonać, ale że mógł skutecznie podziałać na Lizę.

- Na przykład - powiedział w końcu z wielkim spokojem - gdybym zabił Lea... uwierzyłabyś mi?

- Gdybyś go zabił? - Pierwszym odruchem Lizy był lęk; uśmiechnął się zadowolony z wrażenia, jakie wywarły te słowa.

- Tak... gdybym go zabił...

Lecz Liza już się uspokoiła, widziała tę opanowaną twarz, oczy bez iskierek gniewu.

- Wtedy tak... - uśmiechnęła się ironicznie - ale wystarczy usłyszeć, w jaki sposób to mówisz, żeby mieć pewność, że tego nie zrobisz.

Milczeli. „Sposób... - pomyślał Michele podrażniony, że aż tak pokpił sprawę - jaki sposób? Czyżby istniał też określony sposób, w jaki należy zapowiedzieć zbrodnię?” - Kurtyna opadała, komedia robiła plajtę; nie pozostawało nic innego jak wyjść.

- Uważasz więc, że nie byłbym zdolny zabić Lea? - nie dawał za wygraną; wybuchnęła śmiechem, nie była zbyt pewna siebie, ale już się nie bała.

- Nie byłbyś do tego zdolny... mój biedny Michele - odrzekła wreszcie tonem rozweselonym i nie pozbawionym współczucia. - Mówi się takie rzeczy... ale to jeszcze niczego nie dowodzi... A poza tym powiedziałam ci już... wystarczy popatrzeć na ciebie, żeby zrozumieć, że nie masz najmniejszego zamiaru tego zrobić... Zresztą - dodała jak gdyby chcąc rozwiać ostatnie wątpliwości - gdybyś to powiedział poważnie, na pewno bym cię stąd nie wypuściła tak łatwo. - Liza otworzyła drzwi, podała mu rękę na pożegnanie.

- Pośpiesz się - powiedziała - bo w przeciwnym razie nie zdążysz się nawet zobaczyć z Leem.

- A gdybym go zabił? - powtórzył jak refren, z gorzkim uśmiechem wychodząc na klatkę schodową.

- Wtedy tak... wtedy bym ci uwierzyła - odpowiedziała z lekceważącym uśmiechem; drzwi się zamknęły.

XV

Z oszklonego sufitu padało na schody białe światło; drzwi były zamknięte; cisza. „Nikt mi nie wierzy - pomyślał - nikt mi nigdy nie będzie wierzył.” Zszedł powoli po kilku stopniach; trawił go przygnębiający niepokój, nie mógł skupić rozproszonych myśli.

Postacie i wydarzenia jego nieszczęsnego życia raz po raz migotały mu przed oczyma, jak skrawki krajobrazu oświetlane błyskawicami podczas nocnej burzy. „Nikt mi nie wierzy - myślał i zaraz potem: - Carla oddała się Leowi”; i z uczuciem upokorzenia widział znowu ironiczną twarz Lizy w uchylonych drzwiach albo ponuro wyobrażał sobie Carlę rozpustną, półnągą, w ramionach kochanka... Lecz gdy próbował połączyć te wszystkie obrazy, zgrupować fakty i zapanować nad nimi jak lalkarz, który trzyma w ręku sznurki wszystkich swoich marionetek, gdy usiłował ogarnąć chłodno, beznamiętnie cały ten chaos spraw, w jaki się uwikłał, gubił się do reszty: niedołączna myśl nie potrafiła ująć w karby ciernistej rzeczywistości, oczy nie umiały przeniknąć wszechstronnie i do dna tej panoramy jego życia...

Starał się rozumować logicznie, znaleźć jakiś system: „Zaraz... zaraz - myślał - to zagadnienie ma dwie strony... wewnętrzną i zewnętrzną... Wewnętrzna to moja obojętność, mój brak szczerości i wiary... zewnętrzna to wszystkie wydarzenia, którym nie umiem przeciwdziałać... i obie są wprost nie do zniesienia”. Podniósł oczy, jak gdyby mógł dojrzeć te dwie strony swojego zagadnienia. „Nie - pomyślał jeszcze, niezadowolony - to moja wina... nie potrafię się pasjonować życiem.” Zszedł o kilka stopni niżej; była tu wina Carli: „Carlo - miał ochotę ją zapytać - dlaczego to zrobiłaś?” A także wina matki, wina wszystkich: niepodobna dociec jej źródła, pierwszej przyczyny; wszyscy byli winni... Wydawało mu się, że widzi ich wszystkich stojących na podeście pod ścianą... „Wy nędznicy - myślał - budzicie we mnie litość... wszyscy... I ty, matko, z twoją śmieszną zazdrością, i ty, Leo, z twoją miną zwycięzcy...” Zdawało mu się, że widzi Lea, że go bierze za rękę: „Przede wszystkim lituję się nad tobą, tak... nad tobą; myślisz, że jesteś uosobieniem siły... cha, cha, mój biedny Leo!” Chciałby to właśnie powiedzieć swojemu wrogowi... spokojnie... ot tak... czuł się jak pijany, odrzucił głowę do tyłu. „Nędznicy... ale będziecie się mieli z pyszna... zobaczycie, co się z wami stanie...” Na dole zauważył, że trzyma jeszcze kapelusz w ręku; to

roztargnienie, ta bezwolność unicestwiły jego poczucie wyższości; porwała go nieopisana, rozpaczliwa złość; zstąpił znowu na ziemię; włożył kapelusz i szybko wyszedł na ulicę.

Domy były martwe, platany nieme, powietrze nieruchome; kamienne niebo ciążyło na zgarbionych dachach; na całej długości ulicy ani świateł, ani cieni, tylko suchy głód burzy. „A teraz do Lea! - pomyślał i ogarnęło go gwałtowne uniesienie: - Ach tak! Nie wierzysz, żebym był zdolny zabić Lea - powtarzał sobie - nie wierzysz... A jeżeli go zabiję?” Szedł szybko, energicznym krokiem, ze zdecydowaną miną mocnego człowieka; w rytmie tego marszu niedorzeczne myśli przelatywały mu przez głowę: „Chodź, Lizo, pójdziemy razem zabić Lea... potem go ugotujemy... ugotujemy na wolnym ogniu”. Albo: „Biedny Leo nieboraczek, da się zabić jak szczeniaczek”. Patrzył przed siebie, z zimnym i rozpaczliwym uśmiechem: „Tak, Leo, skończyła się dla ciebie ta piękna kariera, ta wspaniała przyszłość... Jaka szkoda... ja pierwszy nad tym ubolewam... ale nie ma rady... wszystko ma swój kres”. Miał ochotę zaśpiewać: „wszystko ma swój kres, a więc szkoda łez” na melodię jakiejś znanej i melancholijnej piosenki; szedł szybko, sztywnym i równym krokiem maszerującego na wojnę żołnierza.

Była to boczna ulica, niepokazna, tu i ówdzie trafiały się sklepy o więcej niż skromnych wystawach. Minął kwaciarnię, w której wystawione były wieńce pogrzebowe; drukarnię, całą wylepioną biletami wizytowymi we wszystkich rodzajach; zakład stolarski; fryzjera. „Będziesz obsłużony jak się patrzy, drogi Leo! - pomyślał.

- Najpierw sprawię ci elegancką trumnę, następnie kupię ten przepiękny wieniec i dołączę do niego mój bilet wizytowy... a fryzjer... fryzjer starannie cię ogoli." Za warsztatem stolarskim wyrastał dom ponury, z głęboką klasztorną sienią; przechodząc mimo woli rzucił w nią okiem i zobaczył jeszcze jeden sklep; początkowo nie zorientował się, jaki to sklep, bo widział go z ukosa i niewyraźnie w odbłasku szyby; jeszcze jeden krok i ujrzał napis: „Sklep z bronią”, wymalowany białymi literami; poniżej na brązowym tle, stojaki z bronią myśliwską. „Tu kupię rewolwer - pomyślał, lecz pod drzwiami jeszcze zawahał się, po czym dopiero wykonał pół obrotu i wszedł.

- Proszę o rewolwer - powiedział szybko, głośno, opierając się o ladę. Najważniejsze miał już za sobą; przestraszył się nagle, że rusznikarz odgadnie jego zamiary; przybrał chłodną postawę cierpliwego klienta; spuścił oczy, zwiesił ręce;

teraz widział tylko tors sprzedawcy, przesuwający się między ladą i półkami, ze ślamazarnością właściwą jego zawodowi; pod szkłem lady zobaczył mnóstwo błyszczących noży; były one zwykłe lub skomplikowane, o grubych ostrzach, jedno otwarte jak wachlarze, inne zamknięte i pękate. Podniósł oczy: sklep, mały i ciemny, miał całe ściany zastawione oszklonymi półkami; w jednym ustawione były na stojakach sztucery i dubeltówki, w innych wisały obroże dla psów; nieco dalej, na ladzie, zobaczył wypolerowaną deszczułkę, w którą wprawione były, według wielkości, ziarnka ołowiu; wyglądało to jak słońce ze wszystkimi planetami. Sprzedawca, mężczyzna chudy, szpakowaty, znużony, o powolnych ruchach i oczach bez wyrazu, właśnie wykladał na ladę rewolwery różnego rodzaju i kalibru, i przy każdym wymieniał monotonnym głosem cenę: sto siedemdziesiąt, dwieście pięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięć; jedno było płaskie i czarne, inne pękate i błyszczące, jedno automatyczne, drugie bębnekowe. „Ten w sam raz byłby dla Lea - pomyślał ironicznie, patrząc na ogromny pistolet z rozkładaną kolbą, coś w rodzaju automatu, wiszący na ścianie: jego umysł był jasny, ruchy zdecydowane; spuścił oczy, wybrał bez namysłu najtańszy rewolwer. - Ten - powiedział energicznie - i proszę mi dać naboje. - Wyjął portfel. „Ledwie mi starczy pieniędzy” - pomyślał kładąc banknoty na ladzie; rozległ się metaliczny dźwięk; Michele wziął paczkę, wsunął ją do kieszeni i wyszedł.

„Idę prosto do Lea” - powiedział sobie. Teraz szarą i nieruchomą przestrzeń przecinały raz po raz krople, małe jak łzy; na rogu ulicy mieścił się warsztat mechaniczny; u progu drzwi mężczyzna w brudnym kombinezonie zdejmował koło z roweru; było ciepło; nie dobiegały tu żadne głosy: spadające z nieba łzy zniekształcały sześciopiętrowe kamienice (widział, jak wykręcają się i gną wraz ze swoimi oknami), ale nie pozostawiały żadnego śladu na płytach chodnika; tu i tam żółtawe plwociny, ale ani jednej łzy; czyżby przywidzenie?

Skręcił; był teraz na szerokiej ulicy; przejdzie ją do końca, przetnie plac i znajdzie się na ulicy, gdzie mieszka Leo; miał sporo czasu; szedł wolnym krokiem, jak rozleniwiony łazik, obserwując ludzi, reklamy kin, wystawy sklepowe; w kieszeni wyczuwał ciężar rewolweru. Zatrzymał się przed jednym ze sklepów, powoli odwinął papier i ścisnął rękojeść; dziwnie zimna w dotyku; cyngiel; lekkie naciśnięcie i wszystko się skończy; dla Lea; jeden strzał, drugi, trzeci. Zacisnął zęby, ścisnął w dłoni kolbę rewolweru... Wydawało mu się, że widzi, jak się to wszystko odbędzie: wejdzie na schody, wtargnie do salonu, poczeka z bronią w ręku, aż go Leo spyta: „Co się dzieje, Michele?” - „Oto, co się dzieje” - odpowie mu i strzeli; byle go trafić pierwszą

kulą, gdzie, to obojętne: cel jest duży; Leo upadnie i wtedy on będzie mógł wymierzyć w głowę; pochyli się nad leżącym na podłodze, który rżąc, kurczowo uczepli się palcami dywanu; przyłoży mu rewolwer do skroni; dziwne uczucie; głowa poruszy się albo spojrzą na niego wybałuszone oczy; strzeli wtedy po raz drugi; huk, dym; potem wyjdzie nie oglądając się za siebie, wyjdzie z tego pokoju, gdzie na oczach białych okien będzie leżał nieskazitelnie ubrany mężczyzna z rozłożonymi rękami; zbiegnie szybko ze schodów, nim zdąży się pojawić ktoś z lokatorów, wypadnie na ulicę; tłum; ruch; tam, w czterech ścianach tego pokoju trup; poszuka policjanta (gdzie są te komisariaty, w których można się oddać w ręce sprawiedliwości?), policjanta stojącego na skrzyżowaniu, i lekko dotknie jego ramienia; ten się obejrzy myśląc, że to pytający o drogę przechodzień. „Proszę mnie aresztować - powie spokojnie - zabiłem człowieka”; tamten spojrzy na niego jak na wariata. „Zabiłem człowieka - powtórzy mu - proszę mnie aresztować”. Tymczasem wokoło pojazdy i przechodnie ruszą we wszystkich kierunkach po jezdni; wreszcie policjant, wciąż niedowierzając i nie okazując żadnego zrozumienia, pójdzie z nim; nie weźmie go za kołnierz, nie założy mu kajdan, po prostu doprowadzi go do najbliższego komisariatu; zakurzony pokój; akta; policjanci, zatechły i zimny odór dymu z cygar, ławka, komisarz szpakowaty, otyły, wulgarny, przesłuchanie; wiedział mniej więcej, jak to wygląda, bo zgłaszał raz w komisariacie kradzież.

Oderwał się od szyby sklepowej, szedł prosto przed siebie. Potem wytoczą mu proces, wszystkie dzienniki będą pisały o jego zbrodni; olbrzymie nagłówki, długie sprawozdania; fotografie jego, ofiary, „energicznego” komisarza, który go aresztował, pokoju, gdzie morderstwo zostało dokonane; nie zabraknie tam nawet krzyżyka wskazującego miejsce, w którym znaleziono trupa. Niezdrowa sensacja; w dniu rozpoczęcia procesu sala sądowa wypełni się po brzegi; eleganckie kobiety w pierwszym rzędzie; znajomi, oczekiwanie jak w teatrze, wejdzie sędzia, widzi go: starzec spokojny, roztargniony, który zwróci się do niego, jak nauczyciel do ucznia, z wysokości swojego zakurzonego tronu, pochyli ku niemu głowę i popatrzy łagodnie spod łuku białych krzaczastych brwi; niemal słyszał jego głos:

- Co ma do powiedzenia oskarżony?

Na te słowa on wstanie; oczy całej sali będą w niego wlepione; opowie o swojej zbrodni; wszystkie wygodnie siedzące kobiety zamienią się w słuch, tylko od czasu do czasu któraś z nich poprawi frywolnym ruchem przekrzywiony kapelusz lub zmieni pozycję zakładając nogę na nogę; będzie słyszeć przelatującą muchę, on przemówi w

tej głuchej ciszy, szczerze, i z każdym słowem przesiąkniętym smutną prawdą będzie się coraz szczelniej otaczał szczególną atmosferą, jak sepia, która spowija się w cień swojej czarnej cieczy, gdy ją ściga ryba. Powoli, gdy wyzna już, że brak mu było szczerości i wiary, stary sędzia trochę zbliży się, nachyli do niego; sala cicho opustoszeje i zostaną tylko oni dwaj, sędzia i on na ławie oskarżonych, wśród nagich ścian i przed pustymi krzesłami; będzie mówił dalej i tak zakończy: „Zabiłem Lea bez nienawiści, z zimną krwią, bez przekonania. Mógłbym równie dobrze powiedzieć mu: «Winszuję ci podboju, moja siostra to naprawdę ponętna dziewczyna!» to jest moja prawdziwa zbrodnia... zgrzeszyłem obojętnością...” Milczenie; sędzia spojrzy na niego z zaciekawieniem, jak na dziwaka; potem Michele usłyszy szuranie przesuwanych krzeseł, bardzo donośne, jak echo obijające się o nawy kościoła; sędzia zejdzie ze swego tronu i stanie obok niego, koło ławy oskarżonych; przy jego niskim wzroście czarna toga będzie mu sięgała po kostki, ukazując jedynie duże stopy, jak gdyby miała osłonić jakieś potworne kalectwo: może nogi, które od nieustannego siedzenia na sędziowskim tronie skurczyły się i zwyrodniały; niski, drobny, z dużą głową, poczciwina.

„Och, panie sędzio, panie sędzio” - rzuci się do kolan starca. „Jesteś skazany nie za zbrodnię - usłyszy po chwili milczenia - lecz za twój brak szczerości i wiary... skazany na dożywotnie więzienie.” Bezlitosny wyrok; i kiedy podniesie głowę, zda sobie sprawę, że jest znów w zatłoczonej sali sądowej, przed roztargnionym sędzią, między dwoma uzbrojonymi policjantami; sen we śnie, majaki.

Rzeczywistość będzie wyglądała inaczej; dostanie sławnego adwokata; ten będzie wynosił go pod niebiosa jako brata i syna, najpierw cierpiącego i spotwarzanego, a potem mściciela; może publiczność będzie go nawet oklaskiwać podczas procesu; pojawią się świadkowie; Liza, zaniedbana, obdarta, zezna tym swoim obłudnym głosem jak odkryła grzeszny stosunek Lea i Carli; głębokie wrażenie; zezna, jak on wyjawiał jej swój zamiar zabicia Lea, w co ona nie uwierzyła.

A dlaczego nie uwierzyła? Bo ton, jakim mówił, nie wskazywał na to.

A jak mówił? Spokojnie, prawie żartobliwie.

Czy oskarżony wiedział o stosunkach łączących jego matkę z denatem? Tak, wiedział.

Jak się zachowywał denat w domu kochanki? Jak pan domu.

Od jak dawna trwał ten związek denata z matką? Od piętnastu lat.

A z córką? O ile jej wiadomo, od kilku dni.

Czy córka wiedziała o tym związku matki? Tak wiedziała.

Jakie panowały stosunki między oskarżonym a denatem? Przyjazne.

Czy łączyły ich również interesy? Tak.

Jakie interesy? Nie wie dokładnie, chodziło o jakieś pieniądze pożyczone na hipotekę.

Czy to prawda, że oskarżony powiedział, iż denat spowodował ruinę majątkową rodziny? Prawda.

Co skłoniło świadka do wyjawienia oskarżonemu związku jego siostry z denatem? Przyjaźń z nim i przywiązanie do rodziny.

Jak odnosił się denat do Carli przedtem? Jak ojciec, znał ją jeszcze jako małą dziewczynkę z warkoczykami.

Czy Carla cieszyła się opinią uczciwej, poważnej dziewczyny? Nie... na ogół sądzono ją dosyć surowo.

Czy świadek wierzył w uczucie ze strony denata? Nie.

A ze strony Carli? Też nie.

Czy świadek przypuszczał, że denat zamierzał ożenić się z Carlą? Nie, o ile jej było wiadomo.

Czy to prawda, że denat nie ukrywał przed dziećmi swojego związku z ich matką? Prawda.

I że między kochankami wybuchały częste sprzeczki? Prawda.

Dlaczego? Matka była zazdrosna.

O kogo? O wszystkich.

Czy matka podejrzewała córkę? Nie, nawet często wspominała, że kochanek żywi do Carli czysto ojcowskie uczucia.

Ostatnie pytanie: czy świadek nie przypuszczał, że oskarżony będzie zdolny dopuścić się tego rodzaju zbrodni? Nie.

Dlaczego? Wydawał się na to za słaby.

Zjawi się matka, w żałobie, wymalowana, uroczysta, niepewna; podejdzie do sędziego, jak gdyby był jej dobrym znajomym, stanie na miejscu dla świadków; w czasie przesłuchania będzie się rozwodziła nad wszystkim w nieskończoność; patetyczny głos, teatralne gesty, wprowadzające w nieustanny ruch żałobny welon;

wypytywana chytrze przez obrońców, którzy rzucają się na tę zdobycz jak żarłoczne rekiny na bezbronny wieloryb, matka przyzna się, jakie więzy łączyły ją z ofiarą; na pytanie, czy to prawda, że pozbawił ją majątku, odpowie, że nie.

A co świadek wiedział o uwiedzeniu córki? To było szaleństwo, ale niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto ich nie popełnia.

„Nazwijmy to szaleństwem” - podkreśli ironicznie adwokat Michela; utarczka słowna stron; przewodniczący sądu energicznie przywoła je do porządku.

Czy świadek przypuszczał, że denat naprawi ten błąd żeniąc się z jej córką? Nie... nie była pewna.

Sensacja. A czy świadek pogodziłby się z taką sytuacją, czy tolerowałby w domu tego wspólnego kochanka jej i jej córki? Zakłopotanie; nie, ale Leo już o tym myślał i był zdecydowany wydać Carlę za mąż.

Śmiechy. Ironiczne uwagi.

Czy to prawda, że denat miał zamiar wyposażyć Carlę? Prawda.

„A w zamian - wtrąci obrońca - zastrzegłby sobie *ius primae noctis*”; nowa utarczka słowna; gwizdy publiczności, która stanie po jego stronie; ostrzeżenie przewodniczącego, że każe opróżnić salę; zawsze tak się dzieje.

Czy to prawda, że między denatem i synem świadka dochodziło ostatnio do gwałtownych sprzeczek? Tak, prawda.

I że pewnego razu oskarżony rzucił w denata popielniczką? Tak, lecz trafił ją, w ramię.

Z jakiej przyczyny wybuchały te sprzeczeki? Michele uważał, niesłusznie, że Leo chce wykorzystać hipotekę, żeby ich pozbawić majątku.

A jak się zachował denat w tych okolicznościach? Po ojcowsku, był ponad to.

Czy to prawda, że między świadkiem i denatem bywały częste nieporozumienia? Nie, żyli w idealnej harmonii.

Ale poprzedni świadek zeznał coś wręcz przeciwnego. Oczywiście, ta kobieta ma wszelkie powody, żeby szkalować pamięć zmarłego.

Jakie powody? Jeden, ale wystarczający: była jego kochanką.

Sensacja: „Patrzcie, on żadnej nie przepuścił!” - wtrąci jego adwokat.

Kiedy? Przedtem, nim oni się ze sobą związali.

W śledztwie świadek oskarżył ją o podżeganie do zbrodni. A teraz? Podtrzymuje oskarżenie.

Jakie powody mogły ją skłamać do tego, żeby namawiać do zbrodni? Zazdrość i zawiść.

Świadek oskarżył ją również o próby zdemoralizowania syna. Oczywiście... toż to bezwstydną dziwka, nierządnicą.

Ruch wśród publiczności; upomnienie przewodniczącego o miarkowanie się w słowach; bunt matki.

Tak, dziwka, chce to ogłosić całemu światu, dziwka i zbrodniarka.

Nowe upomnienie.

Czy to prawda, że z powodu oziębłości kochanka świadek podejrzewał ją, a nie córkę? Tak, bo zauważyła, że Liza od dłuższego czasu wyraźnie się do niego zalecała.

Słowem, według świadka ona jest główną winowajczynią? Oczywiście, ona podżegała do zbrodni, ona podburzyła Michela, przez nią stało się to wszystko.

Czy świadek pochwalał, że denat uwiódł jej córkę? Nie, ale wiadomo, ludzie są ułomni, a poza tym na pewno nie cała wina była po jego stronie. A syn? Michele to biedny, nieodpowiedzialny chłopak, narzędzie w rękach Lizy; za słaby, żeby działać samodzielnie.

Zjawi się ostatnia z trzech kobiet jego życia: Carla; szczuplejsza niż dawniej, blada, dojrzała; wśród niezdrowej ciekawości tłumu będzie szła ani pokornie, ani butnie; jasna sukienka, jasne pończochy, jasny kapelusz; futro zarzucone na ramiona; może będzie umalowana, na pewno elegancka. Stary sędzia popatrzy na nią bez surowości, jak patrzył na niego; Carla podejdzie do pulpitu, zacznie mówić powoli; zaciekawienie publiczności, zachłanne oczekiwanie na drastyczne szczegóły, punkt kulminacyjny; lecz po kilku minutach przewodniczący każe opróżnić salę i poprowadzi dalej rozprawę przy drzwiach zamkniętych; rozczarowanie tłumu; gwizdy, szemranie; sala powoli opustoszeje; i oto Carla, sama, kolorowa plamka wśród czarnych i szarych przedstawicieli sprawiedliwości; przesłuchanie zacznie się na nowo.

Czy to prawda, że w ostatnim czasie nawiązał się intymny stosunek między świadkiem a denatem? Tak, prawda.

Czy świadek wiedział o jego związku z matką? Tak, od dzieciństwa.

Jak to od dzieciństwa? Jako mała dziewczynka widziała ich całujących się przed lustrem.

Czy świadek wiedział, że denat nie mógł czy nie chciał się z nią ożenić? Tak, wiedziała.

Czy świadek wiedział, że denat położył ręce na ich majątku? Także i to wiedziała.

I mimo to oddała mu się? Tak.

Dlaczego? Ot tak...

Jak zachowywał się denat w intymnych stosunkach, czy jak człowiek ogarnięty namiętnością, czy jak rozpustnik? Jak rozpustnik.

Nie był więc zakochany? Nie, nie był zakochany.

W jaki sposób doszło do tego zbliżenia? Pewnego wieczora była sama w domu, nudziła się, czytała książkę; przyszedł, rozmawiali, oboje zaczęli odczuwać podniecenie, potem on ją pocałował i poprosił, żeby go odwiedziła w jego domu.

I świadek poszedł? Tak, następnego dnia.

Co zaszło podczas tego spotkania? Wszystko.

Czy te wizyty powtarzały się? Tak, codziennie.

Czy to prawda, że Liza przyłapała ich dwoje całujących się w hallu po powrocie z dansingu? Bardzo możliwe.

Czy świadek nie bał się wtedy, że może to zobaczyć matka? Nie.

Czy nie przyszło świadkowi na myśl, że związanie się z takim człowiekiem to ruina dla młodej dziewczyny? Nie.

Dlaczego? No bo nie.

Czy matka kryła się ze swoim związkiem z denatem? Nie, przeciwnie, zwierzała się jej.

Czy denat mówił kiedy ze świadkiem o matce? Tak.

A jak? Żle.

Co o niej mówił? Że jest stara, głupia, że już jej nie kocha.

Czy to prawda, że denat, chociaż nawiązał z nią intymny stosunek, chciał ją wyposażyć i wydać za mąż? Nie, nieprawda.

Skąd świadek wie? Bo proponował jej, żeby się rozstała z rodziną i przeniosła do małego mieszkania, gdzie mógłby ją o każdej porze odwiedzać.

Czy świadek zgodziłby się na to? Może.

Czy denat nie żywił obawy, że brat świadka sprzeciwi się tym planom? Nie.

Dlaczego? Mówił, że wystarczy niewielka kwota, żeby uspokoić Michela.

A matka? Matka trochę by pokrzyczała, ale uspokoiłaby się w końcu.

Czy świadek wiedział o sprzeczkach między denatem i oskarżonym? Tak, pewnego wieczora groził bratu, że go wytarga za uszy.

A brat? Brat rzucił mu w głowę popielniczką, która trafiła w matkę.

Czy brat nie zdradził się nigdy z zamiarem zabicia Lea Merumeci? Nie, nigdy.

A jaki okazywał się w rodzinnych interesach? Obojętny i niezaradny.

Carla też opuści salę, ale przedtem podejdzie do niego, aby się z nim przywitać; widzi ją: zakłopotana, poważna, wzruszona, z błagalnie wpatrzonymi w niego oczyma; zapyta go, jak się czuje, uścisną sobie dłonie; potem wyjdzie tym swoim lekkim krokiem, na wysokich obcasach, w tej swojej krótkiej sukieneczce; i obserwując jej ruchy powściągliwe i skromne, miękkie kołysanie bioder, szczegóły całej jej postaci, wyobrazi sobie to nowe życie, które dojrzał w żalostnej, pozbawionej godności żalobie matki.

Znikną trzy kobiety jego życia, siostra, matka, kochanka, każda z nich pójdzie swoją drogą; sprawa będzie się ciągnęła; po kilku dniach zabierze głos prokurator. Tęga mowa; przedstawi najpierw w najczarniejszych barwach zdeprawowane i deprawujące środowisko, w którym wydarzyła się zbrodnia, po czym, nie odmawiając oskarżonemu okoliczności łagodzących, będzie się twardo trzymał swojej tezy morderstwa dokonanego z premedytacją.

„Tak, panowie przysięgli - zawoła uderzając pięścią w stół - to zabójstwo popełnione z premedytacją; oskarżony dowiaduje się od swej przyjaciółki o uwiedzeniu siostry i wychodzi napomykając żartobliwie, według zeznań świadka, o zamiarze zgładzenia uwodziciela... Wszystko więc było wtedy już zdecydowane, Leo Merumeci był już skazany. Oskarżony nie idzie do Lea Merumeci, by zażądać od niego wyjaśnień, ale żeby go zabić, niezależnie od tego, czy tamte słowa były prawdą, czy kłamstwem. Od tej rewelacji do zabójstwa mijają prawie dwie godziny. Co robi przez ten czas oskarżony? Ledwie wyszedłszy od przyjaciółki, pędzi jak szalenciec do mieszczącego się przy tej samej ulicy sklepu rusznikarza i kupuje rewolwer za siedemdziesiąt lirów; potem błąka się bez celu po mieście, pozostawiony sam sobie i swoim krwawym zamysłem, jak statek podczas burzy rzucony na pastwę fal; widzicie

go z tym rewolwerem w ręku, zatrzymującego się przed sklepami; oglądającego wystawy, krążącego po ulicy, przy której mieszkał Merumeci, i w końcu widzicie go przed tą bramą, wahającego się, wchodzącego, wstępującego na schody... I oto jest już w salonie swojego wroga; ten podchodzi do niego pogodny, serdeczny, przyjacielski, z uśmiechem na ustach... ten uśmiech, panowie przysięgli, to uśmiech człowieka, który nieświadomie idzie naprzeciw śmierci... z wyciągniętą na powitanie ręką; wtedy oskarżony strzela, Merumeci pada; oskarżony pochyła się i z zimną krwią, bezlitośnie dobija go strzałem w skroń; potem ze spokojem zatwardziałego przestępcy zamyka za sobą drzwi i idzie się oddać w ręce sprawiedliwości." Tu mówca analizuje okrutne i nieugięte zamysły oskarżonego, który decyduje się zgładzić Lea, pomimo iż wie, że „jego siostra, co wynika z zeznań świadków, nie była czystą i niewinną dziewczyną, jak można było przypuszczać, ale wręcz przeciwnie, i co za tym idzie, nie miało tu miejsca uwiedzenie w prawdziwym sensie tego słowa". Silne wrażenie. „Carla Ardengi - zdefiniuje mówca - należy do tej kategorii dziewcząt, które nigdy nie były niewinne: dziś ten, jutro tamten: tragiczny przykład demoralizacji naszych czasów." Będzie utrzymywał, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie Leo zalecał się do Carli, lecz Carla kokietowała Lea wskutek niezdrowej, ohydnej rywalizacji między matką a córką. „Panowie przysięgli - powie na zakończenie - nikomu nie wolno rościć sobie pretensji do wymierzania sprawiedliwości ziemskiej, a cóż dopiero boskiej; oskarżony odważył się na to; Michele skazał na śmierć swojego wroga i wyrok wykonał; ta przerażająca, wyrozumowana chęć zabijania jest jego prawdziwą zbrodnią: nie spotykamy się tu z pasją, z wybuchem szlachetnego oburzenia, ale z obmyśleniem i wykonaniem krwawego zamysłu długo przygotowywanego; zapamiętajcie to, zapamiętajcie, że dla oskarżonego Leo Merumeci był już martwy, kiedy żył jeszcze, kiedy jego miejsce było między ludźmi, a nie na cmentarzu. A ty, młodzieńcze - zawoła zwracając się do oskarżonego - przyjmij ten wyrok skazujący jako pokutę i oczyszczenie, które pozwolą ci wrócić na łono rodziny i społeczeństwa."

„Licho wie dlaczego - pomyślał nagle Michele - prokuratorzy w przemówieniach uważają za swój obowiązek zwracać się per ty do oskarżonych." Potrzęsnał głową: „Myli się pan, panie prokuratorze - pomyślał z ironią - pan się myli... nie ma oczyszczenia, pokuty, ani nawet rodziny... obojętność i tylko obojętność". Uśmiechnął się z roztargnieniem; a kto zabierze głos po prokuratorze? Jego adwokat; wstanie ten luminarz, ten nowy Demostenes, i nakreśli kolejno ponure sylwetki osób przewijających się w tym procesie, on również odmaluje w czarnych

kolorach jego środowisko, jego rodzinę: matka bezwstydną i samolubną, Leo wyzyskiwacz i rozpustnik, Liza kobieta lekkich obyczajów; on i Carla, ich ofiary, dzieci alkoholika („ojciec jest zawsze alkoholikiem” - pomyślał), które rosły bez ciepła miłości rodzicielskiej, bez religii, bez moralności.

„Kochanek przyjaciółki matki, potem matki - wykrzyknie mówca - zostaje też kochankiem córki, córki, panowie przysięgli - powtórzy pełnym przejęcia i egzaltacji głosem - którą znał od dziecka, którą brał na kolana jako małą dziewczynkę z warkoczykami, którą wychował, tak trzeba to powiedzieć, dla siebie i dla swej lubieżnej chuci... Ten dom to był jego harem... ale to mu nie wystarcza: zagarnia łapczywymi rękami rodzinny majątek.”

Zgromadziwszy wszystkie łotrostwa Lea, jak kamienie haniebnej budowli, mówca, nie żałując głosu, będzie usprawiedliwiał, a nawet gloryfikował to zabójstwo; Michele widzi tego swojego Cycerona z rozgorzałym obliczem, z rozwianym włosom, z opartymi na stole pięściami; słyszy go. „Mielibyście skazać go za to, że pomścił zhańbiony i podeptany honor swojej rodziny?...” Nagle, podniósłszy oczy, zorientował się, że już jest na ulicy, gdzie mieszka Leo.

Śmiertelny chłód zmroził mu krew: „Już” - pomyślał. Tak, to jest ta ulica; białe domy, ogrody, tu i ówdzie nie zabudowane jeszcze place zastawione rusztowaniami, chodniki jeszcze nie wybrukowane; musiały to być już krańce miasta; napotykał niewielu przechodniów i nikt nie oglądał się za nim, nikt na niego nie patrzył. „A idę przecież zabić człowieka” - pomyślał; niewiarygodne słowa! Wsunął rękę do kieszeni, dotknął rewolweru; zabić Lea oznaczało zabić go naprawdę, wyłączyć z grona żyjących, przelać jego krew. „Trzeba go zabić - pomyślał gorączkowo - zabić go... ot tak... bez większego hałasu... mierzyć w pierś... On pada... pada na ziemię... ja się schylam, powoli, bez hałasu, dobijam go.” Pomyślał, że ta scena, która powinna się odbyć błyskawicznie, będzie mu się dłużyła nieskończenie w głuchej ciszy; opanowała go śmiertelna słabość: „Trzeba by go zabić nie zdając sobie z tego sprawy - pomyślał - wtedy tak, wszystko dobrze by poszło”.

Niebo było szare; niewielu przechodniów; samochód, wille; rewolwer w kieszeni; cyngiel; lufa. Przystanął na chwilę, żeby sprawdzić numer domu, i w tym momencie przeraził się własnym spokojem: „Jeżeli nie opuści mnie ten spokój - pomyślał zdruzgotany - to wszystko na nic: muszę być rozjuszony, wściekły...” Ruszył przed siebie, numer osiemdziesiąty czwarty był nieco dalej. „Muszę się jakoś rozjątrzyć - pomyślał gorączkowo - zaraz, zaraz, jakie to ja mam powody, żeby go

nienawidzić... moja matka... moja siostra... była niewinna jeszcze wczoraj... a teraz w tym samym łóżku... naga... zgubiona... Leo ją wziął... posiadał... moją siostrę... posiadał moją siostrę... posiadał moją siostrę... wziął ją jak nierządnicę... na tym plugawym łóżku... ohyda, ohyda... naga w jego ramionach... wzdrygam się na samą myśl o tym... moja siostra powolna rozpuście tego człowieka... ohyda..." Przesunął ręką po karku, czuł suchość w gardle. „Do diabła z moją siostrą” - pomyślał zrozpaczony nie opuszczającym go spokojem; wszystkie te obrazy nie zdołały nim wstrząsnąć; spojrzął na najbliższą bramę; już numer sześćdziesiąty piąty; porwał go przeraźliwy lęk, że nie potrafi nic zrobić; włożył rękę do kieszeni, nerwowo ścisnął rewolwer: „Do diabła z tym wszystkim... mniejsza o powody... postanowiłem go zabić i zabiję.” Przyśpieszył kroku, mijał jeden dom za drugim, prędzej, prędzej... musi go zabić i zabije! Numer siedemdziesiąty piąty, siedemdziesiąty szósty, przecznica, siedemdziesiąty siódmy, siedemdziesiąty ósmy; nagle zaczął biec, rewolwer uderzał go w udo; zobaczył na chodniku, niedaleko przed sobą dziesięcioletnią może dziewczynkę prowadzącą za rękę małego chłopczyka; myślał, że dzieci miną go, ale znalazł się szybciej od nich przed bramą Lea i wszedł do środka z żalem, że nawet nie otarł się o nie. „A teraz - pomyślał na schodach - byłoby najlepiej, gdybym go nie zastał w domu.” Wbiegł na drugie piętro i stanął przed drzwiami wroga; na mosiężnej tabliczce widniał napis: „Leo Merumeci.”

Nie zadzwonił. Był za bardzo zdyszany; czekał, aż uspokoi się oddech i bicie serca; ale czekał na próżno; serce biło mu jak młotem, głośno, płuca pracowały jak miechy. „Nawet moje własne serce i płuca - pomyślał nerwowo i gniewnie - są przeciwko mnie.” Przycisnął dłonią bok, usiłował się opanować; ile czasu upłynie, zanim ciało będzie równie gotowe, jak duch? Liczył od jednego do sześćdziesięciu, śmieszny, stojąc nieruchomo przed tymi milczącymi drzwiami; zaczął od nowa... W końcu sprzykrzyło mu się i zadzwonił.

Usłyszał echo dzwonka w pustym mieszkaniu; cisza, głucha cisza. „Nie ma go w domu - pomyślał z nieopisaną radością i ulgą. - Zadzwonię jeszcze raz, żebym nie miał sobie nic do wyrzucenia... i pójdę.” I już miał nacisnąć dzwonek, już widział siebie na ulicy, już myślał o jakiejś rozrywce, już porzucał swoje mściwe zamiary, gdy dobiegł go spoza drzwi odgłos ciężkich kroków; drzwi otworzyły się i stanął w nich Leo.

Był w szlafroku, rozchylającym się na nagiej piersi, włosy miał potargane; zmierzył Michela od stóp do głów.

- Ach, to ty - zawołał z senną miną, zaspanym głosem - czego chcesz?

Popatrzyli na siebie. „Czego chcę? - miał ochotę krzyknąć Michele. - Sam wiesz najlepiej, ty zboreźniku, czego chcę.” Ale powściągnął się: - Nic - odrzekł prawie szeptem, bo znowu zabrakło mu tchu - chcę tylko z tobą pomówić.

Leo podniósł oczy, jego twarz przybrała wyraz bezczelny i głupi.

- A to mi się podoba! Pomówić ze mną? Teraz, o tej porze? - powiedział z przesadnym zdziwieniem. - A co mi masz do powiedzenia? Słuchaj, słuchaj, mój kochany - dodał przymykając drzwi - odłóżmy to sobie na później. Wyrwałeś mnie ze snu, mam ciężką głowę... porozmawiamy jutro.

Drzwi zamykały się. „Nie spałeś, kłamiesz - pomyślał Michele i nagle zaświtała mu nowa myśl: - Carla jest tam... w jego sypialni” - i wydało mu się, że widzi ją nagą, siedzącą na krawędzi łóżka i niespokojnie wsłuchaną w rozmowę kochanka z niewidzialnym gościem; pchnął drzwi i wszedł do mieszkania.

- Nie - oświadczył stanowczym i wzburzonym głosem - muszę się z tobą rozmówić dziś... zaraz.

Leo zawahał się.

- Niech tam... - odrzekł w najwyższym stopniu zniecierpliwiony; Michele rozejrzał się dokoła: „Tam jest Carla” - myślał i wzburzenie jego rosło.

- No przyznaj się - powiedział z wysiłkiem do Lea i gdy ten zamknął drzwi, położył mu rękę na ramieniu - przyznaj się, że ci przerwałem jakąś idyllę... Tam ktoś jest, prawda? Cha, cha... jakaś ślicznotka. - Zobaczył, że Leo kryguje się z obleśnym uśmiechem źle ukrywanej próżności.

- Nic podobnego... nie ma nikogo... spałem. - Michele wiedział już, że trafił w sedno. Wsunął rękę do kieszeni i ścisnął rewolwer.

- Spałem - powtórzył Leo kierując się do salonu - spałem twardo i miałem przepiękne sny.

- Ach tak.

- A ty mnie obudziłeś.

„Nie, nie będę strzelał w plecy” - pomyślał Michele; wyciągnął z kieszeni rewolwer i, trzymając rękę przy boku, wymierzył w Lea... Gdy tylko ten się odwrócił, strzeli.

Leo wszedł pierwszy do salonu, zbliżył się do stolika, zapalił papierosa. Otulony w szlafrok, jak zapaśnik, z szeroko rozstawionymi nogami, z głową potarganą i

kanciastą, pochyloną nad niewidoczną zapalką, wyglądał jak człowiek pewny siebie i pewny życia; i wtedy, nie bez nienawiści, Michele podniósł rękę i strzelił.

Nie było ani dymu, ani huku; na widok rewolweru Leo z krzykiem przypominającym ryk rzucił się za krzesło; potem suchy szczęk cyngla. „Zaciął się” - pomyślał chłopak; zobaczył, że Leo wrzeszcząc: - Wariat! - podnosi do góry krzesło, odsłania się; pochylił się do przodu i jeszcze raz strzelił; znowu szczęk. „Jest nie nabity - zrozumiał w końcu, przerażony - a naboje mam w kieszeni.” Leo zamierzył się na niego krzesłem, uskoczył więc w bok i pobiegł w drugi róg pokoju; poczuł zawrót głowy, pieczenie w gardle, serce biło mu jak szalone. „Jedną kulę - myślał rozpaczliwie - chociaż jedną kulę.” Sięgnął do kieszeni, chwycił dygoczącymi palcami kilka nabołów, podniósł głowę i zgięty wpół usiłował otworzyć oszalałymi rękami magazynek i wepchnąć nabój; ale Leo był szybszy i rzucił w niego krzesłem, trafiając w ręce i kolana; cios był tak silny, że rewolwer wypadł mu z dłoni; zamknął oczy z bólu, po czym porwała go furia; rzucił się na Lea, próbując ścisnąć go oburącz za gardło; Leo jednak chwycił go za kark i miotał nim na wszystkie strony, potem odepchnął go tak mocno, że Michele zatoczył się oślepiony, przewrócił krzesło i upadł na kanapę... Leo błyskawicznie przygwoździł go do niej, trzymając go za rękę.

Cisza; patrzyli na siebie; czerwony, zadyszany, obezwładniony na kanapie, Michele próbował się uwolnić; wówczas Leo wykręcił mu ręce w przegubach; Michele ponowił próbę, daremnie; w końcu gniew i ból zmożyły go: poczuł niejasno, że życie nigdy jeszcze nie było tak żałosne, jak w tej chwili, kiedy w tych brutalnych kleszczach zatęsknił nagle do dawnych matczynych pieścizot; oczy wypełniły mu się łzami; rozluźnił obolałe mięśnie, poddał się. Leo patrzył na niego przez chwilę; szlafrok miał rozchełstany, naga włochata pierś unosiła się w oddechu, który raz po raz buchał przez drgające nozdrza jak u rozdrażnionego zwierzęcia; patrzył i z całej jego postaci biła mitygowana z trudem furia.

- Jesteś wariat! - powiedział w końcu dobitnie, potrząsając głową, i puścił go.

Michele wstał rozcierając obolałe kostki; widział Lea stojącego nieruchomo pośrodku pokoju, przewrócone krzesło i tam w kącie coś czarnego: rewolwer... Było już naprawdę po wszystkim... wszystko już miał za sobą... ale mąciło mu się w głowie... nie wiedział, czy ma się dalej zachowywać napastliwie, czy też pokornie... Patrzył na Lea i machinalnie rozcierał kostki.

- A teraz - rzekł wreszcie Leo zwracając się ku drzwiom - a teraz zrobisz mi tę przyjemność i wyjdiesz. - Chciał powiedzieć coś brutalnego, ale powstrzymał się. - A o tych głupich pomysłach - dodał - pomówię z twoją matką.

Lecz Michele nie ruszył się z miejsca: „Nie wymyśla mi, hamuje się, chce, żebym jak najprędzej stąd wyszedł - pomyślał - bo się boi, żebym nie przyłapał Carli... Carla jest tam, w sąsiednim pokoju". Patrzył na tamte drzwi i był prawie zdziwiony, że są takie pospolite, że nie różnią się wyglądem od innych, nie zdradzają w żaden sposób obecności siostry, że na przykład nie przytrzasnął się w nich rąbek sukni, w chwili gdy Leo pośpiesznie wepchnął ją do sypialni.

- Gdzie jest Carla? - zapytał w końcu stanowczym głosem; leciutkie zdumienie mignęło na bezczelnej twarzy Lea, ale natychmiast zniknęło.

- Carla? - powtórzył jak najbardziej naturalnie. - A skąd ja mogę wiedzieć? W domu albo w mieście. - Podszedł do niego, wziął go za ramię: - Idziesz czy nie?

- Psss - syknął Michele blednąc; patrzył na niego i nie próbował się uwolnić. - Nie myśl, że się ciebie boję, pójdę, kiedy mi się spodoba.

- Idziesz czy nie? - powtórzył głośniejszym głosem Leo; chciał pociągnąć Michela ku drzwiom, lecz ten stawiał mu opór.

- Jestem pewien - krzyknął zapierając się w miejscu - że Carla jest tam, w twojej sypialni. - Pchnięcie. - Puść mnie - dodał wyrывая mu się. Ale Leo go nie puścił.

- Pójdiesz, a właśnie, że pójdiesz - powtarzał niemal radośnie - u siebie w domu mogę robić, co tylko mi się podoba... A ty wyjdiesz stąd jak zmyty. - Popychany od tyłu, Michele nie mógł się odwrócić.

- Ach, ty łajdaku! - krzyknął czując, że podłoga usuwa mu się spod nóg. - Łajdaku...

- Łajdak czy nie łajdak - mówił Leo wypychając go z pokoju - ale ty się stąd wyniesiesz!

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła Carla. Była bez zakietu, w krótkiej spódnicy i brązowym swetrze: musiała ubrać się dopiero co, na gwałt; włosy miała potargane, twarz bladą i ten szczególny wygląd, trochę zmęczony i trochę zaniedbany, kobiety, która nie mogła czy nie chciała doprowadzić się do porządku. Zamknęła za sobą drzwi i sztywno wyprostowana, z utkwionymi w przestrzeń oczyma doszła na środek salonu.

- Usłyszałam hałas - powiedziała - i przyszłam.

- Jak to? - Leo, gdy tylko ochłonął ze zdumienia, puścił Michela, podbiegł do Carli i teraz ją potrząsnął za ramię: - Jak to? Kazałem ci przecież tam zostać, a ty tu przychodzisz... Jak to... Za kogo mnie bierzesz?... Wszyscy jesteście szaleni... - Dławiła go złość; próbował się opanować. - Skoro już tu jesteś - dodał - popatrz na twojego brata, który strzela do ludzi... porozmawiaj z nim, zrób z nim, co chcesz: ja umyвам ręce... - Puścił ją i jak ktoś, kto chce, aby mu dano święty spokój, usiadł na uboczu, pod oknem.

Michele patrzył na Carlę; gdzie się podziało święte oburzenie, które - jak sobie wyobrażał - miał odczuwać w takiej chwili? Przepadło bez śladu; sama myśl o uwiedzeniu nie przyszlaby mu do głowy, gdyby Leo tak brutalnie nie chwycił Carli za ramię i gdyby wiele szczegółów nie wskazywało, że ubrała się w pośpiechu. „Diabli wiedzą, jak ona wyglądała, kiedy ja tu przyszedłem” - myślał... i szukał, szukał z bolesną zachłannością śladów winy: na bladej twarzy podsiniałe, zgwalczone oczy, usta wyblakłe, wykorzystane, oszołomienie i sytość, wszystko potwierdzało jego podejrzenia; lecz ciało, to ciało ujarzmione, napiętnowane, lubieżnie wyginane, nie zdradzało żadnych zmian, było takie jak zawsze; tylko jej dekolt nie zdawał się już czymś niewinnym jak przedtem, wyosobnionym od reszty postaci, lecz sprośnym skrawkiem ciała, który pozwalał wyobrażać sobie jej nagość.

- Moje gratulacje - rzekł w końcu z wysiłkiem - ale niepotrzebnie trudziłaś się ubieraniem... Mogłaś przyjść w szlafroku, jak Leo - i wskazał palcem Lea, który zachnął się niecierpliwie.

Milczenie.

- Michele, nie mów tak - powiedziała nagle Carla błagalnie i lękliwie - pozwól, że ci wytłumaczę...

- Tu nie ma nic do tłumaczenia. - Michele podszedł do stolika i oparł na nim rękę. - Nie wiem, czy go kochasz - ciągnął, jak gdyby Leo był nieobecny i jak gdyby nie widział go siedzącego pod oknem - ale na pewno wyrządziłaś sobie niepowetowaną krzywdę... Wiedziałaś, czym on jest dla matki i co to za człowiek, a pomimo to oddałaś mu się... I co więcej, jestem pewien, że go nie kochasz...

- Nie kocham go - przyznała nie podnosząc oczu - ale jest inny powód...

„Ach, jest inny powód!” - powtórzył sobie Leo; spoglądał na nich oboje, na brata i na siostrę, z pogardliwym rozbawieniem; ochłonął już ze złości i nie pozosta-

wało mu nic innego jak czekać na dalszy bieg rzeczy. „Powiedziałbym ci, jaki to powód - pomyślał przypominając sobie, w jak rozwiązłej pozie zostawił Carlę przed dziesięcioma minutami - to twój głód seksualny, pożądanie...”

- Ty sama nie wiesz, dlaczego to zrobiłaś - ciągnął Michele; zapalał się i wydawało mu się, że czyta w grzechu siostry jak w otwartej książce - ty sama nie potrafiłabyś tego powiedzieć.

- Wiem - zaprotestowała i podniosła oczy.

- No to powiedz!

Carla wzburzona spojrzała na brata, potem na Lea: „Żeby zacząć nowe życie” - miała ochotę odpowiedzieć; lecz zabrakło jej odwagi; ten powód, teraz, gdy widziała, że nie zmieniło się nic poza tym, że utraciła niewinność, wydawał się jej śmieszny i marny, i wolała się z nim nie zdradzać w obawie, że jej nie zrozumieją, że ją wyśmieją; milczała zwiesiwszy głowę.

- A ja ci powiem, dlaczego - rzekł Michele triumfalnie, chociaż był wściekły w duchu, że musi odgrywać taką rolę wobec Carli („Jestem jej ojcem, czy co?”). - Przyszła na ciebie chwila słabości, nudy, nie chciało ci się szukać daleko i od razu zgodziłaś się na Lea, tak jak zgodziłabyś się na każdego innego, który byłby pod ręką... Uległaś mu może tylko dlatego, żeby coś zrobić...

- Tak, żeby coś zrobić - powtórzyła.

„Nazywa czymś to, co zrobiła” - pomyślał Leo z ironią; nie miał litości dla tych dwojga: wydawało mu się przede wszystkim niedorzeczne i zabawne, że Michele, ten głupi chłopak, który próbował go zastrzelić, ale zapomniał nabić rewolwer, i ta kurewka Carla, którą trzymał przed chwilą w ramionach nagą i która była mu we wszystkim powolna, wznoszą się teraz do roli sędziów, przyprawiają sobie skrzydła aniołów i aureole świętych, odgrywają szlachetnych, a jego spychają w błoto. „Do pioruna - miał ochotę krzyknąć - dajcie sobie spokój z tymi nadętymi minami i z tymi kazaniami... Mówcie, że białe to białe, a czarne to czarne, jesteście tacy, jacy jesteście, i kwita!” Ale powstrzymał się, zaintrygowany, jak się zakończy ta scena między rodzeństwem.

- A potem uświadomiłaś sobie, że nie zrobiłaś nic - ciągnął Michele - że wydobyłaś się z nieznośnej sytuacji, ale znalazłaś się w równie smutnym, obrzydliwym położeniu... tak mniej więcej to wyglądało... - Umilkł na chwilę patrząc na Carlę; i gdy zobaczył, że ona stoi przed nim sztywno, uparta i niema, nie jak winowajczyni, lecz jak

osoba wysłuchująca cierpliwie i nawet z pewnym szacunkiem, ale obojętnie jakiejś błahej wymówki, poczuł się tak daleki od prawdy, tak uwikłany w kłamstwa, do których zmuszała go martwota duchowa, że ogarnęła go czarna rozpacz i pełen upokorzenia smutek: „To ciemność - pomyślał - nic tylko ciemność...” Spuścił oczy.

- Teraz wszystko trzeba zacząć na nowo - dodał głębokim i niepewnym głosem.
- To, co się stało, było konsekwencją nudy i naszej niecierpliwości życia... Ty nie kochasz tego człowieka, ja nie czuję do niego nienawiści... a jednak on był tym ośrodkiem, w którym zbiegły się nasze biegunowo różne czyny...

Serce mu drżało, jego własne niedołęstwo tak go dręczyło, że miał ochotę krzyczeć.

- Wszystko da się odrobić - rzekł gorzko - zacznie się nowe życie.

- Nowe życie? - Carla zniechęcona podeszła do okna; pierwsze krople deszczu zrosiły zakurzone szyby; wyglądała na ulicę zamyślona. Nowe życie? A więc naprawdę nic się nie zmieniło? Ta jej obrzydliwa przygoda była tylko obrzydliwą przygodą i niczym więcej? Wydawało się jej, że się dusi.

- Nie - powiedziała stanowczo, nie oglądając się za siebie - nie wydaje mi się, żebyśmy mogli sobie stworzyć nowe życie. - Oddałam mu się - wskazała niezręcznym ruchem siedzącego obok kochanka - i zrobiłam to, rozumiesz?, dla tego nowego życia... Tymczasem teraz widzę, że nic się nie zmieniło... wobec tego lepiej nie próbować więcej... niech wszystko zostanie, jak jest.

- Nie, nie - zaczął Michele obojętnym głosem; teraz, zmuszony przejść od własnych uczuć i wzruszeń do przypadku siostry, uświadomił sobie z przerażeniem, że opuszcza go nawet ta resztką wiary - nie, nic się nie zmieniło dlatego, że nie kochasz Lea... to był niepotrzebny grzech... Na to, żeby żyć i żeby wszystko zmienić, trzeba postępować szczerze! - Wydało mu się nagle niezwykle i głupie, że wszystkie przypadki zbiegają się z jego przypadkiem, jak u tych chorych, którzy uważają, że wszyscy cierpią na tę samą, co i oni chorobę; zląkł się, że jest egoistą, że widzi tylko siebie, że nie rozumie Carli. - Takie przynajmniej jest moje zdanie - rzekł zniechęcony - powinnaś zerwać z tym człowiekiem, którego nie kochasz... Sprzedamy willę, spłacimy go; jeżeli jeszcze coś dla nas zostanie, tym lepiej... Skończymy z tymi przyjęciami, z tymi ludźmi, z tym środowiskiem, z tym wszystkim, czego mamy już po uszy... i przyjdzie to nowe życie. - Ale czuł, że zabrakło mu zapędu i siły, że powinien

był położyć jej rękę na ramieniu i mówić serdecznym i pewnym tonem; był obojętny i zmęczony.

Carla oderwała wzrok od tych oczu bez wiary, bez złudzeń i spojrzała w stronę okna.

- To niemożliwe - powiedziała w końcu, jak gdyby sama do siebie.

Cisza; ostatnie słowa chłopca zmroziły do szpiku kości Lea, który dotąd ironicznie i beztrosko przysłuchiwał się rozmowie między rodzeństwem: „Sprzedać willę... to niebezpieczny wariat” - pomyślał; tak, gdyby oni sprzedali willę, cały interes spaliłby na panewce; przed sprzedażą oszacowałiby ją: wyszłaby wtedy na jaw rzeczywista wartość tego obszernego domu otoczonego rozległym ogrodem, który można było rozparcelować, sprzedać z ogromnym zyskiem jako place budowlane, tym bardziej, że ten teren leżał w najładniejszej dzielnicy mieszkaniowej miasta... i przepadłby cały interes! Patrzył na Carlę, na Michela: „To ruina! - myślał - jakie tam nowe życie!” Nagle wpadł na pewien pomysł i chwycił się go jak ostatniej deski ratunku, jak nowego leku, który w ciężkiej chorobie zażywa się bez namysłu.

- Chwileczkę - krzyknął - chwileczkę... ja też mam coś do powiedzenia! - Wstał, odsunął Michela, wziął Carlę za rękę i zmusił ją, aby usiadła. Dziewczyna usłuchała z uległością, która wywołała w Michelu uczucie grozy: „Nigdy nie będzie można z nią nic zrobić, nigdy” - pomyślał zrozpaczony; Leo usiadł naprzeciw Carli.

- Nie ulega wątpliwości - oświadczył ze śmiałością i ścisłością, jakie charakteryzowały go w interesach - nie ulega wątpliwości, żeśmy zrobili źle... popełniliśmy wiele błędów. Myślałem o tym, podczas waszej rozmowy, myślałem o tym, Carlo... I co byś na to powiedziała, gdybym chciał to wszystko naprawić, gdybym ci zaproponował... małżeństwo? - Na jego grubych wargach zakwitł wymowny i triumfalny uśmiech; był pewien jej zgody. - Co byś na to powiedziała, no? - powtórzył ujmując jej dłoń.

Carla próbowała cofnąć rękę, ale jej się to nie udało.

- Małżeństwo? — powtórzyła z rozczarowanym uśmiechem. - My dwoje mielibyśmy się pobrać?

- Tak - nalegał Leo - pobrać się... co w tym dziwnego? Dziewczyna potrząsnęła głową: odpychała ją myśl o tym małżeństwie, z matką w domu jako kochanką jej męża, zazdrosną o niego do szaleństwa; a poza tym było już za późno na małżeństwo; za dobrze się już znali, żeby mogli być mężem i żoną... lepiej odejść... rozstać się... albo kto wie? pozostać, jak teraz, kochankami. W pierwszym impulsive wstrętu, w

pierwszym instynktownym odruchu obrony przed tą daleką myślą o małżeństwie każda, choćby najbardziej upokarzająca i najprzykrzejsza sytuacja wydawała się jej lepsza od tego związku; myślała o tym, lecz nie miała odwagi mówić, jakby urzeczona uśmiechem i spojrzeniami kochanka; potem poczuła na ramionach ręce Michela.

- Nie - szepnął jej - odpowiedz mu: nie!

Leo dosłyszał go, puścił rękę Carli i wstał.

- Może mi zrobisz tę uprzejmość i zostawisz wreszcie w spokoju swoją siostrę! - zawołał rozdrażniony. - To ciebie nie dotyczy, to ona ma wyjść za mąż... Pozwól jej się zastanowić, odpowiedzieć zgodnie z jej własnym przekonaniem. A najlepiej wyjdź na chwilę do drugiego pokoju i zostaw nas samych... zawołamy cię, jak się rozmówimy.

- Zapewniam cię, że nie ruszę się stąd - odrzekł Michele wyzywającym tonem; Leo niecierpliwie machnął ręką, ale nic nie odpowiedział. Usiadł.

- No więc - rzekł ściskając za rękę Carlę - namyśl się. Namyśl się dobrze, nie zrobisz złej partii... mam kapitał, solidną pozycję, jestem ogólnie szanowany... namyśl się. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Nie mówiąc już o tym, że trudno by ci było znaleźć męża w tej sytuacji.

- Jak to... w tej sytuacji? - powtórzyła.

- No tak... - Leo wykrzywił usta. - Jesteś bez grosza... i co tu dużo mówić?... bardzo zdyskredytowana.

- Jak to... zdyskredytowana?... - przerwała znowu cichym głosem.

- Zdyskredytowana - powtórzył Leo. - Ci wszyscy twoi znajomi nie uważają cię za solidną dziewczynę... rozumiesz?... Wykorzystaliby cię, ale żaden by się z tobą nie ożenił... Póki idzie o zabawę, każdy jest chętny...

Milczenie; popatrzyli na siebie: „To wina matki i twoja, że tak się do mnie odnoszą” - chciała krzyknąć mu w twarz; pohamowała się jednak i spuściła głowę.

- Tymczasem ja - ciągnął Leo - jestem gotów zalegalizować nasz związek i zajmę się też twoją rodziną... matka zamieszka u nas... Michele będzie pracował... pomogę mu, znajdę dla niego odpowiednią posiadłość... - Każdej obietnicy towarzyszyło uważne spojrzenie: wpatrywał się w Carlę jak drwal, który po każdym uderzeniu siekierą sprawdza, czy podcięty pień pada; lecz Carla spoglądała w okno, po którym spływały ciche krople deszczu, i nie odpowiadała.

Wilgotny mrok, jak w grotcie, zasnuwał pokój: w tym mroku spacerował tam i z powrotem Michele: „Znaleźć posiadłość... pracować” - powtarzał sobie z przejęciem; nie

miał wątpliwości, że Leo nie rzuca słów na wiatr, że spełni to, co mówi... stworzy mu jakąś pozycję... Leo przeciwstawiał konkretne propozycje jego podyktowanym szczerością mrzonkom... Co wybrać? Pokusa była silna... pieniądze, znajomości, kobiety, może podróżę, może bogactwo, a w każdym razie życie ustabilizowane, uczciwe, dające zadowolenie, wypełnione pracą, rozrywkami, życzliwością ludzką... To wszystko miałyby dzięki małżeństwu Carli... Nie znaczyłoby to, że sprzedał siostrę, nie wierzył w te wielkie i straszne słowa, nie wierzył w honor i w obowiązek... czuł się obojętny jak zawsze: wyrachowany i obojętny. „Nic jej nie powiem - pomyślał w końcu prawie bezwiednie - niech decyduje sama... Zgodzi się, to dobrze... a jak nie, drugie dobrze." Lecz niepokój wewnętrzny ostrzegał go, że ta myśl jest nikczemną; podniósł oczy, spojrzął w stronę okna; w tym niepewnym świetle dwie głowy odcinały się czarnymi plamami na tle szarych szyb; musiał padać deszcz; znowu zaczął się przechadzać po pokoju, raz po raz przystawał i patrzył: kiedy i gdzie już widział te dwie postacie pod oknem? Ilekroć na nie spoglądał, ogarniał go nerwowy smutek.

„No tak... - myślał - no tak... Ja tu krążę w tych ciemnościach... oni siedzą tam pod oknem... ja chodzę tam i na powrót, oni rozmawiają... jesteśmy oddzieleni... dalecy od siebie... dlaczego tak jest? Jak gdybyśmy byli sami, jak gdybyśmy się nie widzieli..." Oczy wypełniły mu się łzami; gdzie on już widział te głowy?

Leo mówił:

- Jeżeli się wahasz ze względu na twoją matkę, to możesz spać spokojnie... Zapewniam cię, że między mną i nią już od dawna wszystko skończone.

Cisza; Carla potrząsnęła głową.

- Nie, nie chodzi mi o matkę - odrzekła - nie w tym rzecz.

- No to może o Lizę?

- Och, nie.

- No więc? - zawołał. - Dlaczego miałabyś się sprzeciwiać? Naprawdę nie widzę powodu. No bo przecież - dodał z uśmiechem, ściskając jej rękę - nie ze względów sercowych.

Spojrziała na niego; teraz, po pierwszym odruchu buntu, przyszło coś w rodzaju smętnego jasnovidzenia: „Rzeczywiście, dlaczego miałabym mu odmówić mojej ręki, kiedy dałam mu już całą resztę?" Czuła, że budzi się w niej hardość; obietnice Lea nie przekonały jej, o nie! „Nie kochamy się - myślała - to będzie nieszczęśliwe małżeństwo." Ale to, co mówił Michele, wydawało się jej dziecinną brednią. „Życie się

nie zmienia - pomyślała - nie zmieni się nigdy... Leo ma słuszość, lepiej pobierzmy się." I już skłonna była ustąpić, powiedzieć mu: tak, z trochę upokorzonym i trochę wstydlwym uśmiechem, już wyobrażała sobie, że jej przyszły małżonek obejmie ją, pocałuje w czoło, wyobrażała sobie piękną i wzruszającą scenę, gdy z głębi salonu dobiegł ją głos Michela:

- Na litość boską, Carlo, na litość boską, odpowiedz mu: nie!

Obejrżeli się; stojący pośrodku salonu Michele zdawał się niemal zawstydzony tym swoim pełnym wzruszenia wykrzyknikiem; Leo wstał i uderzył pięścią w stół.

- Dość tego - wrzasnął - dość! Przystaniesz się wreszcie wtrącać do cudzych spraw, czy nie!

Michele zrobił krok naprzód.

- To moja siostra! - powiedział.

- Twoja siostra - krzyknął Leo i co z tego? Czy nie wolno jej wybrać męża według własnego uznania? - Usiadł znowu. - Słuchaj mnie, Carlo - nalegał - nie zwracaj na niego uwagi. On sam nie wie, co mówi.

Lecz Carla uciszyła go ruchem ręki.

- Dlaczego - zwróciła się do Michela - miałabym mu powiedzieć: nie?

Zobaczyła, że się zawahał.

- Nie kochasz go... - zaczął.

- To jeszcze mało... można się obyć bez miłości.

- Jest nasza matka...

- Ach, ona - Carla wzruszyła ramionami - z nią nie będzie kłopotu.

Zamilkli.

- Carlo - rzekł po chwili z naciskiem Michele - powinnaś mu odmówić choćby dlatego, że ja cię o to proszę... Gdybyś wyszła za Lea... to... to... byłby koniec wszystkiego! - Jego głos drżał. „Oczywiście - pomyślała patrząc na brata - że nie byłoby to wesołe." Ale nie chciała dłużej zawracać sobie głowy tym pragnieniem nowego życia: ogarnęła ją żalosa i małostkowa tęsknota do rzeczywistości.

- A co by mi z tego przyszło? - zapytała cierpkim głosem.

- Co? - Spojrzał na Carłę, jej oczy były spokojne i puste, policzki szare, nastroszona grzywa potarganych włosów okalała jej twarz. - Jak to, co by ci z tego przyszło? Byłabyś wolna... niczym nie skrepowana w organizowaniu sobie nowego

życia. - Milczenie. - Nie myśl, że to mrzonki - dodał, uderzony jałowością swoich słów - ja jestem w pewnym sensie w tym samym położeniu, co ty... wiem, ile będzie trudności... ale je w końcu pokonamy... i zaczniemy nasze nowe życie. - Zobaczył, że Carla potrząsa głową nie odrywając oczu od okna. „Miej trochę ufności” - miał ochotę zawołać; Leo uśmiechnął się pewny siebie.

- Czcze słowa - powiedział - życie nie jest ani stare, ani nowe, jest, jakie jest.

Carla otrząsnęła się wreszcie i zwróciła do kochanka:

- Naprawdę, Leo - rzekła z wymuszoną zalotnością - chcesz, żebyśmy się pobrali?

- Oczywiście - odpowiedział gwałtownie.

- I nie boisz się, że będziemy nieudanym małżeństwem? - nalegała. - Ja, na przykład - dodała spokojnie - jestem pewna, że będziesz mnie zdradzał.

„Ty mnie będziesz zdradzała, ty, moja kurewko” - pomyślał Leo patrząc na tę pograżoną w mroku kwitnącą twarz; miał ochotę poklepać ją po bujnych piersiach, poklepać ją z bezceremonialnością i drwiącą uciechą, bo raz po raz wydawało mu się, że widzi ją, jak przed kilkoma minutami, nagą i białą, poruszającą się w swoim niedoświadczeniu jak niezdarne zwierzę. „Żenię się z kurwą” - powtórzył w myśli; wyciągnął rękę.

- Przysięgam ci - rzekł uroczyście - że zawsze ci będę wierny.

- Carlo - nie ustępował Michele - powiedz: nie!... Jest ważny powód ku temu... dowiesz się potem.

Carla milczała wpatrzona w okno; jej duża okrągła głowa zdawała się nieproporcjonalna w stosunku do wątych ramion. Zapadła już noc; resztki nikłego światła dobywały się z szyb, które zdawały się fosforyzować; oni też utonęli w tej ciemności zalegającej pokój; widać było tylko ich wyżłobione, zapadnięte twarze i oparte o stół ręce.

- Czas już iść - powiedziała w końcu i wstała.

- A co mi odpowiesz? - spytał Leo; wstał także, po omacku podszedł do ściany, zapalił światło; patrzyli przez chwilę na siebie oślepieni tą jasnością oczyma, jak gdyby zdumieni, że się widzą, Carla i Michele pod oknem, Leo przy drzwiach. Wtedy Leo dostrzegł po raz pierwszy pewne podobieństwo między bratem i siostrą: ten sam wyraz niezdecydowania, to samo bojaźliwe skulenie ramion; ale twarz Carli była tylko zmęczona, dziewczyna tarła rękami porażone światłem oczy, natomiast w twarzy

Michela był smutek nerwowy i chimeryczny; stali obok siebie pod oknem, jak gdyby się go bali.

- Co ci odpowiem? - rzekła dziewczyna po chwili. - Jutro dam ci odpowiedź, Leo, muszę pomówić z mamą. - Zwróciła się do brata, położyła mu rękę na piersi. - Poczekaj tu na mnie, Michele - dodała bacznie mu się przyglądając - idę włożyć kapelusz i zaraz wrócę.

Przeszła lekkim i zwinnym krokiem między Michele a stolikiem, minęła Lea, otworzyła prawe drzwi, nie zamykając ich za sobą; gdy zapaliła światło w sąsiednim pokoju, Michele zobaczył lustrzaną szafę, dywan, krzesło, przez które przerzucona była męska koszula; jeden rękaw zwisał; Carla krążyła przed tym lustrem; najpierw, jak osoba zadomowiona tu na dobre, zapaliła lampę nad szafą i starannie się uczesała; potem znikła i wróciła po chwili z zakietem i kapeluszem; włożyła je nie bez kokieterii, znowu znikła, po czym zjawiła się z torebką, upudrowała... Podczas tych przygotowań dwaj mężczyźni milczeli, zastygli na swoich miejscach; Leo przy drzwiach, w szlafroku ściągniętym w pasie, krótkim i luźno pofałdowanym, stał na szeroko rozstawionych nogach z nagą piersią, ze zwieszoną głową i oczyma wbitymi w ziemię, jak gdyby rozmyślał głęboko; Michele nie ruszył się spod okna, skąd obserwował zadumanymi oczyma frywolne, dobrze mu znane ruchy siostry przed lustrem. Wydawało mu się, że w przyległym pokoju panuje ciężka, sprośna atmosfera; wyobrażał sobie panujący tam, ziejący rozpustą nieporządek: zmięte prześcieradła, odzież rozrzuconą na krzesłach, poduszki zrzucone na podłogę, zaduch przesycony zapachem perfum i dymu... i w tej atmosferze, w tym nieładzie Carla poruszała się swobodnie, niemal wesoło, na swoich rączych nogach... Była potargana, zmęczona, blada... i oto jest już gotowa do wyjścia, w nasuniętym na czoło kapelusiku, twarz ma upudrowaną, świeżą, zaróżowioną, usta uszminekowane, dwa loczki na policzkach; oddała się od tego zmatowiałego lustra, od tej ściany, od tego krzesła, wyłania się z tej dusznej atmosfery i zbliża ku nim.

- Idziemy - rzekła spokojnie i wyciągnęła rękę do Lea. - Do widzenia, Leo.

- A więc tak, prawda? - szepnął całując czubki jej palców; był zadowolony i pewny siebie; Carla spojrziała na niego, ale nie odpowiedziała; wyszli wszyscy troje do przedpokoju, najpierw Carla, potem oni: Leo, kontent, kręcił się podniecony koło kochanki: - Pobierzemy się... pobierzemy - szepnął, gdy Michele wkładał płaszcz w drugim końcu przedpokoju; Carla jednak była sztywna i roztargniona, jak gdyby nie widziała go i nie słyszała: - Do widzenia, Leo - powtórzyła wychodząc. Przez uchylone

drzwi obserwował ich schodzących ze schodów, w milczeniu, patrzących wprost przed siebie, oraz wlokące się za nimi chwiejne, ukośne cienie; wreszcie zamknął drzwi i wrócił do saloniku; zobaczył na podłodze rewolwer Michela, podniósł go i zważył w rękę, spoglądając bezmyślnie w przestrzeń: przypomniał sobie, że ma zaproszenie na bal w Grand Hotelu i że wybiera się tam także matka. „To będzie doskonała okazja, żeby ostatecznie przekonać Carlę do małżeństwa” - pomyślał; bardzo zadowolony, poszedł do sypialni i stanął przed lustrem: „Bądź spokojny - powiedział głośno i miał ochotę poklepać się po brzuchu. - Będziesz zawsze ten sam, nawet po ślubie”. Potem przeszedł do łazienki, aby się umyć.

XVI

Kiedy znaleźli się w bramie, zobaczyli, że pada ulewny deszcz; nie smagał gwałtownie, po prostu lał jak z cebra; z ciemności dolatywał głośny chlupot; sina warstwa wody bulgotała na bruku; rynnami i rynsztokami, zewsząd płynęły strumienie obfitego deszczu, na który zbierało się już od dwóch tygodni, który długo fermentował w napęczniałych chmurach; domy stały w nim czarne i sztywne; latarnie tonęły, zalane chodniki wyglądały jak kamienne nabrzeże morskiego portu, podmywane przez fale.

Skuleni w potokach wody, biegli pod murami kamienic, chroniąc się w miarę możliwości pod wspólnym parasolem; na zakręcie oślepiła ich swoimi reflektorami taksówka; była wolna, więc wsiedli i pojechali.

Siedzieli po ciemku, w milczeniu, nie patrząc na siebie; w czasie jazdy podskakiwali zderzając się jak dwie bezwładne drewniane kukły o wytrzeszczonych i ekstatycznych oczach. Michele, rozparty niemal w pozycji leżącej, zdawał się rozmyślać; Carla, pochylona do przodu, próbowała obserwować ulicę, ale przez mokre i zamglone od zimnego powiewu szyby nic nie było widać. Wydawało się jej, że znalazła się poza kręgiem świata, zamknięta z bratem w tym ciemnym pudle, które niosło ją z zawrotną szybkością w jakieś nieznanne miejsce. Dokąd? Tak kończył się dzień, tak kończyło się jej dotychczasowe życie: pytaniem, na które nie było odpowiedzi; dokąd idzie się we dnie albo w nocy, w ciemności i deszczu albo w pełnym świetle? Tego nie wie nikt; zlekła się, zapragnęła okroić swój cel, pomniejszyć swój świat, zobaczyć całe swoje życie jak ciasny pokój. „Wyjdę za mąż za Lea” - pomyślała. Wlepiała oczy w przednią szybę i wydało się jej, że na tej szklistej i ciemnej powierzchni zarysowują się i połyskują jakieś obrazy; szyby domu w deszczowe noce, szyby pociągu gadatliwe i monotonne, przecinane tajemniczymi iskrami, okna otwarte na czarne pola snów... Tak... tak... wyłaniają się z tego mroku zalane słońcem stopnie kościoła, ona w śnieżnej bieli, w długim welonie panny młodej, z pochyloną głową, w ten słoneczny dzień, wsparta na ramieniu męża; a za nimi wychodzi w ciemność orszak ślubny; matka, gdzieś daleko, na pewno zapłakana, zasłania się bukietem olśniewających kwiatów; Michele ze spuszczoną głową, jak gdyby uważnie patrzył, gdzie ma postawić stopę; Liza w strojnej wiosennej toalecie i wielu innych

gości o niewidocznych twarzach, białe sylwetki kobiet, czarne mężczyzn, sunące za nowożeńcami; jedni są jeszcze w cieniu, inni już w pełnym świetle, wszyscy wytworni, mężczyźni mają nieskazitelnie zaprasowane kanty u spodni; każdy z nich trzyma w ręku lśniący cylinder; kolorowymi plamami odcinają się kwiaty w kulistych bukietach dam... Wszyscy wychodzą z niewidocznych drzwi kościoła za młodą parą; stopnie jarzą się w słońcu; potem rozlega się nagle poważna muzyka religijna, która zdaje się zstępować krok w krok za weselnym orszakiem; huczą organy, Carli wydaje się, że słyszy te towarzyszące jej triumfalne dźwięki, uroczyste, lecz pełne gorzkiego i wzniosłego smutku, jak gdyby ona, w tym ślubnym stroju, uczepona ramienia męża, nie podążała ku szczęściu, ale ku wyrzeczeniom, ku życiu najeżonemu lękiem i trudnościami nie do pokonania...

Otrząsnęła się, ręka Michela ścisnęła jej dłoń: cień szyby pochłaniał szybko świetliste zarysy orszaku weselnego, wszystko wyglądało teraz jak prześwietlona klisza; taksówka zwolniła, zatrzymała się, czekając na wolny przejazd przez zatłoczoną ulicę; deszcz, chlupot; dzwonki; klaksony, głosy, światła, twarze, wreszcie samochód drgnął, ruszył z miejsca.

- Co ci jest? - zapytała zwracając się do brata.

Michele niezdarnie i rozpaczliwie machnął ręką.

- Nie powiedziałem ci jeszcze - rzekł z wysiłkiem - z jakiego powodu powinnaś odrzucić propozycję Lea.

Spojrzała na niego:

- Nie.

- Powiem ci... - Chłopiec pochylił się ku niej i zaczął mówić szybko, bez żadnych wstępów: - Powód jest następujący... dziś, nim poszedłem do Lizy... aha, to właśnie ona mi wszystko o was powiedziała...

- Ach tak! Ona...

- Tak, zdaje się, że widziała was wczoraj w hallu... Ale mniejsza z tym... Wczoraj, nim poszedłem do Lizy, sam nie wiem dlaczego, zacząłem myśleć o naszych sprawach, o naszym położeniu, które jest naprawdę nie do zniesienia... i tak się w nie wgłębiałem, że pomału - jak by tu powiedzieć? - przestały działać wszelkie hamulce i w pewnej chwili połapałem się, że myślę mniej więcej tak: „Jesteśmy zrujnowani; bez ratunku; jeżeli nic się nie zmieni, w ciągu roku znajdziemy się w skrajnej nędzy... Czy, aby tego uniknąć, nie należałoby zdobyć się na jakieś poświęcenie, a nawet

kompromis? W naszej sytuacji jedyną osobą, od której dałoby się coś uzyskać, jest Leo... A więc na przykład, pomyślałem prawie bezwiednie, wiedząc, jaki z niego kobieciarz... na pewno nie pożałuje pieniędzy na kobietę, która mu wpadnie w oko; czy nie warto by dać mu do zrozumienia, że w zamian za te pieniądze ja podjąłbym się - rozumiesz? - przyprowadzić mu moją siostrę Carlę, słowem: ciebie.

- Tak myślałeś? - zapytała, raptownie zwracając się ku niemu; w tej samej chwili światło latarni padło na twarz Michela; zobaczyła szeroko otwarte oczy i pobladłą twarz wykrzywioną grymasem upokorzenia; odwróciła głowę; rozpaczliwy smutek ścisnął jej drżące serce; samochód pędził naprzód; Michele mówił:

- Tak myślałem... i wiesz? wydawało mi się, że to widzę. - Poruszył ręką, jak gdyby chciał coś uchwycić. - Wydawało mi się, że widzę nas troje w mieszkaniu Lea... Kiedy jestem wzburzony, zdaje mi się, że widzę to, o czym myślę; widziałem, jak pijemy razem herbatę w saloniku, i potem siebie, jak wychodzę dyskretnie, zgodnie z umową i zostawiam cię sam na sam z Leem...

- To potworne - szepnęła z przerażeniem, ale Michele jej nie dosłyszał.

- I dlatego... rozumiesz?... kiedy patrzyłem na was przed chwilą, siedzących naprzeciw siebie, pod oknem, w saloniku i usłyszałem oświadczenia Lea... wydało mi się, że widzę scenę, którą sobie wyobrażałem... każdemu może się to zdarzyć: idzie człowiek ulicą, wyobraża sobie różnych ludzi w różnych sytuacjach, a potem dzieje się to naprawdę... Lecz w moim przypadku była jeszcze kalkulacja, liczyłem na pieniądze Lea. No tak - powiedziałem sobie - wszystko jest tak, jak sobie wyobraziłem, jak nie powinienem był sobie wyobrazać! Wszystko jest tak, jak gdybym naprawdę powiedział Leowi: „Słuchaj, Leo, Carla, moja siostra... to ładna i ponętna dziewczyna...” Nie gniewaj się... tak sobie wyobrażałem naszą rozmowę...

- Nie gniewam się - szepnęła - mów dalej.

- „Ładna i ponętna dziewczyna - powtórzył Michele. - Ty mi dasz pieniądze, dużo pieniędzy, i weźmiesz na utrzymanie moją rodzinę, a ja w zamian... w zamian za to pozostawię ci wolną rękę w stosunku do Carli... rób z nią, co chcesz.”

- Coś ty sobie właściwie myślał? - przerwała smutna i podrażniona. - Że ja jestem jak martwy przedmiot? Albo jak zwierzę?

- Nie, ale wiedziałem - odrzekł Michele ze zwycięskim półuśmieszkiem - że jesteś znudzona... jak by tu powiedzieć? Że w tych warunkach uległabyś szybko...

- Wiedziałeś o tym? - szepnęła.

- A że tego nie zrobiłem - ciągnął Michele nie odpowiadając na jej pytanie - nie miało już znaczenia; tak samo gryzłoby mnie sumienie... Widząc was jako małżeństwo, żyjąc z pieniędzy Lea, cierpiałbym nad tym, jak gdybym to ja był wszystkiemu winien... rozumiesz?... rozumiesz?... rozumiesz? - powtarzał zdjęty nagle rozpaczą, chwytając ją za ramię - rozumiesz?... Myślisz o nikczemnym kroku, nie ważysz się nań... a potem wszystko zaczyna się dziać zgodnie z tym, co się myślało... ale dzieje się do pewnego etapu, kiedy jeszcze można przeciwdziałać biegowi wydarzeń... Co robić wtedy? Nie dopuścić, żeby doszło do tego upodlenia... Gdybym siedział z założonymi rękami, to byłoby tak, jak gdybym od początku do końca był współwinowajcą, jak gdybym rzeczywiście sprzedał cię Leowi, jak gdybym naprawdę zaprowadził cię do jego domu... Rozumiesz teraz? Jeżeli wyjdiesz za niego za męża, będę się czuł tak, jak gdybym ja cię naraził temu człowiekowi, jak gdybym pchnął cię jedną ręką w jego ramiona, a drugą zagarnął pieniądze... rozumiesz?... rozumiesz teraz? - Przy wstrząsie taksówki, pełni odrazy, otarli się o siebie; milczenie; samochód wciąż jechał.

- Czy mi wybaczysz? - zapytał chłopiec wzruszonym i pokornym głosem, przysuwając się do siostry i pochylając się ku przodowi. - Wybaczysz mi, Carlo?

Milczała i patrzyła przed siebie, po czym parsknęła suchym, wymuszonym śmiechem.

- Co tu wybaczać! - odrzekła. - Nie zrobiłeś mi nic złego... nie wyrządziłeś mi żadnej krzywdy... co ci mam wybaczać? - Przez chwilę milczeli. - Nie mam nic do wybaczenia nikomu - powtórzyła rozjątrzona, płaczkliwym głosem, nie odrywając oczu od szyby samochodu - nikomu... Chcę tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju! - Oczy wypełniły się jej łzami: winni byli wszyscy i nikt, ale nie miała siły analizować ani siebie ani innych; nie chciała przebaczać i nie chciała potępiać, życie było takie, jakie było, lepiej się z nim pogodzić niż je osądzać; i niech wszyscy jej dadzą święty spokój!

Michele przyjął te słowa jak ostateczny, skazujący wyrok. „Nie zrobiłem nic - powtórzył sobie ze zdumieniem i wydało mu się, że nagle się postarzał, że przeżył tego dnia bardzo wiele. - To prawda... nic nie zrobiłem... tylko myślałem... i to był mój błąd.” Pochylił się i chwycił Carlę za rękę.

- Odmówisz mu, prawda? - zapytał gorączkowo. - Powiedz, że mu odmówisz...

- Wyjdę za niego - odrzekła po chwili milczenia. - Co by się ze mną stało, gdybym za niego nie wyszła?... Zastanów się... w tej sytuacji... - I rozłożyła ręce, jak

gdyby chcąc pokazać, że jest zgubiona, odarta ze wszystkiego. - Szaleństwem byłoby odepchnąć go, nie pozostaje nic innego, jak to małżeństwo. - Umilkła spoglądając, jak przedtem, w szybę.

Surowość, z jaką wypowiedziała te słowa, przekonała Michela bardziej niż wszystkie jej argumenty: „Wszystko skończone - pomyślał patrząc na świeże policzki Carli oświetlone reflektorem samochodu - to już kobieta”. Poczul się zwyciężony.

- Naprawdę, Carlo - zapytał jeszcze niedowierzająco, jak dziecko - wyjdiesz za niego?

- Wyjdę za niego - powtórzyła nie odwracając się.

Byli już niedaleko; ulice poszerzyły się, pustoszały; mijali już nie kamienice, lecz jasne wille i ciemne ogrody nasiąkłe deszczem. Carla śledziła uważnie uciekającą drogę i z taką samą szybkością wirowały myśli w jej skołatanej głowie; samochód był jak jej życie pędzące na oślep w ciemności. Wyjdzie za Lea... wspólne życie, wspólna sypialnia, wspólne posiłki, wspólne spacer, podróże, radości i smutki... Będą mieli piękny dom, piękne mieszkanie w eleganckiej dzielnicy miasta... Ktoś wchodzi do salonu umeblowanego luksusowo, z dobrym smakiem, to jakaś pani, jej przyjaciółka; ona wybiega jej na spotkanie, piją razem herbatę, potem wychodzą; jej samochód czeka przed bramą, wsiadają, jadą; będzie się nazywała pani Merumeci, dziwne; pani Merumeci... Widzi siebie jako mężatkę: trochę wyższa, trochę cięższa, będzie miała pełniejsze biodra, pełniejsze nogi (tyje się w małżeństwie); będzie miała pierścionki na palcach, bransoletki na rękach, perły na szyi; stanie się niedostępna, zimna, wspaniała, ale zimna, jak gdyby w jej nieprzeniknionych oczach kryła się tajemnica, zabijająca wszelkie uczucia. Wyniosła, elegancka, wchodzi do przepelnionych salonów hotelu, za nią wchodzi Leo, trochę grubszy, z trochę większą łysiną, lecz niewiele zmieniony; siadają, piją herbatę, tańczą, wiele osób patrzy na nią i myśli: „Piękna kobieta, ale zła... nigdy się nie uśmiechnie... ma twarde oczy... wygląda jak posąg... Bóg jeden wie, o czym ona myśli”. Inni, którzy stoją pod kolumnami w głębi sali, szepczą między sobą: „Wyszła za przyjaciela swojej matki... człowieka o wiele starszego od siebie... nie kocha go, na pewno ma kochankę”. Wszyscy szepczą, coś sobie myślą, patrzą na nią; ona siedzi obok męża założywszy nogę na nogę, pali... nogi wywołują wrażenie, suknia jest krótka, dekolt głęboki... mężczyźni patrzą na nią łapczywie, jak gdyby ją chcieli połknąć; ona odpowiada obojętnymi spojrzeniami... Pokój... pani Merumeci, spóźniona z powodu jakiejś obowiązkowej wizyty, biegnie na spotkanie z kochankiem; w jego ramionach traci swój posagowy chłód, zimne kobiety

są zawsze najbardziej płomienne w miłości; staje się znów podlotkiem, płacze, śmieje się, coś szepcze, zachowuje się jak oswobodzony więzień, który wreszcie zobaczył światło... Jej szczęście jest białe, pokój jest biały, ona jest bez skazy w objęciach kochanka... odnajduje swoją niewinność. Potem, gdy nadchodzi czas, znużona i szczęśliwa wraca do domu i przybiera znowu oziębły wyraz twarzy... Tak płynie jej życie przez długie lata... wielu ludzi jej zazdrości... jest bogata, bawi się, podróżuje, ma kochanka, co więcej? Ma wszystko, co może mieć kobieta.

Taksówka zatrzymała się; wysiedli; deszcz już nie padał; powietrze było chłodne i mgliste; wilgotny wiatr poruszał ciemnymi gałęziami drzew. Carla przeskoczyła zręcznie kałużę między jezdnią a chodnikiem i stanęła pod latarnią czekając na Michela, który płacił taksówkarzowi za kurs. Zobaczyła wtedy przy chodniku podłużny i czarny kształt przypominający wyrzuconego przez fale wieloryba: duży samochód; maska lśniła; przy kierownicy, w nasuniętej na oczy czapce spał szofer: „Samochód Berardich” - pomyślała zdziwiona i nagle przypomniała sobie o zaproszeniu na bal maskowy.

- Michele - powiedziała do brata wymijającego dużymi susami kałuże - samochód Berardich.

- Tak - odrzekł rzucając okiem na samochód - już po nas przyjechali.

Znaleźli się w ogrodzie i szli w milczeniu, patrząc uważnie pod nogi; skrzypienie deptanego żwiru; wilgoć; fantastyczne i czarne cienie na tle zachmurzonego nieba; donośny, jakby morski szum wielkich drzew; coś w rodzaju rozejmu; deszcz już nie padał.

W ciepłym, jasno oświetlonym westybulu Michele zdjął płaszcz i kapelusz.

- Carlo - rzekł w końcu do siostry, która czekała na niego w progu - kiedy powiesz mamie, że wychodzisz za mąż?

Spojrzała na niego.

- Jutro - powiedziała spokojnie.

Przeszli na korytarz, z salonu dobiegał gwar roześmianych głosów; Carla podeszła do drzwi i lekko rozsunała zasłaniającą je kotarę, po czym zajrzała przez tę szparkę.

- Już są wszyscy - powiedziała odwracając się - cała trójka, Pippo, Mary i Fanny.

Weszli na schody, w hallu napotkali matkę i Lizę; matka miała już na sobie kostium Hiszpanki: jej zwiędła i afektowana twarz była wyzywająco umalowana: policzki płomienne i ozdobione pieprzykami, usta szkarłatne, oczy tonęły pod warstwą połyskliwego czarnego tuszu; kostium hiszpański, krótki i cały czarny, falował wokół niej przy każdym ruchu bioder miękką obfitością falban; bogaty ażurowy szal, ręcznie haftowany, opadał jej spod dużego szylkretowego grzebienia na tłuste plecy, na grube, nagie i galaretowate ramiona; trzymała w ręku wachlarz ze strusich piór, głupio się uśmiechała i jak gdyby w obawie, że nieopatrzynym ruchem popsuje sobie fryzurę, szła ze sztywno podniesioną głową; u jej boku Liza, jasna, o cerze białej jak mąka, cała ubrana na pastelowo.

Na widok Michela i Carli matka wybiegła naprzeciw.

- Już jest późno - zawołała, nim jeszcze zdążyli wejść na schody - cała trójka Berardich czeka na nas już od kwadransa.

Była zadowolona, uszczęśliwiona: Liza spędziła z nią całe popołudnie, z czego wynikało, że kochanek powiedział prawdę i nie zdradził jej; z radości była niezwykle uprzejma dla Lizy, robiła jej poufne zwierzenia i przez chwilę nawet zamierzała ją zaprosić na dzisiejszy bal; zrezygnowała jednak z tego częściowo ze względów egoistycznych, a częściowo dlatego, że rodzina Berardich знаła Lizę tylko przelotnie i mogło im nie odpowiadać jej towarzystwo.

- Prędko... prędko - mówiła do stojącej przed nią nieruchomo Carli - idź się przebrać!

- I ja muszę włożyć kostium? - zapytała Carla tonem poważnym i niedowierzającym, nie podnosząc wbitych w ziemię oczu.

Matka roześmiała się.

- Obudź się, Carlo - powiedziała krygując się niecierpliwie i poprawiając powiewny hiszpański szal - o czym ty myślisz? Musisz się przebrać... idziemy przecież na bal kostiumowy. - Wzięła córkę za ramię: - No, chodź - dodała - chodź... bo się naprawdę spóźnimy.

Carla zdjęła automatycznym ruchem kapelusz i ciężko potrząsając bezwładną, kędzierzawą głową poszła za matką; hiszpański szal falował na wypukłych pośladkach; Carla patrzyła na matkę i widząc ją taką jak zawsze, nic a nic nie zmienioną, pomyślała, że chyba naprawdę nic nie zaszło tego popołudnia. „A jednak -

powiedziała sobie - trzeba będzie ją zawiadomić o tym małżeństwie." I tak, jedna za drugą, wyszły z hallu.

Liza i Michele zostali sami; od pierwszej chwili Liza obserwowała ze swego kącika zachłannym i niespokojnym wzrokiem tych dwoje, siostrę i brata, wracających razem; teraz, czekając na próżno, aby chłopiec odezwał się pierwszy, podeszła do niego.

- No więc - zapytała nie ukrywając niedyskretnej ciekawości - powiedz... jak poszło?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Jak poszło - powtórzył powoli - jak poszło?... Źle poszło... strzelałem do niego.

- Na miłosierdzie boskie! - zawołała Liza z przesadnym strachem, patrząc na niego bystro. - I zraniłeś go?

- Nawet go nie drasnąłem.

- Chodź tu! - Podniecona pociągnęła go na kanapę i usiadła obok. - Siadaj tu... opowiedz mi...

Lecz Michele zachnął się, znużony i zniecierpliwiony:

- Teraz nie... później. - Obserwował tę białoróżową twarz, te bujne piersi... porwało go nienasycone pragnienie, aby chociaż na chwilę zapomnieć o swojej niedoli... - Wybierasz się na bal? - zapytał w końcu.

- Nie.

- Wobec tego... - zawahał się - wobec tego ja się też nie wybiorę i przyjdę do ciebie na kolację... Wtedy opowiem ci wszystko.

Zobaczył, że ta propozycja zachwyciła ją: - Dobrze... doskonale... zjemy razem kolację. - Uśmiechnął się gorzko. „Tym razem - pomyślał poirytowany i zadowolony - nic się nie bój, nie odtrączę cię.”

Ogarnął go ponury niesmak; jego myśli były jałowe jak pustynia, żadnej wiary, żadnych nadziei, w których cieniu mógłby się orzeźwić, wypocząć; dopatrywał się zawsze w innych tego fałszu i upodlenia, które teraz przepelniały mu duszę; nie umiał zedrzeć z oczu tego mętnego, niechętnego spojrzenia, które go odgradzało od życia. „Odrobinę szczeroci - powtarzał chwytając się swojej dawnej idei przewodniej - odrobinę wiary... a zabiłbym Lea... ale teraz byłbym czysty jak lza.”

Czuł, że się dusi; spojrzał na Lizę; zdawała się zadowolona.

„Jak ty żyjesz? - miał ochotę krzyknąć. - Szczerze? Z wiarą? Powiedz, co robisz, żeby żyć?" Jego myśli były chaotyczne, sprzeczne. „A może - myślał, nagle i rozpaczliwie powracając do rzeczywistości - może to sprawa jedynie moich rozstrojonych nerwów... może to tylko kwestia pieniędzy albo czasu, albo okoliczności." Lecz im bardziej usiłował ograniczyć i uprościć swój problem, tym bardziej wydawał mu się on trudny i groźny. „To niemożliwe żyć tak dalej." Zbierało mu się na płacz; ze wszystkich stron otaczał go las życia, ciemny, ślepy; żadne światło nie błyszczało w dali: „Niemożliwe".

Wróciły matka z Carlą, przebraną za pierrota; miała na twarzy czarną atlasową maseczkę, na szyi kołyszący się kołnierz, bluzę, spodnie, białe jedwabne pantofelki z czarnymi pomponami; stąpała na palcach w trójgraniastym, włożonym trochę na bakier kapeluszu i uśmiechała się tajemniczo.

- Jak się wam podobamy? - spytała matka.

- Bardzo ładnie wyglądacie... bardzo ładnie - odrzekła Liza - bawcie się dobrze!

- Mamy właśnie ten zamiar - powiedziała Carla wybuchając śmiechem; w tym przebraniu czuła się jak odmieniona, weselsza, lżejsza... Zbliżyła się do brata i uderzyła go lekko wachlarzem po ramieniu. - Porozmawiamy z sobą jutro - powiedziała cicho; spowiedź w taksówce pozostawiła jej przykre wrażenie; wydawało się jej, że Michele rujnuje sobie życie. „A tymczasem wszystko jest takie proste - pomyślała wkładając przed lustrem narzutkę. - Dowodzi tego choćby fakt, że pomimo wszystko przebieram się i idę na bal." Miała ochotę krzyknąć do brata: „Wszystko jest takie proste", i już myślała, że mu znajdzie pracę, posadę, jakiejkolwiek zajęcie u Lea, gdy tylko się pobiorą... Ale matka ciągnęła ją za rękę:

- Chodźmy - powtarzała - chodźmy... czekają na nas w salonie. Zeszły razem ze schodów, biały pierrot i czarna Hiszpanka; na podeście matka zatrzymała córkę.

- Pamiętaj - szepnęła jej do ucha - bądź... jak by tu powiedzieć?... miła dla Pippa... Myślałam o tym... może on jest w tobie zakochany?... To dobra partia.

- Bądź spokojna, mamó - odrzekła poważnie Carla.

Były już na dole. Matka uśmiechała się zadowolona; myślała o tym, że kochanek też będzie na balu, i cieszyła się z góry na miły wieczór.